

# PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 3 (53) • 2023



Darczyńcy Kwartalnika Prowincja



**WOJEWÓDZTWO  
POMORSKIE**

Publikacja została dofinansowana z budżetu  
Samorządu Województwa Pomorskiego w ramach programu  
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2023 roku”



Bank Spółdzielczy w Dzierzgoniu



**FOBOS  
ONE**

Wydawnictwo kwartalnika wspiera  
Jacek Szarycki Prezes Zarządu Fobos One

Stowarzyszenie Kultury i Sztuki  
"Joseph Conrada Kierceńskich"  
DZIAŁ REGIONALNY  
80-006 Gdańsk, ul. Targ Rakowy 5/1  
t. 58 301-48-11 w. 227, 237

# PROWINCJA

**KWARTALNIK  
SPOŁECZNO-KULTURALNY  
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW**

**Nr 3 (53)**

**2023**

### **Redakcja**

Leszek Sarnowski – redaktor naczelny  
Wacław Bielecki – sekretarz redakcji  
Piotr Napiwodzki  
Janusz Ryszkowski  
Andrzej Kasperek

### **Stali współpracownicy**

Krzysztof Czyzewski, Paweł Zbierski, Andrzej C. Leszczyński, Andrzej Lubiński, Jan Chłosta,  
Wiesław Olszewski, Adam Langowski, Krystian Zdziennicki

### **Projekt okładki**

Mariusz Stawarski

Str. III i IV

Prace plastyczne Hanny Walentynowicz-Tkaczyk

### **Skład komputerowy i przygotowanie do druku**

Ewa Krefft-Bładoszewska

### **Druk**

Wydawnictwo Region Jarosław Ellwart, ul. Goska 8, 81–574 Gdynia

### **Wydawca**

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie  
82–400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10, tel. 693 527 614  
provincia@onet.pl, www.provincia.com.pl

### **Dziękujemy za współpracę przy promocji kwartalnika:**

Sztumskiemu Centrum Kultury, Kwidzyńskiemu Centrum Kultury, Żuławskiemu Ośrodkowi Kultury oraz  
Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim

### **Miejsca w których można kupić kwartalnik „Provincia”:**

Kwidzyńskie Centrum Kultury – Sklep Tabularium  
Zakład fotograficzny Foto Mono II w Sztumie, Plac Wolności 19  
Sklep papirniczo-biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy:

Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:  
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082–0291  
www.provincia.com.pl  
Nakład 400 egzemplarzy

## SPIS TREŚCI

Pięćdziesiąta trzecia „Prowincja” .....	5
<b>Poezja</b>	
Adam Gwara.....	6
Sujata Bhatt .....	10
<b>Proza</b>	
Grażyna Kamyszek – Po prostu Matka .....	17
Sylwia Kubik – Spełnione marzenie .....	21
Arkadiusz Wełniak – Jesień .....	28
Łukasz Walendziak – W dolinie Katmandu, cz. 1.....	32
<b>Esej</b>	
Andrzej C. Leszczyński – Okruchy.....	41
Radosław Wiśniewski – Listy do Tymoteusza (11) .....	47
<b>Na tropach historii</b>	
Grażyna Nawrońska – Akwedukty – genialny wynalazek starożytności.....	54
Ryszard Rząd – Historie nie tylko malborskie (12).....	61
Jean Rapp – Walki trwają.....	67
Radosław Kubus, Katarzyna Gentkowska-Kubus – Bałamutni sztumianie, kłamliwi gniewianie... i toruńskie panięta Edycja staropolskiego wiersza satyrycznego na miasta pruskie z połowy XVII wieku.....	72
Ricardo – Z mordercami na miejscu przestępstwa .....	78
<b>Wędrowki po prowincji</b>	
Janusz Ryszkowski – Świat zatopiony w jeziorze.....	83
Wiesław Olszewski – Rodzinne strony – Podlasie, część II .....	89
Alicja Łukawska – Żuławskie opowieści. W stronę Zwierzna.....	98
Kamil Zimnicki, Dominik Żyłowski – Elfriede .....	110
Piotr Napiwodzki – Patronka Dzierzgonia na słynnym watykańskim fresku.....	112

Agnieszka Świercz-Karaś – Granice są w głowie.....	119
Andrzej Kasperek – Mój Ogólniak.....	124
<b>Prowincje bliskie i dalekie</b>	
Krzysztof Czyżewski – Notatki słów i obrazów.....	132
Marek Suchar – W poszukiwaniu zaginionej Arki, czyli tajemnice i zagadki etiopskiej obecności w Jerozolimie .....	144
Andrzej Lubiński – Dwie pielgrzymki do Ziemi Świętej.....	158
Piotr Opacian – Koltur i Kirkjubour – perły Wysp Owczych?.....	165
<b>Muzyka</b>	
Wacław Bielecki – Zapiski melomana .....	171
<b>Galeria Prowincji</b>	
Hanna Walentynowicz-Tkaczyk – Sztuka jest potrzebą duszy .....	188
<b>Czego ci matka nie powie...</b>	
Paulina Hoppe-Gołębiewska – O przekleństwach i nie tylko.....	190
<b>Recenzje</b>	
Janusz Ryszkowski – Świat przegląda się w gazetach .....	193
<b>Noty o autorach.....</b>	<b>196</b>

# PIĘĆDZIESIĄTA TRZECIA

## „PROWINCJA”

Witamy Państwa po wakacyjnej przerwie. Piękne lato i jeszcze piękniejsza jesień. Dzień coraz krótszy, zatem i do czytania będzie więcej czasu. My oczywiście jesteśmy na to gotowi i przekazujemy w Państwa ręce kolejną dawkę ciekawych treści opakowanych oczywiście w grafikę Mariusz Stawarskiego.

Poezja to Adam Gwara i Sujata Bhatt w tłumaczeniu Krzysztofa Szatrawskiego. W tym numerze sporo prozatorskich opowieści. Wraca do nas Grażyna Kamyszek, która debiutowała w naszym kwartalniku kilka lat temu, a dziś jest uznaną autorką z coraz większym dorobkiem wydawniczym. W poprzednim numerze debiutowała na naszych łamach Sylwia Kubik z Dąbrówki Malborskiej, „pisarka z Powiśla”, jak o sobie pisze, która w krótkim czasie wydała około dwudziestu książek, które mam wrażenie wychodzą chyba częściej niż nasz kwartalnik. Tym razem fragment kolejnej publikacji – „Spełnione marzenie”. Prozatorskim debiutantem jest znany Państwu już historyk Arkadiusz Wełniak, a Łukasz Walendziak kontynuuje swoje nepalskie peregrynacje.

Andrzej C. Leszczyński, nawiązując do starożytnych (Arystoteles, Platon), tym razem o władzy, jej skuteczności, demagogii, pysze, farsie i arogancji. Radosław Wiśniewski z kolei rozmawia ze swym synem o Bogu i nie tylko.

W historycznej części Grażyna Nawrońska opowiada o starożytnych akweduktach. Ryszard Rząd kontynuuje swoje malborsko-wschodniopruskie opowieści. Jean Rapp relacjonuje obronę Gdańska w roku 1813, Radosław Kubus i Katarzyna Gentkowska-Kubus analizują staropolski wiersz satyryczny na miasta pruskie z połowy XVII wieku, między innymi o „bałamutnych sztumianach, kłamliwych gniewianach”, a Janusz Mosakowski, w swoim tłumaczeniu, przypomina ciekawe teksty dziennikarza Richarda Teclawa z Wolnego Miasta Gdańska.

Wędrówki po prowincji to teksty Janusza Ryszkowskiego o „świecie zatopionym w jeziorze”, Wiesława Olszewskiego o rodzinnym Podlasiu, Alicji Łukawskiej o żuławskim Zwierznie oraz Dominika Żyłowskiego i Kamila Zimnickiego o oryginalnym domu podcieniowym na Wysoczyźnie Elbląskiej. Piotr Napiwodzki z kolei odkrywa losy Świętej Katarzyny, patronki Dzierzgonia, na słynnym watykańskim fresku. Agnieszka Świercz-Karaś rozmawia z rodziną ukraińską, która osiedliła się w Sztumie, a Andrzej Kasperek, który właśnie rozpoczął radosne życie emerytowanego polonisty, wspomina swój Ogólniak w Nowym Dworze Gdańskim.

Z prowincji nieco dalszych tym razem dwie opowieści z Izraela – Marka Suchara o etiopskich chrześcijanach i Andrzeja Lubińskiego o dwóch pielgrzymkach do Ziemi Świętej. Piotr Opacian zabiera nas w kolejną wyprawę na Wyspy Owcze i to wcale nie chodzi o piłkę nożną.

Wacław Bielecki dzieli się kolejnymi recenzjami z wyjątkowych koncertów w Wąplewie, Tczewie, Elblągu, Toruniu, Wrocławiu i Stażkach.

W Galerii Prowincji prezentujemy twórczość Hanny Walentynowicz-Tkaczyk, a Paulina Hoppe-Gołębiowska opowiada o przekleństwach i rodzicielstwie.

Życzymy ciepłej jesieni i ciekawej lektury.

*Leszek Sarnowski*  
*Redaktor Naczelny Kwartalnika „Prowincja”*

Adam Gwara



## JAK TO SZŁO

Pamiętasz jeszcze, jak to szło?  
Szło wyprostowane. Patrząc w oczy wilcze.  
Myślisz - dziś nie te czasy. Inne tło.  
Milczysz.

Pamiętasz jeszcze tamten śpiew?  
Śpiew, w którym „wolność kochasz i rozumiesz”.  
Przypomnij sobie sprawiedliwy gniew.  
Umiesz?

Pamiętasz jeszcze tamten żar?  
Żar, który strawił Piotra i rozpałił znicze.  
A ty, w proteście nawet nie rozchylasz warg.  
Milczysz  
Przypomnij sobie tamten szum.  
W sierpniowym słońcu rozwichrzone łany zboża.  
Głowa przy głowie. Falujący tłum.  
Możesz!

Nie musisz godzić się na zło.  
Podejmij pieśń jak tamci, którzy szli przed tobą.  
Pamiętasz jeszcze, jak to szło?  
Szło z podniesioną głową.

## DA CAPO AL FINE

Między wojnami czas się dłuży.  
Człowiek spokoju nie docenia.  
Próżna nadzieja, że po burzy  
ludzie się zmieniają.

Przez pamięć tych, co poszli z dymem.  
Przez kości zagrzebane w stepie,  
miałem złudzenie, że po zimie  
już będzie lepiej.

A potem było, tak jak było.  
Wiatr poprzewracał strony księgi.  
Uleciał duch. Przykazał miłość.  
Nawet przysięgli.

Obiecywali wzajem sobie  
kiedy samolot z kursu zboczył,  
i gdy się spalił szary człowiek,  
że się zjednoczą.

A teraz znowu, w czas pandemii,  
każdy powtarza mantry swoje,  
że jeśli przetrwa, to się zmieni.  
Tego się boję.

#### GOOD MORNING YESTERDAY

Są takie puste herbaciarnie,  
gdzie spotykają się po latach  
pomaturalni nierealni.  
Wagarowicze z końca świata.

Można ich poznać po stolikach  
łączonych całkiem bez potrzeby.  
Bo, może Hanka... Może Michał...  
To niemożliwe, żeby nie był...

Podobno Janek się posypał.  
Popatrz... A taki był sportowiec.  
Wierzyć się nie chce... Pewnie grypa.  
No co ty powiesz... Co ty powiesz...

Halinka wyszła za ministra...  
Marek w Australii... W Belgii Ewa...  
No popatrz... Kto by to pomyślał...  
No co ty...Kto by się spodziewał...

Kapią na obrus stearyną.  
Cmokają zimne filiżanki.  
No popatrz... Czas tak szybko minął,  
jak tamten singiel Paula Anki.

Pamiętasz, jak pachniały drzewa?  
Pamiętam tylko, że nie przyszłaś.  
Czekałeś? Kto by się spodziewał...  
Do dzisiaj? Kto by to pomyślał...

## ODDYCHAJ

Otwarte oczy. Płytki wdech.  
I drugi. Bo za mało.  
Łyk wody, żeby przeszło w sen.  
I popatrz... się udało.

Kikut jabłoni. Ściany. Dach.  
Mgła. Zwichrowany komin,  
przez który się zapadasz w strach.  
Poznajesz? Jesteś w domu.

Kuchenny stół, gdzie anioł stróż,  
liczył do stu, nim odszedł.  
Ślady po łokciach przykrył kurz.  
Już dobrze... Będzie dobrze.

Słyszysz? To sen. To tylko sen.  
Jak wszystko, ma swój koniec.  
Odejdzie noc. Nastanie dzień.  
Przebudzą się jabłonie.

Za jabłoniami - tysiąc róż,  
nie może się doczekać już.  
Anioł powraca ze złej baśni.  
Oddychaj. Jeszcze nie raz zaśniesz.

## BĘDZIE ZWYCZAJNIE

pytasz co będzie kiedy mnie nie będzie  
będzie zwyczajnie jak zawsze jak wszędzie  
żółtkną forsycje rozwieją się mlecze  
szpaki objedzą pestki na czereśni  
liliowym miodem pszczoły się zawrześnią  
przyjdą serdeczni i zapalą świece  
a na wigilię powrócę w kolędzie  
na puste miejsce gdy już mnie nie będzie

a gdybyś chciała pogłaskać tęsknotę  
w zielone świątki wrócę rudym kotem  
i będę płonął za rewersem okna  
aż mnie ugaszą przyszłoroczne deszcze  
a gdyby twarz ci od patrzenia zmokła  
to się rozwieję dymem mokrej sierści  
w jesienną pustkę ale dosyć o tym  
kto by tam wierzył jakimś rudym kotom

będę tą kroplą co z pustki na przekór  
kapie sto razy do tej samej rzeki  
choć podobno i dwa niepodobna  
różne zajmiemy kształty i przestrzenie  
popłynę nurtem między brzegów biodra  
całkiem zwyczajnie i nic się nie zmieni  
tylko musimy cierpliwie poczekać  
aż będę wodą a ty moją rzeką

## Sujata Bhatt

## MÓWI PACJENT Z GUDŻARATI

*Londyński kardiochirurg miał w zwyczaju  
przystępować do operacji dopiero wówczas, gdy pacjent i on  
wystuchali nagrań Goulda.*

Zwykle, kiedy choruję,  
Jem ryż z jogurtem,  
dwa ząbki surowego czosnku  
i odrobinę દાલનું પાનું (dałnu pani).

Kiedy dał osiadzie  
na dnie naczynia  
zgarńiam z wierzchu wodę  
bogatą w cebulę i czosnek –  
Wyciskam świeży sok z cytryny  
nad moją miską,  
piję powoli –  
Zwykle czuję się znacznie lepiej.

Kolendra jest ważna.  
I kozieradka.  
Używam dużo kozieradki.

Chociaż mieszkam w Londynie  
Nadal wolę swoje sposoby.  
Sitar, tabla – nazywam je bazą  
instrumentalną gdyż pomagają mi  
poprawić nastrój, łagodzą bóle głowy.

Gdy słyszę pewne dźwięki  
czuję zapach paczuli,  
czuję zapach mydła mojej mamy  
i olejek którego używała  
do włosów

Więc gdy doktor mi zalecił  
słuchanie tego całego Bacha,  
Wariacji Goldbergowskich –  
pomyślałam, że musi coś wiedzieć  
o ajurwedyjskich metodach.  
Ale dlaczego Bach?  
I dlaczego Glenn Gould?  
Zwykle nie słucham  
fortepianu.  
Nawet moje dzieci wolą saksofon –  
i głównie jazz.

A jednak tego ranka po śniadaniu  
Spróbowałam.  
Glenn Gould: ten ruch, dokładnie  
w taki sposób pszczoły mierzą  
wciąż od nowa słońce  
całe lato – różowe cynie –  
pilne bzyczenie by nadążyć za  
zmieniającym się kątem ziemi i słońca.

I jeśli jest sen gdzieś w tle  
jest to sen człowieka, który  
ma zbyt wiele marzeń –  
i jest to sen kochanków,  
którzy nie potrafią się ignorować.

Rozumiem dlaczego chirurg  
miałby czcić gesty, pożądliwie  
śledzić palce skryte za tymi dźwiękami.

Ale ja? Jak fortepian  
zrozumie moje nastroje?

## WIRUSOLOG

*mojemu ojcu*

Miał siedemnaście lat, kiedy przybył  
do Benares  
aby studiować ajurwedyjską medycynę.  
Pierwszym co uczynił było zanurzenie  
w Gangesie  
aby wypełnić życzenie swej matki –  
Po tym czuł się tak brudny  
że wrócił do swego pokoju  
i szybko wziął kolejną kąpiel.  
Tego wieczoru napisał list  
do swej matki – rozczarowany tym  
że wstąpienie do świętej rzeki  
nie dało mu poczucia czystości.  
Był pewny –  
musi być coś jeszcze.

## MÓWI PŁYWACZKA Z NOWEJ ANGLII

Rzadko z kimkolwiek rozmawiam –  
niektórzy boją się  
mnie – niektórzy myślą  
że jestem bardzo nieszczęśliwa.

Dziś ośmieliłam się włożyć moją niebieską  
letnią sukienkę.

Dziś w bibliotece  
uśmiechnęłam się do gościa  
który lubi cytować Hegla.

Potrafi spojrzeć na moją prawą nogę –  
tę uschniętą,  
skurczoną po polio nogę.  
Potrafi na nią spojrzeć  
bez wzdrygnięcia.

Nienawidzę wózków inwalidzkich.

Wciąż mogę chodzić

ze swoimi kulami.

Moja prawa noga kołysze się,

naprawdę nie ciągnie się za mną.

Mogę udawać, że jest prawie dobrze.

Mogę ją zignorować, zapomnieć.

Modliłam się abym pozostała mała,

aby druga noga nie urosła za bardzo

i abym nie stała się zbyt duża

zbyt wysoka na moją prawą nogę.

W lustrze wyglądałam tak szczupło.

Moja twarz jest twarda i kanciasta.

Przypominam moją babcię,

tę która była biedna –

tę która wyjechała z Włoch

z moim ojcem.

Jej oczy były ciemne i wyraźne –

Żadnego pobbłażania dla błędów.

A jej kasztanowe włosy opadały jak jedwab

na jej kości policzkowe i ramiona.

W jakiś sposób

była ładna.

Czy taka jestem? Bezlitosna?

Dla niej uczyłam się łaciny.

Ale czy umiem się modlić? Czy umiem wierzyć?

Kiedy płynę, czuję, że się modlę.

Modlę się z całą mocą moich

ramion, moich dłoni – modlę się do wody

aby mnie zrozumiała – zwłaszcza

do wody jeziora, która jest tak zielona

i śliska w omszały, lepki sposób.

Popołudniami staram się iść

nad jezioro –

Widziałam wodne węże

wygrzewające się w słońcu –

obserwowałam jak spuszcza się z drzew

i wślizgują do jeziora.

Wlewają się całe, wlewają swój ciężar  
w wodę –  
skwierczą –  
I opalają jezioro  
swoim głodem.

A gdy się wynurzały aby zaczerpnąć powietrza  
mogłam je przyłapać, jak przyglądały mi się  
ze swoją oczywistą czarnobrazową  
ostrożnością.

Jestem silną pływaczką.  
Czy potrafią to wyczuć?

Czasami widywałam czerwone zabarwienie  
w brązie – a czasem  
gdy jeden z nich zamierał, zwisając  
z gałęzi, widziałam półksiężycy –  
czerwone, żółte, brązowe... lśniące pod spodem  
ich brzuchy – falująca drabina,  
naszyjnik –  
A czasami kiedy się wynurzam na powierzchnię  
rozglądam się aby sprawdzić gdzie  
pływają – zwłaszcza  
jeśli jest matka  
z nowonarodzonym potomstwem –  
Ciemno prążkowane paski  
wirujące  
w zielonej wodzie.

Jest gość, który myśli że z niego kpię.  
Ten który zna Hegla na pamięć.  
Ma najdziwniejsze błękitne oczy – tak ciemne.

Ostatniej nocy pływaliliśmy w jeziorze –  
naga kąpiel pod gwiazdami  
Księżyc niemal całkiem się skrył  
za drzewami. Było tak bardzo  
ciemno, że byliśmy ślepi.

Zostałam pod wodą

najdłużej jak mogłam  
i wynurzyłam się  
nagle – daleko od niego.  
Czułam, że wszystkie moje ruchy  
są nagłe.

Było tak ciepło.  
Jestem pewna, że węże  
gdzieś się obudziły – jestem pewna  
że węże były już  
w wodzie.

Och, ale jestem silną pływaczką –  
powiedziałam mu.

Nawet jemu zabrakło tchu  
kiedy próbował trzymać się za mną.

A kiedyś  
kiedy mnie dotknął  
w wodzie, mogłam prawie poczuć  
moją nogę polio.

## MÓWI ŁOWCA WĘŻY

*Dla Nachi*

Najlepszym sposobem by złapać  
północnego węża wodnego  
jest zagonić go w jeziorze i pozwolić  
ugryźć się w ramię – będzie mocno zaciskał zęby  
utrzymując swój chwyt  
nawet kiedy podniesiesz  
rękę nad wodę –

Oczywiście, jest to bolesne –  
Ten wąż ma dużą głowę,  
masywną szczękę, paszczę wypełnioną  
sześcioma rzędami zakrzywionych zębów –  
I będzie  
się bronił –

Ale w tym momencie już go masz –  
Są sposoby  
Aby go uspokoić.  
W końcu nie jest jadowity  
Nerodia sipedon –  
Jest nieśmiały, płochliwy  
agresywny bywa wyłącznie  
w konfrontacji.

Później,  
zawsze go wypuszczam –  
kiedy moi uczniowie obejrzą go,  
napatrzą się na miesiące  
robiąc przy tym notatki –

Uwalniam go w lesie.  
To dzieje się tak szybko – nagły zygzak  
energii – czarny błysk  
wyrrywający się z moich dłoni.

*Przełożył Krzysztof D. Szatrawski*

Grażyna Kamyszek

## PO PROSTU MATKA

Siedziała na niewielkiej ławce w pobliżu miejskiego cmentarza. Ludzie mijali ją obojętnie. Nie sprawiała kłopotu, nie zaczepiała, nawet chyba nie szukała kontaktu wzrokowego, bo lekko przygarbiona z opuszczoną głową wpatrywała się uporczywie w swoje splecione ręce. A może drzemiała? Trwała w bezruchu.

Każdego urlopowego dnia, oprócz tych deszczowych, przemierzałam moim nowym rowerem trasę nr 1, którą sama sobie narzuciłam. Pokochałam mój nowy pojazd, odkąd pożegnałam się ze zdezelowanym składakiem po mamie, pamiętającym słusznie minione czasy. Najpierw Zydlungi, skąd ruszałam, potem przy dawnym murze więziennym ulicą Czarnieckiego dojeżdżałam do skrzyżowania, skręcałam w lewo. Jadąc Nowowiejskiego, mijałam bibliotekę, widniejący w oddali Zakład Karny w Sztumie, miejski cmentarz i ze skrzyżowania zjeżdżałam w dół do parku. Krótki odpoczynek głównie po to, aby poczuć wilgoć jeziora, jego zapach, posłuchać odgłosów życia toczącego się w szuwarach, by potem podjechać na miejskie targowisko. Tam zawsze można było spotkać kogoś znajomego, ponarzekać na drożyznę, podzielić się nowinkami, nieraz coś kupić i wrócić na Zydlungi. Potrafiłam kilka razy dziennie zaliczyć tę trasę. W weekendy najczęściej można było mnie spotkać na drodze, którą nazwałam „dwójką”, wokół urokliwego jeziora. Dzisiaj „jedyneką” przemykałam już z samego rana znanymi uliczkami. Od razu rzuciła mi się w oczy kobieta siedząca na ławce.

Gdy po godzinie znowu przejeżdżałam ulicą obok niej, nadal trwała w bezruchu. Zaniepokoiła mnie i zaintrygowała. Zdążyłam zauważyć, że jest stara, zmęczona, opadła z sił, bez życia. Najwyraźniej na coś lub na kogoś czekała. Kobieta oczekująca – tak nazwałam ją w myślach. Przywoływała w pamięci bohaterkę dramatu Tadeusza Różewicza „Stara kobieta wysiaduje”. Co mogła wysiadywać? Na co czekała? Co chciała swoim bezruchem przekazać przechodniom? Dlaczego tkwiła nieruchomo niczym symbol trudny do odgadnięcia. Gdy po raz kolejny przejeżdżałam obok niej, przypominającej majestatyczny posąg, nie mogłam oprzeć się ciekawości i podeszłam do ławki. Rower postawiłam obok i z pełną świadomością, że nachalnie wkraczam w jej świat burząc ławkowy spokój, zapytałam :

– Czy mogę usiąść obok pani?

Nawet nie spojrzała na mnie, tylko uniosła kościstą dłoń dając znak przyzwolenia. Poczulałam się nieswojo. Jej niedbały gest najwyraźniej był dla mnie sygnałem, że jestem intruzem w mini świecie, do którego wtargnęłam bezpardonowo. Cisza, jaka zapanowała, oddzielała nas niewidzialną kurtyną. Tylko zapach potu zmieszanego z wonią dezodorantu wkradał się poza strefę milczenia.

– Przepraszam bardzo, nie chcę być natrętna, ale bardzo długo siedzi pani na ławce. Może coś się stało, może pomóc, może kogoś zawiadomić? - zapytałam, zawieszając głos.

– Przeszkadza to pani, że siedzę na ławce? Przecież nikomu nie wadzę. Przyjdzie mój czas, to odejdę.

Pogubiłam się nieco w odbiorze intencji przekazu. Zabrział jak pretensja i złość, że wtrącam się w nie swoje sprawy. Jednak głos, jakim to powiedziała, zaprzeczał moim odczuciom. Emanował niepewnością i poczuciem winy.

– Zaniepokoiłam się, tak po prosu, po ludzku. Jeśli potrzebuje pani pomocy, chętnie jej udzielię – wydukałam nieco zdeprymowana.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie. Zobaczyłam jej twarz z bliska, poorly zmarszczkami. Dotarło do mnie, że musi być bardzo stara, z wyraziście wypisanym obrazem niełatwego życia. I jeszcze te oczy, pełne smutku, znużone, bez wyrazu.

– Jest pani ze Sztumu? A może z okolicy? Czeka pani na kogoś? – brnęłam dalej z pytaniami. Dziwiłam się jej milczeniu. Starsze osoby zazwyczaj szukają słuchaczy, by do znużenia pogawędzić o chorobach, lekarzach, braku pieniędzy. A ona patrzyła na mnie jak zahipnotyzowana.

– Pójdę już. Życzę wszystkiego dobrego. – Zrezygnowana podniosłam się z ławki, by odejść.

– Nie odchodź, dziecko – zawołała, jakby nagle przypomniała sobie o mojej obecności.

Wróciłam i usiadłam obok, w milczeniu oczekiwałam na inicjatywę z jej strony. Wydała z siebie ciche westchnienie, które miało być wstępem do... pytań, monologu lub niekończącej się opowieści. Tego nie wiedziałam, bo znowu zapadła niezręczna cisza. Żałowałam, że nie odeszłam. Wprawdzie zaintrygowała mnie swoim dziwnym zachowaniem, lecz nie pozostałam, aby sobie pomilczeć. Byłam ciekawa ludzi, lubiłam z nimi rozmawiać, a raczej słuchać, bo zazwyczaj to oni stawiali siebie i swoje sprawy na pierwszym planie. Ja tylko przytakiwałam głową, wciskając od czasu do czasu prowokujące pytanie.

– Przepraszam, że nazwałam cię dzieckiem. – Odezwała się wreszcie. – Jesteś taka śliczna, młodzieńka. Aż dziw, że zainteresowałaś się starą, nieznaną kobietą. Dzisiaj młodzi postrzegają nas jak intruzów. Strach zapytać lub poprosić o cokolwiek. Przepraszam, że jestem niechętna do rozmowy, ale nie lubię o sobie mówić. Spojrzała na zegarek i szepnęła: – Jeszcze pół godzinki i sobie pójdę.

– Nie jestem już taka młoda – uśmiechnęłam się, polecthana komplementem, bo wcale nie byłam ani młodzieńka, ani śliczna. – A ile lat ma pani?

Spojrzała na mnie maskując zdziwienie. Pochyliła się i przygarbiona trwała przez chwilę w milczeniu.

– Dużo. Starzy ludzie zazwyczaj mają dużo lat.

Taka odpowiedź musiała mi wystarczyć. Nie powinnam była pytać o wiek.

– Dokąd pani pójdzie za pół godziny? – Moje kolejne pytanie ożywiło nieco kobietę, bo na odpowiedź nie musiałam czekać zbyt długo.

– Do mojego syna. Dostanę przepustkę. Wejść, zobaczę się z nim. Jest mi wstyd, że muszę go tam odwiedzać.

O to chodziło. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że kobieta czeka na widzenie z synem w więzieniu. Musiała przyjechać rano, pociągiem lub autobusem, na długo przed godziną odwiedzin. Znużenie na jej twarzy świadczyło o nieprzespanej nocy, dlatego drzemała na ławce.

– Dlaczego mówi pani o wstydzie? To chyba on, pani syn, powinien się wstydzić, bo to nie zakład karny dla aniołów – wyraziłam swoją wątpliwość z lekkim oburzeniem.

Po głębokim westchnieniu, spojrzała na mnie niepewnie. Milczała jakby grała na zwłokę, by nie kontynuować tematu. Nie wcinałam się w ciszę kolejnym pytaniem. Czekałam.

– Nie był aniołem, to prawda – odezwała się drewnianym głosem. – Ciągłe jednak jest moim synem, a ja nie przestałam go kochać. Jestem jego matką. On też mnie kocha. Nie udaje, gdy to mówi. Gdzieś rozeszły się nasze drogi. To moja wina, bo chyba za mało go kochałam. Teraz ma tylko mnie. Dzisiaj zobaczę się z nim po raz ostatni. Jestem bardzo chora. Moje dni są policzone. On o tym wie. Przyjechałam spod Warszawy, żeby się z nim pożegnać. Najbardziej martwi mnie to, że gdy za kilka lat wyjdzie, nie poradzi sobie... przecież mnie już wtedy nie będzie. To kochane dziecko, tylko się bardzo pogubiło. Przywiozłam mu ciepłe wełniane skarpety na zimę. Skarżył się, że marzną mu nogi. Sama zrobiłam, z owczej wełny. Nie masz pojęcia, dziecko, jak trudno teraz o owcze runo.

Zdałam sobie sprawę, jaki dramat kryje się w tych kilku wypowiedzianych zdaniach. Nie musiałam pytać o więcej. Stara kobieta powiedziała wszystko. Najgorsze było jej poczucie winy, co bardzo mnie rozgniewało.

– Musiał nieźle nabroić skoro, jak rozumiem, siedzi już wiele lat. Zapewne jest przekonany, że przebywa tu za niewinność, wielu tak mówi, a pani żyje z ogromnym poczuciem winy. Nie można się obwiniać. Każdy jest kowalem swojego losu. Widocznie pani syn zrobił coś, na co nie miała pani wpływu wymądrzałam się.

Spojrzała na mnie z ponurym wyrazem twarzy i przeszła do defensywy. Spodziewałam się takiej reakcji. Ona mogła mówić źle o swoim dziecku, ja nie miałam prawa. Zachwalanie syna to matczyzny obowiązek.

– Dziecko, ty nic nie rozumiesz. On nie był winny lecz współwinny, a to duża różnica. To znaczy, że nie był zepsuty do cna. To dobry, kochany chłopak, mój syn... – zawiesiła głos, ocierając łzy, a po chwili zapytała – masz dzieci?

– Nie mam i nie chcę ich mieć. Świat wokół jest okropny, przemoc, wojny, głód. Co mogłabym zaoferować mojemu dziecku? Brak poczucia bezpieczeństwa, niepewność jutra, być może osierocenie? Nie jestem egoistką, żeby przekonać się, jak to jest być matką – odpowiedziałam zdecydowanie.

– Jesteś młoda. Może jeszcze zmienisz zdanie. Ja nie żałuję, że zostałam matką i byłam nią tak, jak potrafiłam.

Nagle spojrzała na zegarek. Sięgnęła po niewielką torbę i z trudem wstała.

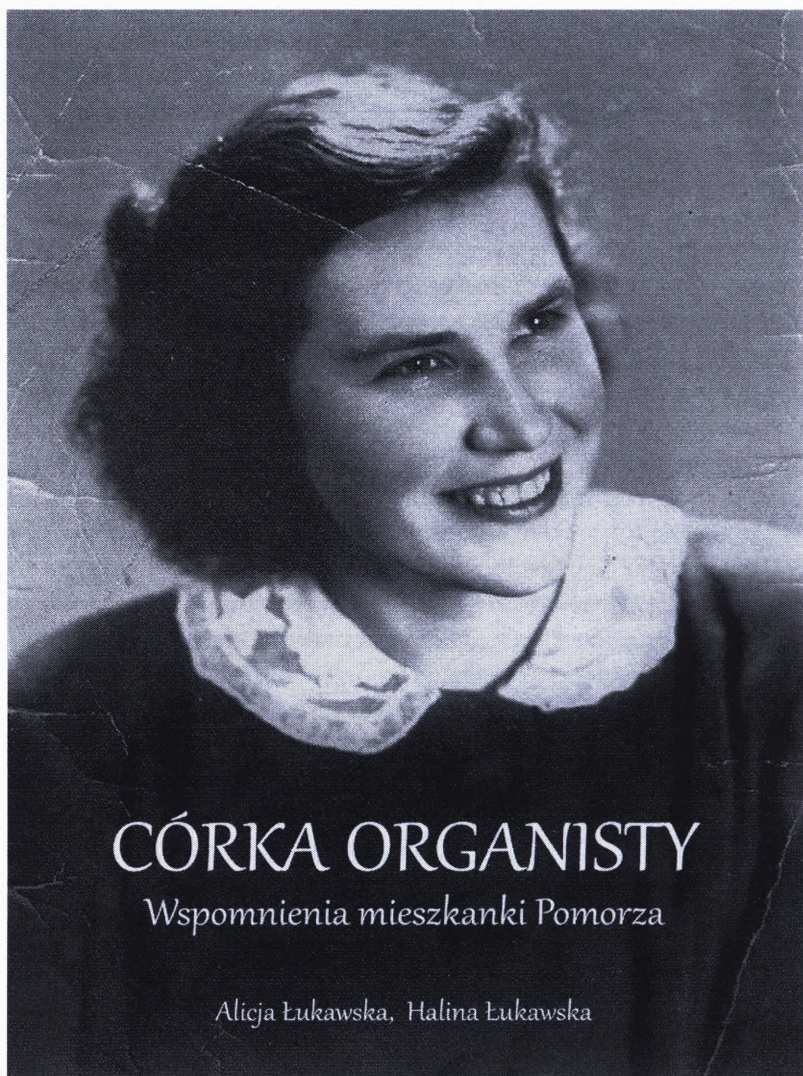
– Pójdę. Już czas.

– Pomogę pani. Wezmę torbę na bagażnik roweru – zaproponowałam.

– Dziękuję. Chcę tę ostatnią drogę do syna przebyć sama, w milczeniu.

Zrobiło mi się nieswojo. Uszanowałam jej wolę. Wsiadłam na rower i skierowałam się do parku. Gdy wracałam, wjechałam w alejkę, prowadzącą do zakładu karnego. Z oddali dyskretnie obserwowałam grupę odwiedzających, a wśród nich moją znajomą. Gdy zniknęła za bramą, pomyślałam z żalem, że nie zapytałam o jej imię. Wróciłam do domu, lecz intuicja podpowiadała mi, żeby raz jeszcze podjechać pod więzienie. Znowu wsiadłam na rower. Stanęłam w oddaleniu. Nie było już odwiedzających. Widzenie się skończyło. Moją uwagę przykuła filigranowa postać oparta o więzienny mur. Oddzielona od świata dojmującą samotnością, kobieta kruszynka, matka, wypełniająca wielką misję. Nagle odwróciła się, rozłożyła ręce i całą sobą przyłgnęła do muru. Tam zostało jej jedyne dziecko, a dla niej pozostał rodzicielski ból, rozdzierający stare serce.

Wzruszona, z oczami pełnymi łez, odjechałam stamtąd. Widziałam ją potem jak nieśpiesznie podążała w stronę dworca. Nie poznałam jej imienia, lecz wiem, jak brzmiało. Matka. Po prostu Matka.



Sylwia Kubik



# SPEŁNIONE MARZENIE

## PROLOG

Puste ramiona.  
Dłonie szukające dziecka.  
Ciche kwilenie, które nigdy nie wydobyło się z małych usteczek.  
Ból rozdzierający serce.  
W tym wszystkim samotność i żal.  
I nienawiść wlewająca się w każdą komórkę ciała.  
Nienawiść rosnąca z każdym oddechem.  
I z brakiem tego drugiego oddechu.  
W tym wszystkim życie.  
Codziennosc. Praca. Wojna.  
I miłość.  
Miłość. Inna. Ostrożna, a jednak trzymająca przy życiu.  
Podobnie jak nienawiść.  
I chęć zemsty.  
Co będzie silniejsze?

## MARIANNA

*Ebersberg, zima 1945 roku*

Marianna siedziała na pryzmie ubitego śniegu i wpatrywała się w zaśnieżone pola. Ryżard lepił bałwana, co rusz wołając matkę, żeby spojrzała na jego dzieło. Robiła to, nie chcąc sprawić synowi przykrości. Potakiwała, chwaliła, a nawet zmuszała się do uśmiechu. Maską, którą przywdziała jakiś czas temu, przyległa na stałe do jej twarzy, kryjąc prawdziwe emocje uwalniane dopiero ciemną nocą, gdy wszyscy już zasnęli i mogła chociaż przez chwilę być sobą. Bez udawania.



– Tata! Tata idzie!

Ryszard z daleka dostrzegł Lucjana i nie bacząc na zaspę pobiegł w jego stronę, przewracając się co kilka metrów. Pokręciła głową z rozczuleniem. Synek był wierną kopią ojca. Nie tylko z wyglądu, ale i charakteru. Psocił co niemiara, a przy tym był tak słodki i cwany, że nigdy nie ściągnął na siebie gniewu Gerdy czy innych mieszkańców domu. Szeroki uśmiech unoszący jego okrągłe policzki do góry i czarne oczy błyskające radością potrafiły skruszyć nawet najtwardsze serca.

Lucjan chwycił chłopca, zarzucił go sobie na ramiona i z uśmiechem szedł w stronę Marianny, która po raz kolejny stwierdziła, że obaj są identyczni.

– Marysiu – zawołał, podchodząc bliżej. – Rysiek tak szybko rośnie, że niedługo to on będzie mnie nosił na barana.

Chłopiec roześmiał się głośno i przytulił do głowy ojca, zrzucając mu czapkę.

– Tak, mammo! Będę duży i silny!

Lucjan zdjął syna z ramion i poprawiwszy mu włosy wyciągnął z kieszeni prezent.

– Zobacz, zrobiłem ci procę na śnieżki. Ulep kilka, to nauczę cię strzelać.

Ryszard z zapałem zabrał się do robienia kulek, a Lucjan podszedł do ukochanej i serdecznie ją uściśkał.

– Marysiu, nie siadaj na śniegu. Przeziębisz się albo i zapalenie płuc złapiesz.

– Nic mi nie będzie.

Jej głos był matowy, wyprany z wszelkich emocji. Ostatnimi czasy bardzo często to słyssał i martwił się o ukochaną. Dziewczyna jakby zapadła się w sobie. Co prawda i dawniej nie była zbyt wylewna, rzadko okazywała uczucia, ale niekiedy pozwoliła sobie na przejaw radości, złości czy smutku. Teraz zaś zupełnie jakby przywdziała maskę, która skrywała to, co czuła.

Lucjan znał przyczynę takiego zachowania, sam wpadł w tak wielką furję, że tylko cudem Rysiek z Sabiną okiełznali jego złość. Długo dochodził do siebie, lecz czas uleczył jego rany. Z Marianną było inaczej. Cierpiała w milczeniu. Szanował to i na wszelkie możliwe sposoby starał się nieść ukojenie, kiedy jednak mimo upływu miesięcy Marysia oddalała się coraz bardziej, uznał, że zaszło to za daleko i musi interweniować. Tego, co się stało, nie można było cofnąć, zmienić, jednak trzeba było żyć dalej, wierząc, że los kiedyś się odmieni.

– Sabina ostatnio przyniosła nowe wieści od koleżanek. Przegrana Szwabów jest coraz bardziej realna. Bardzo możliwe, że na wiosnę będziemy mieli koniec wojny.

– Nie wierzę w te plotki – zachnęła się Marianna. – Ileż to już razy słyszeliśmy, że zostali rozgromieni i lada chwila wszystko się zakończy?

– Owszem, ale teraz jest inaczej. To naprawdę początek ich końca.

– Uwierzę, jak zobaczę. Zresztą, nawet jeśli nastąpi koniec wojny, to co? Co z nami tutaj? Lucjan podszedł do dziewczyny, usiadł obok niej na pryzmie śniegu i otulił ramionami.

– Wrócimy do domu.

– Do domu... Którego? Stawiszyn? Osinki?

- Do Polski, a dokąd dokładnie, to się zobaczy.
- Nie chcę wracać do Stawiszyna. Matka pewnie nawet za próg domu mnie nie wpuści. Mówiła, że mam nie wracać z brzuchem, a ja co? Wróć nie tyle z brzuchem, co z dzieckiem. Bękartem.
- O czym ty mówisz? Jakim bękartem. Rysiek ma ojca i jak tylko wrócimy, weźmiemy ślub.
- Mówię tak, jak powie Aniela. Dla niej nie będzie tłumaczenia. Uzna mnie za puszczałską kurwę i tyle.
- Na pewno nie. Jestem przy tobie i zawsze będę.
- Och, jak ty nic nie rozumiesz. – Pokręciła głową. – Nie znasz mojej matki.
- To poznam. Poza tym do Stawiszyna pojedziemy tylko w odwiedziny. Najpewniej zamieszkamy w Osinkach, bo tam mam kawałek pola i dach nad głową.
- Skąd wiesz, że masz? Wojna trwa od lat, a od miesięcy żadne z nas nie ma wieści z domu. Co, jeśli się okaże, że naszych domów nie ma? A co gorsza, może i naszych bliskich?
- Franka jest zaradna i obrotna. Wiem, po prostu wiem, że poradzi sobie w każdej sytuacji. Ten brak wiadomości jest dobry, bo znaczy, że Niemcom ogień się pod dupą pali i mają ważniejsze rzeczy niż cenzurowanie listów. I najpewniej dlatego poczta nie funkcjonuje.
- Ten twój optymizm bywa denerwujący.
- Może optymizm, a może realne spojrzenie na to, co się dzieje wokół nas. Zobacz, od dawna nikt nowy na roboty nie przyjechał.
- Na wieś – prychnęła Marianna. – Bo w tych ichnich fabrykach co chwilę ktoś się pojawia. Szwaby już takie łapanki urządzają, że strach wyjść na ulicę, żeby jakieś hycle nie przechwycili. Jak się dowiedziała Magda od znajomej, biorą jak leci i od razu wywożą.
- Akt desperacji. To też pokazuje, że już tam u nich nie jest od linijki i zgodnie z planem. Posypało im się wszystko w cholere – próbował tłumaczyć Lucjan.
- Nawet jeśli tak jest, to Niemcy nie wyjdą ot tak z Polski. Zostawią za sobą ruiny i zgłiszcza. Z czego będziemy żyli? Co będziemy jedli? Przed wojną było niełatwo, w czasie wojny jeszcze gorzej, a po wojnie... Pomyśl, pola zniszczone od bomb, ale i od chwastów, bo pewnie ziemie leżały przez lata odłogiem. Kto miał je uprawiać, skoro powywozili Polaków na Syberię, na roboty i nie wiadomo, dokąd jeszcze. Tam nie będzie co jeść.
- Oczyszczimy pola, zasiejemy, zasadzimy, więc zbiory będą.
- Czym zasiejemy? Lucjan! Zejdź na ziemię. Skąd weźmiesz te wszystkie ziarna i bulwy?
- Przesadzasz. Na pewno nie jest tak, że wszystko zniknęło, bo do tej pory już umarliby z głodu.
- I pewnie wielu umarło. Ci, którym nie miał kto pomóc i nikt paczek z jedzeniem nie przysyłał. Jak ci pomagający wrócą, to kto będzie słał i pomagał? Nikt. Tylko gęb dodatkowych do karmienia dojdzie. Nic dobrego nas tam nie czeka.
- Marysiu, jak tylko odzyskamy wolność, rząd polski będzie myślał, skąd wziąć pomoc.
- Fantasta z ciebie. A kiedy to rząd, jakikolwiek, martwił się o zwykłych ludzi? Jak wszyscy wrócą, to czym tylu ludzi nakarmić? Nawet jak pozyskają materiał na zasiew, to zanim urośnie, zdechniemy z głodu.
- To zostaw mnie. Nie pozwolę, żeby brakowało nam jedzenia.
- Niby jak?

– Jak, jak. – Westchnął z irytacją. – Jakoś. Nie martw się na zapas. Przy mnie chleba ci nie zabraknie.

Marianna pokiwała głową. Lucjan był zaradny i pracowity, ale nawet te cechy nie są w stanie zagwarantować chleba w sytuacji, gdy tego chleba po prostu nigdzie nie ma. Denrowowało ją, że nie chce zrozumieć, co ona do niego mówi, i wszystko bagatelizuje.

– Myślisz, że koniec wojny naprawdę się zbliża? – zapytała nieco łagodniej. – Oni tyle razy już byli o krok od przegranej, a zawsze jakoś się wykaraskali.

– I ich szczęście wreszcie opuści. Chociaż może nawet nie tyle szczęście, co przyzwolenie zagraniczników. To już trwa zbyt długo. Ci, co mieli na wojnie zarobić, już zarobili. Teraz będą chcieli zarobić pieniądze na odbudowie.

– Jakoś tyle lat im szwabskie działania nie przeszkadzały.

– I radzieckie. Przecież Niemcy nie działają w pojedynkę. Nie daliby sami radę. A teraz na Sowieców liczyć już nie mogą. I dlatego przegrają.

– Bajania. Swój ze swoim się zawsze porozumie, a oni po jednych pieniądzach są.

– Nie. Mówię ci, Maryśka, idzie koniec.

Marianna nie odpowiedziała. Odszukała wzrokiem bawiącego się synka, który Polski na oczy nie widział. Żył wśród niemieckich pól, jego świat ograniczał się do podwórka Gerdy oraz spacerów po wsi. Co go czekało później? Jeśli jednak Niemcy nie przegrają, to kim będzie w przyszłości? Robotnikiem jak oni? Człowiekiem bez perspektyw?

A jeśli Szwaby przegrają, to co go czeka po powrocie? Bieda i głód. Ciągnęła poniewierka i strach przed tym, co przyniesie kolejny dzień. Słabe to widoki na przyszłość. O ile w ogóle ona nastąpi, bo przecież może być i tak, że w ostatnim akcie agresji wybiją wszystkich w pień. Są do tego zdolni, oj są.

– Tata! Mam już dużo kul!

– Idę. Chodź, Marysiu, postrzelasz z nami. Trochę ruchu dobrze ci zrobi po tym siedzeniu na śniegu.

Dziewczyna zmusiła się do wstania. Nie miała ochoty się ruszać, rzucać kulkami ani rozmawiać. Wszystko, co się działo, co się wydarzyło, sprawiło, że czuła się jak w matni, z której nie ma wyjścia. W którą stronę by poszła, co by zrobiła, efekt zawsze był beznadziejny. Ich życie było beznadziejne.

## LUCJAN

*Rottmannsberg, zima 1945 roku*

Lucjan czyścił zgrzebło planując w myślach zadania na dzisiejszy dzień. Zimą miał zdecydowanie mniej obowiązków. Tym bardziej, że skończyły się również prace dodatkowe, które zlecał mu czasami bauer. Martwiło go to i cieszyło zarazem. Żałował utraconego zarobku, a jednocześnie coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że koniec jest bliski, dlatego Niemcy tak liczą każdą reichsmarkę.

Gdy drzwi stajni skrzypnęły, mężczyzna nie zareagował, często bowiem ktoś tędy wchodził i wychodził.

– Lutek!

Podniósł głowę na dźwięk głosu siostry.

– Co tam?

– Schreder cię woła.

– O, dobrze, może ma dla mnie jakąś dodatkową robotę.

– Robotę to pewnie ma, ale nie dodatkową – odparła Sabina, podchodząc bliżej. – Słyszałam, jak rozmawiał z żoną, że trzeba spieniężyć, co się da, więc pewnie pojedziecie na spędy bydła.

– O tej porze roku nie ma żadnego spędu. To nie czas na sprzedaż.

– Może i nie czas, ale widać, że kasa jest im pilnie potrzebna.

Lucjanowi zaświeciły się oczy. Na handlu znał się jak mało kto. Zawsze potrafił tak zaprezentować towar, że kupujący prawie mu dziękował za możliwość nabycia. Nauczył się też kilku sztuczek. Tu podrasował, tam przyczernił i każda sztuka bydła od razu lepiej wyglądała. Schrederowi bardzo spodobały się efekty jego działań, więc często wysuwał kilka reischmarek ekstra od uzyskanych dochodów. Luczek doceniał ten gest, ale i tak na boku zawsze jeszcze coś uszczknął albo zachachmęcił. Niezmiennie go też bawiło, że Niemcy chcą uchodzić za takich uporządkowanych i praworządnych, a jak tylko jest okazja, to korzystają zupełnie tak jak ruska swołocz, z której kpią nieustannie wytykając im chamstwo i prostactwo. No, może robią to mniej wulgarnie i bardziej dbają o pozory, ale i im dodatkowe monety miło dźwięczą, więc bez skrupułów oszukują i niemieckie władze, i siebie nawzajem.

– Ty się tak nie uśmiechaj pod nosem, tylko idź, bo on czeka na ciebie – ponagliła siostra.

– Idę, idę. Wracasz?

– Nie, zajrzę jeszcze do obory.

– Do obory czy do Ryśka?

– Ty się nie wściubiaj tam, gdzie nie trzeba – ofuknęła go i obróciwszy się na pięcie, wyszła ze stajni.

Lucjan bez zbędnej zwłoki poszedł do bauera. W domu tak pachniało kartoflanką, że od razu poczuł ściskanie w żołądku. Do obiadu jednak jeszcze było sporo czasu, więc przełknął ślinę i odegnął myśl o pysznej, gęstej zupie, w której, być może, znalazłby jakieś skrawki mięsa.

Drzwi do gabinetu były otwarte, więc tylko puknął sygnalizacyjnie i wszedł do środka.

– Jesteś. Dobrze. Siadaj, bo mamy kilka spraw do omówienia – powiedział Schreder wyciągając cygaro z ust. – Ale najpierw zamknij drzwi.

Lucjan uniósł lekko brwi, lecz nie skomentował. Zamknął drzwi i usiadł na wprost bauera zastanawiając się, jakie to sprawy będą omawiali.

– Poleciłem chłopakom przygotować wszystko, co się da na sprzedaż.

– Czyli?

– Świnie, byki, cielaki, kury, krowy.

– Całość pan wyprzedaje?

– Niestety, nie da się od razu, ale tu jest właśnie zadanie dla ciebie. Zostawimy starsze krowy, żeby mieć co doić i co oddawać do mleczarni. Systematycznie jednak te młodsze, sztuka po sztuce, będziesz wywoził i sprzedawał.

– Gdzie?

– W Backnangu, ale i w innych miastach i miasteczkach w okolicy. Weźmiesz do pomocy Ryszarda, a Hans posłuży wam za przewodnika.

Lucjana zdziwiły te słowa. Hans, weterynarz, miał mnóstwo pracy w okolicy i nigdy go nie tracił na zbędne zajęcia, a tu nagle ma być ich przewodnikiem. Doprawdy ciekawe rzeczy zaczynały się dziać.

– Trzeba ustalić, co się uda jak najszybciej sprzedać. Musimy też porobić zapasy. Zabijemy młode sztuki i powędzicie.

– Mogę o coś zapytać?

– Pytaj.

– Co pan będzie robił z taką ilością wędzonek?

– Sprzedawał oczywiście. Część też schowam. Nie wiem jeszcze gdzie, ale coś się wymyśli. Lucjan poprawił lok i przejechał dłonią po lekko zarosniętych policzkach.

– Długo to ma być schowane?

– Nie wiem.

– To może lepiej zasolić? Sól długo trzyma. Może wisieć i wisieć.

– Myślisz?

– Robiliśmy tak w domu, jak był nadmiar, a kiedy przyszła wojna i bieda, chowaliśmy tak resztki dobytku, żeby nam wszystkiego nie zarekwirowali.

– Wiesz, jak to zrobić?

– Wiem.

– To powiesz siostrze. Niech przyuczy resztę.

– Sabina też to potrafi. Jeszcze lepiej niż ja.

– Dobrze, bardzo dobrze. Od jutra zajmiesz się handlem, a Józek zastąpi cię przy dojeniu. Lucjan skinął głową i choć rozmowa była zakończona, wciąż siedział na krześle.

– Czegoś nie zrozumiałeś?

– W sumie to się tak zastanawiam, co będzie, jak mnie władza przyłapie. Co innego sprzedać na lewo kilka sztuk, a co innego kilkanaście. Jeszcze mnie posła do więzienia albo na stryżek.

Karol uśmiechnął się szeroko i puścił kilka kłębow dymu.

– Dostaniesz swoją dolę, wiesz przecież. Zawsze się dobrze rozliczaliśmy.

– Wiem, ale i tak mnie to trochę martwi.

– Władza ma teraz co innego do roboty niż pilnować zwykłych rolników.

– Prawdą jest więc, że idzie koniec wojny?

Schreder przygasił cygaro, wstał od biurka, włożywszy ręce do kieszeni, podszedł do okna. Dłuższą chwilę milczał, ale Lucjan znał jego zwyczaje, więc cierpliwie czekał.

– Tak. Tym razem naprawdę koniec. Człowiek czekał i czekał na ten koniec, a jak nadchodzi, to nie wie, czy się cieszyć, czy martwić. – Westchnął. – Wiesz, że nie byłem zwolennikiem Hitlera, ale to mój kraj, ojczyzna, więc robiłem swoje najlepiej, jak umiałem, starając się przy tym nikomu nie wyrządzić krzywdy. Bo wiesz, wojna wojną, ale przyzwyczajony człowiekiem trzeba być zawsze.

– Racja – przytaknął Lucjan, bo Schreder rzeczywiście traktował ich całkiem dobrze. Byli jednak i inni bauerzy, których z chęcią udusiłby własnymi rękami. Bez mrugnienia powieką i jakichkolwiek skrupułów.

– Moi synowie walczyli na froncie. Byli zwykłymi żołnierzami. Zginęli w drugim roku wojny. Strasznie ich żałowałem, bo to moje chłopaki, moja duma, ale tak sobie teraz myślę, że lepiej, iż na froncie zginęli, niż mieliby działać w... Zresztą, nieważne, nie żyją, więc nikt nie będzie szargać ich pamięci ani o nic oskarżać.

Lucjanowi trochę dłużył się ten wywód, ale czekał cierpliwie, aż Schreder dobrnie do końca. Miał bowiem nadzieję, że dowie się czegoś konkretnego.

– Dwie starsze córki poszły za mąż, ale zamierzam je ściągnąć do domu. Ich mężowie parali się różnymi rzeczami, więc lepiej, żeby ich zostawiły. Wyślę je razem z najmłodszą córką oraz moją żoną do Francji. Tam będą bezpieczne. Przeczekają ten najgorszy czas, w którym nie wiadomo, co z nami zrobią i jakie będą warunki kapitulacji oraz reparacji wojennych.

– Pan nie jedzie?

– Nie, ja zostanę. Nie mam nic na sumieniu, więc będę pilnował dobytku.

– Czasami nie trzeba mieć nic na sumieniu, a jak ktoś chce, to i tak znajdzie odpowiedni paragraf.

– Wiem, ale ten dom, gospodarstwo to mój cały dobytek, moje życie i rodzinna spuścizna. Nie zostawię tego w samopas – odparł stanowczo i zasiadł ponownie przy biurku. – Rozumiesz więc, że potrzebuję pieniędzy. Pięć kobiet to duży wydatek. Nie wiem, czy córki, te zamężne, mają zgromadzone jakieś oszczędności, więc lepiej, żebym i o nich pomyślał.

– Słusznie. A co z nami?

– Wy pewnie wrócić do Polski, bo jakżeby inaczej?

– Będziemy mogli?

– Pewnie tak. Chyba że będziecie chcieli zostać. Pracowici jesteście. I ty, i twoja siostra. Jakby była taka możliwość, to ja chętnie bym was u siebie zatrzymał. Sporo sprzedam, ale i tak będzie co robić w polu oraz oborze.

Lucjan nie zakładał takiej opcji, uznał jednak, że nie ma sensu mówić teraz o tym na głos.

– Myśli pan, że wkroczą tu Rosjanie? Czy raczej nie dotrą na wioski?

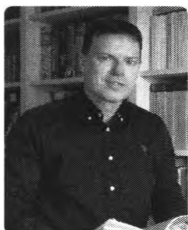
– Rosjanie, Amerykanie, nie wiadomo, kto to będzie. Co do wiosek, cóż, na te dalsze pewnie nie, ale my mieszkamy niedaleko Backnangu, więc nie ma co liczyć, że nas ominą. Trzeba więc się pospieszyć. Bardzo pospieszyć.

– Dobrze, pójdę szykować, co trzeba.

Opuszczał gabinet Karola Schredera z radosnym sercem i szerokim uśmiechem na twarzy. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy Szwaby zbiorą ciężki i odpokutują za wszystko, co zrobili Polakom, Polsce i innym narodowościom. Miał nadzieję, że czas rozliczeń będzie dla nich bardzo dotkliwy.

A szczególnie dla tego skurwysyna Klemensa Meyera.

## Arkadiusz Wełniak



# JESIEŃ

Jesień osiemdziesiątego ósmego wydłużyła moją drogę do szkoły. Przez najbliższe cztery lata miała ona wieść do serca miasta, gdzie cienie dwóch kościołów, gromadzących co rano bogobojne staruszki, stykały się na placu upamiętniającym rewolucyjny zryw komuny paryskiej. W poniedziałki od ósmej były dwie matematyki, podczas których wystuzona, dwudziałowa tablica zappełniała się kredowymi cyframi, plusami, iksami i nawiasami kwadratowymi. Potem świdrujący dzwonek kończył zachłanne ogryzanie resztek jabłka i chleba z pasztetową, prowadząc do białej salki, gdzie zaczynało się grupowe dukanie wiersza w języku Puszkina i powtarzanie czytanki o dzielnych pionierach z bliżej nieokreślonego Artjeka. Już po godzinie ten sam nauczyciel zamieniał się z promotora radzieckiej myśli technicznej w edukatora wiedzy o świecie i społeczeństwie. Teraz zamiast cyrylicznych bukw kratki uczniowskich zeszytów szybko zappełniały ciągi dyktowanych zdań: *Rada Państwa jest kolegialnym i naczelnym organem władzy państwowej Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Do jej kompetencji....*

– Otwieramy podręczniki na stronie 129 i czytamy po cichu fragment o demokracji ateńskiej... - zaczynał swoje trzy kwadransy młody, nieco wystraszony nauczyciel mizernej postury. W moim podręczniku odziedziczonym po starszym kuzynie, który jego pierwszym użytkownikiem nie był, Perykles miał dorysowane rogi, a jeden z ojców światowej filozofii otrzymał w naddatku szpetny, kobiecy biust i pentagram na czole.

Korytarze przedwojennego budynku szkoły kłuły nozdrza kurzem, kredowym pyłem i wilgocią, które co kilka dni miała wszak neutralizować woń lizolu i innych środków. Owa mieszanina wchłaniana przez grube granatowe mundurki, wędrowała na koniec szkolnego dnia do szatni hali gimnastycznej, pamiętającej jeszcze zaprawy treningowe piłkarzy dawno podupadłego kolejowego klubu sportowego. Wuefista rytualnie przedłużał rozgrzewkę biegającą i przysiadającą, do czasu, kiedy z małego radia na baterię spływały wyniki walk bokserskich i klasyfikacja medalowej igrzysk na Dalekim Wschodzie. Mimo podsycanego dopingu do bratobójczej walki wszelkie próby odkrycia w grupie przyszczatych, wątłych chłopców drugiego Andrzeja Wrońskiego albo Józefa Tracza były z góry skazane na niepowodzenie. Perspektywę bycia następcą kolarza Jaskuły przekreśliła natomiast sytuacja, kiedy to komunijny, czerwony składak służący czasami jako transporter marchwi, brukwi i kartofli, przepadł spod warzywniaka w tajemniczych okolicznościach.

Jesień osiemdziesiątego ósmego wciągnęła mnie do przyciemnionego pokoiku pełnego pełnowymiarowych brzmień, unoszących się pod sufitem dźwięków, akordów i półnutek wymykających się prostocie rytmu i uporządkowanym harmoniom. Skojarzenie pierwsze – zapach uwalniany każdorazowo z otwieranego z namaszczeniem zafoliowanego, kwadratowego, kartonu. Sklepowa witryna złożona z dwóch wystawowych okien przedzielona

wąskimi drzwiami opartymi na schodku, przypominała z oddali pociągła, zapłakaną twarz z wąsem. W jej lewym oku odbijały się ułożone kaskadowo książki i albumy, głównie przetrzebione popytem poradniki dla modelarzy, grzybiarzy i krótkofalowców. W rogu utknęły przewodniki krajoznawcze i mocno budżetowe serie wydawnicze „Czytelnika” narodowych wieszczów. Przyciągać mogło natomiast lekko przymrużone oko prawe, położone bliżej wschodniej pierzei rynku, tej schylającej się w kierunku szarej rzeki. Główną ekspozycję tworzyły tam okładki wybranych płyt winylowych, uzupełnione rozrzuconymi kasetami magnetofonowymi i gramami planszowymi. Wystawka prawego okna wymieniana była w całości średnio raz w miesiącu, aczkolwiek czasami zniemacka jeden tytuł zastępowano innym.

W poniedziałki i środy nadrabiałem nieco drogi, żeby kwadrans przed ósmą stanąć naprzeciw prawego oka uśpionej jeszcze wówczas księgarni. Paradoksalnie płyta stojąca pośrodku owego winylowego szeregu musiała być mniej atrakcyjna niż koleżanki, albowiem najczęściej długimi tygodniami wyczekiwała na swojego nabywcę-wybawiciela. Gang Marcela, Leszek Długosz czy nawet Grażyna Łobaszewska, pomimo niższej ceny i lepszej ekspozycji, nie mogły specjalnie konkurować z licencyjnymi albumami zachodnich twórców. Napawałem się widokiem mniej lub bardziej wyrafinowanych okładek płytowych, mimo, że tytuły zazwyczaj nic mi nie mówiły. Te pozbawione opisów pobudzały dodatkowo naturalną inwencję do jakiegoś ich stylistycznego przyporządkowania. Na jednej z nich czarne tło przecinał pas pofałdowanych skał i uskoków, na innej w kolorze ściółki leśnej udawało się rozczytać jedynie słowo *Lonely*. Szary gramofon pamiętał jeszcze czasy pocztówek dźwiękowych Karin Stanek, choć na jego talerzu smażyły się także Dżamble, delikatnie mościły uwertury Bacha, albo szarżowały marsze Straussów. Oczyszczony z kurzu, z nową igłą zakupioną od zaradnego mechanika z pekaesu, oczekiwał już tylko nowych wrażeń w stałym rytmie obrotowym na 33 lub 45. Budżet inauguracyjnego płytowego nabytku opierał się na jednym brązowym Kościuszcze i kilku zmiętych stówkach podarowanych przez wiekową matkę chrzeszną oraz niewykupionym miesięcznym na autobus. Zakup został dokładnie przemyślany, a okładka płyty z trójkątem, rozbijającym przechodzącą przezeń wiązkę światła, rozbijała też moje myśli na szkolnych warsztatach. Znałem już nieco tą muzykę, bo kolega starszego brata pewnego podwórkowego Platinię zgrywał takie rzeczy z radia i robił dla zainteresowanych za opłatą ich kopie użytkowe. Niestety, w dniu, kiedy moja kolekcja czarnych nowiuśkich winylów miała zacząć rosnąć, czarna płyta z trójkątem zniknęła gdzieś w czeluściach ciemnej strony księgarenki. Sprzedawczyni zaskoczona nerwowym pytaniem rzuciła po chwili namysłu z nutką współczucia, że wczoraj musiał ktoś kupić także ten egzemplarz z wystawy. Kościuszek i dwóch czerwonych Waryńskich wycedziło: - Nie odpuszczaj, może sprawdzić coś innego. Z regału za plecami pani sprzedającej spoglądała na mnie twarz, a właściwie jej zarys z przenikliwymi oczami, szerokim nosem, wysokim czołem i podbródkiem ginącym w półmroku. Człowiek z okładki mógł być zarówno amerykańskim sprinterem-rekordzistą, wujem Tomem z książki mojego dzieciństwa, a nawet serialowym Kunta Kinte. Tył okładki, gdzie małymi literami wpisano SX 2687 Polskie Nagrania, był z pewnością jeszcze bardziej tajemniczy. Moje pytanie o rodzaj muzyki, zostało skwitowane: - To jazz... Nie wiem chłopcze, czy się akurat specjalnie spodoba... Mogę puścić, zanim się zdecydujesz.

Rzykując wiele nie skorzystałem ostatecznie z propozycji prezentacji dźwiękowych próbek tudzież owinięcia tego cudelka w szary, pakowny papier. Miles wracał ze mną

tryumfalnie do domu, oglądając po drodze białe lica uczennic ogólniaka, witryny sklepu tekstylnego i garbate kamienice, których kominy uwalniały pierwszy jesienny dym.

Podstawą kolejnego zakupu był już swoisty test, dokonany w tak zwanej czytelnicy muzycznej zlokalizowanej na poddaszu biblioteki miejskiej. Kolekcja zgromadzonych tam płyt wydawała się wtedy całkiem spora, nawet po przepuszczeniu jej przez sito albumów z muzyką ludową i słuchowiskami Bahdaja albo Makuszyńskiego. Dźwięk wybieranych do odsłuchu płyt był lepszy niż domowy, zwłaszcza, że solidnie obudowane słuchawki wygłuszały głośne rozmowy i ujadanie psów z zewnątrz. Pokoik na poddaszu biblioteki stał się na kilka lat azylem, przystankiem wolności od szkoły i szarego jesienno-zimowego przedpołudnia. Przesiadując tam coraz częściej, nie wywoływałem nigdy większego niepokoju bibliotekarki, która pojawiała się tam jedynie po to, żeby przełożyć odtwarzany winyl na stronę B. Zamiłowanie do muzyki rosło wprost proporcjonalnie do liczby opuszczonych lekcji przedmiotów zawodowych i rosyjskiego.

Kiedy wspomniany Miles Davis, do którego musiałem swoją drogą dorosnąć, zaczął dobrze rozpoznawać matczyny głos: („Ścisł ten jazgot”), dołączyła do niego czarna płyta Waglewskiego i kolegów, a niebawem także *Tak! Tak!* pewnego ex-republikanina.

Ostatni album, którego zakup okazał się nie lada wyzwaniem bojowym, wpisywał się w ówczesny trend modowy i sentymentalny przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze jesienią osiemdziesiąt osiem z wielu bram i otwartych okien słychać było, że *plonie Moskwa*, a dwa inne utwory okupowały długo pierwsze miejsca na liście przebojów rozgłośni, mieszczącej się w budynku pod numerem 357. Po wtóre, jej twórca, zanim solidnie zapracował sobie już na sławę i poszedł w świat, mieszkał w domu na tyłach starej mleczarni postawionej w miasteczku między torami kolei żelaznej a szeroką rzeką. Jako człowiek znad tej samej rzeki na swój sposób uwiarygodniłem wspólnotę pochodzenia zakupem dwóch albumów republikańskich oraz *Historii podwodnej*. Pan Janerka został wkrótce wymieniony za sporą dopłatą na *Floodland*, album brytyjskiego zespołu, w którym rolę perkusisty przejął robot Avalanche. Uwodzicielsko mroczny *Floodland*, wytłoczony w kraju, w którym noce bywają całkiem białe, długo nie schodził z flauszowego talerza gramofonu. Tytuł płyty oznaczał teren zalewowy, więc tym bardziej przywoływał obrazy, które towarzyszyły mi od lat szczenięcych. Wtedy późną jesienią również przybierała wielka rzeka, której brzegi scalały dwa żelazne mosty. Na początku rosła powoli i majestatycznie, potem szybko i łapczywie zabierając kolejne metry zielonych łąk na drugim brzegu. W miejsce biało-czarnych krów ewakuowanych za linię wału ochronnego pojawiły się liczniej rybitwy, mewy i inne kolonie wrzeszczącego ptactwa zwabione osiadłymi na mieliznie kilogramami kleni i płoci. Smolista łódka starego rybaka była wówczas przeciągana wyżej na brzeg, na wypadek, gdyby silny prąd postanowił ją akurat zabrać z sobą. Alfons, który jak jego dziad i pradziad, najlepiej znał tutejsze główki i podstępne wiry, wyławiał spore sztuki leszczy, odsprzedając je w cenach mocno umownych zaufanym mieszkańcom fyrtila. Alfons obok okazałych ryb wyławiał też co jakiś czas ciała topielców, tych mniej ostrożnych i hardych, ale też tych, dla których świat przestał być źródłem jakiegokolwiek radości i inspiracji. Kilkunastoletnia dziewczynka z otwartymi oczami i rozdętym od wody brzuchem, którą woda wyrzuciła pewnego niedzielnego ranka długo zakłócała sen gromadce wyrostków liczących barki z węglem ze stanowisk obserwacyjnych w nadrzecznej trzcinie.

Jesień osiemdziesiąt osiem wydłużyła etap mojego wychodzenia z beztroskiego dzieciństwa. Przez najbliższe cztery lata miał do miasteczka powoli wdzierać się duch przemian. Symptomatycznie rozpoczął on od zwolnień grupowych kilka tuzinów zrozpaczonych tym faktem szwaczek i magazynierek miejskiej hurtowni spożywczej. Wizja nadchodzącej wielkimi krokami wolności nakazała miejscowym urzędnikom wymienić sfatygowane, blaszane tabliczki z napisem „Plac Wolności” na nowe kwadratowe oddające hołd bohaterowi o dwuczłonowym nazwisku. Obok lśniących talerzy satelitarnych, wyrastających na dachach klockowatych bliźniaków i w oknach spółdzielczych bloków, do spragnionych zachodniego luksusu z rozkładanych stolicek i łóżek polowych mrugały ledowym okiem plastikowe radioodtworzacze w towarzystwie suszarek, magnetowidów, szamponów i lakierów do włosów. Na murku w bocznej uliczce anonimowy artysta podpisujący się jako KPN wymalował szubienicę, na której zawisły cztery szkaradne literki. Nikt ich o dziwo nie zamalowywał, choć były one identyczne z tymi, które bielily się na pierwszomajowych transparentach niesionych przez coraz mniej aktywny aktyw robotniczy miejscowej fabryki. Mimo nowego, wieszczącego koniec władzy „czerwonych” parkowe kasztany nadal były strącane długim kijem, a po zdarciu swojego kolczastego odzienia i dalszej obróbce, tak jak wcześniej przybierały postaci koni i ludzi o wydatnych brzuchach i cieniutkich kończynach. Kapsle po piwie z elbląskiego browaru nie przyspieszyły gwałtownie, konkurując nadal między sobą na torach wyścigowych wytyczonych na piaskowych hałdach wietnamską tenisówką.

Jesienią trzydzieści pięć lat później niewielu już pamięta starego rybaka Alfonsa, zlikwidowano czerwoną szkołę między kościołami, a we wnętrzach dawnej księgarni o niedomkniętych oczach zamiast Słowackiego i Czechowa wyczekują napoje energetyzujące i wegetariańskie chipsy. Zmienił się rytm tego miasta, opustoszały uliczki biegnące w dół ku szarej, jakby skurczonej rzece. Ale ten osiemdziesiąty ósmy nie odszedł tak naprawdę nigdy. Na czerwonym, pruskim murze przy parkowej alejce pozostały napisy sporządzone olejną w technice dowolnej. Zaraz koło Pink Floyd, Sex Pistols, Dezertera i mało progresywnego „wszystko gnije” wyrosły nowe, bardziej buńczuczne, opisujące zdecydowanie bardziej dosadnie i wulgarnie rzeczywistość kolejnych generacji. Niezmienna została fascynacja tamtą muzyką. Liczba płyt rozrosła się do sporych rozmiarów, ale odstuch pierwszego utworu z *Tutu* czy emocje podczas *Loli, która chce zmienić świat* raczej nigdy nie będą już takie same, jak wtedy jesienią osiemdziesiątego ósmego.

**Łukasz Walendziak**

# W DOLINIE KATMANDU, CZ. 1

**RADZIWIW**

W połowie 2020 roku dostałem propozycję pracy jako organizator imprez oraz wszelkiej rozrywki w otwieranym właśnie (na raty, ze względu na zarazę) resorcie na obrzeżach doliny Katmandu. Odwiedziłem „Wesołe Wzgórze” kilkakrotnie i umówiłem się, że swoje obowiązki podejmę pod koniec roku, pracowałem bowiem wówczas w centrum miasta i zależało mi na tym, aby zamknąć ten rozdział jak należy, dokończyć to, co zacząłem.

Nowe miejsce to po pierwsze piękne widoki. Z jednej strony park narodowy Shivapuri, z drugiej rozległa panorama Katmandu, która nocą zamienia się w ogromną mozaikę świcideltek. Następnie świeże powietrze (natężenie smogu w centrum stolicy to poważna sprawa) i czysta woda ze źródła. Na deser kawałek ogrodu do zagospodarowania. Jak na spacer do lasu to wystarczy otworzyć furtkę, a jak coś do załatwienia na mieście to 30 minut spacerem z górki i 30 minut w mikrobusie. Położenie optymalne.

W połowie listopada zameldowałem się na posterunku. Poznałem całą liczną ekipę rezydującą na wzgórzu oraz historię tego miejsca. Wprowadziłem swoje porządki, jeżeli chodzi na przykład o segregację odpadów, oraz posadziłem co nieco warzyw. Szpinak, rzepa, fasola, pietruszka i chili. Wigilię już tradycyjnie, można powiedzieć, spędziłem u Honoraty, a Sylwester miał być moją pierwszą poważną robotą. Okoliczności były sprzyjające. Decyzja administracyjna głosiła, że wszelkie imprezy na mieście mają zakończyć się zaraz po godzinie dwunastej. Wszystkiego dobrego w Nowym Roku, fajerwerki o północy i do domu... albo na „Wesołe Wzgórze”.

Ponieważ nagłośnienie i dekoracje miałem już przygotowane, ostatnie cztery godziny w „starym roku” spędziłem w gościach. Odwiedziłem kilka imprez i przypomniałem zgromadzonym, że tam na górze „after party” w klimacie „psy trance”. Około godziny pierwszej w nocy mieliśmy na parkiecie blisko sto osób, a ludzi jeszcze przybędzie. Wszystkie pokoje wynajęte, a garkuchnia ma naprawdę pełne ręce roboty. Balety trwają do południa, impreza biletowana, ja mam z tego swój procent. Zawodowy sukces, można powiedzieć.

Jeżeli chodzi o sprawy osobiste – kompletna porażka. Kryzys motywacyjny z prawdziwego zdarzenia, ale też przyzwoite warunki, aby się otrząsnąć. Zero narzuconych obowiązków, ale pole do działania. Sympatia ze strony otoczenia, ale również możliwość izolacji w każdej chwili. Dwa dni w centrum z wizytą u znajomych, trzy dni na wzgórzu, to znowu cały dzień w lesie. Dryfowałem tak bez konkretnego celu mając jednak świadomość, że trzeba mieć się na baczności. Minął pierwszy kwartał i dobiłem do brzegu, „przeminęło z wiatrem”, jak to mówią...

W 2003 roku Rajiv Kafle powołał do życia organizację o nazwie „Nava Kiran Plus”, taki nepalski „Markot”, można powiedzieć. Celem stowarzyszenia była opieka nad osobami zarażonymi wirusem HIV / AIDS ze szczególnym uwzględnieniem dzieci. Poza główną siedzibą, która funkcjonuje po dziś dzień, w kraju działało jeszcze 9 oddziałów NKP. Na początku XXI wieku stosunek społeczeństwa do nosicieli wirusa tu w Nepalu był podobny do tego, co działo się w Polsce na początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia: „Wynosić się! Najlepiej na cmentarz od razu, wy narkomany skończone”. Państwowe szpitale potrafiły odmówić badań lub jakiegokolwiek pomocy.

Kilkanaście lat pracy tego stowarzyszenia przyniosło wymierne efekty. Kilkuset wychowanków tej placówki otrzymało nie tylko dach nad głową, leki i wyżywienie, ale też wykształcenie i wydatną pomoc „na start”. Dziś te osoby prowadzi samodzielne życie, niektórzy za granicą. Największym sukcesem jest jednak fakt, iż zarówno terapia anty retro-wirusowa, która zatrzymuje rozwój choroby, jak i terapia, która zapobiega „przekazaniu” wirusa z matki na dziecko, są dziś w Nepalu dostępne bezpłatnie dla wszystkich potrzebujących. Proszę pamiętać, że mowa o państwie, w którym wycięcie byle wyrostka robaczkowego kosztuje dużo pieniędzy.

W 2019 roku Rajiv Kafle uznał, co następuje: „zrobiłem, co do mnie należy, dziękuję bardzo” i rozpoczął się proces przekształcania tego miejsca w resort wypoczynkowy działający na zdrowych komercyjnych zasadach. Oto powody: po pierwsze, jeżeli problem HIV / AIDS został w Nepalu zredukowany do minimum, to nikt nie są też podstawy do pozyskiwania kolejnych dotacji ze świata, które stanowiły budżet fundacji. Po drugie, nowe rozwiązanie oferuje miejsca pracy dla kilkunastu ostatnich wychowanków i kilku weteranów pozostałych na wzgórze. Po trzecie facet miał prawo mieć dosyć roli „ojca dyrektora”, do którego z prośbą lub w intencji dzień w dzień udają się dziesiątki osób...

Początek roku 2021 to prawdziwy „boom” jeżeli chodzi o nasze miejsce. Echo imprezy sylwestrowej oraz kilka pomniejszych wydarzeń typu urodzinki czy spotkania studenckie zrobiły swoje. Wieść o nas poszła w miasto. Pomimo tego, że sektor turystyczny pogrążony jest w głębokim kryzysie, my radzimy sobie świetnie. Nasza klientela to głównie młodzież ze stolicy, niedobór obcokrajowców nam niestraszny. Malowidła na ścianach, widoki, atmosfera oraz obszerny teren ośrodka czynią to miejsce idealnym na szybki „wypad za miasto”.

Na terenie trzy budynki. Ten na górze to takie centrum socjalne, tu mieszkamy. Dzieciaki, weterani oraz ja i Eugeniusz, kolega z Sosnogorska. Drugi z kolei budynek to garkuchnia, a na dole centrum hotelowo-wypoczynkowo-rekreacyjne. W ciągu dnia badminton albo frisbee, a po zachodzie słońca ognisko i gitara. Ja funkcjonuję wszędzie i nigdzie, klasyczny „wolny elektron”. 31 grudnia zrobiłem, co do mnie należało, a następna impreza zaplanowano na 20 kwietnia. Było więc trochę czasu na wspomnianą rekonwalescencję psychiczną.

Miejsce cieszy się stale rosnącą popularnością, co oczywiście oznacza zysk, ale pojawiły się też trudności. Po pierwsze, cała banda „wujków-ziomków”. Ludzi, którzy mieli coś wspólnego z tym miejscem w przeszłości i którzy lubili się przedstawiać jako „founders-members”. Szanowni państwo wychodzili z założenia, że obecny sukces to także ich zasługa tym samym stawiając się w roli gości honorowych. To na koszt firmy, to na kredyt, to tamto. Niby to nie moje zmartwienie, ale jednak pewien dyskomfort. Całe szczęście towarzystwo

rozbestwiło się na dobre bardzo szybko, a to sprowokowało reakcję szefa wszystkich szefów. „Klub założyciela” został rozwiązany.

Druga kwestia to wizyty „mundurowych”. Pomimo tego, że z większością sąsiadów żyjemy w absolutnej zgodzie, zawsze znajdzie się ktoś, komu fakt, iż „biznes nam się kreci”, nie odpowiada. Na komisariat trafiły skargi. Ponieważ ciężko się było do nas o cokolwiek przyczepić, zażalenia dotyczyły tego, że „w godzinach nocnych motocykle kursują w tę i z powrotem, a hałas silnika nie pozwala mieszkańcom spać”. Kompletna bzdura, ale już zupełnie realne konsekwencje tego donosu. Ja bez paszportu, nawet jeżeli nic złego nie czynię, to i tak niejako „z urzędu” jestem nielegalny. Z punktu widzenia naszych gości – co to za relaks w miejscu, które raz w tygodniu odwiedza ciekawski dzielnicowy...

Impreza w dniu 20 kwietnia – rocznica powstania resortu, stała pod znakiem zapytania. Z powodu powrotu zarazy rzecz jasna. Najpierw sytuacja wymknęła się spod kontroli w Indiach. Nasza „gwiazda wieczoru”, artysta z Meksyku, właśnie tam przebywał i była szansa, że wystąpi u nas za pół darmo. Nic z tego, granica zamknięta, a w kraju pierwsze ograniczenia swobód obywatelskich – po dwudziestej „godzina policyjna”. Jako organizator nie miałem zamiaru ryzykować, skończyło się na mini jarmarku i pikniku w ciągu dnia.

Tydzień później mamy tu już „stan wojenny”. Lotnisko oraz wszelkie urzędy zamknięte, sklepy spożywcze otwarte od 6 do 8 rano. Później już tylko wojsko, karetki i policja na ulicach. Proszę mi wierzyć, ja nie ulegam masowej histerii, ale sprawy mają się znacznie gorzej niż rok temu. Rajiv Kaffle pożegnał ojca, wice-prezydent organizacji w szpitalu w stanie ciężkim. Wiele innych osób związanych ze stowarzyszeniem również zachorowało. Resort oczywiście zamknięty. Na wzgórzu pozostałem w towarzystwie kilkunastu dzieciaków i kilku weteranów. Bym zapomniał, są tu jeszcze nasze dwa psy, Rizla i Lufi.

Osobiście koronawirus mi nie straszny, cieszę się bowiem dobrym zdrowiem, a mój układ odpornościowy wspomagany medycyną naturalną to naprawdę solidny egzemplarz. Wiadomo natomiast, że nosiciele wirusa HIV powinni zachować szczególną ostrożność. Śmiało można powiedzieć, że w tych nietypowych warunkach przyrody przejąłem dowodzenie. Któregoś dnia z wizytą przybyli dwaj funkcjonariusze policji. Mieli obowiązek sprawdzić, czy nasz resort aby na pewno jest zamknięty. Nie wpuściłem ich na teren ośrodka. Wyjaśniłem grzecznie w ich własnym języku, że w zaistniałych okolicznościach to jest oddział szpitalny, dedykowany pacjentom podwyższonego ryzyka, a ponieważ panowie mają tam na dole kontakt z osobami zarażonymi wirusem covid dzień w dzień, jestem zmuszony odmówić im prawa wstępu. Na ten moment jestem tu jedynym doktorem i nikt nie może podważyć mojego autorytetu. Proszę przekazać przełożonemu krótką wiadomość. „Wesołe – Zamknięte”.

Codziennie rano dostawa z warzywniaka. Podstawowe produkty spożywcze. Zgodnie z lokalną tradycją dwa razy dziennie jemy ryż z warzywami. Rano koło dziesiątej i wieczorem o dwudziestej. W ciągu dnia herbata i ciastko. Skromnie, ale jest. Obowiązuje nas umowa, że jak ktoś ma ochotę na spacer, to do góry, do lasu, a nie na dół, do miasta. Na łonie natury po pierwsze bezpiecznie, po drugie możemy tu znaleźć pokrzywy, jeżyny i dziki szpinak. Czasem też zbieramy drewno, aby wymienić je u sąsiadów na mleko. Ostatnio regularnie pada deszcz i monotonia daje się delikatnie we znaki, ale ja mam zapas książek, a dzieciaki telefony i dostęp do Internetu. Do tego karty i szachy. Naprawdę potrafię sobie

wyobrazić gorsze warunki izolacji. Tak to będzie wyglądać przynajmniej do końca maja, być może nieco dłużej.

## TUPI

Tupi pędzi na dół po schodach trzymając w jednej łapce tacę z przekąskami, a w drugiej szklankę z zimnym napojem. Dziś panuje tu prawdziwy tłok.

„Tupi, dajesz radę!” – zawołałem z balkonu.

Młody się zatrzymał, uśmiechnął, powoli odstawił na jeden ze stopni naczynia, wypiął swą wątlą klatę i tak do mnie:

„Daję! Bo mam...” – tu uderzył się prawa dłonią w lewą pierś. Rozumie się, że „serducho”.

Następnie błyskawicznie pochwyił zamówienie, które miał dostarczyć gościom, i popędził w ich kierunku...

To jeden z sześciu najmłodszych chłopaków w społeczności. Taki „klub młokosa”, można powiedzieć. Co prawda jestem od nich dwa razy starszy, ale oni spędzili tu na miejscu po kilkanaście lat, a ja zaledwie kilka miesięcy. Można się więc od siebie nawzajem wiele nauczyć. Ja na przykład o chorobie, lekarstwach, a przede wszystkim o historii całej organizacji wiele dowiedziałem się właśnie od dzieciaków.

W Nepalu jest taka tradycja, że gdy spotykamy się w okolicach obiadu lub kolacji, to zamiast klasycznego „Witam – Namaste” zadajemy pytanie „Kana Kajo?”, co oznacza mniej więcej „Zarcie zjadłeś?”

Spotykamy się jakoś przed południem, Tupi zapytuje:

„Zjadłeś?”

„Tak, dziękuję, dopiero co” – odpowiadam grzecznie.

„Dawaj jeszcze raz! Haha”

Ma młokos poczucie humoru, posiłki planowe wydawane są bowiem dwa razy dziennie i spożywane „do syta”. Rano i wieczorem, a nie rano i pięć minut później.

To ostatnia grupa wychowanków, a ponieważ zmienił się system funkcjonowania placówki, młodzież ma pracę. Jedni się z tego powodu cieszą, inni marudzą, dwóch strajkuje. Robota, jak i sami klienci, potrafią być uciążliwi. Ze względu na obszerny teren ośrodka, żeby obsłużyć gości, trzeba się nabiegać. Poza wszystkim „kultura składania zamówienia” często jest poniżej tego, co „na Zachodzie” uznalibyśmy za minimum przyzwoitości.

„E, MAŁOLAT, HONOTU!!” – Mniej więcej tak, w prostackiej odmianie języka nepalskiego, zwraca się do naszego bohatera jeden grubas.

„Jedną chwilę” – odpowiedział młody i poleciał na górę, miał tam coś do załatwienia na kuchni.

„Szybko, szybko” – kończy krótką wymianę zdań dumny z siebie cham. Tupi za moment pojawił się z powrotem: „Tak, słucham. Jak mogę pomóc?” – zwrócił się uprzejmie.

„PRZYNIESMIE JEDNOWODE I DWA SZLUGI” – zapewniam: to nie jest tak, że mili państwo kończyli biesiadę i śpieszyli się na samolot. Ten typ tak ma, w ten sposób chce zaimponować. Grupa czterech osób, przyjechali na ognisko. Dwóch chłopaków i dwie dziewczyny. Zdrowy rozum nakazuje poprosić paczkę papierosów i kilka butelek wody

na zapas, niech się znajomi częstują. Tutaj „SAMIEC POŻAL SIĘ ALFA BOŻE” chce pokazać swemu towarzystwu: „płacę, to wymagam”, a na koniec zamiast dać kelnerowi pięć złotych napiwku, to mu wręczy dolara za mało, bo jemu się należy zniżka, bo „JATU SZYSTKICH ZNAM!”. Żenada.

Oczywiście to tylko przykład, w dodatku mocno jaskrawy. Odwiedzało nas wiele sympatycznych osób, mieliśmy też liczne grono „stałych bywalców”. Podczas mojego pobytu na wzgórzu nie doszło do żadnego poważnego incydentu. Żadnej krwi czy też aresztowania. W najgorszym przypadku ktoś pod wpływem alkoholu nie potrafił się zachować i zakłócał spokój innych gości. Trzeba mu było zwrócić uwagę, co też kilkukrotnie miałem okazję uczynić. Tak czy inaczej dzieciaki mają sporo obowiązków, a zarabiają grosze. „A kiedyś było tak pięknie...” – myślą sobie.

Teraz Moden. Po tym młodym człowieku to już zupełnie nie widać, że jest nosicielem jakiegokolwiek wirusa. Dobrze zbudowany, uśmiechnięty, wysportowany. W piłkę kopnie i się nie przewróci, pobiegać ma zdrowie. Zuch. Zupełnie przyzwoił gra na gitarze. Ten instrument jest wprawdzie w Nepalu bardzo popularny, ale większość miłośników „szarpania struny” kaleczy ten sport okrutnie. „Wesołe” to wzgórze nie tylko z nazwy. Ośrodek położony jest na granicy parku narodowego „Shivapuri”. W okolicy niewielkie wodospady, gęste krzewy, ogromne drzewa. Tu się trzeba wdrapać, tam ześliznąć. W sam raz na wycieczkę z przygodami.

Ostatnio wybraliśmy się nazrywać pokrzyw. Przy jednym ogromnym krzaku chłopaki postanowili nakręcić reportaż. W rolę prezentera wcielił się nie kto inny jak Moden. Muszę przyznać, że wciskał potencjalnym telewizjom naprawdę niezły kit:

„Proszę spojrzeć, oto pokrzywa: dzika, leśna, zdrowa. Ze mną Doktor Borsuk, proszę krótko o zaletach.”

No i ja dwa słowa do kamery: „Dobra jest! Na kości, na krążenie, korona też nam nie straszna”.

„Sami to państwo słyszeli!” – wraca na wizję prowadzący ten program. „Korona nam nie straszna...”.

„Taka pokrzywa to prawdziwy skarb! Na rynku jest ciężko dostępna i bardzo droga. Jak coś, to mamy cały worek! Proszę dzwonić! 980... i tam dalej znajdziecie już państwo numer w opisie. Żeby nie było, względy bezpieczeństwa” – kończy swój występ Moden. Ma chłopak talent...

## DIPENDRA

Dipendra trafił do placówki w wieku lat czerech. Jego Mama oraz dwaj starsi bracia przyrodni po prostu go zostawili. Na szczęście nie na pastwę losu. Fundacja działała wtedy pełną parą. Chłopak sam chętnie opowiada o delegacjach ze świata, wizytach wolontariuszy.

„Byli goście ze Szwajcarii, Danii, Singapuru, Australii” – wymienia dalej – „ubrania, zabawki, sprzęt sportowy, taki super, zza granicy” – śmieje się... Za chwilę jednak dodaje w zupełnie innym już tonie:

„Jak wujek się wycofał, to powoli zaczęła się nędza...”

„Domyślam się, to już nie to samo, ale do nędzy to nam bardzo daleko. Zastanów się: Gdyby cię Mama zostawiła na ulicy, to zbierałbyś teraz pewnie plastik do wielkiego worka i wachał klej z małego woreczka gdzieś na granicy z Indiami. Chodziłbyś brudny i śmierdzący, a ludzie na twój widok odwracaliby wzrok, chyba nie jest teraz aż tak źle...”

„No niby tak, ale... Ech, Wujek to wszystko stworzył, on tym potrafił kręcić. To nasz Ojciec Chrzestny. Do niego to ja będę miał zawsze szacunek, ale tej całej bandy starych dziadów to ja nienawidzę!” – tu uderzył pięścią w ścianę.

„Dobra, nie przesadzaj” – po czym zmieniam temat – „Tyle miejsca mamy tu na terenie. Gdybyś mógł otworzyć swój własny mały interes, w co inwestujesz?”

Chwila namysłu. „Soki ze świeżych owoców” – uśmiech od ucha do ucha...

Świetny wybór! Życzę powodzenia.

Dipendra nie wykonuje poleceń służbowych Starego Drania. Na tle kolegów ma za to zwykle najlepsze pomysły i największą chęć do działania. Oczywiście na własną rękę. Jedyny w ekipie wegetarianin. Fasola i szpinak w ogródku pod jego opieką. Wyprawa do lasu, on zawsze pierwszy „na drzewo” albo „ze skarpy”. Moim zdaniem z tej całej grupy to właśnie on najlepiej poradziłby sobie w jakiejś ciekawej pracy „na zewnątrz” albo „za granicą”.

Drugi z buntowników to Ram Kumar, zamknięty w sobie i wycofany. Wpływ na taki stan rzeczy ma na pewno fakt, że chłopak niedosłyszy. Wygląda za to jak „Książę Persji”. Tylko turban, białe jedwabne szaty, złoty pierścień ze szlachetnym kamieniem i śmiało mógłby zasiadać w jakimś pałacu na Bliskim Wschodzie. Prowadzi nocny tryb życia, ostatni schodzi na posiłki. Tylko on i jego telefon. Przynajmniej zawsze używa słuchawek, bywa tu bowiem tak, że trzy osoby na trzech metrach kwadratowych puszcza w eter trzy różne piosenki tworząc tym samym harmider ciężki do strawienia. Któregoś dnia starszakom w hostelu popsuł się głośnik. Ram Kumar obejrzał sobie jakiś krótki film instruktorzowy w Internecie. Wziął i zreperował. Miło z jego strony.

Stary Drań to obecnie kierownik zamieszania. Na miejscu w zasadzie od zawsze, ale prawdziwej władzy jeszcze nie posmakował. Sympatyczny, ciężko pracujący facet, serdeczny w stosunku do ludzi. Tak było przynajmniej do tej pory. W związku z obecnym kryzysem przyszedł jego tymczasowy awans na sam szczyt w hierarchii pracowników ośrodka. Teraz to on tu rozdaje karty. Ostatnio doszedł do wniosku, że Internet, z którego korzystamy w budynku socjalnym, to zbędny luksus. Wziął i zdemontował, z nikim się nie konsultował. Staram się zrozumieć jego motywacje, że na przykład próbował zmobilizować młokosów do pracy. „Wzgórze” wprawdzie zamknięte, ale zawsze można zrobić jakiś remont albo porządki. Niestety na wierzch wypłynął jego brak zdolności przywódczych i momentalnie mieliśmy tu „bunt na pokładzie”.

Ta decyzja uderzyła najmocniej w tego, który ceni sobie azyl samotności. Ram Kumar wchodzi do pokoju na pierwszym piętrze, otwiera okno, na dole garkuchnia, część hotelowa, dziedziniec, kilka osób ze społeczności i Stary Drań. Ram rozpoczyna swoją „mowę nienawiści” wrzaskiem, o jaki nigdy bym go nie podejrzewał:

„Zobaczysz!!! Stary Draniu ty! Szmaciarzu jeden! Zaczekaj... zaraz będziesz sprzedawał używaną odzież na Ratna Park!!” (to taki ogromny bazar nieopodal dworca autobusowego w centrum stolicy).

I dalej...

„To nie ty tu płacisz rachunki, draniu jeden, instaluj mi to z powrotem, ale... natychmiast !! Albo, albo... wynocha! Ty zawsze tu służyłeś, teraz taki wielki szef się z Ciebie zrobił!? Wynocha!!”

„RATNAPARK!!!”

W klubie młokosa jeszcze jeden artysta. Bisal. Chłopak jest bardzo sentymentalny. Śpi po piętnaście godzin na dobę, przez pięć kręci się w kółko patrząc w chmury. W międzyczasie zdąży coś zjeść i pogłaskać pieski.

Dziewczyny są cztery, mają własny pokój z łazienką, dbają o porządek i o siebie. Nie sprawiają problemów wychowawczych. Pomagają w pracach kuchennych. Większość czasu wolnego spędzają wpatrzona w swoje tele-urządzenia, ale w dzisiejszych czasach to chyba dość powszechny zwyczaj...

Do grona młodzieży zalicza się też dwóch pracowników technicznych. Rubin to młodszy z nich. Podobnie jak „klub młokosa” ukończył gimnazjum, ale w odróżnieniu od jego członków poszedł za ciosem i kontynuuje naukę w liceum. Nieźle mówi po angielsku, ale brakuje mu pewności siebie. Chwila konwersacji w ramach praktyki, a u niego od razu pojawia się napięcie. To na jego barki spada odpowiedzialność za spiżarnię i zaopatrzenie oraz większość obowiązków dnia codziennego. Prawa ręka Starego Drania. Pracuje ciężko i jest wzorem pokory. W nagrodę „firma” opłaca mu czesne oraz co tydzień wydziela kieszonkowe. Tyle, co taki Moden zarobi przez miesiąc, ale ten pracuje na pół etatu (raz mi się chce, raz nie chce) i przestał się uczyć. Rubin nie dogaduje się z rówieśnikami. Bez agresji, ale niechęć jest. Obie strony mają swoje racje:

On, „że tamci to lenie i sprawiają kłopoty”.

Oni, „że ten to kujon, przydupas i jak kasuje wypłatę, to niech robi za trzech”.

Drugi z „technicznych” – Biren, jest kilka lat starszy i cieszy się zaufaniem w zasadzie wszystkich dookoła. Klucze, rachunki, korespondencja – to jego działka. Pozostaje w cieniu. Wygląda, jakby chodził wiecznie nadąsany.

Na deser grupa „starszaków”. Chłopaki w jednym z pokoi urządzili sobie hostel. Mają komputer, gitarę, ciężary do ćwiczeń. Panuje tu ład i sympatyczna atmosfera. Koran jest najstarszy w grupie i ma talent do prac plastycznych. Wykonuje tatuaże i malowidła na ścianach, w obu przypadkach oznacza to skromny zarobek. Najmłodszy – Bibek, to najlepszy uczeń tego pokolenia NKP. Umysł ścisły. Projektuje wizytówki, menu restauracji, ulotki. Jakieś elementy animacji 3D. Grafika komputerowa dla początkujących. To lubi najbardziej. Świetnie posługując się językiem angielskim, naprawdę zrobiło to na mnie wrażenie. Rozmawia na dużym luzie, to zapyta, to zażartuje, to znowu tłumaczy coś pozostałym kolegom. Stawkę uzupełniają Mukesz i Akasz, zawsze uśmiechnięci i gotowi do pomocy. Ciągłe nucą te swoje ulubione przeboje. Obrazek jak z koreańskiego pop teledysku. Od kilkunastu miesięcy wspólnie prowadzą niewielki punkt gastronomiczny w północnej części Katmandu. Do hostelu wracali zazwyczaj wieczorem. Teraz trwa blokada gospodarcza, miasto zamknięte, a więc wszyscy jesteście skoszarowani na wzgórzu. Oby do przodu...

## DŹOSEF

Gdy rozpoczynałem swoją przygodę na wzgórzu, kierownikiem był Dżosef, a garkuchnią dyrygowała jego żona. Nie mieszkali tu z nami na miejscu, przychodzili po prostu do pracy. Życie w resorcie w wydaniu *prosperity* i *lockdown* to jak noc i dzień. To samo miejsce, a wygląda zupełnie inaczej. Mi współpraca z szefostwem układała się wzorowo. Byłem naładowany energią na dwieście procent. Raz – magia nowego miejsca, nowe możliwości, plany. Dwa – nadzieja, że za chwilę moja piękna i szalona czarna pantera, córka kulawego z Chitwan, się tu pojawi. Spokojnie moglibyśmy zarządzać wybranym zakątkiem tego domu wariatów na własnych zasadach. Jak stare dobre małżeństwo. Dziewczyna nie mówi po angielsku, do szkoły w życiu nie chodziła, ale znamy się od dawna, a ja mówię po nepalsku znacznie więcej niż tylko trochę. W dodatku to ona wpadła na pomysł, żeby ją wydobyć z tej prowincji i to już jakiś czas temu. Dopiero teraz jednak miałem odpowiednie ku temu warunki. Wszystko było w zasadzie uzgodnione. Spotkaliśmy się w stolicy, buźka, kawka, ciastko:

„No to co, chcesz zobaczyć, gdzie będziemy wspólnie żyć, mieszkać i pracować?”

„Nie!” – do tego wachlarz rżęsą, po czym roześmiała się i uciekła z powrotem do lasu. Tam, gdzie spotkało ją tyle krzywd. Skąd chciała niedawno uciekać byle gdzie, byle dalej i byle jak najprędzej. Ja już za nią biegał nie będę, zapomnę.

Wracając do pracy. Dżosef to facet, który dookoła budzi respekt. Jest stanowczy, a często nawet nieprzyjemny. W przedsiębiorstwie naszego pokroju taki typ na stanowisku kierownika zazwyczaj się sprawdza. Z mojego punktu widzenia chłop wywiązywał się ze swoich obowiązków należycie. Wyglądało to tak: ja zapraszam gości, a Dżosef ich kasuje, bez żadnych koleżeńskich rabatów czy kredytów, a następnie wypłaca mi dziesięć procent od tego, co wpłynęło do kasy. Taki napiwek, ale proszę spojrzeć: miejsce idealne na ognisko piknik czy grilla w dużym gronie przyjaciół. Okazja się zawsze znajdzie. Znajomy wyprawia urodziny, jest rezerwacja na dwadzieścia osób. W cenie 20usd od osoby: kolacja, nocleg, śniadanie i obiad następnego dnia. Drewno i mięso na grilla plus butelka szampana w ramach prezentu urodzinowego. Jak łatwo policzyć, goście zostawili u nas 400usd, 40usd wpada do mojej kieszeni. Tyle to ja zarabiałem na południu przez tydzień, ciężko pracując fizycznie. Awans zawodowy, można powiedzieć. I nic mi się nie chce, ale przynajmniej mogę robić to, co mi się podoba. Sam sobie szefem jestem i obowiązki wyznaczam.

To znowu sobie myślę: „Wszystko byśmy tu mieli. Grono przyjaznych ludzi dookoła. Wspólną przestrzeń do dyspozycji, ale i pełną dyskrecję – wedle uznania. Mnóstwo możliwości na teraz i na przyszłość. Tylko ta głupia. To znaczy, ja ten idiota”.

Imprezy i okoliczności to jedno, ale my tu w dzień powszedni mamy duży ruch i wysokie obroty. Kawka, herbatka, piwko, frytki, pierogi, ryż smażony. Na zmianie zamiast szefa kuchni i załogi jest Dżosefowa i młodzież do pomocy, ale karta dań niezbyt wyszukana, zazwyczaj to jakoś wygląda. Bywa jednak tak, że pół dnia nic się nie dzieje, aż tu nagle raz, dwa, trzy grupy, razem dwanaście osób, każdy chciałby coś innego i robi się bigos. Młokosy biegają z góry na dół, a w kuchni taki bajzel, że nawet Stary Drań, który niejedno już w życiu widział, łapie się za głowę. Tymczasem nasi goście czekają na swoje zamówienia znacznie dłużej niż by się tego spodziewali.

W „Sylwestra” umowa była jasna. Ja promuję tę prywatkę, zapraszam gości i zgarniam po 20usd za wstęp. Z pozyskanej puli pieniędzy opłacam: nagłośnienie, artystów i co tam jeszcze potrzeba, a jak coś zostanie, to moje. Zostało. Natomiast jak ktoś prosi o łóżko, piwko czy coś na ząb, to do Dżosefa.

O północy na wzgórzu kierownik z rodziną, domownicy oraz kilku reprezentantów „klubu założyciela”. Kwadrans później nasza taksówka dociera ma miejsce. Wraz ze mną Szaszank, Dreadlok oraz Biki. Pierwszy to DJ, który występuje jako pierwszy, drugi to współgospodarz imprezy, a trzeci koordynator. Nawigacja, kalkulacja, eskalacja. W przeciągu pół godziny to miejsce zmieniło się nie do poznania. Zgaduję: blisko sto dwadzieścia osób na parkiecie. Siedemdziesiąt dwa sprzedane bilety, reszta to artyści z rodzinami i ich najbliżsi znajomi. Eksperyment noworoczny ze wszech miar udany. Sylwestrowa atmosfera to jedno. To była pierwsza dawka muzyki psy trance w całonocnym wydaniu od blisko siedmiu miesięcy. Większość uczestników imprezy to stali bywalcy jeżeli chodzi o wydarzenia kulturalno-artystyczne tego typu. Towarzystwo wzajemnej akceptacji. Tu nie składaliśmy sobie nawet życzeń, tu życzenia się spełniły. Niech żyje bal!

Dżosef już wcześniej był niezwykle pewny siebie, ale po ostatnich fajerwerkach i udanym początku roku to już wpadł w samozachwyt...

„Borsuk, to miejsce beze mnie nie istnieje”, albo: „Borsuk, ja tu mogę każdego na zbity pysk wykopać”.

Tydzień później Dżosef mógł co najwyżej przekopać domowy ogródek. Został zdymisjonowany. Zraził do siebie już wszystkich poza żoną, a przy okazji wyszły na jaw jakieś niejasności w rozliczeniach. Z mojej perspektywy wyglądało to następująco: ruch w interesie jest, a w kasie pustki – coś tu nie gra. Reszta ekipy była mniej pobłażliwa w swoich osądach.

„Co to ma być!”

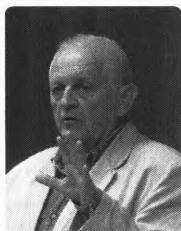
„Roboty coraz więcej, a gdzie obiecane podwyżki?”

„Gdzie nasze pieniądze!?”

„Złodziej, nie kierownik!!” – grzmiała załoga.

Przyszedł czas na zmianę warty. Stery przejął Shyam – „Pan wszystkich znam”.

Andrzej C. Leszczyński



# OKRUCHY

## WŁADZA

Polityka, zgodnie z klasycznym (Arystoteles) ujęciem, jest sztuką rządzenia państwem służącą dobru wspólnemu. Władzę, która stanowi wartość samą w sobie, filozof określał mianem tyranii. Tyran o nic nie dba tak bardzo, jak o zachowanie swego statusu. Za nic ma budowanie wspólnoty, która mogłaby mu zagrozić. Arystoteles: „Należy do sposobu rządzenia tyranów, że się ludzi pobudza do wzajemnego oczerniania się i do starć; przyjaciół przeciw przyjaciołom, lub przeciw możnym, a bogatych jednych przeciw drugim; że się poddanych zubaża, aby zdobyć środki na utrzymanie straży, a nadto, by ludzie, pochłonięci dzień w dzień zajęciami, nie mieli czasu na knowania”. Zasada *divide et impera* (dziel i rządź) stała się z czasem socjotechnicznym środkiem stosowanym także w ustrojach, które trudno określić mianem dyktatorskich. Jednak istota tej zasady ma rodowód jak najbardziej dyktatorski. Przeciwwstawianie w państwie jednych grup drugim (proletariatu – burżuazji, robotników – studentom, światłych inżynierów społecznych – ciemnemu ludowi, patriotów – genetycznym zdrajcom, narodu – zaprzędanym klikom) jest świadectwem troski nie o dobro wspólne, lecz o samą władzę. Marcin Król („Walka o władzę to nie spacer piękną aleją”): „Celem może być samo zdobycie władzy i przyjemności z tego płynące (tyran, despota). Celem mogą być pieniądze dla siebie czy dla całej grupy, a zatem kłamstwo, złodziejstwo, nepotyzm, oligarchizacja kraju. Celem może być przyjemność odnajdywana w manipulowaniu ludźmi. Przyjemność ta, niezrozumiała dla większości ludzi, jest jednak ogromna. Wreszcie celem może być zdobycie takiej władzy politycznej, kiedy wie się więcej niż inni, niż ogromna większość obywateli, i czuje się od nich bardziej wprowadzonym w sprawy tajemne. Takie zachowania miałem okazję obserwować już po 1989 r.”

Uzależnienie od sprawowanej władzy bywa groźniejsze od innych uzależnień. To wyraz „libido dominandi” (posługiwał się tym określeniem Blaise Pascal), pragnienie dominacji, bycia uznanym, podziwianym. Alfred Adler mówi o woli mocy, która najbardziej trawi ludzi niemocnych. Z poczucia niższości i potrzeby kompensacji bierze się agresja mająca wydobywać „ku górze”. Muszę przyznać, że kiedy czytam o takiej agresji, przychodzą mi na myśl małe pieski, osobliwie ratlerki, trzęsące się z niepokoju i wiecznie ujadające. Kompensacyjna agresja widoczna jest szczególnie wyraźnie u osób niespełnionych życiowo, samotnych, nierealizujących się w innych dziedzinach. Podczas spotkania, jakie przed laty zorganizowaliśmy w Hotelu Asystenckim w Brzeźnie, spytałem Stefana Kisielewskiego, dlaczego – poza krótkim okresem posłowania – nie chciał, pisząc przecież wciąż o polityce,

czynnie jej uprawiać. Zachichotał po swoim, po czym odpowiedział: nie musiałem, miałem swoje normalne życie. Zachodnie demokracje zwracają na to baczną uwagę, by kandydat do jakiegoś stanowiska miał swoje normalne życie. Rodzinne czy zawodowe; by osiągnął już jakiś sukces, jakieś spełnienie, finansowe, twórcze, emocjonalne itp. W przeciwnym wypadku władza mogłaby stać się jedyną racją istnienia. Wtedy, rzeczywiście, raz zdobytej władzy nie sposób oddać, to już sprawa życia i śmierci.

Platon zauważa w „Państwie”, że byłoby najlepiej dla sprawiedliwości, gdyby rządy sprawowali ci, którzy nie mają na to specjalnej ochoty.

## SKUTECZNOŚĆ

Ta właśnie cecha, zdaniem Marcina Króla, jest jedyną miarą polityki, której praktyczny wymiar polega na zdobywaniu i utrzymywaniu władzy. Trzeba władzę zdobyć zwłaszcza wtedy, gdy chce się urzeczywistnić cele wykraczające poza wyłączne dysponowanie nią. „W demokracji celem zdobycia możliwie solidnej władzy powinno być natychmiastowe jej oddanie. Celem zdobycia władzy jest zatem »uobywatelnienie« społeczeństwa. [...] Zwycięstwo, które nie będzie prowadziło do oddania większej części władzy obywatelom, nie przysłuży się demokracji, lecz oligarchii, w jakiej żyjemy dzisiaj. Oligarchii z natury rzeczy coraz mniej rozumnej, a coraz bardziej chciwej władzy. Jedyną miarą zwycięstwa nie tylko kandydata walczącego o władzę, ale także jego celów, jest maksymalizacja samorządności wszędzie tam, gdzie to tylko możliwe. [...] To jest celem władzy w demokracji”.

„Uobywatelnienie”, o którym pisze Król, jest rzeczą niebywale trudną. Rewolucyjne przełomy to czasy demagogów. Słowo to ma w grece kilka odcieni znaczeniowych. Demos (δῆμος) to lud, stąd pojęcie demokracji. Czasownik demagogéo (δημαγωγέω) mówi o zdobywaniu popularności, pociąganiu, oczarowywaniu. Demakidion (δημακίδιον) zdrabnia pojęcie ludu w sposób protekcyjny – to ludek, poczciwy, kochany, ciemny ludek co to wszystko kupi. Demagogía (δημαγωγία) jest sztuką przewodzenia ludowi rozumianemu właśnie jako demakidion. Demagog oddziałuje na uczucia i nastroje ludku pochlebstwami, nierealnymi lecz oczekiwanymi obietnicami, wszystkim, co może być przydatne dla łatwego osiągnięcia własnych celów. Demagog jest manipulatorem. Słowo to – mówiące pierwotnie o czynności wykonywanej ręcznie – oznacza dziś przekształcanie poglądów i postaw ludzi poza ich świadomością (tzw. ręczne sterowanie). Nie ma tu nawet cienia ochłokracji, władzy tłumy (óχλος [ὄχλος]). Tłum jest tylko tworzywem ugniatanym przez demagoga.

Na czym polega skuteczność demagogów i manipulatorów, to problem odsyłający do przedmiotu ich oddziaływań, czyli do zbiorowości ludzkich. Czy manipulator wpływa na zbiorowość i formuje ją zgodnie ze swoimi zamierzeniami – czy też wydobywa i ujawnia coś, co już w zbiorowości tkwi? Jest kreatorem czy akuszerem zbiorowych zachowań? Pytania te przypominają podnoszoną czasami kwestię skutków wywoływanych przez alkohol. Są tacy, co twierdzą, że wódka jedynie otwiera duszę pijącego i pokazuje to wszystko, co znajduje się w jej najgłębszych otchłaniach. Pisał Seneka: „Non facit ebrietas vitia, sed protrahit” (opilstwo nie rodzi wad, ale je wydobywa). W przypadku mas są to zazwyczaj

cechy sprzyjające demagogowi. Mówi o tym Zygmunt Bauman: „[...] liczne są zastępy ludzi, którzy bardzo chętnie by się zrzekli swojej wolności w zamian za to, by ktoś inny zdjął z ich barków odpowiedzialność: za to, żeby ktoś za nich decydował, żeby powiedział, co robić. Ta pokusa jest równie katastrofalna w skutkach, jak pokusa absolutnej wolności, której uległ Raskolnikow”.

Tłum odrzuca jako niewygodną myśl, że są elity i że trzeba je cenić choćby dlatego, gdyż tworzą ją najlepsi w danej dziedzinie (funkcjonowały wszak elity kowali, stolarzy czy grajków weselnych). Chce, by wszystko było dane – nie: zadane. Demokracja liberalna to ich zdaniem ustrój dla mięczaków i (cytuje Stefana Chwina z jego „Dziennika”) „chwaląc rządy twardej ręki, lekceważą z pogardą jakąś wolność myśli, wolność słowa, wolność druku, wolność sumienia, wolność wyznania, wolność stowarzyszania się, zasadę trójpodziału władz i prawo do pokojowej wymiany ekip rządzących”. Wolność oraz idące za nią sprawczość i odpowiedzialność okazują się zbyt „nieszczęsnym darem”, by chcieć go zachować. Dlatego (to słowa ks. Adama Bonieckiego) „Szukamy partii, która się nami zaopiekuje, będzie dla nas dobra, opiekuńcza, utuli, ochroni przed niebezpieczeństwem świata”.

## PYCHA

Należę do ludzi, którym trudno wyobrazić sobie rzecz bardziej oczywistą od tej, że demokratyczne państwo jest wspólną własnością jego obywateli. Że słowa Ludwika XIV: „L'État c'est moi” (państwo to ja) mają dziś charakter wyłącznie anegdotyczny. Jakiś czas temu poruszył mnie przeczytany w „Rzeczpospolitej” komentarz polityczny Andrzeja Stankiewicza i zamieszczone w nim zdanie: „Lider PiS chce zbudować Polskę na nowo, wedle własnej, oryginalnej receptury”; zdanie bynajmniej nie wydumane, lecz oparte na wielu wypowiedziach prezesa partii. Pomyślałem, że wedle własnej receptury można ugotować bigos, można też po swojemu zbudować zamek w piaskownicy. Ale państwo wraz z jego obywatelami? Pamiętam irytację, jaką wywołało we mnie dość głupawe hasło, przy pomocy którego nieistniejąca już partia zaznaczała swą obecność: „Polska. Instrukcja obsługi”. Instrukcja obsługi dołączana do pralki czy aparatu fotograficznego – owszem, jak najbardziej. Ale do państwa? Któż by miał korzystać z takiej instrukcji? Tak czy inaczej była tam mowa o obsłudze państwa, które już istnieje, nie zaś o budowaniu go na nowo.

Giovanni Reale w swej „Historii filozofii starożytnej” przytacza fragment pracy C. Del Grande poświęconej pysze (hybris [ὑβρις]). „Starożytni Grecy terminem `hybris` oznaczali »arogancję«, niepowściągliwą gwałtowność kogoś, kto nie potrafi nałożyć swemu działaniu hamulców, które się biorą z respektowania praw drugiego, z poczucia sprawiedliwości, z litości; kto w stosunkach ze swoim bliźnim, na zimno albo ze złości, przekracza granice tego, co słuszne, w sposób zamierzony popełnia niesprawiedliwość. Arogancja ta dotyka jednego człowieka lub wielu ludzi; ale nie tylko dąży do niegodziwego celu, lecz także bezpośrednio obraża bogów, stróżów porządku społecznego i prawa miłości między ludźmi. Dlatego przeciw `hybris` zawsze występuje `Nemesis`, bezosobowa, boska zemsta, która dotyka niegodziwca, albo narzędzie Zeusa, które karze materialnie wg rozkazów boga. [...]

‘Hybris’ może być różnej natury. Każde uporczywe rozwijanie osobistej dumy, które dla zaspokojenia źle pojętej przewagi sprawia, że stajemy się mało wrażliwi na dobro innych, jest ‘hybris’; każda obrona niesprawiedliwego stanowiska – czy to w społeczności, czy w rodzinie – jest ‘hybris’. Różne są jej stopnie; ale to, że jest w swej istocie grzechem, nawet gdy występuje w stopniu mniejszym, nie podlega dyskusji”.

Pyszość wyrasta z próżności, megaloman to narcyz. Wybujale ego z trudnością potrafi znaleźć coś poza sobą. W teatrze o takich ludziach mówi się, że zakochują się w sobie z wzajemnością. Jest to stan poniekąd związany z istotą aktorstwa, a warto pamiętać, że każda sytuacja publiczna czyni z człowieka aktora. Aktor – pisał Edward Gordon Craig – „wpatrzony jest w samego siebie. Bezwiednie rozkoszuje się wizją własnej osoby jako głównej i centralnej postaci”. Dlatego w miejsce próżnego kabotyna wymyślił dla sceny postać nadmarionety. Maximiliena Robespierre’a, który wybierał terror jako wyraz sprawiedliwości i mówił, że jest on „konsekwencją ogólnej zasady demokracji dostosowaną do najpilniejszych potrzeb naszego państwa”, Louis Auguste Blanqui określał jako osobowość destrukcyjną i samolubną: „gdy żądał rezygnacji z osobistych pragnień, to jedynie po to, by składano je na ołtarzu jego własnej dumy”.

Widowym świadectwem próżności jest otoczenie. Wspomniany Ludwik XIV pozostał w pamięci jako Król Słońce (le Roi-Soleil); nie znaczy to jednak, że domagał się czci. Przeciwnie, gardził pochlebcami i oddalał ich od siebie, natomiast poważnie liczył się ze zdaniem krytyków. Myślę teraz o otoczeniu lidera rządzącej partii, o hołdach, jakie bez skrępowania, z dobrotliwym uśmiechem przyjmuje nie tylko od otaczających go na co dzień dworaków, ale i od ludzi obdarzonych bądź co bądź tytułami i pełniących państwowe stanowiska prezydenta, premiera, ministrów. Widać, że czuje się Prezesem - słowo to oznacza w łacinie (praeses) obrońcę, władcę, namiestnika.

## FARSA

Søren Kierkegaard pisał (1843) o ważnej dla siebie kategorii powtórzenia (gentagelsen), że obejmuje ona naśladownictwo wcześniejszej struktury, a zarazem możliwość indywidualnej jej modyfikacji, wprowadzenia nowości. To trochę tak, jakbym zaczął nosić stare krawaty wiążąc je po swojemu. Duńczyk stwierdza przy tym stanowczo: „Prawdziwym mężczyzną jest ten, kto pragnie powtórzenia”. Karol Marks widział to trochę inaczej. W „Osiemnastym Brumaire’a Ludwika Bonaparte” (1852) wyraża opinię, która stała się już jedną z obiegowych mądrości, że historia powtarza się za pierwszym razem jako tragedia, za drugim razem jako farsa. Nie udało mi się dostrzec w ostatnim czasie tragedii, może nie była wielka i umknęła mojej uwadze. Za to farsę, czyli komedię sytuacyjną, widzę całkiem wyraźnie.

No by czy nie jest śmieszne to, że raptem odżyły, wypelzły jak rosówki po deszczu, ostatecznie, mogło się wydawać, pogrzebane slogany? I ludzie, z którymi są związane? Na przykład słowa wypowiedziane przez Edwarda Gierka podczas VIII plenum KCPZPR (1971), że partia kieruje, rząd rządzi. Albo, dużo wcześniejsze, wersy z poezji Włodzimierza

Majakowskiego: „Mówimy – Lenin, a w domyśle – partia./ Mówimy – partia, a w domyśle – Lenin”. Czy wreszcie zdanie wypowiedziane przez Władysława Gomułkę tuż po wojnie, w 1945 roku, że władzy raz zdobytej nie oddamy nikomu. Co prawda tego ostatniego sloganu jeszcze nie słyszeliśmy, ale okrzyki „Jarosław! Polskę zbaw!” były zupełnie podobne do „Wiesław! Wiesław!” sprzed niespełna czterdziestu lat.

## CHWILA POEZJI

Tadeusz Peiper, zwany papieżem awangardy, postulował, by w twórczości poetyckiej korzystać z gazet. Chętnie korzystam:

„Chcę to bardzo jasno powiedzieć: jestem czystym dobrem.

Jest bardzo niedobrze.

Mamy do czynienia z niebywałym skundleniem.

Nasi przeciwnicy to strasznie mali ludzie.

Jest pewien układ i dziennikarze, których sytuacja jest bardzo trudna.

Wiem jaką opcję reprezentuje.

To tchórzostwo i obrzydliwy oportunizm, to akt skrajnie nieprzyjazny.

Chcę to bardzo wyraźnie powiedzieć. Bez żadnego trybu.

Winne są układy i mafia złożona z byłych funkcjonariuszy.

Nie jestem specjalistą od stanów psychicznych.

Jestem człowiekiem moralnie i psychicznie normalnym.

Proszę mnie nie pytać o to, jakie mam buty, bo to nieważne.

Ta łże-elita popadła wobec nas w stan chorobliwej agresji.

W oczywisty sposób jest uwikłana.

Nie można udawać, że w tych warunkach da się rządzić.

Chciałem rządzić już gdy miałem 12 lat.

Nie będzie dyktatury.

Będzie porządek bo to jest w interesie zwykłych Polaków.

Francuzom zapłacono, Żydom zapłacono.

Polakom nie.

Pamiętajcie o tym ryżym. Człowiek – eksces.

Prawdziwy wróg naszego narodu.

Racja, całkowita racja, jest po naszej stronie.

Robimy dla Polski dużo, bardzo dużo... aż trudno wymienić.

Przyjdzie taki dzień, kiedy nam się uda.

My jesteśmy tu gdzie wtedy.

Marsz, marsz Dąbrowski, z ziemi polskiej do Wolski.

Precz z płatnym seksem!”.

## ŚMIECH ŻORŻA

Oto zakończenie „Kariery Nikodema Dyzmy” Tadeusza Dołęgi-Mostowicza (i zarazem tych „Okruchów” – tylko na pozór szyderczych i podbarwionych krotochwilą).

„Ponimirski dotychczas siedział cicho, a że nikt nań nie zwracał uwagi, nie zauważono jego ironicznej miny. Żorż przysłuchiwał się i wreszcie nie wytrzymał. Śmiał się teraz zataczając się na krześle.

– Z czego się pan śmieje? – obrażonym tonem zapytał wojewoda.

Żorż zerwał się, urwał z miejsca śmiech, kilkakrotnie próbował założyć monokl, lecz ręce mu tak się trzęsły, że nie mógł sobie dać z nim rady. Był zdenerwowany i wzburzony do ostatnich granic.

– Z czego? Nie z czego, moi państwo, tylko z kogo?! Z was się śmieję, z was! Z całego społeczeństwa, z wszystkich kochanych rodaków!

– Panie!...

– Milczeć! – wrzasnął Ponimirski i jego blada twarzyczka chorowitego dziecka zrobiła się czerwona z wściekłości. – Milczeć! Sapristi! Z was się śmieję! Z was! Elita. Cha, cha, cha... [...] Wy, ludzie pozbawieni wszelkich rozumnych kryteriów! Z was się śmieję, głuptasy! Z was! Motłoch!...

Nareszcie udało mu się włożyć monokl. Obrzucił wszystkich pogardliwym spojrzeniem i wyszedł trzaskając drzwiami”.

Radosław Wiśniewski



# LISTY DO TYMOTEUSZA (11)

## ORP HAMMOND ZAGINAŁ

Kiedy byłem chłopcem, jak Ty, i uczyłem się czytać, pochłaniając książki jedna za drugą, takie, jakie wówczas były, jednymi z lektur, jakie wpadały mi nader często w ręce, były beletryzowane książki o losach polskich marynarzy w czasie Drugiej Wojny Światowej Stanisława Biskupskiego. Jedną z nich przeczytałem – „PQ-16 dojść musi”, a drugiej się bałem – „ORP Orzeł zaginał”. I tej drugiej nie przeczytałem do dzisiaj. Głoska różnicy zamieniała słowo z tego, które oznaczało bolesne, ale definitywne zamknięcie sprawy życia i śmierci w otchłań, nieprzyjemną przestrzeń domysłów, upiornej niepewności.

Zaginięcie nie jest tym samym co zginiecie. Nie pozwala do końca przejść żaloby. Żeby ją przejść, musisz uśmiercić w swojej głowie, w sercu tego, na kogo z drugiej strony czekasz i kogo ożywasz nadzieją. I myślisz – *nie mogę przestać czekać, bo to go zabije*. A z drugiej strony – nie jesteś w stanie w pełni żyć czekając na kogoś, o kim nie wiadomo, czy jest, czy go nie ma, poza tym, że wiesz, że nie ma go teraz. I to *teraz* często się wydłuża, z dni robią tygodnie, z tygodni miesiące, z miesięcy bywa, że lata. W końcu życie robi swoje, może i dobrze, wypcha cię w swój nurt spraw pilnych, chociaż często nader nieważnych, ale zaginiony pozostaje jako ktoś spomiędzy, ani żywy, ani martwy.

Opowiadałem ci o ORP „Orzeł” kilka razy, o mapie, którą załoga „Orła” zrobiła z pamięci, żeby wyrwać się w czasie wojny z Bałtyku, dotrzeć do Anglii i walczyć dalej, A potem opowiadałem Ci, że wyszli na kolejny patrol i słuch o nich zaginał. I pytałeś, że jak to zaginał, czyli że dalej żyją?

Mówiłem ci, że nie, nie ma na to szansy, na pewno zginęli, tylko nie wiadomo, jak to się stało, kiedy, w jaki sposób. Nie znaleziono wraku, ale pewne jest, że dzielni marynarze i ich piękny okręt są gdzieś na dnie. Ale mówiłem ci także, bo pytałeś, że ciągle są ludzie, którzy „Orła” szukają. Właśnie – tak mówiąc między nami – wychodzą w morze w kolejną, dziesiątą wyprawę.

– A co będzie, jak go znajdą? – zapytałeś.

– Nic takiego wielkiego – powiedziałem – po prostu będzie wiadomo, gdzie można im rzucić kwiaty do morza, stanąć w ciszy, tak jak stajemy nad grobami bliskich, żeby chwilę być z nimi myślą.

– I już? – zapytałeś, jakby zdziwiony, że dla chwili ciszy można organizować tyle kosztownych wypraw.

– I już – odpowiedziałem wówczas dodając jeszcze, że wówczas będzie można dopisać być może ostatni rozdział tej historii, bo z układu wraku okrętu, jego stanu, dowiemy się być może, jaka była prawdopodobna przyczyna utraty okrętu i śmierci załogi. Dla rodzin członków załogi to też ma swoje znaczenie, nawet jeżeli to już drugie, trzecie pokolenie.

A teraz już wiesz, jak smakuje zaginięcie. Bo oto 75 dni temu, 21 maja w sobotę, koło godziny 14, wyszedł z domu Twój przyjaciel od urodzenia, ten, który wskakiwał do Twojego łóżeczka, kiedy Ciebie nie było, najlepsze zwierzę jakie znam – kot Hammond.

Pierwsze dwa, trzy dni nie martwiliśmy się jeszcze tak bardzo, chociaż Hammond był kotem domowo-ogrodowym, nigdzie daleko nie chodził, raczej nie spędzał poza domem więcej niż kilka godzin i zawsze szukał towarzystwa swoich ludzi.

Potem zaczęliśmy zamieszczać ogłoszenia. I oczywiście u nas to jest tak, że prosisz o pomoc, a zaraz ludzie ci udzielają rad, że kota to się nie wypuszcza. I pomimo, że grupa na FB nazywa się „zaginione zwierzęta Wrocław i okolice”, to ciotki rewolucji oraz perfekcyjne-panie-domu-na-przedmieściach głównie zarzucają cię paternalistycznymi uwagami i wrzucają w komentarze zdjęcia rozjechanych kotów, dokładnie tak jak tak zwani prolajferzy próbują epatować zdjęciami zmasakrowanych płodów. I jeszcze ten rewolucyjnocioterski zaśpiew. Wrzuca ci ciota jedna z drugą zdjęcie kociej miazgi na ulicy w poście, w którym prosisz o pomoc w znalezieniu kota i dopisuje pod zdjęciem:

„kotów się nie puszcza luzem, nie dotarło jeszcze?!”

Odpisywałem cioterkom, że ja trochę się znam na pisaniu i sformułowałem prośbę o pomoc w znalezieniu kota, a nie o radę na resztę życia i jak by co – kiedyś po nie może posłę, ale one szkolone. Tylko czekały na zaczepkę.

Koniec końców – post o zaginięciu kota stawał się kolejną odstoną o narodowej dyskusji na temat psów i kotów oraz kanarków i frettek. Polska. Także szły posty, ogłoszenia, ale bez skutku.

Poza tym nasz kotek to wyjątkowe zwierzę, ale charakterologicznie, wyjątkowa dusza, z wyglądu jednak – najbardziej przeciętny kot jakiego można sobie wyobrazić. Biała sierść, bure łaty i różowy nosek. Ani duży, ani mały. Taki. Nasz.

Kiedy na siódme urodziny przeglądałem wszystkie Twoje zdjęcia, widziałem jak razem rośliście, chociaż kiedy Ty się urodziłeś, on miał już rok, był zatem młodym kotem, ale nie był kocim dzieckiem. Dlatego może na tak wiele Ci pozwalał, tak długo zwlekał z wyznaczeniem granic Twojej dziecięcej bezczelności. No ale w końcu pazur musiał pójść w ruch raz i drugi, a Ty byłeś zdziwiony, że oboje z mamą chwaliśmy kotka, zamiast go ukarać za zamach na Twoją godność.

Ale przyjaźń domaga się nie tylko bliskości, ale też niejednokrotnie zaznaczenia granic, bywa, że to trochę boli. No, jednak nawet z kotem spotykają się dwie osoby i pozostają ze sobą w relacji, a nie stapiają się w jedno. I tych kilka pacnięć łapą, często nawet bez wysuniętego pazura, dobrze

wam na relację zrobiło. Pojawił się respekt, szacunek i świadomość, że Pan Kot nie jest zabawką, nawet jeżeli jest przyjazny i oddany.

To było coś nie na nasze dorosłe łby. Coś, co jest możliwe tylko między dzieckiem a zwierzęciem. Nikt z nas nie powiedziałby w chwili skrajnej złości i rozpacz, że idzie się uspokoić do kotka. A nawet jakby powiedział, to by tego nie zrobił. A dla Ciebie to była normalna praktyka duchowa. Wychodziłeś do przedszkola i życzyłeś kotkowi dobrego dnia, wracałeś i się z nim witałeś, a on z Tobą.

A potem zaginał, a ja patrzyłem na to wszystko zapisane na kilku ledwie zdjęciach. I jeździliśmy samochodem po miejscach, gdzie ktoś ponoć Hammonda widział, albo bardzo podobnego kota, o co nie było trudno, bo kotów podobnych zewnętrznie do naszego jest raczej sporo. Wołaliśmy w nocy, wołaliśmy za dnia, wołaliśmy w deszczu i słońcu, wystawialiśmy kuwetę do ogrodu i przed drzwi, byłeś dwa razy z Mamą w schronisku dla zwierząt – wszystko na nic.

– Pewnie się zakochał – mówiłeś co jakiś czas, bo jakoś ten problem trzeba było skanalizować.

73 dni stały miski w przedpokoju i każdy, kto proponował nam, że kotki są małe do wzięcia słyszał, że my mamy kota, nie potrzebujemy nowych lokatorów. Po prostu wyszedł i długo nie wraca.

Nigdy ci tego nie powiedziałem, że mam silne przeczucie, że to może być jak z tym ORP „Orzeł”. Nie mówię tego głośno, bo pamiętam dobrze siebie, kiedy miałem osiem lat i zaginał mój najlepszy przyjaciel dzieciństwa – czarny piesek, kundel, którego przygarnęła Babcia Karolina – Abo.

Abo wychodził na spacer sam, jak kot, nikt go nie wyprowadzał. Sam wychodził i wracał. I kiedyś nie wrócił. A ja wychodziłem na poszukiwania Abo jeszcze rok i dwa lata później.

Bo to jest w sumie dokładnie tak samo jak z tym ORP „Orzeł”. Swoich się nie zostawia i tyle. A już na pewno nie zostawia się nadziei, chociaż ona z czasem zaczyna ciążyć bardziej niż gdyby zastąpiła ją rozpacz po stracie.

Rozpacz zamyka, nadzieja każe być ciągle gotowym i uważnym.

Zatem mimo, że we mnie nadziei jest coraz mniej, w zasadzie jest cieniutka jak pergamin, nie mam siły ani prawa odbierać jej Tobie, kiedy wraca temat naszego kota Hammonda i mówisz, że czekamy do jesieni.

A potem, może orientując się, że ta jesień gasząca nadzieję na powrót ORP Hammond jest blisko, dorzucasz szybko:

– albo może raczej do zimy...

Niech tak będzie do zimy. Tej albo następnej. Ile będzie trzeba.

ORP Hammond zaginał.

## LIST DO TYMOTEUSZA PISANY W PORTO O TYM, ŻE NIE MAM ZAMIARU CIEBIE NAWRACAĆ.

To było jeszcze przed wakacjami, chociaż już po remoncie Twojego pokoju. Wychodziłem od Ciebie po wieczornym czytaniu, byłeś tuż przed snem, gdy nagle zadałeś mi trudne pytanie.

– Tato, jeżeli jest Bóg czy tam ten cały Jezus, to dlaczego jest wojna w Ukrainie i dlaczego chorują dzieci?

Powinieneś być już spać, a zarazem nie chciałem Ciebie zbywać, a z kolei odpowiedzi nie dało się tego sformułować w odpowiednio krótkim komunikacie. Ksiądz Tischner uczył, że koncepcja filozoficzna, której nie da się streścić w języku zrozumiałym dla przedszkolaka, jest ontologicznie podejrzana. Tutaj była cała masa koncepcji w tle, a żadna nie była przekonująca wystarczająco.

– Trudne pytanie synek, a co więcej, chyba nie ma na nie dobrej, przekonującej odpowiedzi – mruknąłem – możemy o tym rozmawiać całe życie, tak jak ludzkość o tym myśli od tysięcy lat, ale nie uzyskamy dobrej odpowiedzi. Na jedną część pytania, o wojnie, powiem Ci tylko tyle, że zło, które wyrządza człowiek człowiekowi, niekoniecznie przeczy istnieniu Boga, bo to zło międzyludzkie, tak korzystamy z naszej wolności wyboru. Można powiedzieć, że ten cały Bóg daje nam wolność i jedni korzystają z niej tak, a inni inaczej. No ale żeby Ci nie ściemniać, z chorobami dzieci sobie nie radzę w ogóle.

– A dlaczego?

– Dlatego, że dzieci są okej, są prostolinijne, uczą się dopiero, co to jest dobro i zło, a choroba, szczególnie ciężka, przychodzi w zasadzie znikąd i za nic. Tak, o. I jak wiesz, myślę o sobie jako o człowiek wierzącym, ale nie umiem pogodzić w sobie myśli o dobrym Bogu i cierpieniu dziecka. Nie mam żadnego wyjaśnienia na taką okoliczność. Jestem zupełnie bezradny. Ale teraz już śpij, dobra?

Kiwnąłeś głową, że dobra, ale oczy miałeś szeroko otwarte i wiedziałem, że nie zaśniesz od razu.

To nie była nasza pierwsza wymiana zdań na temat Boga i różnych form wyrażania tej wiary lub niewiary. Pogadujemy sobie czasem na ten temat.

Trochę szkoda, że idziesz zaraz do szkoły i zamiast dalej pogadywać, będziemy musieli wkroczyć na grunt decyzji niemal nieodwracalnych, no bo pójdziecie do szkoły oznacza w tym kraju też domaganie się od nas przez państwo polskie decyzji czy pójdziesz czy też nie na tzw. religię. Piszę „tak zwaną”, bo przecież nie ma na świecie jednej religii, a tutaj nazwa przedmiotu sugeruje jakby była jedna, jedyna religia z monopolem słuszności na wszystkie problemy.

No ale jeszcze są wakacje. I kiedy byliśmy w Porto zadałeś niby zdawkowe pytanie o to, po co my ciągle chodzimy do tych kościołów.

– Bo to są pomniki ludzkiej myśli i wyobraźni, takiej jaka wówczas, w tamtych czasach, była możliwa. Niektóre z nich są piękne, inne obezwładniające, ale to po prostu nasze, ludzkie dziełstwo – powiedziałem – Teraz jest wiele innych miejsc, gdzie można się spotkać z tą ludzką wyobraźnią, popatrz, byliśmy w tych ogrodach i w muzeum sztuki Serralves ...

– ... tam gdzie mi kazali zejść z tego hipopotama... – zaśmiałeś się, bo rzeczywiście muzeum pełne instalacji, które kuszą, żeby wejść z nimi w interakcję, a w każdej sali przorny, który pilnuje, żeby nie dotykać, nie wchodzić w interakcję, co było dziwniejsze niż niektóre instalacje. A hipopotam stał w wejściu do muzeum, zaraz obok kas, nie było ogrodzony i cały czas siedziała na nim kobieta, która czytała gazetę. No i czasem schodziła. Trudno się dziwić, że dzieci, dorośli i starsi wiekiem próbowali na tego hipopotama włączyć i przorna non stop musiała syczeć, robić miny i machać rękami, że nie wolno.

– No właśnie – wróciłem do wątku – ale kiedyś kościoły, katedry były tymi miejscami, gdzie się ta ludzka wyobraźnia, kunszt, artyzm najbardziej objawiały, no bo w zasadzie nie było niewierzących, a jak byli, to udawali, że wierzą.

– A co to jest kunszt? – zapytałeś uwalniając mnie od konieczności wyjaśniania, dlaczego ludzie niewierzący musieli kiedyś udawać, że wierzą, co samo w sobie stawia dziedzictwo ludzi wierzących pod wielkim, moralnym znakiem zapytania.

– Szczególna umiejętność, super-moc w tworzeniu rzeczy, na przykład jak się mówi, że rzeźbiarz ma kunszt, to znaczy, że nie tylko coś tam potrafi wystrugać, ale że robi to wyjątkowo, pięknie.

– A czy moje rysunki mają kunszt?

– Niektóre miewają, a niektóre nie, co jest dla mnie dosyć mało ważne...

– Wiem, bo ty jesteś moim tatą i dla ciebie są najważniejsze?

– O właśnie to...

Nie pamiętam już, czy to było pod ociekającym złotem kościołem Franciszka, czy przed katedrą w Porto czy w Bradze. Ale chyba tego samego dnia jakoś przy kolacji, którą jedliśmy w kuchni mieszkania wynajmowanego od Pani Doroty, wrócił temat religii, no bo szkoła zaraz.

– Wiesz – powiedziałem – pomyśl nad tym spokojnie, bo może być potem trudno taką decyzję odkręcić. Potem będzie na przykład pierwsza komunia, nagle zapragniesz też w niej wziąć udział, a ktoś powie, że nie, bo nie chodziłeś na religię, chociaż moim zdaniem wiesz i rozumiesz wiele spraw lepiej niż niejedno dziecko, które chodzi na religię i z rodzicami do kościoła co niedzielę.

– Ja ci powiem – powiedziałeś z powagą siedmiolatka w głosie – ja wiem o Jezusie i o Bogu, i o tych wszystkich zmartwychwstaniach, ale nie interesuję się nim aż tak, żebym chodził na religię. Niech oni sobie z tym Bogiem będą, chociaż to ja już nie wiem, kto z nich jest kim, ale ja mam dosyć.

– Czyli nie chcesz chodzić?

– Zastanowię się jeszcze, ale chyba nie.

– Okej, wrócimy do sprawy, dobra? Bo to taka ważna decyzja, pamiętasz jak to było z moim Brendanem?

– No, że ten, no, biskup, nawet ci nie wierzył, że taki Brendan był!

– Nie tylko, chodzi o to, że jak wszyscy szli do bierzmowania, jeszcze w szkole podstawowej, to mnie nie dopuszczono, chodziłem cały rok na religię, mimo, że mówiłem księdzu, że nie chodziłem rok wcześniej, a potem w ostatniej chwili ten sam ksiądz, który mnie niby przez cały rok szykował do bierzmowania, powiedział mi, że mnie nie dopuści, bo nie chodziłem rok wcześniej na religię. Głupie, co?

Spojrzałeś na mnie tym wzrokiem, który świadczy o tym, że wygrzebujesz z pamięci szczegóły opowieści, czasem takie, o których ja już nie pamiętam, a potem wypaliłeś:

– No, opowiadałeś mi, ale to było nie fair!

– No było, ale tak bywa, że coś jest nie fair i nie masz przed tym obrony.

– I wtedy co zrobiłeś? – tu z kolei pojawiło się pytanie, które brzmiało tak, jakbyś z kolei zupełnie nie znał tej historii, albo jakbyś chciał, żebym ci ją jeszcze raz opowiedział, tak, jakbyś jej nie znał.

– Nic, wyszedłem i bardzo długo do kościoła nie wróciłem. Potem, jak wiesz, jednak zostałem dopuszczony do bierzmowania, to wtedy, kiedy był ten biskup, co nie wiedział, że mój patron bierzmowania, Brendan Żeglarz, naprawdę istniał i był święty.

– A no tak, a ile wtedy miałeś lat?

– Trzydzieści i trzy.

– Taki stary?!

Roześmiałem się – teraz jestem jeszcze starszy gościu, nie obrażaj mnie!

A dzień później byliśmy nad oceanem. Nie było mowy o kąpielu. Atlantycka fala wyrasta z wydawałoby się niespecjalnie wzburzonej wody nagle, spiętrza się i wylewa na plażę na wiele metrów włąb, a potem cofa się z nurtem silnym jak górski potok. Jest inna. Nie widziałem za wiele osób, które po prostu by pływały. Wszyscy dreptali wzdłuż niepewnej linii przyboju, która też tutaj nie stoi w miejscu, bo albo odpływ, albo przyptyw.

Nie chciałeś budować gór, zamków ani kopać dołów w bezpiecznej lokalizacji. Najbardziej Cię zajmowało balansowanie na granicy żywiołów. Łapanie drewnianka, które sam rzucałeś w fale i które wracało, albo i nie. Kopanie „brodzika” albo twierdzy z fosą na granicy wody i lądu, która z góry była skazana na to, że któraś z kolejnych fal zakpi z wzniesionych przez nas wałów przeciwpowodziowych, wejdzie w fosę, na dziedziniec i rozmyje wszystko do spodu.

Bawiło Cię szczególnie budowanie tych najmniej trwałych konstrukcji i obserwowanie jak dwa, trzy wejścia wody powodują całkowite wygładzenie linii piasku.

Oprzeć się o coś niezniszczalnego w tym czymś, zbudować coś na skale, jak poucza Przypowieść, to zupełnie nie twoja bajka.

Próbowałem zrozumieć, jakie stworzenie mi przypominasz, gdy skaczesz, biegasz, krzyczysz (wreszcie nikt nie zwraca Ci uwagi na radosny wrzask, bo i tak w szumie oceanicznych fal nic nie słychać). Ale ty byłeś jak ludzkie żrebię. Nie do porównania z kimkolwiek i czymkolwiek. I żywioły były Twoje, chociaż nie były Ci posłuszne.

Musiałem stale być obok, niby to kontemplowałem, ale czuwałem zarazem. Było jak zawsze. Nawet kilka lat temu na Sycylii nazwałeś ten stan ojcowskiego czuwania, mimo pozornego wyluzowania. „Tata cuwa a ja bam!”. Wtedy wpadłeś mi pod wodę w płytkim basenie dla dzieci mimo maty przeciwpoślizgowej i widziałem przez sekundę pod taflą wody Twoje szeroko otwarte,

zdziwione oczy i co gorsza, otwarte usta. Wyrwałem Ciebie w dwie sekundy, ale szok został, już tego dnia nie chciałeś do basenu. Teraz nie chciałem powtórki z udziałem oceanu.

Patrzyłem teraz, jak rozmawiasz z oceanem, z falą, oddalasz się trochę, żeby Ci nikt nie zawracał głowy w dyskusji z żywiołami, żeby nikt nie słyszał. Widziałem, jak szaleńczo cieszy Cię ten taniec. To, co raczej budzi moją melancholię, smutek metafizyczny – widok odcisków stóp zagarniany przez wodę, nasze ludzkie zamki wyrównywane w kilka chwil, już nawet nie przez fale, ale sam wiatr od wody – Ciebie cieszyły. Byłeś w euforii patrząc na ten taniec tworzenia i rozpadu.

Na sam koniec wystarczyło Ci kucanie z piaskiem w rękach i czekanie na falę, która stworzywał spienioną wodę na tyle wysoki, żeby Ci zabrał wszystko, co trzymałeś w rękach. Patrzyłeś wtedy na mnie z zachwytem, dobitnie, powoli, akcentując każde słowo:

– No-i-wszystko-trafił-szlag!

Jakby to była najlepsza heca na świecie.

Zacząłem rozumieć, że czas tych listów dobiega końca. Bo to w gruncie rzeczy mój głos, moja opowieść. A tworzy się już zupełnie pełnoprawna, fascynująca Twoja opowieść. Tak bardzo różna od mojej, że nie mam prawa przygniatać jej sobą.

I nie, oczywiście,  
zupełnie nie mam zamiaru Ciebie  
nawracać.



Grażyna Nawrońska



## AKWEDUKTY – GENIALNY WYNAŁAZEK STAROŻYTNOŚCI

### WSTĘP

Woda, nazywana pierwiastkiem życia, jest czynnikiem wręcz niezbędnym do istnienia i rozwoju każdej cywilizacji. Zawsze – pobierana z jeziora, stawu czy rzeki, względnie czerpana ze studni – stanowiła podstawę osadnictwa i była kluczowym elementem przy lokalizacji osad i ośrodków miejskich. Zawsze szukano możliwości pozyskiwania wody jak najlepszej jakości i do tego w dużych ilościach. Była przecież składnikiem pożywienia, napojem do picia, surowcem do celów wytwórczych, higienicznych, obronnych. Te podstawowe potrzeby sprawiły, że właściwa dystrybucja wody stanowiła jeden z najtrudniejszych problemów, z jakimi musieli mierzyć się mieszkańcy osad, miast, zamków, zespołów klasztornych. Już od czasów Arystotelesa dopatrywano się zależności ludzkiego zdrowia od czystej wody, a Hipokrates w zanieczyszczonej i złej wodzie doszukiwał się przyczyn chorób nękających ludzi.

Najstarszym sposobem zaopatrywania się ludzi w wodę było czerpanie jej z rzek, zbiorników wodnych lub z kopanych studni. Już w VII wieku przed naszą erą mieszkańcy Niniwy brali wodę w określonych punktach miasta, do których dopływała akweduktem, rurami ceramicznymi lub otwartymi korytami. W państwie rzymskim podstawą zaopatrzenia mieszkańców w wodę były drewniane lub kamienne studnie oraz cysterny sytuowane na podwórkach. Jednak najchętniej używano wody z górskich źródeł i strumieni, którą dostarczano kanałami akweduktu poprowadzonymi na powierzchni gruntu, po zboczach gór, mostach lub w podziemnych tunelach.

Sposoby pobierania wody (bardzo różnicowane) były w pewnym sensie osiągnięciem cywilizacyjnym. Wykształciły się na Bliskim i Dalekim Wschodzie, a z czasem zostały przyjęte przez cywilizację grecką, rzymską i arabską, które wprowadziły do nich szereg ulepszeń adaptując je do potrzeb rosnących wraz z rozwojem ośrodków miejskich. Nowe rozwiązania techniczne wprowadzano szczególnie w Cesarstwie Rzymskim, także w jego prowincjach, między innymi na terenach dzisiejszej Hiszpanii, Francji, Portugalii, Niemiec, Bułgarii, Izraela, Tunezji. Doskonale funkcjonujące systemy wodociągowe (w tym akwedukty) zostały w dużym stopniu zniszczone przez najazdy tzw. barbarzyńców – Ostrogotów, Hunów, Alanów, Wizygotów (IV–V w. n.e.). Jednak jeszcze we wczesnym średniowieczu wykorzystywano niektóre rzymskie akwedukty dostarczając wodę między innymi mieszkańcom Trewiru, Bonn, Kolonii, Segovii.

Teodoryk Wielki skorzystał z rzymskich doświadczeń i reaktywował funkcjonowanie wodociągu w Rawennie. Do czasów rozpoczęcia w Europie intensywnej akcji urbanizacyjnej (IX–X w.) wodociągi w formie akweduktu budowano dostarczając wodę przede wszystkim do bazylik, klasztorów, zamków – do siedzib władców.

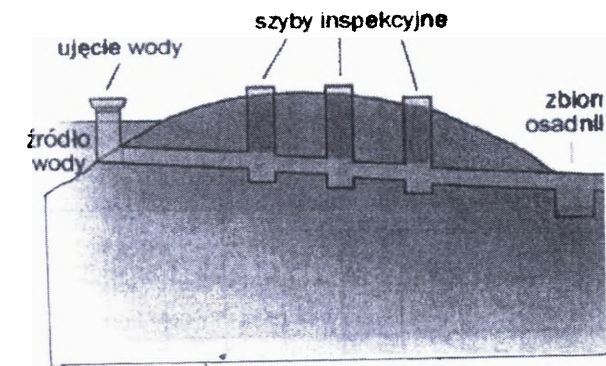
## AKWEDUKTY – HISTORIA

Mianem akweduktu (*aquae ductus*) określamy kanał wodociągowy będący rurociągiem podziemnym lub naziemnym doprowadzającym wodę z odległych źródeł do miast, zespołów klasztornych i zamkowych. Wykorzystywano do tego siłę ciężenia ziemskiego niewspomaganą żadnymi innymi urządzeniami.

Początkiem akweduktu było źródło, z którego pobierano wodę; płynęła ona dalej kanałami (podziemnymi, naziemnymi) do dużego zbiornika osadowego, a następnie do wieży wodnej (*castellum divisorium*). Stąd rurami wykonanymi z różnych surowców dostarczano ją do obiektów publicznych, między innymi fontann, łaźni, latryn, jak również do domów najbogatszych obywateli. Były to systemy działające na zasadzie grawitacji, a woda płynęła do niżej położonych miejsc. Starano się wybierać stosunkowo proste trasy, jednak nie zawsze było to możliwe. Przebijano tunele przez góryste tereny, a nad dolinami i rzekami budowano mosty w postaci jednego lub dwóch rzędów arkad. Usytuowane na nich kanały były przykryte chroniąc wodę przed mrozem, zanieczyszczeniami czy parowaniem. Przeгляд i konserwację zapewniały studzienki rozmieszczone co kilkadziesiąt metrów na trasie wodociągu.

Woda płynęła rurami wykonanymi z różnych materiałów: drewna, gliny, ołowiu, brązu, betonu. Jednak najlepszym w obróbce i najtańszym surowcem był ołów. Rzymski architekt Witruwiusz w swoim dziele „O architekturze” zauważył, iż woda z rur ołowianych jest niezdrowa, gdyż z ołowiu powstaje biel ołowiana, podobno szkodliwa dla zdrowia.

Jednym z najstarszych znanych akweduktów był obiekt zbudowany na rozkaz asyryjskiego króla Sennacheryba w VII wieku p.n.e. doprowadzający wodę do Niniwy z odległości 50 km. W Grecji zachowały się akwedukty, między innymi na wyspie Samos (VI w. p.n.e.) zbudowany przez Polikratesa, oraz w Atenach i Koryncie datowane na V w.p.n.e. Fenicjanie także doprowadzali do swoich miast wodę za pomocą akweduktów.



<https://www.jw.org/pl/publikacje/czasopisma/g201411/rzymskie-akwedukty-cuda-inzynierii/>

## CESARSTWO RZYMSKIE

### RZYM

Skala i rozmach zbudowanego systemu wodociągowego w Starożytnym Rzymie i jego rozległych prowincjach są nieporównywalne do jakiegokolwiek innego obszaru. Między IV wiekiem przed naszą erą a III wiekiem naszej ery do miasta Rzym docierało jedenaście akweduktów o łącznej długości 420 km. Tylko 47 km przebiegało nad powierzchnią ziemi, a te odcinki przede wszystkim budowano nad dolinami, rzekami, nierównościami terenu, jak również prowadzono je trawersami na zboczach gór.

Pierwszy rzymski akwedukt *Aqua Apia* został zbudowany w 372 roku przed naszą erą, miał 16 km długości i był usytuowany pod ziemią, około 17–20 m poniżej dzisiejszego poziomu. Na jego fragmenty natrafiono podczas prac ziemnych związanych z przebudową metra. Sprowadzał on wodę do Wiecznego Miasta ze Wzgórz Albańskich. Następny – *Aqua Ventus* – którego budowa została ukończona w 272 roku przed naszą erą, liczył 63,5 km i także w dużym stopniu został umieszczony pod powierzchnią. Kolejne wodociągi były regularnie budowane w latach: 144–140 przed naszą erą – *Aqua Marcia*; 125 rok przed naszą erą – *Aqua Tepula*. Na przełomie er, kiedy miasto Rzym liczyło około miliona mieszkańców, wybudowano jeszcze siedem akweduktów. Podane są daty zakończenia ich budowy:

- *Aqua Julia* – 33 r. p.n.e.
- *Aqua Virgo* – 20 r. p.n.e.
- *Aqua Alsietina* – 2 r. p.n.e.
- *Aqua Anio Novus* – 52 r. n.e.
- *Aqua Claudia* – 52 r. n.e.
- *Aqua Trajana* – 109 r. n.e.

Trzy z nich *Aqua: Virgo, Marcia, Trajana* dostarczają wodę do dzisiaj.

Jak ogromna była przepustowość tej sieci świadczy fakt, iż każdego dnia do miasta dostarczano ponad milion metrów sześciennych wody.

W Rzymie prawie wszystkie akwedukty (z wyjątkiem odcinków o długości 47 km) były sytuowane w tunelach przebijanych przez okoliczne wzgórza i nierówności terenu. Kanałem wodnym w takich tunelach było koryto o szerokościach 0,70–0,90 m osłonięte kamiennym stropem. Co kilkanaście metrów prowadziły do tunelu szyby inspekcyjne, tzw. studzienki, którymi mogły wchodzić osoby zajmujące się konserwacją i czyszczeniem kanałów.

Chciałabym Państwu zaprezentować tylko kilka przykładów akweduktów zbudowanych w Prowincjach Cesarstwa, których relikty w różnym stanie zachowały się do dzisiaj ukazując niebywałą sztukę i ogromną wiedzę techniczną rzymskich budowniczych.

### AKWEDUKT EIFEL

Stolica Prowincji Germanii – Kolonia (*Colonia Claudia Ara Agrippinesium*) była zaopatrywana w wodę przez akwedukt Vorgebirge. Jednak dla szybko rozwijającego się ośrodka miejskiego ilość dostarczanej wody nie była już wystarczająca i dlatego podjęto decyzję

o budowie nowego wodociągu. Akwedukt wybudowany w latach osiemdziesiątych naszej ery miał 95 km długości i transportował wodę z masywu Eifel do miasta, a łącznie z licznymi odgałęzieniami liczył 135 km. Konstrukcja została wybudowana pod ziemią – z niewielkimi odcinkami usytuowanymi na powierzchni – w miejscowości Nettersheim, gdzie znajdowała się główna głowica. Akwedukt działał od 80 do 260 roku naszej ery i wtedy został zniszczony podczas najazdów barbarzyńców. Był to najdłuższy system wodociągowy w obrębie Cesarstwa na północ od Alp. Woda doprowadzana do Kolonii z gór Wasowych była twarda, a wytrącający się z niej w kanałach wapń tworzył warstwę, która po zniszczeniu akweduktu była używana jako materiał do wyrobu detalu architektonicznego. Wykonane z niego ołtarze czy kolumny możemy odnaleźć między innymi w kościołach w Kolonii, Paderborgu czy duńskim Roskilde.

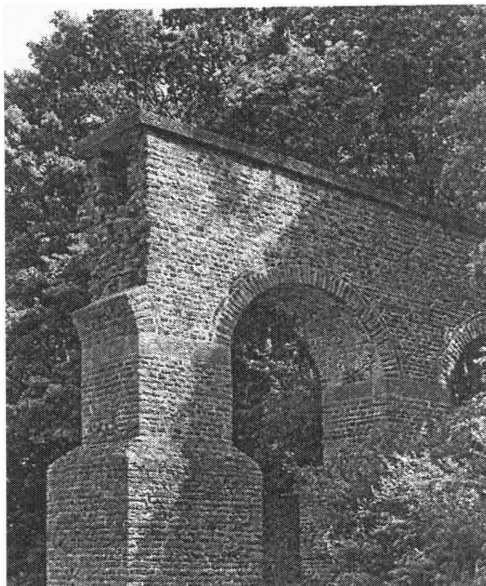
Akwedukty miały różne formy i części składowe tworzące całość: rurociągi naziemne i podziemne, mosty, tunele, zbiorniki, lecz do naszych czasów zachowały się tylko niektóre ich elementy.

## AKWEDUKT PONT DU GARD

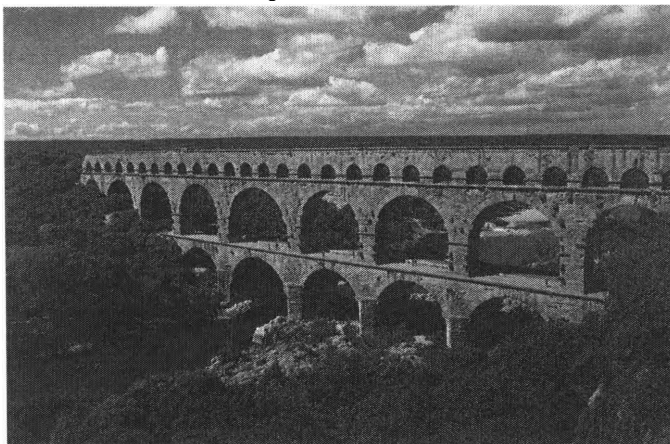
W dolinie rzeki Gard ocalał odcinek akweduktu, który został zbudowany w latach 26–16 przed naszą erą pod auspicjami Marka Wispaniusza Agrypy. Doprowadzał on wodę ze źródeł w *Fontes Ures* do miasta Nimes (*Nemausus*) liczącego wówczas pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. Cała budowla miała łącznie 50 km długości a różnica poziomów pomiędzy jego początkiem i końcem wynosiła tylko 17 m, co określało jego spadek 35 cm na każdy kilometr. Akwedukt składał się z szeregu tuneli i mostów, a użyte do budowy bloki kamienne nie były łączone zaprawą. Dziennie miasto było zasilane dwudziestoma milionami litrów wody.

Zachowany odcinek zwany Pont du Gard tworzy trzypiętrowa arkada o wysokości 49 m i szerokości 6,5 m.

## Akwedukt Eifel *Eifelwasserleitung*



*Akwedukt Eifel – fragment mostu akweduktu*

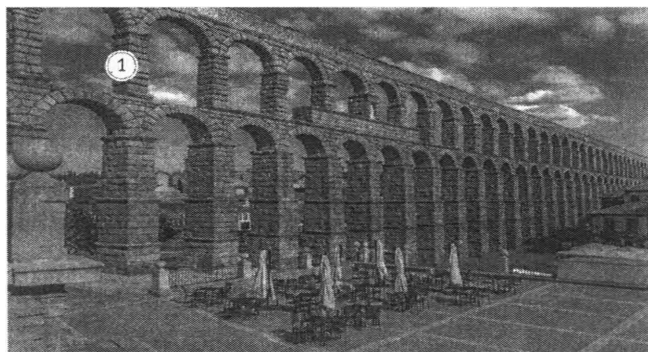


*Akwedukt Pont-du-Gard (Prowansja)*

W kondygnacji dolnej znajduje się sześć arkad, jednaście w średniej i trzydzieści pięć w górnej. Środkowy odcinek pełnił rolę mostu nad rzeką, a na najwyższej części umieszczono kanał o średnicy 6 m, którym płynęła woda do zbiornika, skąd rozprowadzana była do domów, term, fontann. Od czwartego stulecia naszej ery pełniona przez akwedukt funkcja dostarczania wody traciła na znaczeniu z powodu intensywnego zamulania tunelu. Całkowicie przestał funkcjonować w dziewiątym wieku, a kamień z jego konstrukcji wykorzystywali okoliczni mieszkańcy do celów budowlanych.

## AKWEDUKT W SEGOWII

Akwedukt w Segowii jest najlepiej zachowanym elementem sieci wodociągowej w Hiszpanii z czasów rzymskiej obecności na Półwyspie Iberyjskim. Zbudowany został prawdopodobnie w drugiej połowie pierwszego wieku i na początku drugiego wieku naszej ery za



*Akwedukt w Segowii (Kastylia)*

panowania Cesarza Wespazjana. Transportował wodę z górskiego źródła *Fuenfria* do miasta odległego o 17 km. Woda była zbierana w zbiorniku *El Caseron* i dostarczana kamiennymi kanałami do wieży, gdzie była oczyszczana i odpiaszczana, a następnie kamiennym kanałem o długości 728 m prowadzono ją do centrum miasta.

Akwedukt zbudowano z granitowych bloków i posadowiono

na fundamencie kamiennym o wysokości 6 m. Poszczególne elementy nie łączono zaprawą, tylko szczelnie dopasowywano do siebie. Całą dwukondygnacyjną konstrukcję akweduktu o wysokości 28,5 m tworzyły dwa rzędy stu sześćdziesięciu siedmiu arkad opartych na kolumnach. Zachowany w bardzo dobrym stanie fragment dawnego rzymskiego systemu wodociągowego stał się symbolem dzisiejszej Segowii.

## AKWEDUKT W CEZAREI

Na przełomie er, w nowo lokowanym przez króla Judei Heroda Wielkiego mieście Cezarea, rozpoczęto budowę akweduktu. Zaopatrzenie przyszłych mieszkańców w wodę było bowiem jednym z podstawowych elementów funkcjonowania nowego ośrodka. Korzystając ze wzorów konstrukcji rzymskich zbudowano akwedukt, którym transportowano wodę do miasta ze źródła *En Shuni* położonego na stokach góry Karmel leżącego w odległości około 6 km od Cezarei. Pierwszy odcinek akweduktu posadowiono bezpośrednio na gruncie, a dalej na opadającym w stronę miasta terenie. Podstawę akweduktu tworzyły arkady, na których umieszczono koryto do transportowania wody. Na każdym kilometrze uzyskiwano pięćdziesięciocentymetrowy spadek. Arkady zbudowano z lokalnych materiałów, którym były różne gatunki skał, jak również drobny gruz. Koryto nakryte dachówkami zbudowano z ceramicznych elementów, dodatkowo wewnątrz zabezpieczonych wapiennym tynkiem. Po doprowadzeniu wody do miasta przez akwedukt była ona rozprowadzana do domów,

łaźni, basenów, a zakończeniem systemu z Cezarei była fontanna; podobnie jak kończyły się akwedukty w innych miastach. W Cezarei, w drugim i czwartym wieku naszej ery, wybudowano kolejne dwa akwedukty, a koryta którymi transportowano wodę ze źródła *En Tsabarin* – także znajdującego się na zboczach góry Karmel – były posadzone bezpośrednio na powierzchni gruntu. Miały one ściany o wysokości 1,5 m nakryte kolebkowym sklepieniem. Tak proste konstrukcje akweduktów – w porównaniu do obiektów wznoszonych w prowincjach rzymskich – nie bardzo zabezpieczały czystość wody i mogła ona służyć tylko do celów gospodarczych. Akwedukty w Cezarei były zdecydowanie mniejszymi obiektami i prostszymi w sposobie wykonania; tym niemniej dostarczały 300 m<sup>3</sup> wody na godzinę dla pięćdziesięcioletniej Cezarei.

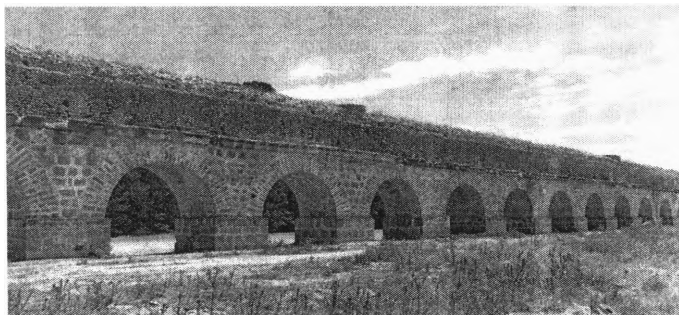


*Akwedukt w Cezarei*

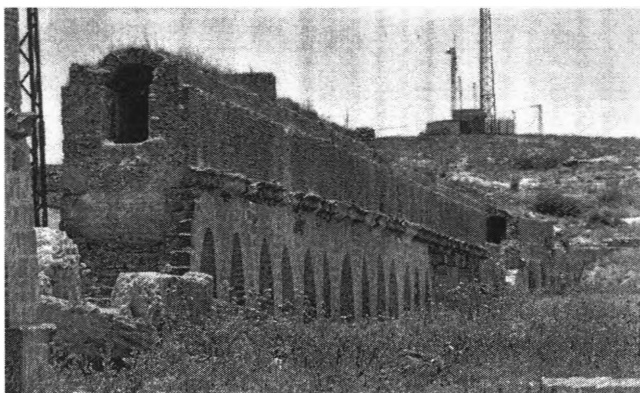
## AKWEDUKT ZAGHWAN

Nazwa akweduktu wywodzi się od miasta *Zigua* położonego w północno-wschodniej Tunezji. Ze źródeł Świętej Góry leżącej w obrębie wzgórz okalających miasto dostarczano wodę do Kartaginy, ważnego i znaczącego ośrodka rzymskiej prowincji. Akwedukt miał około 130 km długości i został wybudowany za czasów Cesarza Hadriana w drugim wieku naszej ery. Był to jeden z najdłuższych tego typu obiektów wodociagowych wzniesionych przez Rzymian w obrębie Cesarstwa. Początkiem akweduktu była świątynia z fontannami – nimfeum – ku czci wody nazywana *Temple des Eaux*. Otaczały ją niszki ze stojącymi w nich naturalnej wielkości posągami symbolizującymi dwanaście miesięcy. Przed wprowadzeniem wody do kanału zamkniętego, który był posadowiony na fundamencie z arkad, była ona filtrowana w dużym ósemkowym basenie i dopiero transportowana dalej w kierunku Kartaginy. Niektóre odcinki akweduktu były prowadzone pod ziemią.

Akwedukty były budowane także w czasach średniowiecznych i nowożytnych. Wyjątkowym przykładem może być obiekt w miejscowości Tomar w Portugalii, w dawnym zespole klasztorno-pałacowym, będącym niegdyś siedzibą zakonu templariuszy. Akwedukt



*Akwedukt w Zaghwan (Tunezja)*



Akwedukt w Uthinie (Tunezja)

poprowadzono przez górzysty teren zarówno na mostach, jak i w podziemnych kanałach. Liczący 6 km długości zachował się w bardzo stanie.

Współcześnie wiaduktem Arizona Cap Canal, liczącym 550 km długości i wzniesionym na 180 arkadach, płynie woda z rzeki Kolorado do pustynnych rejonów stanu Arizona.

## ZAKOŃCZENIE

Akwedukty w czasach antycznych doprowadzające wodę zarówno do małych jak i dużych aglomeracji były budowane w różnych rejonach Europy, północnej Afryki, Bliskiego Wschodu. W większości przebiegały w tunelach usytuowanych pod ziemią; także przebijano się przez wzgórza. W przypadku dolin i rzek budowano nad nimi mosty – często kilkupoziomowe.

Wybrane źródła wody musiały znajdować się powyżej miejsca jej dostarczenia, gdyż przy jej transporcie działała tylko siła grawitacji. Należało bowiem utrzymywać stały spadek wody 30–40 centymetrów na jeden kilometr długości wodociągu. Nie stosowano żadnych pomp ani wież ciśnień.

Przed wybraniem źródła wody i budową akweduktu badano samo ujęcie, smak i przejrzystość, jak również obserwowano stan zdrowia ludzi zamieszkujących te tereny. Niekiedy wynikała konieczność odwodnienia terenu w pobliżu wznoszonego akweduktu, aby zmniejszyć ryzyko skażenia wody ze źródła wodami gruntowymi.

Budowa akweduktów wymagała pracy tysięcy ludzi – niewolników, rzemieślników, także żołnierzy. Przynosiła jednak ogromnej wiedzy rzymskich inżynierów i architektów.

W Cesarstwie Rzymskim wybudowano około osiemset akweduktów, których łączna długość wynosiła pięć tysięcy kilometrów. Trudno sobie wyobrazić, ile milionów czy miliardów metrów sześciennych wody dostarczały one dawnym mieszkańcom tak rozległych terenów. Sekstus Juliusz Frontyn, inżynier i zarządca rzymskich wodociągów, pisał:

*nie ma nawet sensu porównywać tego genialnego wodno-kanalizacyjnego systemu do wszystkich niepraktycznych monumentów..... nie ulega wątpliwości, że bieżąca woda w mieście miała większe znaczenie dla jakości życia niż najbardziej nawet imponujące greckie świątynie czy egipskie piramidy.*

Ryszard Rząd



# HISTORIE NIE TYLKO MALBORSKIE (12)

## KILKA CIEKAWOSTEK WSCHODNIOPRUSKICH

Dziwna, nieprzetłumaczalna, staropruska nazwa miasta Cynty (niem. Zinten) w powiecie Święta Siekierka, zawsze budziła zdumienie, choć jednocześnie była znana w Prusach. Wschodnioprusacy mocno czymś zdziwieni wołali „Potz Heiligenbeil und Zinten!” (dosłownie: „Do Świętej Siekierki i Zinten!”, czyli inaczej: „a niech to!”). Każde dziecko znało też wierszyk-wyliczankę:

„Johann, spann an,  
zwei Katzen voran,  
zwei Ziegen nach hinten,  
wir fahren nach Zinten”  
(Janie, zaprzęgaj  
dwa koty z przodu,  
dwie kozy do tyłu,  
jedziemy do Zinten)



„Pokręcony” herb Zinten

W 1844 r. magistrat Bartoszyz zakazał mieszkańcom noszenia lusterek w dni słoneczne, by nie płoszyli „zajączkami” koni.

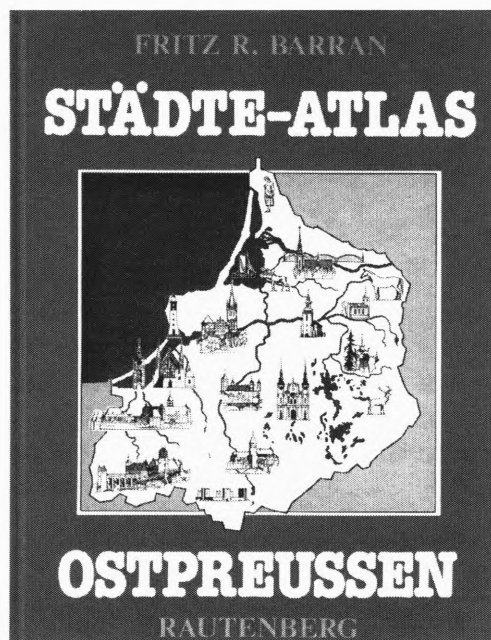
Inflacja, jaka na początku lat dwudziestych dotknęła Europę, w tym Niemcy, spowodowała, że w październiku 1923 r. dolar USA kosztował trzy miliardy marek niemieckich, a w listopadzie tegoż roku rencistom z Bartoszyz wypłacono 25,5 biliona, bezrobotnym zaś 15 bilionów marek.



Bilion marek niemieckich z 1924 r.



*Elizabeth Boehm, kon. XIX w.*



*Atlas Prus Wschodnich wydawnictwa „Rautenberg” z 1922 r.*

W 1898 r. pani Elizabeth Boehm (1859–1943) z Garbna (niem. Lamgarben) założyła w Kętrzynie pierwsze w Niemczech Towarzystwo Gospodyń Wiejskich („Landwirtschaftliche Hausfrauverein”). Jego członkinie, od znaczka Towarzystwa, zwano „Pszczołami”. W 1912 r. pani Boehm założyła szkołę dla wiejskich gospodyń w Matgethen na przedmieściach Królewca. Rok później placówkę tę odwiedziła cesarzowa Wiktoria i odznaczyła założycielkę srebrnym krzyżem. W 1929 r. otrzymała ona honorowe obywatelstwo Królewca oraz doktorat honoris causa miejscowego uniwersytetu. Było to jedyne takie wyróżnienie w Niemczech.

Mąż pani Boehm, Otto, należał w 1860 r. do założycieli prywatnej linii kolejowej „Ostpreußischen Südbahngesellschaft”. Na stacji węzłowej Korsze zawsze czekała na niego salonka, a do jego majątku w Głowbitach (niem. Glaubitten) poprowadzono bocznice kolejową. Był on świetnym strzelcem – zwano go „Hasen-Boehm” (zajacowy Boehm), jego brata Juliusa zaś „Fasanen-Boehm” (bażanci Boehm).

W 1825 r. w Morągu powstało znane dziś w Niemczech wydawnictwo turystyczno-albumowe „Rautenberg”.

W czasie kursu podnoszącego sprawność strażacką, w Olsztynie w dn. 28–31 maja 1901 r., doszło do spotkania najwyższego i najniższego strażaka-ochotnika w Prusach Wschodnich. Najwyższym był skarbnik sądowny Schenk z Nidzicy mierzący 203 cm, najniższym zaś technik dentystryczny Portner z Morąga mający 153 cm wzrostu. Tego ostatniego żartobliwie nazwano najsilniejszym mężczyzną w Prusach.

Południowa Natangia, zwana Stablack, tj. rejon Hławki Pruskiej i Górowa Hławieckiego, to tereny bardzo kamieniste, przez co zawsze były one ubogie. Wśród mieszkańców Górowa utarło się nawet powiedzenie charakteryzujące ich okolice: „Bogate w kamienie, w chleb ubogie, tak nędzne, że pozał się Boże!” („Steinreich, brotarm, Geldnot, dass Gott

erbarm!”). Charakter tych terenów oddawały nawet nazwy wsi: Steinkerwalde, Steinbotten, Stabunken. Podobny źródłosłów miała też nazwa Stablack pochodząca z języka pruskiego, gdzie oznaczała „pole kamienne” (stabis – kamień, laucks – pole). W okresie międzywojennym owe „złoża” kamieni eksploatowane były przez kilka firm, nawet z Hanoweru. Używano ich do budowy dróg i domów, a także licznych pomników (np. pomnika poległych w Bledziewie, niem. Bladiau, czy pomnika Bismarcka w Świętej Siekierce). Z kamieni tych powstały też nabrzeża portu w Pilawie.

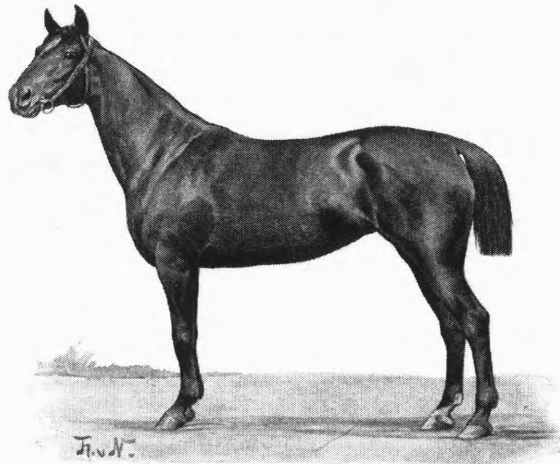
Prusy Wschodnie szczyciły się swoją znaną w świecie rasą koni. Były to tzw. gorącokrwiste konie trakeńskie, mające w kłębie 162–168 cm wysokości. Ich żywy temperament powodował, że były idealne do biegów, skoków i ujeżdżania. Rasa ta wywodziła się z założonej 1 maja 1732 r. przez króla Fryderyka Wilhelma I stadniny w Trakiejnach, gdzie uszlachetniono tzw. „szwejki” wywodzące się z dzikich koników, a od 1786 r. systematycznie krzyżowano konie arabskie z angielskimi pełnokrwistymi. Stadnina w Trakiejnach była największą w kraju, trzy mniejsze znajdowały się w Kętrzynie, Wystruci i Nawojach (niem. Gudwallen). W 1945 r. uratowano 2.000 z 25.000 kłacz, wyprowadzając je jako konie pociągowe w zimowych kolumnach uciekinierów z Prus Wschodnich. Trafiły one głównie do Holsztynu i Dolnej Saksonii, gdzie są dalej hodowane (głównie kasztany i kare).

Podobne konie spotkać dziś można w Polsce, w innych krajach Europy, w Ameryce Płn. oraz we wschodniej i południowej Afryce.

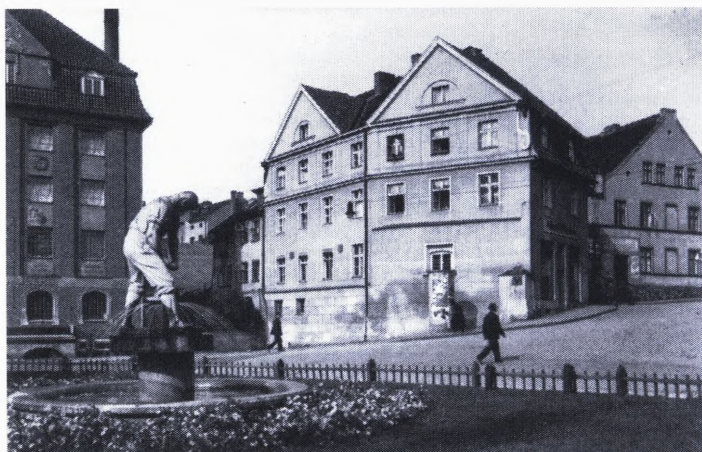
Pierwszy młyn parowy w Prusach Wschodnich powstał w Kętrzynie w 1865 r. Historia tej budowli sięga czasów Zakonu Krzyżackiego. W 1847 r. kupił ją Luis Kolmar i rozbudował w „Ober- oder Roggenmühle”. W 1874 r. dokupił przyległy doń folusz i zamontował w nich nowoczesne



*Stablacki kamień” – dawny pomnik Bismarcka w Świętej Siekierce (ros. Mamonowo)*



*Koń trakeński wg ilustracji z 1904 r.*



*Fontanna z młynarzem przed zakładem Adolfa Gramberga, lata 30. XX w.*



*Zdjęcie ślubne młynarza z Grünhayn, koniec lat 30. XX w.*

rowe i elektryczne. Gdy w dzień św. Jana młynarze obchodzili swoje święto, na Mühlenbergu odbywały się zabawy i potańcówki.

turbiny. W 1903 r. zakład przeszedł w ręce Adolfa Gramberga, który uczynił z niego trzeci co do wielkości młyn w Prusach Wschodnich zdolny przerobić 150 ton ziarna dziennie. Zatrudniał przy tym 100 osób. Magazyny mogły pomieścić do 6.000 ton mąki. W latach 20. XX w. skwer przed zakładem i przyległym doń biurem ozdobiła fontanna – młynarz mielący mąkę-wodę.

W maju 1945 r. urządzenia młyna wywieziono do Kijowa, zaś elewator do Charkowa. W Kętrzynie pozostały monumentalne zabudowania (strawione pożarem w 2016 r.), biurowiec firmy i odnowiona, aczkolwiek nieczynna fontanna.

Okolice wsi nieistniejącej dziś Grünhayn w powiecie welawskim była bogata w wiatraki. Na wzgórzu zwanym „Mühlenberg” było ich dziewięć. W 1914 r. Rosjanie zniszczyli sześć z nich, w tym jeden wpisany do rejestru zabytków Prus Wschodnich i należący od XV w. do 1945 r. do rodziny Deutschmann. W 1922 r. odbudowano go, pozostałe jednak zastąpiły młyny pa-

Najwyższy w Prusach Wschodnich wiatrak znajdował się w Szyrwintach (niem. Schirwindt) w powiecie Pilkalę. Zbudowany po I wojnie światowej, należał do młynarza Krohma, następnie Gustava Torklera.

Najdalej na północ wysuniętym niemieckim mostem drogowym był tzw. Most Luizy („Luisenbrücke”) w Tylży, nazwany tak ku czci królowej Luizy Pruskiej. Budowany od 1904 r. na miejscu mostu pontonowego miał długość 416 m i rozpięty był ponad Niemnem mającym tu 220 m szerokości. Kosztował wielką jak na ówczesne warunki kwotę dwu milionów marek. Pierwszy pojazd przejechał po nim 18 października 1907 r. Od 1920 r. był mostem granicznym pomiędzy Niemcami i Litwą.

Kłajpeda była najbardziej na północ położonym miastem Niemiec. Corocznie w noc sylwestrową wymieniała telegraficzne pozdrowienia z Konstancją – jednym z miast położonych najdalej na południe. W linii prostej oba miasta dzieli 1212 km.

Wiele wschodniopruskich miast zostało niemal doszczętnie zrujnowanych przez Rosjan w trakcie początkowych działań I wojny światowej. Ich losem żywo interesowała się rodzina panująca, często odwiedzająca zniszczone miasta.

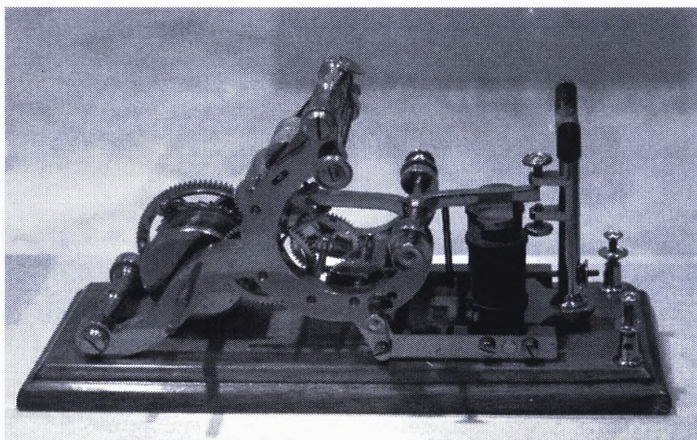
Elk, który ucierpiał trzykrotnie, w dniu ostatecznego oswoobodzenia miasta 14 lutego 1915 r. odwiedził cesarz Wilhelm II. Towarzyszył mu autor tego sukcesu, dowódca 2 dywizji piechoty gen. Franz Ludwig Adalbert von Falk. 3 maja 1915 r. w mieście pojawił się marszałek Paul von Hindenburg wraz z królem Saksonii Fryderykiem Augustem III. 2 sierpnia 1917 r. cesarz po raz drugi przybył do Elku. Tym razem, by odznaczyć Żelaznym Krzyżem wracających z zesłania na Syberii landrata dra Maksa Petersa i proboszcza Johannes Brehma.



*Wiatrak w Szyrwintach. ok. 1920 r.  
W tle neogotycki kościół Zbawiciela w tejże wsi o 60 metrowych wieżach.*



*Tiļšit - Königin-Luise-Brücke  
Most Luizy w Tylży, lata 30. XX w.*



*Jeden z XIX-wiecznych telegrafów*

Odbudowane w latach 1916–25 miasto (m.in. przy pomocy zaprzyjaźnionego z nim Opoła) odwiedził po raz kolejny także marszałek von Hindenburg (9 września 1924 r. i 27–29 czerwca 1931 r.).

29 lipca 1915 r. w Szczytnie pojawiła się cesarzowa Augusta Victoria i księżniczka Cecylia, a 2 sierpnia 1917 r. sam cesarz Wilhelm II.

Latem tegoż roku cesarzowa odwiedziła też zniszczony Alembork (niem. Allenburg) w powiecie welawskim. Podarowała przy tym miejscowemu kościołowi osobiście przez nią wykonany obrus na chrzcielnicę. W sierpniu 1917 r. do miasta przybył też cesarz.

W 1916 r. ruiny całkowicie zniszczonego nadgranicznego miasta Szyrwinty zwiedzał znany szwedzki podróżnik, badacz Azji i Tybetu Swen Hedin. Odbudowę tego miasta umożliwiła pomoc zaprzyjaźnionej z nim Bremy.

W 1917 r. cesarz Wilhelm II zapoznawał się z odbudową Pilkat zniszczonych przez Rosjan w 1914 r.



*Cesarz Wilhelm II w zniszczonym Elku, pocztówka z 1915 r.*

## Jean Rapp



# WALKI TRWAJĄ

*Jean Rapp (1771–1821), adiutant Napoleona w latach 1800–1814, generał (od 1803). Wykazywał się wielką odwagą, wielokrotnie był ranny. Przynajmniej dwa razy ratował życie Napoleona: powstrzymując zamachowca w 1809 w pałacu Schönbrunn i zatrzymując szarżę kozaków podczas odwrotu z Moskwy w 1812. Był gubernatorem Torunia (1807) i Wolnego Miasta Gdańska (1807–1813). Pamiętniki Rappa zostały wydane po jego śmierci, w Paryżu, w 1823 roku<sup>1</sup>.*

*Przedstawiony poniżej tekst to tłumaczenie drugiej części 42 rozdziału. Po wyprawie na Rosję resztki Wielkiej Armii Napoleona pod koniec 1812 znalazły się między innymi w Gdańsku. Tu dowództwo nad wyczerpanymi żołnierzami objął generał Jean Rapp. W pierwszej części 42 rozdziału, który ukazał się w poprzednim numerze „Prowincji”<sup>2</sup>, General opisał ciężkie walki toczące się wokół Gdańska w roku 1813 podjęte po zawieszeniu broni, czyli po 24 sierpnia. Kolejne potyczki relacjonuje z pasją w dalszej części rozdziału...*

## ROZDZIAŁ XLII (CIĄG DALSZY)

Rosjanie, upokorzeni odniesionymi stratami, ruszyli na Wrzeszcz. Dwa domy, które ufortyfikowałem po to, aby stanowiły niespodziewany punkt obrony, przeszkodziły im w szturmie. Niemniej atakują z flanki, nacierają mocno i wspinają się ku górze. Jednak morderczy ogień zatrzymuje ich i zmusza do odwrotu. Na domiar złego (dla nich) pojawiają się Neapolitańczycy i przystępują do ataku. Pułkownicy Lebon i Dégennero nacisnęli mocno i przełamali linię kawalerii wdzierając się do Wrzeszcza. Kawaleria powraca jednak szarżując większą liczbą i z większą gwałtownością; skorzystali z odpowiedniego momentu, gdy nasze bataliony były rozproszone na ulicach. Rozpoczęła się krwawa łaźnia; dzielny Paliuzzi padł dziesięć razy ugodzony lancą; kapitanowie Nicolaü, Angeli i Dégennero musieli wycofać się z pola walki z powodu odniesionych ran. Na próżno nieustraszony Grimaldi, na próżno porucznicy Amato, Legendre, Hubert, Pouza, Gomez i Zanetti stawiają czoła nawałnicy; wróg przeważa liczebnie; jesteśmy w całkowitym odwrocie. Kliki odważnych, którzy znajdują się za daleko, nie są w stanie wrócić i zostają odcięci; jednak daleko im do załamania się – na widok niebezpieczeństwa ich męstwo wzrasta, gromadzą się wokół

<sup>1</sup> Tłumaczenie na podstawie pierwszego wydania udostępnionego na stronie [www.gallica.bnf.fr](http://www.gallica.bnf.fr): *Memoires Du General Rapp: Aide-De-Camp de Napoleon, Ecrits Par Lui-Meme, Et Pub. Par Sa Famille*, Paris 1823.

<sup>2</sup> „Prowincja”, nr 2 (52), 2023, s. 76–79.

adiutanta-majora Odiardiego. Ruszają do przodu, po czym odwracają się cały czas pilnując tyłów i w końcu osiagają linię ufortyfikowanych domów. Od razu zostali zaatakowani po raz drugi; przeciwnicy, podrażnieni oporem, rzucają się na palisady i wyrwywają je z ziemi – wydaje się, że przeznaczone jest im pokonanie tych wszystkich przeszkód. Jednak gdy tylko się odsłaniają, przytłacza ich nasz ogień i wkrótce tracą nadzieję na osiągnięcie sukcesu: skoro nie mogą zdobyć domów, podpalają je. Nasi dzielni żołnierze nie stracili zimniej krwi, część z nich kontynuowała ostrzał, inni zajęli się tłumieniem pożaru i wróg wcale nie zdobył więcej terenu. Gęsty dym zakrył obydwa domy. Nie wiedziałem, czy zajmują go jeszcze nasze oddziały, czy już przeciwnik nad nimi zapanował, co zresztą wynikało z napływających do mnie raportów. Postanowiłem sam się o tym przekonać i podjąłem próbę rozpoznania sytuacji. Przywitał nas jednak deszcz ognia: zrozumiałem, że domy są stracone. Przemawiał za tym zwłaszcza fakt, że strzelanina ustała, a ogień cały czas płonął. Nieprawdopodobnym było jednak uważać, że żołnierze się poddali. Nakazałem przeprowadzenie nowego rekonesansu. Całe sąsiedztwo tych dwóch posterunków było usiane ciałami ubranymi w białe mundury. Oficerowie, których wysłałem, byli przekonani, że Bawarczycy zginęli. Wszyscy o tym zapewniali, wszyscy byli co do tego przekonani. Strata tych tak dzielnych ludzi była bolesna i trudno było się z nią pogodzić. Wysłałem jednego z moich adiutantów, kapitana Marniera, aby upewnił się co do rzeczywistej sytuacji; taka misja musiała mu się spodobać, bo podczas bitwy pod Uclès całą hiszpańską dywizję wezwał do złożenia broni i przyjął jej kapitulację; lance kozaków nie były czymś, co mogłoby go zatrzymać. O świcie wyruszył z reduty Kabrun na czele ośmiu ochotników; zbliżył się do domu z prawej strony biegnąc ku niemu. Od razu otwarto ufortyfikowane przeszkody i ci, którzy stanowili załogę posterunku, dołączyli do niego i wycofali się razem z nim pomimo tego, że Rosjanie ruszyli, aby temu zapobiec i wziąć jeńców.

Pozostał dom po lewej stronie, ale najtrudniejsze było już zrobione: byłem pewien, że i ten posterunek trwa. Wydałem rozkaz, aby go zabezpieczyć. Batalion ruszył do przodu; gdy tylko wspaniali żołnierze zabarykadowani w domu go dostrzegli, umieścili pośrodku siebie swoich rannych i zaatakowali przeciwników. Wielu odniosło rany. Dzielny Dalwick został trafiony kulą w lewe ramię, ale dalej z zapalem walczył. Walka stawała się coraz bardziej krwawa. Nacierający Bawarczycy, których rozpałało szlachetne pragnienie uratowania rodaków i pociągał przykład dwóch nieustraszonych oficerów, adiutanta-majora Seiferlitzta i porucznika Mucka, gwałtownie rzucili się na nieprzyjaciół, przełamali ich linie i w końcu bezpiecznie przyprowadzili z powrotem garstkę oddanych sprawie żołnierzy z posterunku.

Urządzono rodzaj tryumfalnego pochodu: każdy chciał ich zobaczyć i im pogratulować. Wychwalano ich determinację, ich zobojętnienie i zimną krew w obliczu trudnej sytuacji. Samotni, pozostawieni samym sobie, bez pożywienia, bez amunicji, trawieni pragnieniem, duszeni przez ogień pożaru, stawili czoła groźbom, odrzucili wezwania i sugestie wrogów. Chwalono szczególnie kapitana Fahrebecka; podziwiano jego zimną krew, wysławiano jego odwagę; jego stanowczość i roztropność były na ustach wszystkich i stały się tematem każdej przemowy. Czymś naturalnym było, że i ja oficjalnie uznałem dzielność tych żołnierzy i wyraziłem pełne zadowolenie z ich postawy. Opisałem w kronice niebezpieczeństwa, na które byli narażeni, i ryzyko, któremu stawili czoła, a rannych umieściłem z swojej kwaterze. Odwiedzałem ich codziennie; każdego dnia dowiadywałem się o ich sytuacji

i upewniałem się, czy zaspokajane są ich potrzeby. Mój zaufany oficer, Romeru, dostał ode mnie zadanie, aby otaczać ich troską i nieść im pociechę w moim imieniu, gdy sam nie mogłem tego czynić osobiście.

Gdy tylko nieprzyjaciele opanowali Wrzeszcz, zaczęli przeprowadzać poważne prace; nieprzerwanie wznosili kolejne konstrukcje. Ich celem było zacieśnianie oblężenia i w końcu zamknięcie nas w twierdzy. Plan był godny podziwu, ale trzeba było jeszcze umieć go przeprowadzić, a to było o wiele trudniejszą sprawą. Całe przedpole Oliwy i Górę Gradową przekształciłem we wspaniałe umocniony obóz; składał się z dziewięciu elementów: luneta typu istryjskiego zajmowała główne miejsce na wzgórzu dominując nad całym fortem i wąwozem Góry Gradowej; jej flanki zabezpieczały baterie Kirgeura i Caulincourta. Następnie spośród pagórków znajdujących się między tymi fortyfikacjami i drogą do Wrzeszcza wybrano te najkorzystniej położone i ufortyfikowano je. Układ tych umocnień był następujący – idąc w prawo od baterii Caulincourta: reduta Romeufa, bateria Grabowskiego, reduta Deroya, bateria Montbruna. W końcu, dla uzupełnienia tej linii fortyfikacji i przedłużenia jej aż do Wisły, utworzono jeszcze dwie baterie: jedna o nazwie Fitzer, po drugiej stronie drogi do Wrzeszcza, a druga, nieco dalej, znana pod nazwą Gudin, która dochodziła do sztucznego zbiornika wodnego rozciągającego się aż do grobli po lewej stronie Wisły i tworzącego prawą stronę naszych linii umocnień, która obejmowała jeszcze dwie baterie znajdujące się po drugiej stronie rzeki. Wszystkie te konstrukcje były otoczone palisadami, miały swoje baraki i magazyny prochu. Ponadto rozkazałem zbudować dwa obozy składające się z baraków; jeden dla pomieszczenia czterystu ludzi, na skraju po lewej stronie za baterią Kirgeura, a drugi dla stu pięćdziesięciu ludzi za baterią Montbruna. Część tej linii umocnień, która rozciągała się od baterii Montbruna do baterii Gudina, była połączona rodzajem przykrytej drogi. Teren, który znajdował się po lewej stronie od naszej linii umocnień, był wystarczająco trudny i sam w sobie stanowił dobrą przeszkodę. Uważałem ponadto, że w części tych umocnień należy pozostawić sobie możliwość działania ofensywnego.

Orunię również przygotowano do obrony. Wiele domów ze starannie zamkniętymi oknami, połączonych ze sobą wałami ziemnymi i palisadami, a do których jedyne dojście prowadziło przez groble otoczone dosyć głęboką wodą, stanowiło zaawansowane umocnienia nazywane pierwszymi szańcami Orunii. Drugie, znajdujące się dwieście sążni z tyłu, składały się z tych samych elementów, a oparte były o duży klasztor jezuitów, który został ufortyfikowany. Umocniono także wzgórza i wąwozy na przedmieściach. Reduty, które tam powstały, miały uniemożliwić wrogowi skierowanie się ku nam i wkrótce stały się sławne pod nazwą baterii i linii obronnej Frioul.

Gdy wykonywaliśmy te prace nieprzyjaciele często atakowali nasze wysunięte posterunki. Celami ich ataków były kolejno Siedlce, Orunia, Chełm (Schidlitz, Ohra, Stolzenberg). Gdy we wszystkich tych miejscach ataki zostały odparte, spróbowali w kierunku Stogów (Heubude); tutaj trafili jednak na zdecydowanie przewyższającego ich gracza: komendant Carré, stary żołnierz, zachowujący pełną czujność i odznaczający się przebiegłością, dostrzegł kolumny nieprzyjaciół i udało mu się tak je wymanewrować, że zaatakowały się nawzajem, a on wycofał się bez strat z krytycznej sytuacji.

Zawstydzeni tak okrutnym fortem Rosjanie liczyli na wzięcie rewanżu przez zajęcie fortu Kabrun. Otoczyli go, ruszyli w górę, ale zatrzymał ich niszczycielski ogień kierowany

przez kapitana Nazzewskiego; wycofali się pozostawiając rowy wypełnione ciałami poległych. Raz jeszcze zwrócili się na Siedlce. Przy pierwszym ataku zostali zmuszeni do ucieczki, ale powrócili ze świeżą siłą i nowym impetem; jednak adiutant-major Bouttin, kapitanowie Kleber i Feuillada, do tego stopnia pobudzili odwagę swoich żołnierze, że rzucili się oni na wrogi i pokonali ich.

Flota również nie próżnowała. O czwartej rano, o świcie, ukazała się w szyku bojowym. Dwa dni wcześniej poniosła porażkę kompletnie marnując ponad siedem tysięcy strzałów z dział okrętowych. Wstyd i pragnienie zemsty pobudzało nieprzyjaciół do walki: było to jak eksplozja wulkanu. Fregaty i kanonierki zagrzmiały w jednej chwili zasypując nas gradem pocisków. Dużo jednak jeszcze brakowało, aby naruszyć nasze baterie, które odpowiadały z regularnością i chłodną precyzją. Oficerowie i żołnierze nie baczą na niebezpieczeństwo i koncentrują się jedynie na zwycięstwie. Jeden z artylerzystów, którego zadaniem było czyszczenie lufy, stracił ramię – kapitan Pomerenski zastępuje go i wypełnia jego obowiązki. Sierżant Viard wystrzeliwuje kule rozgrzane do czerwoności i trafia jak na poligonie; porucznik Milewski dowodzi i nadzoruje swoich artylerzystów, zatapia jedną kanonierkę i uszkadza inne zmuszając je do odwrotu. Kapitan Leppigé, sierżant-major Zackowski, sierżant Radzinski, kapral Multarowski, dali najznamienitsze przykłady opanowania i umiejętności. Kapitan Henrion, porucznik Haguenuy, kapitan fregaty Rousseau, marynarze Despeistre i Costo, kapralowie Davis i Dubous, dopadli do dział i nie przestali strzelać, aż zmusili wroga do ucieczki. Flota, przekonana o bezużyteczności swoich wysiłków, oddaliła się na otwarte morze, z (wątpliwą) satysfakcją, że wystrzeliła dziewięć tysięcy pocisków zabijając przy tym dwóch naszych ludzi i rozbijając dwa działa; sama straciła jednak dwie kanonierki, dziewięć dalszych zostało poważnie uszkodzonych, a fregaty były podziurawione od naszych pocisków i kul.

Wkrótce musieliśmy stawić czoła potężniejszemu wrogowi. Wody Wisły nagle się podniosły, zalały albo przerwały tamy, i toczyły się z impetem. Umocnione punkty i fortyfikacje stały się ofiarą wysokich fal. Mosty zostały zmiecione, śluzy zniszczone, groble poprzerywane. Wody, teraz już bez przeszkód, zalewają okopy i osłabiają bastiony. Bastiony Boeren (Bär ?, Miś) i Braunn Ross (Gniady Koń) zostały zrujnowane i należało się obawiać, że, gdy Wisła wróci do swojego naturalnego koryta, nie damy rady utrzymać wysokiego poziomu wody, co przy zniszczeniach fortyfikacji byłoby dla nas zgubne. Na szczęście nasze wojska inżynieryjne czuwały nad sytuacją i odpowiednio reagowały w tej krytycznej chwili. Dzięki umiejętności i konsekwencji udało się naprawić niektóre zniszczenia i przeprowadzić niezbędne prace. Kiedy rzeka opadła, okazało się, że jej poziom zasilany przez kanały Żuław obniżył się prawie niezauważalnie.

Przyszła kolej na ruch Rosjan. Skorzystali z trudnej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się z związku z wezbraniem wód. Podciągnęli nowe baterie dział i dnia 15 listopada ukazało się nam około 20 dział największego kalibru. Flota również znalazła się ponownie przed naszymi fortami. Masy piechoty były gotowe do szturm, gdy tylko udałoby się zniszczyć palisady. Trzy moździerzowce i czterdzieści kanonierek lunęło ogniem i stała na Nowy Port (Neufahrwasser). Niebezpieczeństwo wcale nie osłabiło ducha naszych żołnierzy, a tylko dodało im animuszu. Przysięgają, że zwyciężą, przysięgają, że agresorów spotka kara. Żołnierze liniowi biegną do dział, artylerzyści celują, jak na manewrach, uszkadzają

i unieszkodliwiają wiele kanonierek. Nagle słysząc wielką eksplozję: kula trafiła w sainte-barbe [miejsce, gdzie na dawnych okrętach przechowywało się proch i amunicję], jeden słup zniknął. Eksplozja się powtarza. Gratulujemy sobie, dodajemy sobie otuchy, płoniemy chęcią naśladowania tych dzielnych żołnierzy, którzy strzelają z tak podziwu godną precyzją. Trzy statki prawie w tym samym czasie padły ofiarą płomieni, a pierwsza linia okrętów prawie w całości zamieniona we wraki wycofała się. Druga linia zajęła jej miejsce, ale nie odniosła większych sukcesów. Aby nie zmieniać siły ognia, zmieniają się co trzy godziny. W końcu, zniechęceni oporem stawianym przez naszych odważnych żołnierzy, doskonałą dyspozycją pułkownika Rousselota, czujnością majora François, flota wycofała się, aby dokonać koniecznych napraw. Dwanaście godzin walki, 20 tysięcy oddanych strzałów z dział okrętowych, a wynikiem było zabicie i zranienie pół tuzina naszych ludzi oraz uszkodzenie trzech stanowisk prowadzenia ognia. To była ostatnia próba. Parę miesięcy wcześniej byłaby pełnym sukcesem, ale teraz byliśmy przygotowani, cóż – na wojnie trzeba umieć wykorzystywać każdy sprzyjający moment.

Wojska lądowe odniosły większy sukces. Zatakowały nasze posterunki przed Orunią i przejęły bastion na wzgórzu po prawej stronie wsi. Major Legros nie pozwolił, aby się tam zadomowili; cztery elitarne kompanie, pod dowództwem kapitanów Valarda i Aubry'ego, ruszyły od razu do ataku. Zaskoczyły Rosjan i rozbiły ich w puch. Na próżno przyszły im do pomocy nowe siły: odrzucone, zmuszone do ucieczki, rozpraszają się, ale nie tracą serca do walki. Próbują raz jeszcze, ale napotykają na niszczycielski ogień muszkietów, cofają się w nieładzie i wpadają z kolei pod ogień dwóch kompanii umieszczonych we wsi Chmielniki Oruńskie (Stadtgebieth, na południe od Starych Szkotów, teren nazywany także Oruńskie Przedmieście), które je całkowicie unicestwiły.

*Tłumaczenie: Piotr Napiwodzki*

Radosław Kubus, Katarzyna Gentkowska-Kubus



## **BAŁAMUTNI SZTUMIANIE, KŁAMLIWI GNIEWIANIE... I TORUŃSKIE PANIĘTA**

**EDYCJA STAROPOLSKIEGO WIERSZA  
SATYRYCZNEGO NA MIASTA PRUSKIE  
Z POŁOWY XVII WIEKU**

Celem tego artykułu jest próba edycji źródłowej staropolskiego wiersza satyrycznego pochodzącego najprawdopodobniej z II połowy XVII w. Prześmiewczy pamflet na miasta pruskie został odnaleziony podczas kwerendy w Archiwum Państwowym w Gdańsku. Utwór wierszowany zachował się w rękopiśmiennej kronice malborskiego burmistrza Samuela Wilhelmięgo (1663–1730) zatytułowanej „Collectanea unterschiedener in Europa, meistens theils aber in Königreich Polen und dazzu gehörigen Landen vorgefallenen Begebenheiten“ z lat 1696–1726<sup>1</sup> (il. 1).

Kronika Wilhelmięgo została wydana drukiem na przełomie XIX i XX wieku przez syna wybitnego elbląskiego historyka Maxa Toeppena – Roberta<sup>2</sup>. W 2006 roku jej reedycji dokonali Rainer Zacharias i Reinhard Wenzel<sup>3</sup>. Rainer Zachariasz w tej samej serii wydał także reprint dzieła słynnego żuławskiego pastora z miejscowości Dworek – Abrahama Hartwicha<sup>4</sup>. O ile praca tego ostatniego jest na tyle popularna, że zna ją właściwie każdy, kto zgłębia historię Żuław, to z kroniką malborskiego burmistrza rzecz ma się zgoła inaczej. Z tego też względu warto pokrótce scharakteryzować jej treść.

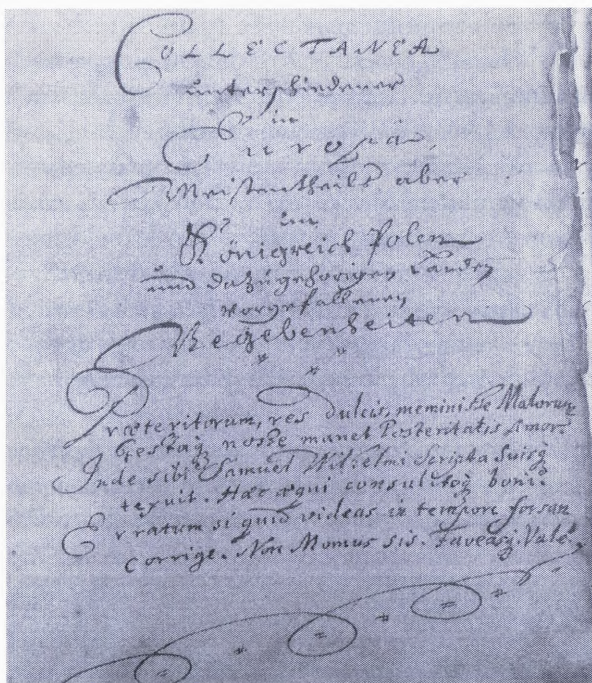
Zachowana w rękopisie kronika liczy w sumie 1616 stron i obejmuje lata 1696–1726. Wbrew tytułowi, który sugeruje, że dotyczy głównie określonych wydarzeń w dziejach Europy, ze szczególnym uwzględnieniem ziem Polski, szereg zawartych w niej zapisów odnosi się do regionu Prus Królewskich, przede wszystkim zaś Malborka, a także Żuław.

Dużo miejsca w kronice poświęca Wilhelmi opisowi wielkiej wojny północnej. Przytacza także informacje na temat królewskich wizyt w Prusach Królewskich, w tym w szczególności w Malborku. Co więcej, autor kroniki podaje także szereg anegdot związanych z życiem i przymiotami panującego wówczas w Rzeczypospolitej Augusta II. Wspomina m.in. o tym, że władca Polski miał mieć nadludzką moc, co przejawiało się tym, iż giął w rękach srebrne misy, talerze oraz talary, a schwytanego na polowaniu jelenia łapał za poroże i obalał na ziemię. Wilhelmi z wielką skrupulatnością podaje informacje o wszelkich klęskach

<sup>1</sup> Archiwum Państwowe w Gdańsku [dalej APG], 508/1245. (pol. Zbiór różnych wydarzeń zaistniałych w Europie, głównie zaś w Królestwie Polskim i należących do niego ziem).  
<sup>2</sup> *Samuel Wilhelmi Marienburgische Chronik 1696–1726*, hrsg. von R. Toeppen, Teil 1–6, Marienburg 1897–1903.

<sup>3</sup> Samuel Wilhelmi, Robert Toeppen, *Collectanea. Marienburg in schwerer Zeit. Aufzeichnungen eines preussischen Bürgermeisters zwischen 1696 und 1726*, ed. v. Rainer Zacharias, Reinhard Wenzel (Preussen unter Nachbarn, Bd. 7, Sonderschriften des Vereins für Familienforschung in Ost- und Westpreussen, Nr. 106), Frankfurt am Main–New York 2006.

<sup>4</sup> Abraham Hartwich, *Geographisch-historische Landes-Beschreibung derer dreyen im Pohl-nischen Preußen liegenden Werdern, als des Dantziger-, Elbing- und Marienburgischen*, (ed.) Rainer Zacharias (Preußen unter Nachbarn. Studien und Quellen, Bd. 3), Frankfurt am Main 2002.



Il. 1. Strona tytułowa kroniki burmistrza Samuela Wilhelmięgo z lat 1696–1726. Źródło: APG, 508/1245

najdziemy również szereg wpisów dotyczących zjawisk astronomicznych, m.in. wszelkich zaćmień, zorzy polarnych, koniunkcji planet, komet oraz pojawienie się kilku słońc na firmamencie. Co ciekawe, w rękopiśmiennej kronice tego typu opisy opatrzone są niekiedy rysunkiem poglądowym (il. 2).

W kronice Wilhelmi przytacza zarówno wydarzenia regionalne, jak również ogólnoeuropejskie. O ile te pierwsze z pewnością tworzy w oparciu o własne spostrzeżenia oraz relacje bezpośrednich świadków wydarzeń, to wydarzenia ogólnoeuropejskie opisuje

elementarnych, które nawiedzały wówczas rejon Prus Królewskich. Znajdziemy tu m.in. dokładny opis wielkiej zimy z 1709 roku oraz mającą miejsce mniej więcej w tym samym czasie epidemię dżumy. Poza tym autor przytacza informacje o powodziach, spływach lodu na Nogacie i przerwaniach wałów przeciwpowodziowych na Żuławach. W kronice odnotowano także grabobicia, pożary oraz niezwykle zjawiska, takie jak „przemiany wody w krew”, czy narodziny zdeformowanych ludzi i zwierząt. W przypadku tych ostatnich odnotowano także występujące wówczas zarazy. W kronice pojawiają się także informacje o inwestycjach prowadzonych w latach 1696–1726 w Malborku, m.in. informacja o wybudowaniu wieży na kościele Św. Jerzego. W źródle od-



Il. 2. Rysunek trzech słońc, które zgodnie z relacją Wilhelmięgo miały być widziane nad Malborkiem 11 marca 1699 roku. Źródło: APG, 508/1245.

korzystając z bardzo popularnych wówczas gazet rękopiśmiennych<sup>5</sup>. To właśnie z nich czerpie informacje o trzęsieniach ziemi, nadzwyczaj długowiecznych ludziach, przypadkach nadzwyczajnych urodzajów bądź nieurodzajów, katastrofach budowlanych, nieszczęśliwych wypadkach i zabójstwach, intronizacjach i abdykacjach oraz ciekawostkach z życia monarchów, w tym przede wszystkim sułtanów tureckich. Z pewnością to również z prasy rękopiśmiennej pochodzi informacja o wyłowieniu w roku 1723 z Zatoki Lizbońskiej nieznanego dotychczas ryby. Choć tego typu informacji o „egzotycznych stworzeniach” znajdziemy w kronice więcej, to jednak, co ciekawe, jedynie informacja o „lizbońskim okazie” opatrzona została niezwykle dokładnym opisem (*Beschreibung und Figur desjenigen grossen Fisches so im Januario laufenden Jahres zu Lissabon in Portugal gefangen worden*), do którego dodano również niezmiernie interesującą ilustrację, na której ryba łudząco przypominała wieloryba (il. 3).

Kronika Wilhelmię w przeważającej części spisana została po niemiecku, aczkolwiek wielokrotnie pojawiają się w niej wypisy sporządzone po łacinie. Znacznie rzadziej występują zapisy w języku polskim. Wśród owych incydentalnych polskojęzycznych wpisów



Il. 3. Rysunek dużej ryby wyłowionej u wybrzeży Portugalii w styczniu 1723 roku. Źródło: APG, 508/1245.

znajduje się wiersz satyryczny odnoszący się do mieszczan poszczególnych miast w Prusach Królewskich. Odnotowana w kronice pod rokiem 1721 satyra musiała krążyć w różnych odpisach po całej Rzeczpospolitej. Jej okrojoną wersję znalazł bowiem jeszcze przed wojną Karol Górski w Herbarzu Pruskim w dziale rękopisów Biblioteki Warszawskiej. Tak pisał wówczas o swoim znalezisku wybitny mediewista: „Taki oto wierszyk kursował po miastach pomorskich gdzieś w końcu wieku XVII lub w połowie XVIII (...). Odbiło się w nim całe życie dawnego, polskiego Pomorza, z jego humorem i satyrą”<sup>6</sup>. Za Karolem Górskim wiersz ten cytował kilkakrotnie P. Kitowski, który nie pokusił się jednak o jego analizę, a co więcej

<sup>5</sup> Zob. K. Maliszewski, *Obraz świata i Rzeczpospolitej w polskich gazetach rękopiśmiennych z okresu późnego baroku. Studium z dziejów kształtowania się i rozpowszechniania sarmackich stereotypów wiedzy i informacji o „Theatrum mundi”*, Toruń 1990.

<sup>6</sup> K. Górski, *Pochwała miast Pruskich*, „Kurier Poznański” 4.1.1930, nr 6, s. 8.

nie potrafił rozszyfrować nazw niektórych miast Prus Królewskich w nim występujących (chodzi przede wszystkim o miasto *Nitich*)<sup>7</sup>.

W przytoczonym powyżej fragmencie z notki prasowej Karol Górski wzmiankuje, jakoby wiersz pochodził z końca wieku XVII lub połowy wieku XVIII. Odnaleziona przez nas wersja jednoznacznie wskazuje, że wiersz musiał powstać przed rokiem 1721. Co więcej, warto zauważyć, że wśród wymienionych w wierszu miast prawdopodobnie brakuje założonego w 1643 roku Wejherowa, co mogłoby wskazywać na to, że data powstania satyry to względem założenia miasta *terminus ante quem*. Potwierdzić tę hipotezę mogą jednak wyłącznie kolejne kwerendy, w wyniku których udałoby się znaleźć większą ilość wersji tego satyrycznego wiersza. Ponieważ, jak już wspomniano, odnaleziona przez Karola Górskiego egzemplum różni się nieco od tego odkrytego przez nas, warto je w tym miejscu zaprezentować w formie edycji.

Nasze działania ograniczyły się do wiernego odpisu źródła. Zdecydowaliśmy się zachować oryginalną pisownię (transkrypcję) opatrując niejasne terminy komentarzem w przypisie. W miarę możliwości staraliśmy się zestawić i porównać tekst źródła z wypisem sporządzonym przez Karola Górskiego. Na końcu zamieszczamy ilustracje dwóch oryginalnych fragmentów rękopiśmiennej kroniki Wilhelmięgo, na których znajduje się satyryczny wiersz będący podstawą niniejszej edycji (il. 4, il. 5). Z pewnością pytaniem badawczym na przyszłość pozostaje kwestia powiązania przymiotów przypisywanych mieszczanom poszczególnych miast Prus Królewskich z rzeczywistością. A zatem odpowiedź na pytanie o to, na ile dane określenia miały charakter prześmiewczy i satyryczny, na ile natomiast odzwierciedlały rzeczywistą sytuację mieszczan poszczególnych ośrodków miejskich w Prusach Królewskich.

Vulgus de Civitatibus in Regali Prussia talia olim passim sparsit Elogia<sup>8</sup>

We Gdąsku Xiążęta,  
w Thoruniu Panięta<sup>9</sup>,  
w Elblągu Lemani<sup>10</sup>,  
w Brodniczy Furmani<sup>11</sup>,

<sup>7</sup> P. Kitowski, *Zmiany w składzie samorządu małego miasta pomorskiego w II połowie XVIII wieku. Z dziejów ustroju miejskiego w Prusach Królewskich XVI–XVII wieku*, „Gdańskie Studia Prawnicze”, T.XXXIV, 2015, s. 29, przyp. 1; Idem, *Wokół przygotowań do wydania „Praktyki Kryminalnej to jest wzoru rozważnego y porządnego spraw kryminalnych sądzienia” Jakuba Czechowicza w 1746/1747 roku*, „Czasopismo Prawno-Historyczne”, T. LXVII, 2015, z. 2, s. 89, przyp. 9.

<sup>8</sup> W tłumaczeniu na język polski – „Lud niegdyś o mieszczanach w Prusach Królewskich, takie rozsiał powiedzenia”. K. Górski podaje nieco zmieniony tytuł tego wierszyka, tj. „Elogia a vulgo sparsa de civitatibus pruthenicis (pol. *Powiedzenia przez lud rozsiane o mieszczanach pruskich*)” – zob. K. Górski, op. cit., s. 8. Za pomoc w tłumaczeniu z języka łacińskiego na język polski dziękujemy Piotrowi Osińskiemu.

<sup>9</sup> W tym przypadku chodzi zapewne o paniczów. – Zob. M.S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. II, cz. 2 (P), Lwów 1811, s. 624.

<sup>10</sup> Lemani byli lennikami zobowiązanymi do pełnienia służby zbrojnej w zamian z nadane dobra ziemskie. K. Bruski wskazuje, że pod względem zakresu swobód czy pozycji majątkowej lemiani zbliżeni byli do sołtysów, jednak w odróżnieniu od nich nie sprawowali żadnych funkcji urzędowych. – zob. K. Bruski, *Szesnastowieczne lemaństwa w dobrach królewskich na Pomorzu Gdańskim i ich geneza. Cz. I: Starostwo gniewskie*, [w:] *Pomerania–Prussia–Polonia. Rozprawy ofiarowane prof. Wiesławowi Długockiemu z okazji 65. urodzin*, (red.) R. Kubicki, Gdańsk 2022, s. 120.

<sup>11</sup> Furman – rozwoźnik, obierający się przewożeniem towarów z miejsca za dogodzony frocht – zob. – zob. M.S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. I (A–F), Lwów 1854, s. 679. Szerzej na temat średniowiecznej funkcji furmana zob. – W. Długocki, *Przewozy na Żuławach na tle sieci drożnej w średniowieczu*, [w:] *Wisła w dziejach i kulturze Polski. Osadnictwo nad Dolną Wisłą w średniowieczu*, (red.) S. Gierszewski, Warszawa 1989, s. 167–180.

w Golubiu Szypprowie<sup>12</sup>,  
w Lasinie<sup>13</sup> Ostowie<sup>14</sup>,  
w Grudziądzu Kupczycy,  
we Swieciu Prawnicy,  
w Chelmie<sup>15</sup> Prawodawcy,  
w Chełmży Marnotrawcy,  
w Malborku Kaczmarze,  
w Lubawie Piwowarze,  
w Nitychu<sup>16</sup> Swiniarze,  
w Choynicach<sup>17</sup> Rolnicy,  
w Tucholi Nędzincy<sup>18</sup>,  
w Pucku Rybacy,  
w Launburgu<sup>19</sup> Driwacy<sup>20</sup>,

w Koscierzynie Żebracy,  
w Szluchowie<sup>21</sup> Misericacy<sup>22</sup>,  
w Skarszewach Smolnicy<sup>23</sup>,  
w Starogardzie Bartnicy,  
w Bytowie Piianicy<sup>24</sup>,  
w Gniewie<sup>25</sup> Łgarze,  
w Nowym<sup>26</sup> Chmielarze<sup>27</sup>,  
w Czczewie<sup>28</sup> Praktykarze<sup>29</sup>,  
w Radzinie<sup>30</sup> Przymachlarze<sup>31</sup>,  
w Kowalewie Prostacy,  
w Wąbrzeźnie Rządzakacy<sup>32</sup>,

<sup>12</sup> Szyper – dozorca pierwszy okrętowy. Szyper ma dozór nad statkiem i zwierzchność nad flisami, ma pomieszkanię na budzie. Szypprowie na statkach pańskich mają moc zupełną do przedania lub zamienia towarów sobie powierzonych. – Zob. M.S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. 3, cz. 3 (R–T), Warszawa 1812, s. 587.

<sup>13</sup> Chodzi o miasto Łasin (niem. *Lessen*).

<sup>14</sup> Na to dlaczego mieszkańcy Łasina w wierszyku określa się mianem osłów, nieco światła rzuca fragment relacji podróżującego przez Prusy w 1635 roku dyplomaty francuskiego Karola Ogiera, który pisał: „przejeżdżaliśmy przez miasto Reysen albo Radzyn, spalone i zniszczone przez Szwedów, jednak pięknie położone. Stąd przybyliśmy do miasta Łasina (*Lessen*), także przez Szwedów zburzonego. Nie masz zaiste rzeczy równie żalostnej i strasznej, jak widok tych ruin: widzieć jak ludzie, którzy pamiętają, że przed niewieloma laty byli obywatelami kwitnącego miasta, żyją jakby zagrzebawszy się w zwaliska i nory swych własnych domów i, jeśli tylko ujrzą nadchodzących obcych ludzi, stale strachają się, rzucają do ucieczki i kryją do swych jam, jakby tym, co mogą ujrzeć, byli zawsze tylko Szwedzi albo wilki”. – Cyt. za J. Wijaczka, *Gospodarka Prus Królewskich*, [w:] *Prusy Królewskie. Społeczeństwo–Kultura–Gospodarka 1454–1772*, (red.) E. Kizik, Gdańsk 2012, s. 174.

<sup>15</sup> Chodzi o miasto Chełmno (niem. *Culm*).

<sup>16</sup> Karol Górski w swoim odpisie określa to miasto mianem „Nitychu”. – Zob. Idem, op. cit., s. 8. Piotr Kitowski z kolei odpisuje nazwę miasta za Karolem Górskim opatrując ją znakiem zapytania. Miasto którego nie udało się Kitowskiemu zidentyfikować to z pewnością Nowy Staw, który jeszcze krótko po II wojnie światowej określano mianem Nitychu. – zob. P. Kitowski, *Wokół przygotowań...*, s. 89, przyp. 9; idem, *Zmiany w składzie samorządu małego miasta pomorskiego...*, s. 29, przyp. 1.

<sup>17</sup> Chodzi o miasto Chojnice (niem. *Konitz*).

<sup>18</sup> Prawdopodobnie jest to błąd autora, chodziło o nędzników.

<sup>19</sup> Chodzi o miasto Łębork (niem. *Lauenburg*).

<sup>20</sup> W odpisie K. Górskiego występuje nazwa „dziwacy” – zob. Idem, op. cit., s. 8.

<sup>21</sup> Chodzi o miasto Człuchów (niem. *Schlochau*).

<sup>22</sup> Słownik XVI-wiecznej polszczyzny termin „mizerak” definiuje jako „nieszczęśliw, biedak, człowiek nikczemny, podły” – zob. <https://spxvi.edu.pl/indeks/haslo/66989> [dostęp: 30.06.2023].

<sup>23</sup> Słownik Samuela Bogumiła Lindego definiuje termin „Smolak, Smolarz, Smolnik”, jako tego „co robi smotę, i co smołą polewa”, „co z drzew smotę wypala”. – M.S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. V (R–T), Lwów 1859, s. 362.

<sup>24</sup> Pijanica – pijak, opój – <http://www.staropolska.pl/slownik/?nr=0&clitera=pijanica&cid=1593> [dostęp: 30.06.2023].

<sup>25</sup> Chodzi o miasto Gniew (niem. *Mewe*).

<sup>26</sup> Chodzi o Nowe nad Wisłą (niem. *Neuenburg*). W XVI wieku miasto znajdowało się w województwie pomorskim w powiecie nowskim. Do roku 1772 znajdowała się na zamku w mieście siedziba starostów polskich. – *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. 7, Warszawa, 1880–1914, s. 217.

<sup>27</sup> Słownik XVI-wiecznej polszczyzny termin „chmielarz” definiuje jako „zbieracza chmielu, albo człowieka uprawiającego chmiel” – zob. <https://spxvi.edu.pl/indeks/haslo/45960> [dostęp: 30.06.2023].

<sup>28</sup> Chodzi o miasto Tczew (niem. *Dirschau*). Warto odnotować, że to miasto nie znajduje się w wersji wierszyka która została opublikowana przez K. Górskiego na łamach „Kuriera Poznańskiego” – zob. K. Górski, op. cit., s. 8.

<sup>29</sup> Praktykarz – przepowiedacz, wieszczbiarz, wróżbita, znachor, intrygant – zob. [https://pl.wikisource.org/wiki/M.\\_Arcta\\_Słownik\\_Staropolski/Praktykarz](https://pl.wikisource.org/wiki/M._Arcta_Słownik_Staropolski/Praktykarz) [dostęp: 30.06.2023].

<sup>30</sup> Chodzi o miasto Radzyń Chełmiński (niem. *Rehden*). Podobnie jak w przypadku Tczewa, również to miasto nie znalazło się w wersji wierszyka opublikowanego przez K. Górskiego – zob. K. Górski, op. cit., s. 8.

<sup>31</sup> Machlarz – osoba czerpiąca zyski z nieuczciwych interesów, pośrednik w sprawach kupna i sprzedaży za określoną prowizją – zob. <https://sjp.pl/machlarz> [dostęp: 30.06.2023].

<sup>32</sup> W wersji opublikowanej przez K. Górskiego jest „również tacy” – zob. K. Górski, op. cit., s. 8.

w Nowym Mieście<sup>33</sup> Knapczyca<sup>34</sup>,  
w Kiszporku<sup>35</sup> Trefnicy<sup>36</sup>,  
w Sztumie Balamucy<sup>37</sup>,  
Gdzie co wezmie, tam porzuci.

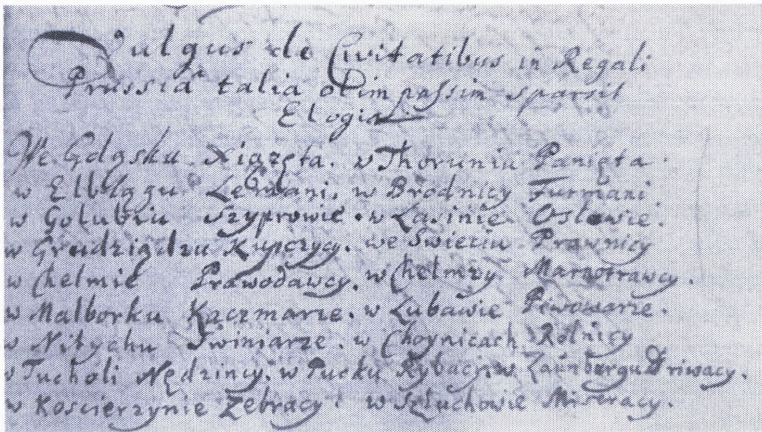
<sup>33</sup> Zapewne chodzi o Nowe Miasto Lubawskie (niem. *Neumark*). Niewykluczone jednak, że może chodzić o Wejherowo (niem. *Neustadt*). Również to miasto nie znalazło się w wersji wierszyka opublikowanego przez K. Górskiego – zob. K. Górski, op. cit., s. 8.

<sup>34</sup> Knapstwo – sukiennictwo – zob. M.S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. II (G–L), Lwów 1855, s. 388.

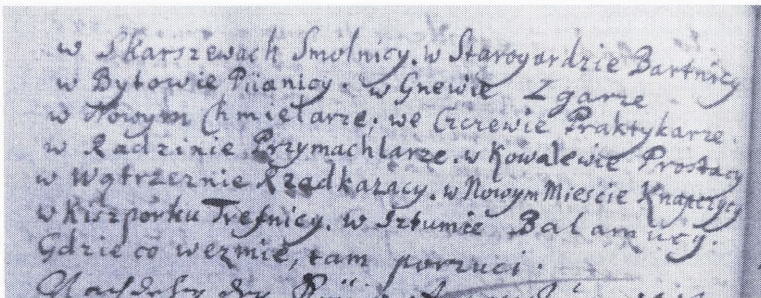
<sup>35</sup> Chodzi o miasto Dzierżoń (niem. *Christburg*).

<sup>36</sup> Trefiń, Trefniń, Trefniarz, Trefniń, Trefniczek – żartowniś – zob. M.S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. V (R–T), Lwów 1859, s. 701.

<sup>37</sup> Balamucić – głupim gadaniem, postępowaniem, zawód czynić, zamącić, zawikłać, słowy i postępkami balamutem się okazać. Balamucić kogo, zbalamucić kogo – zwodzić, uwodzić go, w takie położenie wprowadzać, żeby nie wiedział, czego się trzymać – zob. M.S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. I (A–F), Lwów 1854, s. 47.



Il. 4. Fragment wiersza satyrycznego na miasta Prus Królewskich. Źródło: APG, 508/1245.



Il. 5. Fragment wiersza satyrycznego na miasta Prus Królewskich. Źródło: APG, 508/1245.

## Ricardo



# Z MORDERCAMI NA MIEJSCU PRZESTĘPSTWA

(„DANZIGER VOLKSSTIMME”, 02.04.1930)

*Richard Teclaw (Ricardo) urodził się 1 lutego 1896 roku w Lautenburgu (dziś Lidzbark Wel-ski) w rodzinie urzędniczej. Wraz z rodziną zamieszkał w Gdańsku w roku 1905. Początkowo miał się różnych zajęć, jednak od roku 1925 rozpoczął dwunastoletnią współpracę z lewicowym czasopiśmie „Danziger Volksstimme”, na łamach którego publikował swoje, podpisywane często pseudonimem Ricardo teksty, głównie reportaże sądowe, choć w kręgu zainteresowań Teclawa znalazła się również gdańska tematyka kulturowo-obyczajowa. Jako bezkompromisowy krytyk poczynił narodowych socjalistów w Wolnym Mieście Gdańsku zmuszony był udać się w maju 1933 roku na polityczną emigrację do Austrii i Czechosłowacji, w roku 1939 do Wielkiej Brytanii, gdzie współpracował z niemieckojęzycznymi pismami emigracyjnymi. Zmarł w Londynie 21 lipca 1956 roku. W 1930 roku opublikował wybór swych pism publicystycznych w książce zatytułowanej „Diskretion... Ehrensache!”*

*W roku 2021 ukazał się pierwszy tom jego reportaży, przetłumaczony przez Janusza Mosakowskiego i opatrzony wstępem przez Petera Olivera Loewa (Richard Teclaw, Reportaże z Wolnego Miasta Gdańska 1926–1928). W przygotowaniu znajduje się kolejny tom, obejmujący lata 1929–1930.*

## WIZJA LOKALNA W BORETACH<sup>1</sup> – MORDERCY WDOWY SKODELL REKONSTRUUJĄ PRZESTĘPSTWO

Przed gospodą w Palczewie<sup>2</sup> stoi spora grupa mieszkańców wsi. Mężczyźni, kobiety i dzieci w najrozmaitszym wieku znaleźli czas, by wytrwać w tym miejscu przez wiele godzin. Stoją tam w milczeniu i czekają. Wiosenne słońce świeci ciepło i obficie z promienie niebieskiego nieba, tak więc da się tu wytrzymać. Każdy człowiek we wsi już wie, że wielki zielony samochód szupo<sup>3</sup> po tamtej stronie dopiero co przywiózł Hermanna Maitza

<sup>1</sup> Oryg. 'Barendt' [przyp. tłum.]

<sup>2</sup> Oryg. 'Palschau' [przyp. tłum.]

<sup>3</sup> Schupo - skrót od Schutzpolizei – policja ochronna, prewencyjna [przyp. tłum.]

i Friedricha Brandta w towarzystwie urzędników policji kryminalnej. Hermanna i Friedricha zna każde dziecko we wsi, bo przecież każdy zna każdego w tej wiosce i najbliższej okolicy.

## **Plotki we wsi**

Ci dwaj nie byli zbyt lubiani; siedzieli w więzieniu, z drogi lepiej było zejść zwłaszcza temu dużemu, Hermannowi Maitzowi, który kiedyś dokonał już napadu rabunkowego na jakiegoś starego mężczyznę. Friedrich Brandt, ten – powiadają ludzie - nie był wcale taki zły, no ale kradł i włamywał się też, ostatecznie jednak był całkiem miłym gościem i w to, że miałby razem z Maitzem zabić w Borętach wdowę Skodell, trudno było przez dłuższy czas tak naprawdę uwierzyć. Przypuszczenia dotyczące Maitza pojawiły się natychmiast i plotkowano o tym we wsi już od dłuższego czasu. Plotka, która właściwie powstała z niczego i która po takim przestępstwie zawsze gdzieś tam powstaje, oskarżając często tylko tego, któremu otoczenie nie potrafi okazać żadnej sympatii. Jednak w tym wypadku mieszkańiec wioski zarobi aż

## **tysiąc guldenów nagrody**

wyznaczonej przez prezydenta gdańskiej policji za schwytanie morderców. Ludzie wskazują potajemnie na mężczyznę, któremu przypadnie w udziale owo niesłychane bogactwo a z oczu opowiadających bije coś w rodzaju zazdrości. Nie jest do końca pewne, czy sam otrzyma całą sumę, bo przecież są jeszcze inni...

„Wie pan, panie”, opowiada starszy mężczyzna, który zdaje się być najlepszym kronikarzem wioski, „ja też mógłbym zarobić sobie te pieniądze, ale jak się jest starym, to człowiek nie chce mieć jeszcze do czynienia na stare lata z mordercami”.

Sensu tych zagadkowych słów nie sposób dalej dochodzić, bowiem w szpalerze ciekawskich nastąpiło poruszenie:

## **urzędnicy wyprowadzają z gospody Hermanna Maitza,**

właściwego mordercę wdowy Skodell, tego, który z zimną krwią, zachowując całkowity spokój, wbił klingę noża w gardło starej kobiety. Idzie przez wieś z nisko opuszczoną głową. Rudawy, dziko rozrośnięty, kilkudniowy zarost nadaje mu, jak to ludzie poszeptują, zupełnie niezwykły wygląd. Ale poza tym jest on absolutnie tym, kogo dokładnie znają i któremu nigdy nie chcieli okazać przyjaznych uczuć. Ma na sobie brązowy garnitur z tkaniny manchester<sup>4</sup> i sportową czapkę, którą nasunął głęboko na oczy. Mieszkańcy wsi gapią się na pochód. Nie rozbrzmiewa żadne słowo, żadna uwaga. Urzędnicy w milczeniu prowadzą

<sup>4</sup> Trwała i tania tkanina z nici bawełnianych lub wełnianych, stanowiąca rodzaj szerokiego sztruksu [przyj. tłum.]

związanego mordercę do mieszkania jego rodziców. Cisza ma w sobie coś paraliżującego i kiedy Maitz oddała się z eskortą, wtedy dopiero przetaczają się przez tłum szepty i pomruki. Morderca ma odszukać w mieszkaniu narzędzie zbrodni, czyli szczyryk, którego aż do dzisiaj nie można było odnaleźć. Przechadzka jest daremna. Nieco później

### **powtarza się spektakl z Brandtem.**

Auto zawozi go do Nowej Cerkwi<sup>5</sup> do rodzinnego domu, by zabrać stamtąd laskę, którą wziął ze sobą na przestępstwo i którą zdzielił kilkakrotnie zwłoki. Jego także odprowadza milczeniem tłum ciekawskich.

Obaj mordercy są już od dawna w gospodzie, którą policja kryminalna wybrała na pomieszczenie do przesłuchań. Powoli zbliża się południe. Godziny ślimaczą się niechętnie, jednak szpaler ciekawskich nie rusza się z miejsca i nie chwieje. Ma nadzieję na jakąś sensacyjną wieść, która nie chce nadejść. Tymczasem policja przesłuchuje w środku nową grupę ludzi. Najdrobniejsza okoliczność, która w jakikolwiek sposób ma związek z ohydny czynem, będzie uwieczniona protokolarnie.

A potem, gdzieś około godziny pierwszej, urzędnicy są już na finiszu. Temat Palczewa, czyli punktu wyjścia przestępstwa, jest - zgodnie z aktami - wyczerpany. Tutaj nie ma już więcej materiału dla dochodzenia.

Południowe słońce pali. Szosą z Palczewa do Boręt

### **maszerują w niewielkim oddaleniu od siebie dwie grupy ludzi.**

W jednej kroczy Maitz, w drugiej Brandt. Idą szybkim tempem, maszerują tak, jak szli wieczorem czternastego lutego. Urzędnicy kroczą z zegarkiem w rękę. Trzeba podać czas, niezbitcie dowieść, by być przygotowanym na wszelkie incydenty podczas zbliżającego się procesu sądowego, bowiem zbyt często doświadczonym policjantom kryminalnym przydarzały się w podobnych przypadkach najdziwniejsze niespodzianki na długo przed zakończeniem wstępnego śledztwa.

Maitz maszeruje długim, równomiernym krokiem ze wzrokiem skierowanym tępo przed siebie. Tylko raz wyraża szeptem obawy, czy ludzie w Borętach nie zmaltretują go. On, pozbawiony skrupułów morderca

### **drży przed falującą wściekłością tłumu.**

Jego obawy zostają rozwiane, wszystko toczy się dalej w milczeniu. Mały Brandt, ubrany w niebieski garnitur, czapkę żeglarską i półbuty, ów wątył chłopak, po którym nikt nie spodziewałby się tak prymitywnego i na poły przemyślanego przestępstwa, którego

<sup>5</sup> Oryg. Neukirch [przyt. tłum.]

sympatyczna twarz nie zdradza istnienia ciemnych zaułków jego duszy, skrępowanymi dłońmi przytrzymuje przed twarzą chusteczkę do nosa, obawiając się, że jego widok zaciekawilby jakiegoś fotografa.

Droga z Palczewa do Boręt zajmuje około pół godziny. Wieści o mającej się odbyć wizji lokalnej dotarły już do Boręt. Niemal wszyscy mieszkańcy wioski są na nogach i czekają na morderców. Poza tym wściekły strajk pracowników rolnych powstrzymał kilku ludzi od pracy w polu, w rezultacie

## **wejście do Boręt wygląda tak, jakby wioska była oblężona.**

Grupka małoletnich chłopców, czerwoni bojownicy „frontowi” na rowerach z obrzucają pompakami minami wiejską ulicę, wydaje im się, że są rodzajem „oddziału szturmowego”. Ale kiedy eskorty z mordercami wkraczają do wioski, zapominają o swojej „arcyważnej” misji i rozdziawiają gęby.

Ludzie w Borętach przyjęli morderców również w milczeniu. Nie pada żadne słowo odrazy, żadna pogrożka. Tylko pokonują z nimi drogę przez wioskę.

## **Przez przypadek uszli mordercom**

Dom, w którym wdowa Skodell poniosła nagłą śmierć z rąk mordercy, jest pierwszym zabudowaniem we wiosce, przybywając do niej od strony Palczewa. Jej pokój jest pierwszy w ubogiej chałupie. Ale policjanci idą z oboma sprawcami dalej, aż na drugi koniec wioski. Tutaj stoi mały domek małżonków Belau, których ta dwójka zamierzała zamordować jako pierwszych owego wieczora. Domeczek stoi w bezpośredniej bliskości innych zamieszkałych domów i dopiero teraz – za dnia, w promieniejącym świetle słonecznym można ocenić, jak zuchwała i chłodna musiała być determinacja, która pchnęła morderców do próby popełnienia tutaj tego rodzaju przestępstwa. Jak wiadomo, tylko ta okoliczność, że ktoś odwiedził małżeństwo, powstrzymała morderców przed realizacją swojego zamiaru.

Urzednicy policji kryminalnej fotografują ten dom z rozmaitych stron, sprawcy udzielają kilka informacji o swoim zachowaniu w ów wieczór no i potem wszyscy wracają na

## **właściwe miejsce zbrodni.**

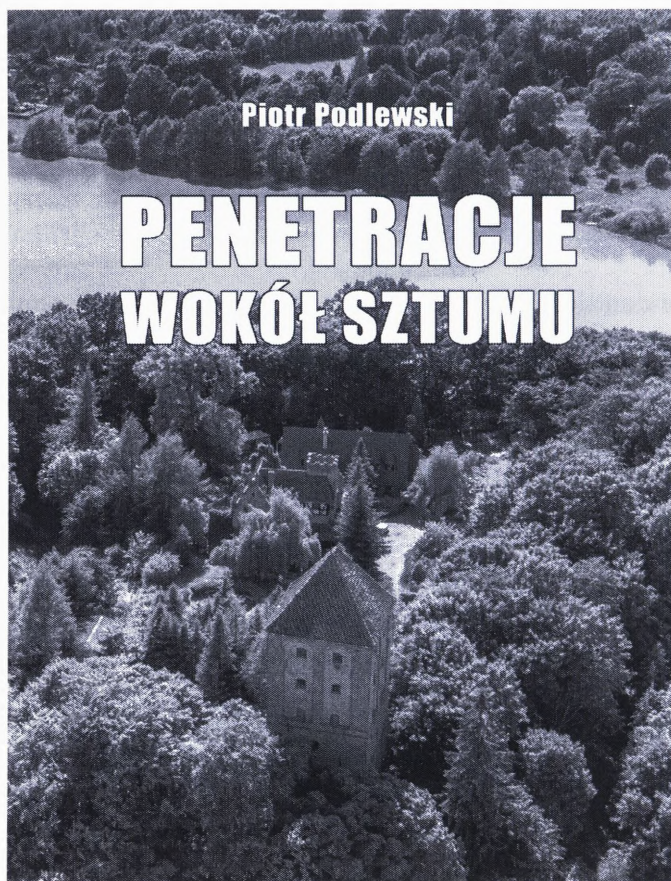
Odległość podlega sumiennemu pomiarowi. Mieszkanie, w którym dokonano mordu, mieszające się w ubogiej chałupie, od dawna jest już zajęte. Mieszkańcy wioski obstępują gromadnie dom. Przecież oczekują, że teraz na pewno wydarzy się coś szczególnego. No i wydarza się, ale czy spektakl zadowoli ich oczekiwania, tego nie wiadomo. Maitz i Brandt zostają postawieni przed domem w taki sposób, tak jak mieli stać w noc morderstwa. Fotograf pstryka kilka fotek i --- wizja lokalna jest zakończona.

W gospodzie w Borętach mają miejsce

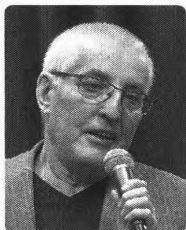
## **kolejne przesłuchania świadków.**

Ludzka ciżba wyczekuje niewzruszenie przed budynkiem. Z zadumą wszyscy przyglądają się raz po raz mieszkaniu zamordowanej kobiety. Również tutaj najbardziej rzuca się w oczy raz jeszcze bezczelna zuchwałość morderców. Wydaje się wręcz nieprawdopodobnym, że obaj hultaje mogli się poważyć na popełnienie tutaj morderstwa na tle rabunkowym. Tutaj, w bezpośredniej bliskości innych mieszkań. Mieszkańcy domu dla biedaków żyją obok siebie oddzieleni jedynie cienką ścianą, okno w okno. I jeśli się sobie uświadomi, że przestępstwo popełnione zostało między siódmą a ósmą wieczorem, przeprowadzone z pełnym sukcesem i niemal tak dobrze i spokojnie, że odkrycie sprawców wydawało się wątpliwe, wtedy można ocenić jakie zagrożenie dla Boręt i okolic pod postacią Maitza i Brandta zostało unieszkodliwione przez policję.

Tłum. Janusz Mosakowski



Janusz Ryszkowski



## ŚWIAT ZATOPIONY W JEZIORZE

### WÓDZ W WODZIE

Ponoć wojenna karta miała się jeszcze odwrócić. Jednak widok uciekinierów spod Koenigsbergu, już masowo pojawiających się w Sztumie, ich dramatyczne opowieści, mocno podłamywały tę nadzieję. Do tego dochodziły żałobne telegramy. Jeśli nie dotyczyły one kogoś z bliższej lub dalszej rodziny, to sąsiadów i znajomych. Nie tak miało być. Nie tak...

Dobiegały lekcje w trzeciej klasie. Greta spoglądała znacząco na Emmę, ta odwzajemniała to cichym chichotem. Za kilka chwil pójdą razem do domu, skończy się szkolna męka. Papużki nierozłączki.

– Emma i Greta – wy zostańcie. – Chcę z wami jeszcze porozmawiać... – panna Danowski odprawiła resztę uczniów. Dziewczęta stały mocno przestraszone. Ich strach potęgował się, gdy nauczycielka spoglądała na nie przeciągle i milcząco. W pewnej chwili jakby ocknęła się, twarz ożywił lekki rumieniec. – Możecie przyjść do mojego domu o trzeciej? Pomozecie mi. To... bardzo ważne.

Dziewczynki wracały do domu zupełnie zdezorientowane. O co może chodzić. Jeśli miały dostać jaką burę za głupie uśmiechy, to przecież panna Danowski nie zapraszałyby ich do domu. Dziwne to wszystko.

W domach opowiedziały natychmiast matkom, że jeszcze muszą pójść po południu do swojej pani. W czymś jej pomóc. – Tylko szybko wracaj i nigdzie się nie włócz – Gerda usłyszała od swojej mamy. – Mróz paskudny na wieczór idzie...

Panna Danowski wpuściła dziewczynki do mieszkania, ledwie tylko nieśmiało zapukały, widać na nie czekała. Coś zaczęła poważnie mówić, ale one nie bardzo łapały sens. To znaczy, coś rozumiały, ale nie wiedziały do czego cała przemowa prowadzi. Panna Danowski opierała się o masywne biurko, lekko zasłaniała duże popiersie. Dziewczęta wiedziały kogo przedstawia.

– Tak, tak, to okropne, co się teraz dzieje – mówiła raczej do siebie. – Mein Gott! Mein Gott!

Coś jeszcze próbowała powiedzieć. Potem zaczęła zawijać figurę wodza w gazety i na końcu w duży ręcznik albo kocyk. Starannie obwiązała sznurkiem, po czym taki pakunek wręczyła dziewczynkom.

– A teraz powtórzcie, co macie zrobić...

– Mamy wrzucić do jeziora...

– Gdzie?

- Przy Strzelnicy, bo tam jest nie zamrożnięte i bardzo głęboko przy samym brzegu...
- I co jeszcze?
- Nie mamy o tym mówić nikomu...

Zmierzchało, gdy dziewczynki wyszły od swojej nauczycielki z zawiniętym tobołkiem. Nie był specjalnie ciężki. Miały do przejścia jakiej 200 metrów. Uliczka Petera Mogge była pusta, na Wodnej też nikogo nie spotkały. Szybko dotarły w okolice Strzelnicy. Z powierzonego zadania wywiązały się sumiennie.

Kilka dni potem starosta sztumski wydał rozkaz o ewakuacji urzędów, więzienia, szpitala, sierocińca i mieszkańców. Armia Czerwona była niecałe 50 kilometrów od miasta. Rodzina Grety zdecydowała, że mimo wszystko przeczekają najgorsze u krewnych na wsi. Emma znalazła się w kolumnie wozów, które pociągnęły w stronę Nogatu i dalej na zachód.

Ta opowieść – poza drobnymi detalami, imionami dziewcząt i personaliami nauczycielki -autentyczna, jeśli coś w naszym świecie królującej postprawdy jeszcze na takie miano zasługuje. Być może ktoś jeszcze natrafi na zatopione popiersie? Leży blisko brzegu, ale dość głęboko.

## TAJEMNE PRZEJŚCIE

Jeziro Sztumskie, oficjalnie nazywane Zajezierskim, leży w granicach miasta i zajmuje obszar około 50 hektarów. W najgłębszym miejscu dochodzi do 25 metrów, średnia głębokość to około 7 metrów. Połączone jest wąskim kanałem z Jeziorem Barlewickim, większym (ok. 67 ha) i zarazem znacznie płytszym. W przeszłości oba tworzyły jeden akwen zwany Jeziorem Białym, okalając zamek i miasto. Na planie miasta z 1810 roku naniesione są już dwie nazwy.

Z Jeziorem Sztumskim (konsekwentnie będziemy posługiwać się dalej tą nazwą) związanych jest kilka legend miejskich. Najbardziej znana mówi o sekretnym przejściu prowadzącym ze sztumskiego zamku na drugą stronę jeziora do wsi Zajezierze. Opowieść znalazła odbicie w specjalnym druku z 1956 roku, wymieniającym zabytki powiatu sztumskiego, firmowanym przez dwie poważne instytucje – Muzeum Pomorskie w Gdańsku i Konserwatora Wojewódzkiego Zabytków. Wymienione są tam m.in. artefakty związane z zamkiem. Jednym z nich jest „studnia (obecnie zakryta), z której ma rzekomo prowadzić przejście pod jeziorem do Zajezierza”. Legenda musiała być zatem niezwykle żywa, skoro się do niej nawiązuje w poważnym opracowaniu. Ciekawe jednak, że zarazem owe opowieści nie zdradzały, kto z takiej drogi i w jakich okolicznościach skorzystał. A kilka dobrych okazji po temu było, choćby, gdy oblegano zamek w czasie wojen polsko-krzyżackich czy potopu szwedzkiego.

Inna wersja głosiła, że można było poziomym przejściem dotrzeć aż do warowni malborskiej. Podobne opowieści o sekretnych połączeniach zamków są dość częste.

W czasach mojej młodości (lata sześćdziesiąte dwudziestego wieku) organizowaliśmy wyprawę na drugą stronę Jeziora Sztumskiego, wówczas jeszcze będącą w stanie niemal dzikim, aby szukać śladów tajemnego przejścia. Nam się akurat się nie udało, ale ponoć byli tacy, co mieli więcej szczęścia.

Kolejne opowieści, mocno rozpalające wyobraźnię, były związane ze spoczywającymi na dnie jeziora łodziami, niemieckim czołgiem, bronią oraz skrzyniami pełnymi skarbów, które w styczniu 1945 roku porzucili mieszkańcy uciekający w popłochu przed Armią Czerwoną.

Niezbadana i trudno niedostępna toń jeziora czasem odsłania swoje tajemnice. Byłem świadkiem, gdy płetwonurek, który czyścił dno miejskiego kąpieliska przed nadchodzącym sezonem, wyłowił fragment talerza z widoczną sygnaturą niemieckiej wytwórni. Bartłomiej Balbuza, bo o nim mowa, od dzieciństwa jest zżyty w wodami jeziora, od kilkunastu lat przemierza jego toń w skafandrze, jak chyba nikt zna jego trudno dostępne zakamarki. Wszystko się w nim gotuje, kiedy widzi, że jezioro bywa traktowane jak wysypisko śmieci.

Nie tylko wrzucane są plastikowe i szklane butelki, opony, metale, ale i większe gabaryty – krzesła, stoliki, nawet telewizory i części AGD. Podobnie było przez wieki, tylko skala zdecydowanie mniejsza.

W każdym razie znaleziony przez płetwonurka fragment talerza zachęcił do próby rekonstruksji: może inne podobne przedmioty udało się komuś znaleźć w Jeziorze Sztumskim? Bo przecież one są śladem po nie tak znowu dawnych mieszkańcach.

Próbowałem więc dotrzeć do osób, które mogłyby mi o tym opowiedzieć – głównie kolekcjonerów i poszukiwaczy artefaktów. Okazało się, że zwłaszcza ci ostatni pilnie strzegą swoich tajemnic i nie chcą się publicznie ujawniać, ani też wypowiadać. Powód jest prosty: można na siebie ściągnąć kłopoty. Jeszcze niedawno eksploracje bez zgody konserwatora zabytków kwalifikowano jako wykroczenia, obecnie to przestępstwo. Poszukiwacze narzekają też na to, że sama definicja zabytku jest niezbyt nieostra. Czy jest nim już moneta z czasów PRL? Nic dziwnego, że i kolekcjonerzy, i poszukiwacze wolą na zimne dmuchać. Jednak do kilku takich znalezisk udało się dotrzeć

## FAJANSOWE TALERZE, DZBANKI

Znalezione naczynia się zazwyczaj uszkodzone, pewnie dlatego też zostały wyrzucone. Trzymam fragment fajansowego talerza z sygnaturą Mendheim (litera „d” ledwie widoczna) Eisneker. Wyprodukowano go w obecnym Drezdenku. Tamtejsza wytwórnia fajansu została założona w 1837 roku we wsi Vordamm, dziś wchłoniętej przez miasto, przez tych dwóch przedsiębiorców. Spółka działa do ok. 1850 roku, potem na placu boju został tylko E. Mendheim. Odtąd wyroby sygnowano Mendheim & Comp. in Vordamm bei Diesen an der Netzen (Vordamm niedaleko Drezdenka nad Notecią). Zmieniali się przez następne lata właściciele wytwórni, jej nazwy (zostawiano jednak zwykle nazwę miejscowości Vordam). Kres fabryki, która w okresie świetności zatrudniała ponad 400 pracowników, nastąpił w latach 30. dwudziestego wieku.

Można zatem przyjąć, że fragment talerza z sygnaturą Mendheim – Eisneker pochodzi z lat 40. lub 50. dziewiętnastego wieku i jest najstarszym, do którego udało mi się dotrzeć. Ciekawostka: talerz z taką sygnaturą archeolodzy znaleźli w latrynie parceli na Starym Mieście w Elblągu (ul. Mostowa) oraz w Gdańsku (ul. Powroźnicza).

Odlamek z talerza sygnowanego: Theodor Paetsch Frankfurt.

Firma Paetsch była ważnym i uznanym producentem wyrobów ceramicznych z siedzibą we Frankfurcie nad Odrą. Jej początki sięgają lat 40. dziewiętnastego wieku. Teodor Paetsch był wnukiem założyciela firmy i prowadził ją od 1890 roku, a w 1930 roku przejął ją syn Teodor junior. Wytwórnia działała jeszcze na początku lat 50. dwudziestego wieku, kiedy została znacjonalizowana (znajdowała się w sowieckiej strefie okupacyjnej) i krótko potem zamknięta.

Dzbanek z sygnaturą Altwasser Silesia prowadzi do nas Wałbrzycha. W Starym Zdroju (Altwasser) manufakturę założył Carl Tielsch w 1845 roku. Rozwijała się prężnie i po dwudziestu latach zatrudniała 1400 pracowników, stając się drugą taką fabryką na Śląsku. Produkty szybko zyskały uznanie za swoją jakość i estetykę. Porównywano je nawet do cacek z Miśni. W latach 30. dwudziestego wieku wytwórnia została wykupiona przez znany wówczas koncern Hutchenreuter.

W 1945 fabryka funkcjonowała jako państwowe Zakłady Porcelany Stołowej Wałbrzych. Wytwórnia miała na koncie sporo sukcesów, ale po przemianach ustrojowych wiodło jej się już gorzej. Do 2012 roku działała jako spółka akcyjna. W Wikipedii czytamy: „Po ogłoszeniu upadłości i przeprowadzeniu postępowania likwidacyjnego w 2012 roku syndyk sprzedał cały zakład wraz z przylegającymi terenami. Pozostałości zakładu zostały rozszabrowane. Zrzuconane zabudowania fabryki zostały ostatecznie w większości rozebrane.”

Znaleziony w Jeziorze Sztumskim dzbanek z lat dwudziestych XX wieku.

Zeh Scherzer Bavaria. Wytwórnia została założona w Rehau (Górna Frankonia, kraj związkowy Bawaria) w 1880 roku przez Johanna Nicola Adama Zeha. Jego współnikami byli m.in. Johann Michael Scherzer. W 1910 roku fabrykę przekształcono w spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością (Porzellanfabrik Zeh, Scherzer & Co. A.G.). Ponad 70 proc. produkcji trafiało na rynek Stanów Zjednoczonych. Jakość wyrobów Zeh Scherzer (porcelana stołowa i artystyczna są do dziś doceniane przez kolekcjonerów) porównywalna do oferty innych znanych niemieckich wytwórców porcelany – Rosenthala czy Hutschenreuthera. W 1992 roku spółka przejęta przez jednego z inwestorów finansowych zaprzestała produkcji porcelany. Jak widać, losy naszego Wałbrzycha nie są wyjątkowe, choć to żadna pociecha..

Przedstawiony na fotografii dzbanek wyprodukowano w latach 1930–1945.

## BUTELKI Z ROZLEWNI I BROWARÓW

Lekko zielonkawa butelka o pojemności 0,3 l z napisem „Paul Tucholski Stuhm”, zamknięta porcelanką, była zapewne od piwa, choć całkiem możliwe, że znajdowała się w niej woda gazowana. Ale po kolei.

Pod koniec lat dwudziestych XX wieku dostawą piwa w Sztumie trudnili się Alfons Kosłowski, Richard Roeser i Paul Tucholski. Ten ostatni oprócz rozlewni piwa i wód gazowanych handlował także nawozami sztucznymi, paszami, materiałami budowlanymi. Firma została założona w 1895 roku i znajdowała się w sąsiedztwie hotelu Królewski Dwór. Tucholski należał do sztumskiej drużyny kręglarzy, odnoszącej sukcesy także w dalszej okolicy.

W 1941 roku inny Tucholski, może nawet syn Paula, który w tym czasie zmienił nazwisko na Tucher, prowadził w Sztumie przedstawicielstwo browaru Ponarth z Królewca.

W wodnych odmętach mogą spoczywać butelki z napisem „Alfons Koslowski Stuhm”. właściciela innej sztumskiej rozlewni. Znajdowała się ona przy obecnej ulicy Baczyńskiego, niedaleko jeziora. Przy okazji warto wspomnieć, że przy tej samej ulicy do 1890 roku stał browar należący do P. Puttkammera. Strawił go pożar, a 29-letni właściciel popełnił po kilku miesiącach samobójstwo. W to miejsce powstała dwa lata później miejska rzeźnia, która działa przez prawie następujących sto lat.

A dokąd zawiedzie nas brązowa butelka z napisem „Waldschlösschen” (Leśny Pałacyk)? Zupelnie niedaleko, bo tylko do Sztumskiego Pola. Leśny Pałacyk był jednym z ulubionych miejsc przedwojennych sztumian, wypoczywających tam po spacerach. Co można o niej więcej powiedzieć? Gospoda i jej właściciel Emil Utesch widnieją w książce adresowej powiatu sztumskiego z 1929 roku. Kolejnym właścicielem był Walter Beller. Dodajmy, że po drugiej wojnie światowej przynajmniej do połowy lat 80. Czynny był tam bar (Leśny?) określany popularnie jako Panderoza. Nazwa wzięła się rancza głównych bohaterów popularnego w latach 60. telewizyjnego serialu „Bonanza”. A w języku młodzieżowym tamtego okresu bonanza znaczyła tyle co awantura czy bójka. A kiedy piszę ten tekst, miejsce po dawnym barze nadal cieszy się dużą popularnością. Tyle że już za sprawą sklepu ogrodniczego.

Natomiast do Elbląga prowadzi brązowa butelka z napisem „Brauerei Englisch Brunnen Elbing”, czyli Browar Angielski Zdrój. Spółka powstała w 1880 roku, przejmując browar powstały zaledwie kilka lat wcześniej, który popadł w tarapaty finansowe. Nowi właściciele poradzili sobie daleko lepiej, a firma zdobyła nie tylko regionalny rynek. W 1900 została oficjalnym dostawcą piwa na dwór cesarza Niemiec Wilhelma II. Od 1923 roku browar wytwarzał także lemoniadę i wodę sodową.

Po drugiej wojnie światowej wznowiono produkcję piwa, a przez jakiś czas nawiązywano nawet do wcześniejszej tradycji i na etykietkach pojawiła się nazwa Angielski Zdrój.

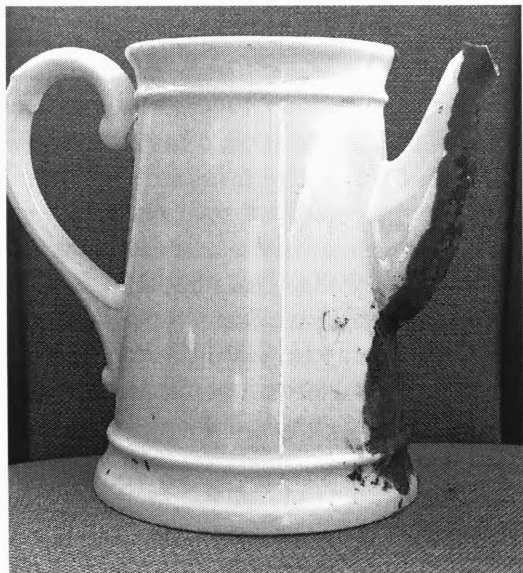
Inna butelka znaleziona w wodach jeziora pochodzi z rozlewni kwidzyńskiej, prowadził ją Willy Bogdanski. Skrót W/Pr. (Prusy Zachodnie) świadczy, że jest sprzed 1919 roku. Kolejne butelki mają sygnatury Chełmna, Olsztyna, Malborka (Browar Zakonny) i znowu Elbląga (G. Preuss).

\*

Zapewne każdy z tych drobnych odnalezionych fajansowych fragmentów, albo butelki można powiązać z mniej lub bardziej zajmującą opowieścią o ludzkich losach, z całą ich złożonością, przypadkowością, tragizmem, pięknem. Inspirujące zadanie na zajęcia z kreatywnego pisania. Może ktoś, kiedyś...

Tu niech wystarczy ta jedna opowieść, usłyszana w kwietniowe popołudnie 2023 roku, gdy czekaliśmy na pizzę jednym ze sztumskich lokali. Z całą pewnością prawdziwa, choć brzmiąca niezwykle.

*Był początek 1945 roku. Dobiały lekcje w trzeciej klasie. Greta spoglądała znacząco na Emmę. Nawet się nie domyślały, jaki plan ma wobec nich nauczycielka, że zostaną jej cichymi współpracownikami.*



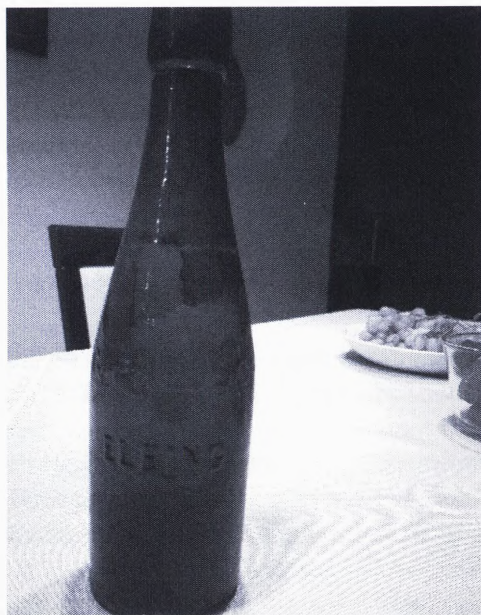
*Dzbanek z sygnaturą Altwasser Silesia prowadzi do nas Wałbrzycha.*



*Jakość wyrobów bawarskiej wytwórni Zeh Scherzer była porównywalna do ofert innych znanych niemieckich wytwórców porcelany — Rosenthala czy Hutschenreuthera.*



*Talerz z sygnaturą wytwórni Mendheim — Eisneker z dzisiejszego Drezdenka pochodzi z lat 40. lub 50. dziewiętnastego wieku.*



*Na stole butelka sygnowana G. Preuss Elbing.*

Wiesław Olszewski



# RODZINNE STRONY – PODLASIE

## CZEŚĆ II

### CZAS NADZIEI I... WOJNY

W 1922 roku na czele gromady Krynki Sobole stanął jako sołtys Antoni Morzy – mój dziadek ze strony matki.

Budowa i kształtowanie zrębów struktury administracyjnej było istotnym elementem umacniania nowej państwowości, ale i motywacją do podjęcia palących problemów lokalnych. Jednym z najistotniejszych wówczas na tych terenach była komasacja straszliwie rozdrobnionych gruntów. Już od XVII wieku w gospodarstwach drobnej szlachty zaczęła powstawać szachownica. Dzielono niewielkie majątki według zasady: najstarszy syn otrzymywał swój nadział ziemi jako pierwszy od strony wschodniej. Ponieważ nie znano wówczas innych metod uprawy jak trójpolówka każdy musiał otrzymać równy zagon w każdym z trzech pól. Szachownica i trójpolówka stanowiły największą przeszkodę we wprowadzaniu racjonalnych zasad gospodarowania. Szachownica w gospodarstwach chłopskich była mniejsza, ponieważ od uwłaszczenia upłynęło jeszcze stosunkowo niewiele czasu, natomiast wśród gospodarstw drobnej szlachty przybierała niebywałe rozmiary. Wiele gospodarstw drobnoszlacheckich składało się z kilkudziesięciu, a nawet ponad stu różnych zagonów rozrzuconych nawet w kilku sąsiednich wsiach. Zagony były bardzo wąskie i długie, nierzadko na 2–3 kilometry, krzywe, niedokładnie rozgraniczone z licznymi miedzami i drózkami dojazdowymi. O szlachcie podlaskiej zamieszkującej ziemię bielską, drohicką, czy mielnicką krążyły po Polsce żartobliwe powiedzenia: *Fortuna szlachcica podlaskiego długa jak bicz, szeroka jak nóż, głęboka aż do samego środka Ziemi; Choć mam fortunę nieszeroką ale długą, wysoką i głęboką; Jak pies na jednej fortunie usiądzie, trzyma ogon na drugiej*<sup>1</sup>. Było to wszystko częstym powodem kłótni, sporów a nawet procesów sądowych<sup>2</sup>. Sam proceder scalania i komasacji też okazywał się trudnym i wywołującym spory, miał wielu przeciwników i to z najróżniejszych powodów. Stronniczość i nieuczciwość często zarzucano nie tylko mierniczemu dokonującemu scaleń ale i sołtysowi. Słano liczne skargi i zażalenia a dla zakończenia procesu potrzebna była często asysta policji. Ostatecznie grunty wsi Krynki Sobole scalone zostały na mocy orzeczenia Okręgowej Komisji Ziemskiej z dnia 17 stycznia 1929 roku.

Wieś Krynki Sobole, do reformy struktury terytorialnej powiatu bielskiego 1 stycznia 1934 roku, należała do gminy Siemiatycze, wówczas włączona została do gminy Grodzisk.

<sup>1</sup> Zygmunt Gloger, *Encyklopedia Staropolska Ilustrowana*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1972.

<sup>2</sup> Tomasz Jaszczółt, *Gmina Grodzisk k. Siemiatycz. Dzieje ziemi i mieszkańców*, Grodzisk 2004.

Rok później gminy wiejskie podzielono na gromady, które obejmowały od jednej do trzech wsi. Jedną z gromad gminy Grodzisk stały się Krynki Sobole. Stan taki zachował się do zakończenia II wojny światowej.

\*

Mieszkańcy żyli sprawami parafii, gminy, powiatu i kraju. Wiadomości najwcześniej docierały do sołtysa i to kuchnia dziadków była sceną życia społecznego, politycznego, a do pewnego stopnia i gospodarczego. W niej dyskutowano i wysłuchiowano wszystkiego co ważne i nie ważne, to co było prawdą i to co plotką. W miarę podrastania słuchaczami tej lokalnej wiejskiej agory stawały się dzieci, w tym moja mama, to od niej pochodzi moja wiedza o tamtym miejscu i czasie.

Obok szachownicy pól wielkim problemem był niemal zupełny brak dróg twardych. Świadomość wagi tego upośledzenia miało też młode państwo, próbowano bołączkę tę rozwiązać w powiązaniu z inną równie ogromną – bezrobociem. Zaczęto tworzyć spółki drogowe dla budowy poszczególnych traktów. Starostwo zapewniało dokumentację techniczną i nadzór nad realizacją budowy. Członkowie grupy wnosili składki przeważnie w naturze, najczęściej w postaci dowozu piasku, żwiru, kamieni. Znajdowali też zatrudnienie przy budowie, prace prowadzono na kilku odcinkach by wszyscy mogli pracować jednocześnie i możliwie blisko domu. Jako pierwsze w okolicy rozpoczęto prace przy budowie szosy Siemiatycze – Ciechanowiec oraz Dołubowo – Ostrożany przez Grodzisk.

Pojawiła się też nadzieja na bliskie połączenie kolejowe. W 1927 roku powstał Komitet Organizacyjny Budowy Wąskotorowej Kolei Siemiatycze – Ciechanowiec – Szepietowo – Wysokie Mazowieckie. W jego skład weszli liczni ziemianie mazowieccy i podlascy, wśród nich Józef hr. Jezierski z Pobikier, Michał hr. Starzeński z Ciechanowca, Stanisław Wołk z Czartajewa, a także starostowie wysokomazowiecki i bielsko-podlaski. Przedsięwzięcie wzbudziło ogromne zainteresowanie lokalnej społeczności, zwłaszcza bogatszych rolników. Następnie, aby uzyskać akceptację władz lokalnych dla idei budowy kolejki, zaplanowano jej przedłużenie o odcinek Bużyska – Drohiczyn – Ostrożany. W dniu 25 kwietnia 1929 roku, na Zamku Królewskim w Warszawie, w obecności prezydenta Ignacego Mościckiego, profesor Kazimierz Rogoyski przedstawił projekt budowy wspomnianej kolejki, powiązany z melioracją terenów położonych na wschód od Warszawy, które stanowić miały żywnościowe zaplecze aglomeracji warszawskiej. Gdy realizacja projektu wydawała się niemal pewna wybuchł wielki kryzys ekonomiczny, który ogromny wysiłek zniweczył grzebiąc też wielkie nadzieje na postęp cywilizacyjny okolicy. W 1939 roku gotowy projekt przejęli Rosjanie, zapowiadali oni budowę kolejki, która w nowej sytuacji geopolitycznej (biegła ona w całości po wschodniej stronie granicy radziecko-niemieckiej), mogła mieć duże znaczenie militarne. Niestety, z różnych przyczyn, po raz kolejny plany budowy kolei nie zostały zrealizowane<sup>3</sup>.

W latach trzydziestych ubiegłego wieku kryzys ekonomiczny nasilił, istniejące i wcześniej, antagonizmy narodowościowe. Stronnictwo Narodowe, mające znaczne wpływy w tej części

<sup>3</sup> Norbert Tomaszewski, *Niezrealizowany projekt budowy kolejki wąskotorowej: Wysokie Mazowieckie -Siemiatycze*, Studia Łomżyńskie nr 9, 1998.

Podlasia, organizowało akcję tworzenia polskich, czyli chrześcijańskich sklepów i zakładów rzemieślniczych. Miały być alternatywą dla powszechnej tu własności żydowskiej. Działania nie ograniczały się tylko do agitacji, dochodziło do pobić, rozbojów, podpaień i to po obu stronach. Jarmarki musiały zabezpieczać szturmowe oddziały policji<sup>4</sup>. Wiadomości o wydarzeniach tych i innych nie pochodziły już tylko z opowieści świadków czy czytanej prasy. W obejściu dziadków pojawił się w tym czasie wysoki świerkowy maszt. Była to antena nabytego przez dziadka radia „kryształkowego”. Kupił je za 39 złotych w urzędzie pocztowym w Grodzisku. Był to popularny wówczas Detefon produkowany przez Państwową Wytwórnę Łączności, później przez Państwowe Zakłady Tele- i Radiotechniczne od 1929 roku do wybuchu wojny. Jako prosty i tani odbiornik sprzedawany był w komplecie z anteną i słuchawkami, nie potrzebował, co ważne, żadnego źródła zasilania. Wkładając słuchawki do np. wazy, mogło słuchać radia „od biedy” jednocześnie więcej osób.

Ta techniczna nowinka pozwalała poznać stanowisko premiera Składkowskiego w „sprawie żydowskiej”, który na posiedzeniu komisji senackiej powiedział: *Oczywiście sprawa nie należy do łatwych. Rząd w tym problemie nie będzie ulegał presji, która przychodzi z zewnątrz ze strony zagranicznych stowarzyszeń żydowskich, które usiłują wpłynąć na rząd w tym kierunku. Tak jak powiedział min. Beck, problemy te nie są oparte na jakiejś nienawiści rasowej czy wyznaniowej, ale wyłącznie i jedynie na sytuacji ekonomicznej. W danym wypadku nic tu nie pomoże, jeśli będzie rozwalonych 10 straganów żydowskich, albo jedna Żydówka pobita. Musimy postępować w tym kierunku, by mieć swobodę działania bez podniecania obydwóch stron. Tę metodę spokoju zastosowałem na terenie województwa białostockiego.* „Metodą”, którą zastosował premier było osadzenie lokalnego przywódcy narodowców w Berezie Kartuskiej<sup>5</sup>.

Okres kierowania przez Felicjana Sławoja Składkowskiego MSW był czasem głośnych akcji. Najstłynniejsza, wyśmiewana wówczas i krytykowana, dotyczyła sławojek”. Jako minister i lekarz z wykształcenia dążył do poprawy higieny, zwłaszcza na wsi polskiej. Również w obejściu dziadków, jako pierwszy we wsi, pojawił się lśniący nowymi heblowanymi deskami wychodek. Poprzez starostów zlecał też minister wójtom i sołtysom kontrolę sklepów, zgodności wagi sprzedawanego pieczywa a także kontroli warunków mieszkaniowych robotników w majątkach ziemskich. Działania te niewątpliwie wpłynęły na poprawę porządku i czystości we wsiach i miasteczkach.

Do dzisiaj pamięta się, że u dziadków jako pierwsza pojawiła się w pokoju malowana podłoga. W czasach kiedy standardem były gliniane polepy był to przejaw wręcz ekstrawagancji i próżności. Otwartość na nowoczesność mieli pewnie dziadkowie we krwi, dziedziczyli ją też po przodkach, ale wpływ na to miał zapewne brat dziadka Franciszek. Jeszcze w czasie zaborów skończył szkołę powszechną, następnie wstąpił do utworzonego w 1915 roku gimnazjum salezjańskiego w Sokołowie Podlaskim. Salezjanie, ze względu na własną sytuację ekonomiczną, musieli pobierać chesne. Było ono na tamte czasy dość wysokie. Uczniowie pochodzili więc w większości z rodzin zamożnych. Byli też wychowankowie z rodzin biedniejszych. Korzystali z częściowych lub całkowitych zwolnień z opłat chesnego<sup>6</sup>. Podjęła

<sup>4</sup> Eryk Kotkowicz, *Obraz Ciechanowca w prasie do roku 1939*, [https://repozytorium.uwb.edu.pl/jspui/bitstream/11320/11202/1/E\\_Kotkowicz\\_Obraz\\_Ciechanowca\\_w\\_prasie\\_do\\_roku\\_1939.pdf](https://repozytorium.uwb.edu.pl/jspui/bitstream/11320/11202/1/E_Kotkowicz_Obraz_Ciechanowca_w_prasie_do_roku_1939.pdf)

<sup>5</sup> Tamże.

<sup>6</sup> Jan Niewęglowski, *Salezjańskie liceum im. Henryka Sienkiewicza w Sokołowie Podlaskim: historia i wychowanie*, Seminarne. Poszukiwania Naukowe nr 15, 1999.

wtedy szkoła dzieło wychowania podlaskiej młodzieży w duchu salezjańskim: na „uczciwych obywateli i dobrych chrześcijan”. Franciszek z kolegą wynajmowali pokój, u gospodyni jadali też obiady, a kolacje i śniadania przygotowywali sami. W produkty zaopatrywali rodzice. Wielokrotnie więc starszy brat gimnazjalisty, mój dziadek, brał wieczorem na plecy spakowany przez matkę worek i wędrował do Sokołowa, a było to około 50 kilometrów. Marzeniem matki było pójście Franciszka do seminarium duchownego, jak uczynił kolega z którym dzielił stancję i wielu młodzieńców z drobnej szlachty. Tak się jednak nie stało, do wybuchu wojny Franciszek Morzy pracował jako urzędnik w Białymstoku.

W 1937 roku Jadwiga, moja mama, osiągnęła wiek szkolny, jak już wcześniej starszy brat Maniek, poszła do pierwszej klasy w pobliskich Kłopotach Bujnach. Szkołą była zachwycona, chłonęła wiedzę jako pilna i sumienna uczennica zakochana w swojej wychowawczyni. Ta również darzyła swą uczennicę sympatią i otaczała troską. Uczulała rodziców, że Jadzia jest drobna, nieszczególnych sił potrzebnych w gospodarstwie, ale jest zdolna – należy ją kształcić. Ze wzruszeniem wspominała mama święta państwowe obchodzone w szkole, wyjazd do gminnego Grodziska by poznać pracę urzędu, poczty, policji. Wielkim wydarzeniem była wycieczka do Białowieży, wczesnym rankiem przejazd furmankami na stację kolejową, potem pociągiem. Pierwszy raz w życiu! Kilka kilometrów do szkoły wędrowali bosy, buty nieśli w rękach. Wczesną wiosną, gdy rodzice zabraniali jeszcze chodzić bez butów, szli w nich za ostatnie zabudowania wsi, tam rozbuwali się i dalej już bosy.

Wydarzenia roku 1939 stawały się coraz bardziej niepokojące. Częściowa mobilizacja alarmowa w marcu, prowokacje i incydenty graniczne oraz zgrzyty dyplomatyczne w kolejnych miesiącach. Słuchawki w wazie coraz częściej wystawiane były na okno, ludzie nasłuchiwali wiadomości z Warszawy. W ten sposób usłyszeli znamienne słowa ministra Becka: „My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna: tą rzeczą jest honor”. Wojna stawała się już niemal pewna, młodzi śmieli się, wierzyli w zwycięstwo, chcieli zdobywać Berlin. Starsi gromadzili zapasy. *Wzrosła także „pobożność” w społeczeństwie. Kościoły bywały przepięknie. Organizowano wiele dodatkowych nabożeństw za ojczyznę. Z kościoła dochodziły śpiewy „Boże coś Polskę”*<sup>7</sup>. Sołtys rozniósł rezerwistom przysłane z gminy karty mobilizacyjne, były pożegnania, był płacz. Wśród wyruszających na wojnę był też młodszy brat dziadka Olek, walczył później pod Mławą.

\*

„A więc wojna”. Oto pierwsze słowa specjalnego komunikatu nagranych na polecenie Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, wygłoszonego wczesnym rankiem 1 września 1939 roku przez dziennikarza Józefa Małgorzewskiego w Rozgłośni Polskiego Radia.

W chwili wybuchu wojny Podlasie stanowiło centralną część kraju i nie było brane pod uwagę jako miejsce, gdzie już w pierwszych tygodniach konfliktu przyjdzie stawić czoła oddziałom wroga. Tereny Podlasia i Wschodniego Mazowsza opuściły oddziały wojskowe,

<sup>7</sup> Tomasz Jaszczolt, *Gmina Grodzisk k. Siemiatycz. Dzieje ziemi i mieszkańców*, Grodzisk 2004.

które zgodnie z rozkazem wyruszyły, aby bronić granic. Początek września dostarczył mieszkańcom tego regionu wielu traumatycznych przeżyć. Na niebie wielokrotnie pojawiały się niemieckie bombowce, sięjąc panikę wśród mieszkańców i powodując liczne zniszczenia. Niemcy zajęli większość podlaskich miast w ciągu pierwszych 10 dni wojny, nie oznaczało to jednak, że zamieszkujący je Polacy pogodzili się z rolą bezwolnych ofiar. Mimo, że nie udało się obronić większości miejscowości na Podlasiu i Mazowszu, to nadal podejmowano próby zadania strat wrogiej armii. I nie były to działania bezcelowe, ponieważ każde osłabienie przeciwnika powodowało opóźnienie jego marszu na Warszawę, która stała się dla wielu Polaków ostatnią iskierką nadziei na ocalenie Ojczyzny. Nasi rodacy za wszelką cenę próbowali oddalić widmo utraty niepodległości i suwerenności, które po zaledwie 21 latach wolności ponownie zawisło nad Polską<sup>8</sup>.

\*

Wcześniej niż nadany o godzinie siódmej rano komunikat radiowy, usłyszeli odgłosy wojny. O godzinie 5.15 pierwsze samoloty niemieckie zrzuciły bomby na most kolejowy na Bugu niedaleko wsi Olendry, w której mieszkali krewni. Niewiele później spadły jeszcze bliżej, pod niedalekim Drochlinem. Bomby spadały na okoliczne miasteczka: Brańsk, Drohiczyn, Siemiatycze. Radio nadawało kolejne komunikaty, w przerwach puszczano pieśni patriotyczne i wojskowe. Początkowo nastroje były dość optymistyczne, z radością powtarzano wieść o strąconych samolotach nad stacją kolejową Siemiatycze. Prawdziwa radość zapanowała w niedzielę 3 września, gdy Anglia i Francja wypowiedziały wojnę Niemcom. Jednak z dnia na dzień przychodziły coraz gorsze wiadomości, cofały się kolejne armie, Niemcy podchodzili coraz bliżej. Radio powtarzało: „Westerplatte broni się”, komunikowało o walkach koło Łodzi i obronie Warszawy. Jednak coraz śmielej poczynano sobie lotnictwo wroga. 8 i 9 września zbombardowane zostały Siemiatycze, spłonęła cała ulica Czartajewska, na której mieszkała rodzina siostry babci. Były liczne ofiary<sup>9</sup>. Łuna z nad palącego się miasta była widoczna długo.

W pierwszej połowie września na pobliskiej szosie Ciechanowiec – Siemiatycze pojawiły się kolumny wycofujących się wojsk polskich. Masowo na wschód zaczęła uchodzić ludność cywilna. Jak się później okazało wśród uciekinierów nocujących w niedalekim Grodzisku był też Władysław Jaruzelski z żoną, córką i synem Wojtkiem. Na tyłach wroga pozostały jeszcze nieliczne pododdziały polskie, zwłaszcza kawalerii, dochodziło do pojedynczych starć. W nocy z 13 na 14 września doszło do największej bitwy na terenie powiatu bielskiego – pod Olszewem. Maszerująca Suwalska Brygada Kawalerii natknęła się na oddział niemiecki, wielu poległo po obu stronach. Po walce Niemcy spacyfikowali i spalili wieś mordując wielu rannych żołnierzy i cywilnych mieszkańców<sup>10</sup>.

<sup>8</sup> Kazimierz Pindel, *Podlasie w działaniach wojennych we wrześniu 1939 roku*, Instytut Historii Akademii Podlaskiej, Siedlce 2003.

<sup>9</sup> Marek Antoni Nowicki, *Pierwsze dni września 1939 r. w Siemiatyczach*, Głos Siemiatycz nr 1200, 30.08. 2018.

<sup>10</sup> Zygmunt Koszytła, *Wrzesień 1939 roku na Białostoczczyźnie*, Białostockie Towarzystwo Naukowe, Białystok 1967.

Niemcy nadciągnęli drogą od strony Ciechanowca 11 września. Dla dziewięcioletniej wówczas Jadzi największą wtedy tragedią wojny wydawało się zamknięcie szkoły, którą tak kochała. Już 25 sierpnia Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w komunikacie radiowym poinformowało, że rok szkolny nie rozpocznie się w oznaczonym poprzednio terminie 4 września lecz w okresie późniejszym<sup>11</sup>. Życie zaczęło się jakby stabilizować, rolnicy rozpoczęli spóźnione siewy ozimin oraz wykopki. Pomagano w pracach polowych kobietom, których małżonkowie zostali zmobilizowani do wojska i jeszcze nie wrócili do domów.

Od 21 września oddziały niemieckie zaczęły wycofywać się w kierunku północno-zachodnim, z którego wcześniej przybyły – drogą na Ciechanowiec. Ostatni żołnierze niemieccy opuścili okolice Siemiatycz 25 września. Nikt wtedy nie rozumiał, że wynikało to z tajnych porozumień Paktu Ribbentrop – Mołotow. Na niedalekim Bugu powstała nowa granica. Zaczęto tworzyć nową administrację, okoliczne majątki ziemskie zamieniono w kolchozy. Rozpoczęły się rekwizycje, represje, aresztowania, wielu ginęło bez wieści. Pojawił się powszechny strach przed zsyłką na Sybir. Na terenach wiejskich powstały „siel-sowiety” (ros. *sielskij sowiet – wiejska rada*), dziadek przestał być sołtysiem a okazał się kułakiem. Odebrano mu część ziemi, którą przekazano „biednej wdowie”. Według powszechnej opinii była to „pyskata baba” wychwalająca władzę radziecką. Niedługo przyszła jednak z płaczem, że otrzymanej ziemi nie ma, ani czym uprawić, ani obsiać. Dziadek uprawił jej to pole swymi końmi i obsiał własnym ziarnem. Po zmianie władzy zagony wróciły do właściciela.

Szkołę powszechną zamieniono na ośmioklasową Niepełną Szkołę Średnią, rozpoczęła się nauka, już po rosyjsku<sup>12</sup>. Mama nawykła do pilności uczyła się i w tych warunkach. Nauczyciele, przynajmniej w większości, byli Polakami i Polakami się czuli. W przeddzień 11 listopada kierownik szkoły wezwał mamę i dziewczynkę z innej wsi do kancelarii i oznajmił: *w drodze ze szkoły zapowiedzcie wszystkim, by jutro do szkoły nie przychodzili, jest święto. Pojutrze będę na was krzyczał, ale nie przejmujcie się tym*. Tak też się stało, do szkoły przyszło tylko kilkoro dzieci z rodzin białoruskich, zajęcia nie odbyły się. Tak w konspiracji uczczono święto narodowe.

Do wsi zaczęli wracać zmobilizowani żołnierze, nie wszyscy, niektórzy polegli, niektórzy pozostali w obozach jenieckich. Wrócił Olek, który opowiadał swe przeżycia. Długo nie potrafił opanować emocji gdy wspominał jak pod Mławą przyszło im szarżować na bagnety: *...walka wręcz toczyła się nie tylko z bagnetem na karabinie, ale i topatami, granatem w rękę, duszono się rękami, a nawet zębami wgrzyzając w krtani* – opisywał inny żołnierz września<sup>13</sup>. Pokonali wtedy Niemców, ale wielu kolegów też poległo. Po kampanii wrześniowej wrócił też do rodzinnej wsi drugi brat Franciszek. W zajętej przez Armię Czerwoną Białymstoku nie miał już czego szukać. Na miejscu też nie było bezpiecznie, rozpoczęły się wywózki na Sybir. *Sowieci dla potrzeb tworzonych przez siebie urzędów stanu cywilnego, a z pewnością również i w celu łatwiejszego sporządzania list ludności na wywózki, nakazali w kwietniu 1940 roku wszystkim proboszczom oddanie ksiąg metrykalnych do 100 lat wstecz. (...) i już nie*

<sup>11</sup> Zygmunt Koszyła, *Wrzesień 1939 roku na Białostocczyźnie*, Białostockie Towarzystwo Naukowe, Białystok 1967.

<sup>12</sup> Tomasz Jaszczolt, *op. cit.*

<sup>13</sup> Jan Wróblewski, *Armia „Prusy” 1939*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1986.

wróciły do parafii... Gorszy los spotkał księgi zgromadzone w Siemiatyczach, między innymi z Ostrożan. 22 VI 1941 roku Sowieci wycofując się podpalili budynek miejscowego USC i księgi spłonęły razem z nim<sup>14</sup>.

Był czerwcowy dzień 1941 roku, gdy do domu dziadków wpadła roztrzęsiona sąsiadka. W wielkiej tajemnicy powiedziała, że jej, w wielkiej tajemnicy, przedstawicielka sielsowietu oznajmiła o decyzji wywózki rodziny Morzych. Na bliskich padł blady strach. Poradziła babci osobno spakować siebie i dzieci, osobno dziadka, bo prawdopodobnie będą rozdzieleni. W atmosferze przerażenia i szlochów rozpoczęło się gorączkowe pakowanie. Zapadł najstraszniejszy w życiu wieczór, nikt nie mógł zasnąć. W nocy jednak utrudzeni zasnęli, bladym świtem babcia obudziła męża bo usłyszała dziwny szum, była przekonana, że to samochody jadące po nich. Na szczęście nie, to rozpoczął się front, był świt 22 czerwca 1941 roku, jakże szczęśliwy!

Radość spotęgował widok jaki pojawił się w ciągu dnia. Uciekające w popłochu od strony Bugu oddziały na furmankach, żołnierze często tylko w kalesonach, poowijani podartymi kocami. Gdy mijali wieś, zaatakowały niekończącą się kolumnę samoloty niemieckie. W popłochu uciekali w pola i do lasu.

Szybko się okazało, że nowy okupant nie był lepszy od poprzedniego. Wraz z przybyciem wojska pojawiły się niemieckie plakaty, zarządzenia i ogłoszenia. Zarządzono, że sołtysami w poszczególnych wsiach zostają osoby pełniące tę funkcję przed wojną. Dziadek ponownie więc zaczął sprawować urząd sołtysa. Znał nieco niemiecki. Nauczył się go zapewne pełniąc służbę wojskową w Skierniewicach, gdzie w pułku oprócz Podlasiaków była liczna grupa Wielkopolan, a wielu z nich wtedy lepiej mówiło po niemiecku niż po polsku<sup>15</sup>. Pojawiła się niemiecka administracja, częstym gościem sołtysa stał się gminny agronom w brunatnym mundurze Paul Flakowski, zniemczony Polak i katolik, co podkreślał, spod Biskupca, dobrze mówił po polsku. Dużo pił, a po pijanemu stawał się nieobliczalny, urządził strzelaniny w mieszkaniu, które zajmował, ale i w innych. Doszło do takiej również w domu dziadków.

Od wiosny 1942 roku Niemcy zaczęli wywozić młodzież z okolicznych miejscowości na roboty przymusowe. Wtedy w domu dziadków pojawiła się nowa lokatorka, Jadwiga Szulc, córka kuzynostwa z Olędrow. Szulcowie mieli niezbyt wielkie gospodarstwo i kilkoro dorastających dzieci, więc Jadwiga była zagrożona wywózką. Dziadek załatwił jej urzędowo zatrudnienie w swoim gospodarstwie, podobnie jak jeszcze jednemu chłopcu z sąsiedztwa. Tak „zagospodarował” też nadwyżki siły roboczej w innych gospodarstwach, załatwił młodym ludziom fikcyjne zatrudnienie u większych gospodarzy. Głównie dzięki temu nikt z Krynek nie trafił na roboty przymusowe. Pobyt Jadwigi spowodował natomiast ostry konflikt z Flakowskim. Atrakcyjna młoda dziewczyna wpadła mu mocno w oko, zażądał by to u niego pracowała. Dziadek stanowczo odmówił, miał zapewne poparcie niemieckiego wójta gminy, z którym z kolei agronom był skonfliktowany.

Wkraczające w ślad za Wehrmachtem grupy operacyjne organizowały pogromy Żydów, w których licznie uczestniczyli i miejscowi. Na siemiatyckim rynku publicznie rozstrzelano kilku sympatyzujących z komunizmem. Przez kilka dni plądrowane były żydowskie sklepy,

<sup>14</sup> Tomasz Jaszczółt, *op. cit.*

<sup>15</sup> Andrzej Krysiak, *Skierniewicki 18 Pułk Piechoty 1918–1939*, Skierniewice 2018.

mieszkania, miały miejsce napady i okradanie Żydów. Zmuszono ich do przymusowej pracy. W sierpniu 1942 roku utworzono w Siemiatyczach getto, w którym w straszliwych warunkach zamknięto kilka tysięcy osób. W listopadzie przystąpiono do likwidacji getta wywożąc jego mieszkańców do Treblinki. Pewnej grupie udało się uciec, ukrywali się w okolicy, przychodzili prosić o jedzenie i schronienie. Utworzyli też oddział zbrojny<sup>16</sup>. Ukrywano Żydów w Krynkach oraz w sąsiednich wsiach: Morzach, Makarkach i innych. Sąsiedzi domyślali się, głośno jednak nikt o tym nie mówił, udawali że nie wiedzą. Większość z ukrywanych przeżyła wojnę.

Zamknięto szkoły, organizowano tajne nauczanie w domach, zatrudniono nauczyciela, nauczala dzieci również mieszkająca u dziadków Jadwiga Szulc.

Okupacja niemiecka, mimo swych okrucieństw i licznych straszliwych momentów, przebiegła w tej okolicy bez znaczniejszych ofiar, chociaż oczywiście były. *Grodzisk w tej wojnie miał „szczęście” do Niemców, bo w zasadzie byli dość spokojni i można było jakoś ich okupację przeżyć* – napisał we wspomnieniach jeden z mieszkańców gminy<sup>17</sup>. Nie najmłodszy z reguły funkcjonariusze niemieccy mieli świadomość istnienia podziemia, przy samogonie często to podkreślali, woleli więc nie narażać się „bandytom”, jak nazywali partyzantów operujących w terenie. Niektórych zresztą leśni mocno postraszyli, agronom Flakowski po takim doświadczeniu mocno spokorniał.

\*

Latem 1944 r. kończył się trzeci rok niemieckiej okupacji, która w Siemiatyczach i okolicach zaczęła się wraz z wkroczeniem 22 czerwca 1941 r. do miasta wojsk III Rzeszy. Front sowiecki zbliżał się bardzo szybko. Rejon Siemiatycz był w lipcu terenem działań wojennych operacji brzesko-lubelskiej Armii Czerwonej. Miała doprowadzić do zniszczenia wojsk niemieckich w środkowej i wschodniej Polsce. W dniach 21–22 lipca żołnierze 65 Armii 2 Frontu Białoruskiego, kierując się z rejonu Białowieży na Drohiczyn po intensywnych walkach z niemieckim 23 Korpusem Strzeleckim zajęli Siemiatycze.

<sup>16</sup> Mirosław Leszczak, *Zagłada ludności żydowskiej w Siemiatyczach*, Studia Podlaskie tom II, 1989.

<sup>17</sup> Tomasz Jaszczółt, *op. cit.*



*Siemiatycze, rynek, 1942 r., Żydzi pracujący przy odgruzowaniu,  
źródło: archiwum Antoniego Nowickiego, „Głos Siemiatycz”, [www.siemiatycze.com.pl](http://www.siemiatycze.com.pl)*



*Zdjęcie przedstawia ul. Polską (11 Listopada) w Siemiatyczach, widok w stronę dzisiejszego  
pl. Jana Pawła II po bombardowaniach niemieckich, fot. „Kurier Podlaski”*

Alicja Łukawska



## ŻUŁAWSKIE OPOWIEŚCI. W STRONĘ ZWIERZNA

Zwierzno to dla mnie osobiście jedna z najważniejszych żuławskich wsi. To właśnie tam, w neogotyckim kościele p. w. Michała Archanioła, zostałam ochrzczona upalnym latem 1959 roku. Do tej właśnie parafii należałam przez pierwsze kilkanaście miesięcy życia, gdy mieszkałam z rodzicami w Wiśniewie w gminie Markusy. Później, gdy już mieszkaliśmy w Bydgoszczy, regularnie bywałam w kościele w Zwierznie, kiedy wraz z rodzicami spędzałam letnie wakacje na Żuławach.

W domu dziadków w Wiśniewie co niedzielę od rana odbywał się tradycyjny rytuał rodzinnego wyjazdu wozem konnym na mszę świętą do kościoła parafialnego w Zwierznie. To była wielka ceremonia, w której brałam udział jako dziecko i dobrze ją zapamiętałam. Zwykle było tak, że dziadek Józef jako pierwszy był wyszykowany i gotowy do wyjazdu. Wstał wcześniej rano, zdążył już więc umyć się, ogolić brzytwą, ubrać w lepsze, ciemne, niedzielne ubranie z wełny i białą płócienną koszulę wyprasowaną w sobotę przez ciotkę Zosię małym, ciężkim, metalowym żelazkiem, do którego wkładało się żarzące węgle z pieca. Zdążył też pójść na łąkę po kobyłę, zaprząc ją do wozu stojącego w stodole i wyjechać ze stodoły na zewnątrz, a także przygotować ławki na wozie do siedzenia i nakryć je wełnianymi pledami. Były tam zawsze dwa siedzenia, nakryte jakimiś starymi wełnianymi kocami, by było miękko, ciepło i wygodnie. A kiedy był już całkiem gotowy, wdrapywał się wóz, siadał na przednim siedzeniu i zapalał papierosa marki Sport umieszczonego w szklanej lufce. To była jego chwila medytacji.

No więc, mamy lato. Dziadek siedzi na kozle i pali jednego papierosa za drugim. Jest trochę nerwowy, bo nie zjadł rano śniadania. Są však lata 60., czas przed soborem watykańskim drugim, wierni muszą w niedzielę być w kościele na czczo, aby móc przystąpić do komunii świętej. Jeść można dopiero później. Dlatego dziadek jest głodny. Innego dnia o tej porze już dawno byłby po śniadaniu.

Dziadek pali i milczy, a ja z rodzicami też już siedzę na wozie. Nikt nic nie mówi. Atmosfera jest raczej kwaśna, bo wszyscy są głodni. Babka Kasia w tym czasie jeszcze nerwowo biega po całym domu, szykując się do wyjazdu. Jest już uczesana, swoje długie i gęste włosy ma zebrane w ciasny koczek z tyłu głowy i spięte szpilkami. Ma na sobie „najlepszą”, niedzielną, fałdzistą spódnicę sięgającą do pół łydki i jakąś bluzkę, a w chłodniejszy dzień coś w rodzaju garsonki albo kostiumu. Już, już ma wsiadać na wóz, ale nagle przypomina się jej, że przecież musi jeszcze umyć nogi. Rano dawała jeść ptactwu, wyszła bosą na podwórze i wdepnęła w kurze, kacze czy indyckie gówno, których tam leżało w trawie co niemiara. No, tak to się nie da założyć pończoch i wyjściowych pantofli! Na brudne, wysmarowane ptasim łajnem stopy włożyć czyste pończochy? To się tak nie godzi!

– Pocekaaj! Jesce ino nogi umyję! – krzyczy babka do dziadka przez otwarte drzwi obory i szybko wraca do sieni, gdzie leje wodę do miednicy. Myje prędko nogi, ale...

– Gdzie są moje puńcochy? – i zaczyna się ta sama nerwowa śpiewka, co w przypadku każdego wyjścia z domu.

To wieczne szukanie pończoch do pary! Przekleństwo kobiet z tamtej epoki! Bo stylonowe damskie pończochy były w PRL-u towarem deficytowym, a na dodatek kosztownym. Nie zawsze udawało się babce znaleźć parę pasującą do siebie kolorem, do tego całą, taką bez lejących oczek. No, w końcu „puńcochy” są na nogach, trzymają się dobrze, przytrzymywane nad kolanami za pomocą prowizorycznych podwiązek z gumy do majtek.

Ostatni rzut oka w lustro, babka sprawdza, jak tam włosy. Czy spinki i ozdobny grzebień są na swoim miejscu? Tak! Wszystko gra! Na to idzie jeszcze chustka, bo jakże to tak, bez chustki do kościoła? Głowa musi być nakryta! Tylko mężczyźni mogą wejść do kościoła z odkrytą głową! Latem cienka, bawełniana. Ciemna, z kwiatowym, tureckim wzorem. W końcu babka pojawia się w drzwiach obory, kierując w stronę wozu na podwórzu.

– Matka, a książeczkę do nabożeństwa wzięłaś? – pyta dziadek z góry.

Babka pędem wraca do środka. Gdzie ta książeczka? Codziennie się na niej modli, czyta sobie w wolnej chwili długie litanie i różne pieśni nabożne, które sobie przy tym nuci półgłosem, więc nieraz zostawi ją gdzieś w kuchni, sypialni albo na ganku. No, jest! Ma już wszystko. Sprawdza raz jeszcze w torebce: książeczka, chusteczka do nosa, portmonetka z drobnymi dla księdza na tacę, zapasowe spinki do włosów, grzebień...

W końcu zdyszana Kasia jest już gotowa i wdrapuje się na wóz, podwijając spódnicę i kładąc najpierw jedną stopę wysoko na piaście koła, a potem przekładając nogę przez bok pojazdu. Z drugą nogą jest już łatwiej, bo tylko trzeba ją przełożyć przez bok wozu.

Ten dziadkowy wóz był cały zrobiony z desek. Koła też były drewniane i okute grubą, metalową blachą. Jak się nim jechało po bruku, to pasażerowie strasznie podskakiwali. Było to bolesne dla pośladków, ale z boku wyglądało to bardzo śmiesznie.

Zimą 1945 roku Niemcy porzucali takie właśnie konne wozy na brzegu morza, głównie na Mierzi Wiślanej i na Wyspie Sobieszewskiej, kiedy uciekali z Żuław przed zbliżającym się radzieckim frontem. Na tym brzegu zostawiali nie tylko wozy, ale też konie i wiele swojego dobytku, bo niemiecka marynarka wojenna ewakuowała ich na statkach wprost do Reichu. A koni i wozów przecież zabrać nie mogli na te zatłoczone okręty. Potem, kiedy na Żuławy przybyli Polacy, to jakoś zwiędzieli się o tych porzuconych pojazdach i jeździli z całej okolicy, by ich szukać. Podejrzewam, że ten właśnie drewniany wóz mojego dziadka, którym jeździliśmy w niedzielę do kościoła, był właśnie stamtąd. Jakoś tak pod koniec lat 60. dziadek kupił sobie lepszy wóz, z kołami gumowymi i na resorach. Na tym wozie jeździło się o wiele przyjemniej, a w każdym razie miękko, bo już tak nie trzęsło.

Wracając do tego wyjazdu na mszę...

Siedzę sobie pomiędzy rodzicami na tylnej ławce i obserwuję wszystko. Ledwo babka opadnie na siedzenie obok dziadka, ten już gasi papierosa o podeszwę buta, rzuca niedopałek na ziemię, cmoka na konia, potrząsa lejcami i wyjeżdża z podwórka. W domu zostaje ciotka Zosia z synem Tadeuszem, bo ktoś musi być na miejscu i pilnować domu. Nie można zostawić obejścia na pastwę losu, choć właściwie złodziei na wsi nie ma. Nikt nawet nie zamyka drzwi na klucz, jak wychodzi z domu w pole. Drzwi zamykane są tylko na noc.

No, a poza tym, ktoś musi ugotować obiad niedzielny, więc Zosia zabiera się zaraz do roboty, czyli zaczyna gonić na podwórku jakiegoś wyrosniętego kurczaka, którego zarznie,

wypatroszy i wrzuci do garnka w towarzystwie włoszczyzny. Zanim rodzina wróci z kościoła, rosół będzie gotowy.

A my wyjeżdżamy z podwórza i skręcamy wozem w lewo. Jedziemy wąską drogą, której jedna część jest wybrukowana wielkimi kocimi łbami, a druga jest zwykłym traktem gruntowym. Latem, kiedy jest ciepło i sucho, można jechać wozem po stwardniałej ziemi, wtedy tak nie trzęsie. Ale kiedy jest po deszczu, dziadek kieruje wóz na kamienie, by nie tonąć w błocie. Podskakujemy wtedy na tej szosie, aż wszystko się trzęsie w środku. Trzeba bardzo uważać, nie odzywać się, by nie przygryźć sobie języka, bo zrobi się ranka. Ta droga wybrukowana kocimi łbami to właściwie zabytek. Została zrobiona w XVIII wieku, w tym samym czasie, kiedy zbudowano dom dziadków i inne domy w okolicy. Dopiero wtedy osiedlili się tu ludzie. Wcześniej, jeszcze w XIII, XIV wieku cały teren, który dzisiaj zajmują wioski Wiśniewo i Rachowo, to było dno jeziora Drużno. Wody tego akwenu dochodziły wtedy podobno aż do Kępniewa, które jest położone na nieco wyższej „grzędzie”. Ale teraz, kiedy jedziemy do kościoła, nikt z nas na wozie, a może nawet w całej gminie tego nie wie. Może coś tam wiedzą w powiecie o przeszłości tej ziemi? Ale tu, na dole, nikt nie interesuje się tym, co było tutaj przed 1945 rokiem. Jedyne, co wiemy, to fakt, że Wiśniewo jest „poniemieckie”, a Polacy żyją tutaj w domach zbudowanych przez wroga, czyli przez Niemców.

W odległości około kilometra od domu dziadków droga nieco wznosi się i pokonuje niewielkie wzniesienie. To dawny przejazd kolejowy na trasie z Gronowa do Paśtka. Tory zdjęli Sowieci zaraz po wojnie i wywieźli do siebie. Właściwie to Sowieci tylko nadzorowali to zdejmowanie torów, a całą ciężką robotę odwalali za nich Niemcy, których latem 1945 roku zwożono tu ciężarówkami z całej okolicy, a nawet z Malborka. Teraz po torze kolejowym pozostał tylko nasyp porośnięty trawą. Ludzie wypasają na nim bydło. Można tamtędy powędrować sobie pieszo w prawo, w kierunku Markus, gdzie kiedyś, za Niemców, była stacja kolejowa. W lewo za daleko się nie pójdzie, bo jakieś dwa kilometry od tego przejazdu był most kolejowy, który Sowieci też zdemontowali i wywieźli do siebie. Tam już dalej przejścia nie ma, tylko szeroki rów z wodą, a raczej rzeka zwana Dzierzgonką.

Mijamy ten nasyp i jedziemy drogą dalej w kierunku Rachowa. To ważne miejsce w życiu okolicy, bo nowym pawilonie zbudowanym już po wojnie znajduje się tu mały wiejski sklepik, do którego mieszkańcy Wiśniewa jeżdżą po chleb. Na skrzyżowaniu dróg w Rachowie stoi krzyż, który postawili tu polscy osadnicy po II wojnie światowej. Podobne krzyże stoją w Wiśniewie, Kępniewie, Jeziorze i Markusach. Tak została zaznaczona obecność polskich katolików na tym terenie.

Jadąc przez Rachowo, mijamy stojący tuż przy rzece dom, w którym mieszka siostrzeniec dziadka Stasiak Szewczyk, syn siostry dziadka Józefiny Szewczykowej z domu Łukawskiej. Niestety, będąc dzieckiem, nie znam wcale tej gałęzi rodziny, bo Łukawscy są raczej mało towarzyscy...

Dopiero po latach, zimą 2020 roku, w czasie promocji w Markusach książki „Córka organisty”, którą napisałam wspólnie z moją mamą Haliną, podejdzie do mnie jakaś starsza kobieta i powie: „Jestem synową Józefiny z Młodzieszyzna”. Wiosną 2023 roku poznam z kolei córkę Józka Szewczyka i Jadwigi Bralewskiej, czyli moją kuzynkę Dankę Kuternowską z Markus. Wychodzi na to, że potomkowie Łukawskich z Mazowsza, którzy przyszli tutaj jako osadnicy w 1947 roku, do dzisiaj mieszkają na Żuławach.

W Rachowie dziadek znowu cmoka na konia i skręca wozem w lewo. Teraz przejeżdżamy przez Markusy, które są stolicą gminy. Na prawo od skrzyżowania była dawniej stacja kolejowa. Choć Sowietzi zlikwidowali tutejszą linię kolejową, pozostały po niej pewne ślady: dawne budynki stacyjne, różne instalacje, jakieś kawałki szyn. Tutaj spotykają się ludzie z całej okolicy, bo w tych właśnie budynkach mieści się urząd gminy, sklep spożywczy, piekarnia, remiza strażacka, świetlica, klubokawiarnia i biblioteka. W pobliżu jest przystanek PKS, poczta oraz ośrodek maszynowy, gdzie można wypożyczyć kombajn do żniw albo traktor do orki. Jest nawet szewc i krawiec. W budynku dawnego dworca kolejowego urządzono ośrodek zdrowia i aptekę. Kiedyś była tu także izba porodowa, w której miałam przyjść na świat, ale mama jakoś nie mogła mnie urodzić, więc położna zadzwoniła po karetkę pogotowia ratunkowego i wywieziono ją do Elbląga, gdzie ostatecznie przyszłam na świat w szpitalu miejskim.

W okresie, kiedy spędzam wakacje u dziadków, czyli w końcówce lat 60. XX wieku, gmina Markusy ma nieco ponad 10 tysięcy hektarów powierzchni. Składa się na nią 21 sołectw: Balewo, Brudzędy, Dzierżgonka, Jezioro, Jurandowo, Kępnowo, Krzewsk, Markusy, Nowe Dolno, Rachowo, Stalewo, Stankowo, Stare Dolno, Topolno, Węgle-Żukowo, Wiśniewo, Żłotnica, Zwierzeńskie Pole, Zwierzno, Żółtowiec i Żurawiec. Mieszka tam niecałe pięć tysięcy mieszkańców. Wiele osób zna się osobiście albo z widzenia. Ludzie spotykają się w szkole, sklepie, urzędzie gminy, ośrodku maszynowym, na zabawach, u lekarza, weterynarza i w kościele.

Dalej jedziemy z dziadkiem z Markus do Zwierzna drogą wyłożoną piękną, gładką kostką z granitu. Tutejsza szosa jest już nowsza i lepsza. Chociaż też poniemiecka. Dziadek zaczyna gniadą, która przyspiesza, dziarsko ruszając lekkim klusem. Rozpędzona kobyłka co jakiś czas podnosi długi ogon do góry i zwawo puszcza ogromne, śmierdzące bąki. Potem gubi na szosę parę złotych, aromatycznych „końskich jabłek” pełnych niestrawionej sieczi i jakichś nasion. W tym samym kierunku co my jadą też inne wozy konne. Spieszą też do kościoła ludzie na rowerach i pieszo. Wszyscy odświętnie ubrani w niedzielne stroje, których nie używa się na co dzień, tylko na specjalne okazje, jak wyjście do kościoła czy wyjazd do miasta.

Kiedy jedziemy, nad nami rozpościera się zielony baldachim lipowych liści, dzięki czemu można poczuć się jak w tunelu. Bo ta droga to jest właściwie jedna długa, cienista aleja obsadzona z obu stron wielkimi, rozłożystymi lipami. Jak przyjemnie jechać konnym wozem taką drogą, kiedy jest wielki upał, albo gdy pada niewielki deszcz. Liście zatrzymują promienie słoneczne, tłumią padające krople wody... Jest cudnie!

Po drodze mijamy wielkie gospodarstwa, wokół których kręci się wiele zwierząt i ptactwa. W obejściach jest gwarno i wesoło. Z podwórek na drogę wychodzą kury, kaczki i gęsi, wypadają ujadające pieski, bezszelestnie przemykają się koty, na łąkach pasą się stada bydła. Każdy rolnik hoduje gromadkę biało-czarnych, mlecznych krów, jakieś cielaki i buhaje, na które mówi się byki.

– Uważaj na byka! Nie chodź po łące w czerwonej sukience, bo go rozdrażnisz i weźmie cię na rogi! – słyszę nieraz od starszych. Czy ja miałam wtedy jakąś letnią sukienkę w kolorze czerwonym? Nie pamiętam... Ale na byka zawsze bardzo uważałam!

Byk to zwierzę niebezpieczne, ale bardzo potrzebne w gospodarstwie. Dorośli mówią czasem, że krowę prowadzi się do „do byka”. Jako mała dziewczynka, nie bardzo jeszcze wiem o co chodzi. Po co właściwie ten byk krowie? Do czego jest jej potrzebny? W latach 70. byki znikają z pejzażu wsi. Ich miejsce zajmują mężczyźni-inseminatorzy, którzy podjeżdżają do

gospodarstwa na rowerkach albo małych motorkach zwanych „komarkami” i robią z krową mniej więcej to samo, co byk, ale dyskretniej.

Przejeżdżamy obok starej, poniemieckiej mleczarni w Zwierzeńskim Polu, gdzie znajduje się też przystanek PKS Markusy-Zdroje, i już jesteśmy w Zwierznie. Jeszcze parę domów i jest kościół pod wezwaniem Michała Archanioła. Jesteśmy sporo przed czasem, ale dziadek musi znaleźć dobre miejsce do zaparkowania wozu, zatroszczyć się o gniadą i dać jej worek z obrokami do jedzenia. Wsiadamy i idziemy zająć miejsca w kościele. Dziadek zawsze staje z wozem na swoim stałym miejscu, trochę za plebanią, przywiązuje kobyłkę w cieniu, by nie męczyła się na słońcu, a potem idzie zapalić papierosa na cmentarzu przy kościele i pogadać ze znajomymi. Pod murem świątyni zbierają się mężczyźni z okolicy, którzy nie zawsze wchodzą do środka. Nieraz przyjeżdżają tu po prostu w celach towarzyskich, by pogadać. Lepiej to wygląda niż stanie pod sklepem.

Dziadek Józef chwilę stoi i pali w milczeniu, a potem przychodzi na mszę. Są lata 60., więc czasy przedsoborowe, dlatego ksiądz modli się odwrócony przodem do ołtarza, a nie do wiernych. W ławkach panuje podział wiernych według płci. Kobiety siedzą po prawej, mężczyźni po lewej stronie. Msza odprawia się po łacinie. Ludzie słuchają księdza i odpowiadają w tym samym języku. Wszystko jest po staremu, bo jeszcze nie weszły w życie reformy II Soboru Watykańskiego. Ja też umiem już powiedzieć po łacinie całą modlitwę „Ojcze nasz”, czym na prośbę mojej mamy chętnie popisuję się przy różnych okazjach rodzinnych: „Pater noster, qui est in coelis...” i tak dalej.

Najbardziej podoba mi się w wiejskim kościele to, że nic nie ukryje się przed okiem księdza. Mam wrażenie, że wiejski proboszcz wie wszystko o swoich parafianach niczym sam Pan Bóg. Po prostu – jest wszechwiedzący! Niech no tylko wdrapie się na ambonę, która stoi z lewej strony kościoła, a wtedy będzie się działo!

– Tu jest o wiele ciekawiej niż w naszej bydgoskiej parafii na Okolu pw. św. Trójcy – myślę sobie. – Tamtejszy proboszcz nie zna tajemnic swoich parafian tak jak ten wiejski ksiądz.

– Niech ten, którego mam na myśli, poprawi swoje grzeszne postępowanie! – grzmi proboszcz z góry i wyciąga jakieś osobiste sprawy dobrze znane wszystkim mieszkańcom. Nie wymienia nazwisk oskarżonych, ale i tak ludzie dobrze wiedzą, o kogo chodzi. Kręcą się w ławkach, spoglądaj na siebie porozumiewawczo, kiwają głowami, niektórzy uśmiechają się pod nosem, inni mają obrażone miny. W małej społeczności zna się sąsiadów nie tylko ze swojej wioski, ale też z miejscowości sąsiednich. Wiadomo, kto pije, kto bije czy zdradza żonę, kto jest leniwy i źle prowadzi gospodarstwo, kto się rozwodzi, kto źle prowadzi i która panna latała na zabawy, a potem urodziła nieślubne dziecko. Takich ciekawych ploteczek obyczajowych nie słyszy się z ambony w mieście!

Słucham z zainteresowaniem kazania księdza, choć jestem zbyt mała, by orientować się, o co mu właściwie chodzi z tymi grzechami parafian. Ale podoba mi się przedstawienie rozgrywające się w kościele. Potem znowu brzmi melodyjna łacina, na chórze huczą organy, organista intonuje jakąś pieśń, ludzie idą do komunii. Ja jeszcze nie idę, bo jestem za mała. W końcu rozlega się oczekiwany zwrot.

– Cebula cebulorum amen! – śpiewa wreszcie proboszcz po łacinie („cebula cebulorum” - tak rozumiałam wtedy zwrot „in saecula saeculorum”, co znaczy „na wieki wieków”), a ja wiem, że to nareszcie koniec mszy.

Teraz zależy mi na tym, żeby szybko wyciągnąć mamę z kościoła, bo na zewnątrz czekają przecież inne atrakcje! W niedzielę pod kościołem sprzedają lody!

Większość ludzi już wyszła, ale moja mama, jak na złość, jeszcze się modli na książeczce i nie wychodzi. Nie mogę przecież wyjść sama, bez niej! A tam już przecież na pewno przyjechał z Elbląga sprzedawca lodów! Trzeba lecieć i ustawić się w kolejce, bo dla nas nie starczy! On zawsze przywozi jeden, góra dwa duże termosy prawdziwych lodów na śmietanie o smaku waniliowym. A czasem w jednym termosie ma lody białe (waniliowe), a w drugim brązowe, to jest kakaowe. Jedna mała gałka lodów włożonego pomiędzy dwa wafelki kosztuje 1.20 zł (złotówkę i dwadzieścia groszy). Taka cena jednej gałki lodów obowiązywała w całym PRL-u, chyba była to cena urzędowa. Ja wolę waniliowe, ale najprzyjemniej jest kupić sobie dwie gałki o różnych smakach i jeść powoli, czując jak oba smaki mieszają się na języku.

W końcu mama kończy swoje modły, przydługie jak na mój gust i chowa książeczkę do torebki. Ja wtedy żegnam się szybko, machając niedbale ręką wokół siebie, jakbym opędzała się od much. Wychodzimy. Do lodów ustawiła się długa kolejka chętnych. Oj, czy zdążymy kupić?

Dziadek bardzo się niecierpliwi. Chce wracać do domu, bo kobyła i tak już przecież za długo stoi w jednym miejscu. A on zawsze martwi się, jak kobyłce jest niewygodnie. Jest do niej bardzo przywiązany. Poza tym, dziadkowie są na czczo, są głodni i teraz spieszy im się do domu.

Na szczęście kolejka do lodów posuwa się szybko.

– Jednego za złoty dwadzieścia – mówi mama.

Co? Tylko jedna gałka? Wolalabym dwie, za dwa czterdzieści. Ale trudno. Trzeba się cieszyć tym, co jest! W tej sytuacji wybieram waniliowe. Kakaowe zjem kiedy indziej. Dostaję dwa złożone małe wafelki, a w środku jest niebiańska, zimna słodycz. Liżę ją uważnie, nie chcąc poplamieć niedzielnej sukienki. Te lody lubią niepostrzeżenie rozpuścić się i kapać na ubranie. Udało się! Lód zjedzony, a moja sukienka jest nadal czysta. Wdrapujemy się na wóz i ruszamy z kopyta. Ciotka Zosia już pewnie czeka z obiadem.

Taka podróż z Wiśniewa do Zwierzna powtarzała się właściwie w każdą niedzielę przez cały rok. Tylko wyjątkowo niekorzystna pogoda mogła zatrzymać dziadków w domu. Do kościoła nie jeżdżono tylko zimą, jak był wielki mróz i śniegu napadało tyle, że koń nie dałby rady przejechać z wozem. A w Wiśniewie sani na wyposażeniu nie było...

Po śmierci dziadka Józefa jeździłam z mamą na wakacje do Markus do wujostwa Geni i Stefana Burków. Ich rodzina także wyprawiała się co niedzielę wozem konnym do kościoła w Zwierznie, a kto nie wsiadł na wóz, ten jechał rowerem. Na Boże Narodzenie w 1972 roku w tym kościele odbyły się uroczystości rocznicowe z okazji 25-lecia ślubu wujostwa, którzy pobrali się w 1947 roku w Osieku nad Wisłą. W styczniu 1976 roku brała tam ślub moja kuzynka Krysia Burkówna, która wyszła za mąż za Henryka Kasprowicza z Elbląga. I ja tam też byłam wraz z moją mamą. Wtedy właśnie, na ślubie Krystyny, po raz ostatni byłam w środku tego kościoła, później nie było już jakoś okazji, bo przestałam jeździć na Żuławy do rodziny na wakacje.



*Dziadek Józef Łukawski, fot. archiwum rodzinne*



*Babcia Katarzyna Łukawska, fot. U. Gadzińska*



*Wóz konny z kołami „na gumach”, którym jeżdżono się do kościoła w Zwierznie, i klacz „Gniada”. Powozi wujek Aleksander Gadziński, fot. archiwum rodzinne*

## HISTORIA PARAFII W ZWIERZNIE

Zwierzno to bardzo stara miejscowość. Przypuszcza się, że ludzie mieszkali w tym miejscu od pradawnych czasów. Najpierw byli to Prusowie, potem Niemcy i Polacy. Pierwszy przywilej lokacyjny dla Zwierzna, zwanego wówczas Thiergart, wystawił 24 lipca 1354 roku komtur krzyżacki z Dzierzgonia Konrad Braunschweig. Drugą lokację 15 czerwca 1426 roku wystawił wielki mistrz krzyżacki Paul von Rusdorf (1385–1441). W obu dokumentach lokacyjnych przewidziano uposażenie dla kościoła w postaci gruntów. Parafia istniała jednak wcześniej, ponieważ już w dokumentach z roku 1337 występuje proboszcz Zwierzna. W 1411 roku, w czasie wojny polsko-krzyżackiej, wieś została zniszczona.

Kiedy przepędzono stąd krzyżaków, a tereny te stały się własnością Polski, miejscowość przeszła pod zarząd starostów, a potem ekonomów z Malborka. Na początku XVI wieku sołtys Zwierzna miał 4 włóki ziemi, a zwykli rolnicy 15 włók (liczone razem). We wsi było dwóch karczmarzy, którzy nie posiadali gruntów rolnych. W pierwszych latach XVII wieku posiadłość w Zwierznie miał zamożny patrycjusz gdański Szymon Bahr (1543–1606).

Obecnie w tym samym miejscu w Zwierznie stoi już trzeci z kolei kościół. Pierwszy był wybudowany w średniowieczu i po latach zamienił się w ruinę. W 1696 roku wzniesiono więc nowy. Na jego budowę polski król Jan III Sobieski dał 1500 florenów. Konsekracja nowego kościoła odbyła się 17 listopada 1696 roku. W roku 1738 została zbudowana obok osobna dzwonnica.

W początkach XIX wieku kościół ten był już bardzo zniszczony, dlatego w 1827 roku podjęto decyzję o budowie trzeciej w tym miejscu świątyni, która istnieje do tej pory. W 1851 roku kierownikiem jej budowy został proboszcz Józef Korczykowski (1783–1871), którego grób ogrodzony dekoracyjnym metalowym płotkiem do dzisiaj znajduje się na przykościelnym cmentarzu. Korczykowski był Polakiem i dziekanem żuławskich parafii katolickich położonych na wschód od Wisły (ten dekanat obejmował głównie Małe Żuławy Malborskie). Budowę kościoła zakończono w 1855 roku. Został on konsekrowany 11 października 1857 roku przez biskupa pomocniczego warmińskiego Antoniego Frenzla (1790–1893). W 1916 roku położono nowy dach na świątyni. Po Korczykowskim proboszczem został niemiecki ksiądz Adalbert Freiseleben (1830–1908), którego grób także zachował się do tej pory na przykościelnym cmentarzu.

Dwudziestowieczną historię parafii pw. Michała Archanioła w Zwierznie można odtworzyć dzięki informacjom z książki księdza Mieczysława Józefczyka „Elbląg i okolice 1937–1956. Chrześcijaństwo w tyglu dwóch totalitaryzmów” wydanej w 1998 roku.

W okresie międzywojennym proboszczem w Zwierznie był ksiądz Otto Miller (1879–1958), filozof i poeta, który urodził się w Pieniężnie na Warmii. Uczył się w seminarium duchownym we Fromborku. Święcenia kapłańskie otrzymał w 1903 roku. Najpierw posługiwał jako wikary, a potem wyjechał do Rzymu, gdzie studiował filozofię i archeologię. W 1912 roku obronił pracę doktorską na temat poezji Dantego. Jako ksiądz pracował w Nowym Stawie, Jezioranach, Genui i we Fromborku, gdzie był sekretarzem biskupa Augustynusa Bludaua oraz pierwszym sekretarzem kurii biskupiej. W 1922 roku został proboszczem w Zwierznie. Zajmował się pracą literacką i dziennikarską, Współpracował z gazetą „Ermländische Zeitung” w Braniewie.

Ksiądz Miller znany był z tego, że nie popierał nazistów. W sierpniu 1934 roku demonstracyjnie nie wziął udziału w referendum, w którym obywatele III Rzeszy mieli głosować za tym, czy uznają Adolfa Hitlera za przywódcę narodu niemieckiego. Odmówił wówczas pójścia do lokalu wyborczego, chociaż miejscowy szef partii wysłał po niego dwóch umundurowanych funkcjonariuszy, jednego z SS, a drugiego z SA. Proboszcz jednak zdecydowanie im się sprzeciwił. Poza tym, zachował się wobec nich w sposób, który uznali za obelżywy.

– Napiszę na was skargę! – odgrażał się funkcjonariuszom. – Konkordat zabrania księżom mieszenia się do polityki – tak uzasadnił swoją odmowę wzięcia udziału w głosowaniu.

Antyhitlerowska postawa księdza Millera dała jednak pewne efekty społeczne.

Pod jego wpływem prawie wszystkie (z jednym tylko wyjątkiem) niemieckie kobiety wyznania katolickiego z parafii Zwierzno wystąpiły z narodowosocjalistycznego związku kobiet (Nationalistische Frauenschaft). W tamtym czasie było to dużym aktem odwagi cywilnej. Zaczadzenie Niemców nazizmem było wtedy powszechne i każdy, kto się z tego wyłamywał, spotykał się z powszechnym potępieniem. Wpływy NSDAP na tym terenie były bardzo duże, o czym może świadczyć otwarcie w 1937 roku w Zwierznie schroniska dla młodzieży męskiej z Hitlerjugend, spędzającej wakacje na Żuławach. Placówkę tę usytuowano w przerobionym do tego celu dawnym domu zebrzań ludowych, który został zbudowany z cegły w stylu żuławskim jako dom podcieniowy na przełomie XIX i XX wieku. W latach 30. XX wieku Zwierzno było sporą wsią gminną, w której prócz kościoła katolickiego (świątynie ewangelickie były po sąsiedzku w Stalewie i Jeziorze), była szkoła, kilka sklepów, karczma, rzeźnik, weterynarz, szewc, fryzjer, a nawet stacja benzynowa.

Jeśli chodzi o księdza Millera, to po aferze z referendum podpadł on hitlerowcom na tyle, że partia NSDAP zabroniła mu nawet prowadzenia lekcji religii w swojej parafii. Uważano, że może mieć zły wpływ na niemieckie dzieci.

Naciski ze strony władzy świeckiej spowodowały, że duchowny został zmuszony do przejścia na wcześniejszą emeryturę. Odszedł z parafii już wieku 59 lat. Po wyprowadzce ze Zwierzna zamieszkał jako rezydent w klasztorze sióstr elżbietanek w Neuhausen (obecnie Gurjewsk w Obwodzie Kaliningradzkim w Federacji Rosyjskiej). Pod koniec wojny uciekł przed zbliżającą się Armią Czerwoną na Dolny Śląsk. Na pewien czas zatrzymał się w klasztorze w Głogowie, potem ruszył dalej na zachód. Na krótko trafił do domu starców w Freystadt w Górnym Palatynacie. W grudniu 1946 roku został wysłany do obozu w Magdeburgu w radzieckiej strefie okupacyjnej. Wydostał się stamtąd i dotarł do klasztoru szarytek w Delmenhorst w Dolnej Saksonii. Ostatnie lata życia spędził w domu starców w Wewelsbergu koło Paderborn, prowadzonym przez siostry zakonne katarzynki.

W 1938 roku następcą Millera w Zwierznie został ksiądz Franz Thiedigk (1888–1957), który był proboszczem w czasie II wojny światowej i przez dwa lata po jej zakończeniu. W styczniu 1945 roku wraz ze swoimi parafianami uciekał na zachód przed zbliżającą się Armią Czerwoną. W okolicy Słupska uchodźcy z Żuław wpadli w pułapkę zastawioną przez Sowieców. Prawie wszyscy niemieccy mężczyźni zostali tam wzięci do niewoli, a potem zabici lub wywiezieni na wschód. Ksiądz Thiedigk miał jednak szczęście. Wiosną 1945 roku wrócił cały i zdrowy do swojej parafii. Tyle, że wieś nie nazywała się już Thiergart, ale Dunionowo. Podobno nazwa ta wzięła się stąd, że pierwszy komendant radziecki tej wsi nosił

nazwisko Dunin lub Duninow. Dopiero pod koniec lat 40. XX w. nazwano ją Zwierzno, nawiązując do wcześniejszej, niemieckiej nazwy („Thier” po niemiecku oznacza „zwierzę”).

Od jesieni 1945 roku Thiedigk odprawiał również msze w sąsiednich wioskach Jasna (dawniej Lichtenfelde) i Żuławka Sztumska (dawniej Posilage), bo tam niemieccy księża nie wrócili po wojnie. Wraz z nim w parafii pracowały dwie siostry zakonne, elżbietanki. Trwało to niedługo, bowiem już 12 grudnia 1947 roku cała trójka potajemnie opuściła Duninowo. Ksiądz i obie elżbietanki wyjechali do Niemiec pociągiem z Malborka wraz z transportem Niemców z okolicy. Trudno dzisiaj ustalić, czy ich wyjazd był dobrowolny, czy też wymuszony przez władze. Nie były to czasy lekkie ani bezpieczne dla tamtejszych Niemców. Od wiosny 1945 roku przyjeżdżali już tutaj polscy osadnicy, głównie repatrianci z Wołynia, którzy zajmowali ponemieckie domy. Do tego wieś nękały okresowe wizyty żołnierzy radzieckich z Malborka, którzy jeździli samochodami ciężarowymi po całej okolicy, szukając „trofeów”. Pewnego razu zajechali do Zwierzna, gdzie ostrzelali ich polscy milicjanci z lokalnego posterunku. W efekcie tej strzelaniny zginął jeden żołnierz radziecki. Wieś została jednak obroniona.

O zniknięciu proboszcza z Duninowa nie wiedziała nic ani kuria biskupia w Olsztynie, ani nawet malborski dziekan, którym był Wołyniak, ksiądz Feliks Sawicki z parafii Najświętszej Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Malborku. Ale kiedy Sawicki dowiedział się, że parafia w Duninowie straciła swego duszpasterza, przyjechał w najbliższą niedzielę, by odprawić nabożeństwo, po czym oddał świątynię oraz plebanię pod opiekę miejscowego organisty, Antoniego Maliszewskiego, który pracował w tej parafii od 1946 roku.

Wiele wysiłku włożył ksiądz Sawicki, aby ściągnąć do Duninowa jakiegoś kapłana. Odwiedzał różne diecezje w Polsce, domy zakonne i seminaria duchowne, szukając odpowiedniej osoby, która zechciałaby żyć i pracować w trudnych warunkach na Ziemiach Odzyskanych. W końcu udało mu się znaleźć chętnego księdza.

Był to franciszkanin reformat, ksiądz Teofil Chrobak (1913–1970), który przybył do Duninowa 13 grudnia 1947 roku. Przyjechał pociągiem do Gronowa Elbląskiego, a dalej do Zwierzna szedł pieszo, bo nie było żadnego transportu. Jako cały majątek miał ze sobą jedną małą walizeczkę. Nowy proboszcz miał pod opieką jeszcze dwie inne parafie katolickie, w Jasnej i Żuławce Sztumskiej. Udało mu się też pozyskać na potrzeby kultu religijnego nieużywany ponemiecki kościół ewangelicki w Jeziorze. Do tych kościołów filialnych jeździł odprawiać msze w niedzielne popołudnia. Najdłużej, bo aż do 1957 roku, jeździł do Jeziora. Później wszędzie nastali już nowi proboszczowie.



*Ksiądz Teofil Chrobak i Andrzej Burek z Markus,  
fot. archiwum rodzinne*

Po wojnie stan świątyni w Zwierznie oceniano jako niezły, choć okna jeszcze długo były powybijane po działaniach wojennych. Parafia miała własny cmentarz koło kościoła, plebanię, stajnię, oborę, stodołę i drewnię. Do 1945 roku należało do niej 75 hektarów ziemi rolnej, która jednak została rozparcelowana po wojnie w ramach reformy rolnej. Pozostawiono parafii tylko 10 hektarów ziemi ornej i 9 hektarów łąk. Potem na terenie parafialnej działki wytyczono nowy cmentarz katolicki, położony nieco za wsią.

Wyposażenie plebanii, w tym wszystkie ruchomości pozostawione przez księdza Thiedigka, zostało wycenione przez Państwowy Urząd Likwidacyjny, po czym dopiero mógł je przejąć ksiądz Chrobak. W kościele znajdowały się wtedy cenne zabytki, jak gotycka kropielnica z kamienia, relikwiarz z XVIII wieku wykonany ze srebrnej i złotej blachy przez gdańskiego złotnika Chrystiana Schuberta, a także obraz „Wskrzeszenie Łazarza” namalowany około 1714 r. na zlecenie biskupa warmińskiego Krzysztofa Szembeka dla katedry fromborskiej przez Piotra Kolberga z Nowego Miasta.

Ludzie zapamiętali, że ksiądz Chrobak był bardzo pracowitym kapłanem. Nie tylko pełnił obowiązki duszpasterskie, ale też dbał o kościół i parafię, odprawiał msze święte w kilku miejscowościach, uczył dzieci religii i śpiewu w szkole, a przy tym wszystkim prowadził normalne gospodarstwo rolne. Poza kościołem żył jak zwykły rolnik: hodował świny, krowy i uprawiał pole. Udało mu się zelektryfikować kościół i przeprowadzić remont wieży kościelnej. Po paru latach zamówił nowe tabernakulum, zrobił remont całego kościoła i odrestaurował okna w wieży. W 1956 roku dostał do pomocy wikariusza, księdza Stanisława Karwowskiego. Kolejnym proboszczem został ksiądz Jan Mioduszewski, który mnie ochrzcił w 1959 roku. Po pewnym czasie przeniesiono go ze Zwierzna na parafię w Dąbrówce Malborskiej, gdzie nieoczekiwanie zainteresował się radiestezją i odkrył w sobie zdolności paranormalne. W latach 80. był znanym uzdrowicielem i bioenergoterapeutą. Wiadomości na jego temat rozchodziły się pocztą pantoflową.

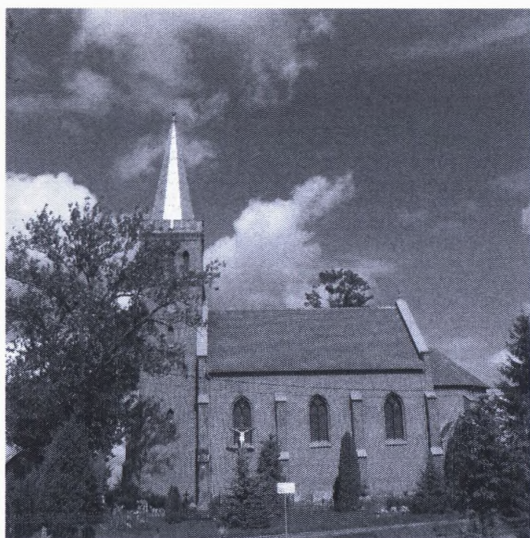
– Przyjeżdżali do niego pociągami ludzie z całej Polski. Mieli na kartkach napisane jego nazwisko i adres. Woziliem ich z dworca w Malborku do Dąbrówki do niego na leczenie. Potem jako ksiądz emeryt zamieszkał na plebanii w Mątowach Wielkich. Jeszcze wtedy praktykował jako uzdrowiciel – opowiadał mi taksówkarz Zbyszek z Malborka, z którym jeżdżę czasem po Żuławach.

Następnie proboszczem w Zwierznie był ksiądz Wojciech Kruk (1933–2005), późniejszy proboszcz katedry w Kwidzynie. Obecnie posługuje tam ksiądz Dariusz Lampkowski, rodem z Miłoradza na Żuławach. Dłużej niż księży pracował w tej parafii organista Antoni Maliszewski, który był zatrudniony tutaj przez 29 lat. Od samego początku parafia w Zwierznie należała do diecezji pomezjańskiej, a od 1992 roku należy do diecezji elbląskiej (dekanat Elbląg – Południe).

## BIBLIOGRAFIA

Józefczyk M., *Elbląg i okolice 1937–1956. Chryścijaństwo w tygłu dwóch totalitaryzmów*, Elbląg 1998.

Mamuszka Franciszek, *Elbląg i okolice*, Gdańsk 1978.



Kościół pw. św. Michała Archanioła w Zwierznie,  
 fot. A. Łukawska



Grób polskiego księdza Józefa Korczykowskiego w Zwierznie,  
 fot. A. Łukawska



Gotycka kropielnica z kamienia pochodząca z pierwszego kościoła  
 w Zwierznie, fot. A. Łukawska



Brukowana droga pomiędzy Wiśniewem a Rachowem zbudowana  
 na przelomie XVIII i XIX wieku, fot. A. Łukawska



Wielki mistrz krzyżacki Paul von Rusdorf wystawił przywilej  
 lokacyjny dla parafii w Zwierznie. Źródło: Wikipedia. Plik  
 Paul\_von\_Rusdorf\_Christoph\_Hartknoch\_1684

Kamil Zimnicki, Dominik Żyłowski

## ELFRIEDE

Nie wiadomo kim była i czy w ogóle była jakaś Elfriede, czy może to tylko taka fantazja któregoś z dawnych właścicieli, że na wspartej kolumnadą podcieniu w belce nadproża wyryto ozdobnym gotykiem nad głównym wejściem napis „Haus Elfriede”.

Podcieniowy dom w Kamionku Wielkim, wsi na skraju Wysoczyzny Elbląskiej, wybudowano w 1772 roku dla Petera Schönsee, właściciela tutejszych cegielni. Użyto do budowy drzew z okolicznego lasu i wyrabianych na miejscu cegieł. Przetrwał dwa stulecia, w ciągu których przechodził liczne zmiany właścicieli, aż do lat 90-tych XX w. Od tamtego czasu pozostawał niezamieszkały, niszczał, aż w 2016 r. uległ częściowemu zawaleniu. W takim stanie „Elfridę” kupiła Maja Pietrasik, z zawodu prawniczka, a przy okazji pasjonatka ceramiki. I wygląda na to, że obie dobrze trafiły.

Do Elfriede zaczęło wracać życie. Zawaloną część domu rozebrano, skatalogowano ocalone elementy i rozpoczęto mozolne, systematyczne prace nad odbudową. Jednocześnie przylegające do pozostałości domu zachowane pomieszczenia gospodarcze zaadoptowano na pracownię ceramiki, w której odbywają się prowadzone przez Maję warsztaty artystyczne dla mieszkańców Kamionka. Powstają tu np. gliniane jabłka – swoisty symbol tego miejsca, bo do domu przynależy stary sad z cennymi lokalnymi odmianami jabłoni. Zresztą jesienne zrywanie jabłek w sadzie Elfridy stało się swego rodzaju małą lokalną tradycją. Zarówno warsztaty, jak i jabłkobrania oprócz tego, że dostarczają symbolicznych „cegiełek” do odbudowy domu, to stanowią trudny do przecenienia czynnik integrujący miejscową społeczność. Dzięki nim Elfriede jakby na powrót staje się „tutejsza”. Celem i marzeniem





Mai jest zresztą nie tylko odbudowa domu, ale też uczynienie zeń właśnie czegoś w rodzaju lokalnego ośrodka życia kulturalnego.

Takim projektom z pewnością warto kibicować i wspierać je. Dlatego zachęcamy do bliższego zapoznania się z historią oraz z aktualnościami z życia Elfriede na stronie internetowej [elfrida.pl](http://elfrida.pl).

Z Mają Pietrasik spotkaliśmy się przy okazji trwającej już od blisko roku pracy nad projektem fotograficznym, w ramach którego poprzez serię portretów zamierzamy udokumentować możliwie szeroko dzisiejsze życie kulturalne i współczesną tożsamość Wysoczyzny Elbląskiej. Również nasze skromne przedsięwzięcie, którego fragmentem jest powyższa opowieść, polecamy życzliwej uwadze Czytelników „Prowincji”. Mamy nadzieję, że „ciąg dalszy nastąpi”.

*Zdjęcia: Dominik Żyłowski*



Piotr Napiwodzki

# PATRONKA DZIERZGONIA NA SŁYNNYM WATYKAŃSKIM FRESKU

W herbie Dzierzgonia widnieje sympatyczna postać kobiety z jasnymi włosami, która w prawej ręce dzierży srebrny miecz, a lewą opiera na sporej wielkości kole. Jest ubrana w niebieską tunikę i okryta czerwonym płaszczem. Jej głowę wieńczy złota korona. Oczywiście w ikonografii kształty i kolory mogły się zmieniać, ale atrybuty (koło i miecz) pozostały takie same. Nie ma wątpliwości, że patronką Dzierzgonia jest święta Katarzyna Aleksandryjska.

Co wiemy o tej postaci? Możemy powołać się jedynie na przekazy legendarne. Śmierć męczeńską poniosła na początku IV wieku. Pochodziła z Aleksandrii w Egipcie, gdzie miała być córką „króla” (cóż, trudno mówić o królach w Egipcie w tamtym okresie). Była bogatą i wykształconą chrześcijanką, która w dysputach z niechrześcijańskimi mędrkami odważnie występowała w obronie wiary. Została skazana na śmierć męczeńską, a jako narzędzie tortur przewidziano koło. Podczas łamania kołem zainterweniował anioł, koło uległo zniszczeniu, a wyrok śmierci wykonano ostatecznie przez ścięcie (dlatego św. Katarzyna dzierży miecz). W tym punkcie znajduje rozwiązanie jedna z zagadek dotyczących wizerunków św. Katarzyny. Oto w większości przedstawień koło jest złamane, uszkodzone, przepołowione. Nie jest tak w przypadku herbu Dzierzgonia. To naturalne, bo legenda z Aleksandrii to jednak dla Dzierzgonia sprawa nieco odległa, a o wiele ważniejsze jest, że św. Katarzyna występuje lokalnie jako patronka między innymi kołodziejów i kolejarzy, a także młynarzy i garncarzy – trudno więc, żeby epatowała uszkodzonym kołem.

Święta Katarzyna Aleksandryjska nie jest bynajmniej świętą prowincjonalną. Jest jedną z najpopularniejszych świętych Kościoła katolickiego i prawosławnego. Jej wizerunki są bardzo rozpowszechnione, tak w heraldyce europejskiej (czasami zredukowane tylko do atrybutów – koła i miecza), jak i w dziełach wielkich mistrzów. Wchodząc do jednej z najważniejszych budowli sakralnych zachodniego chrześcijaństwa, do Kaplicy Sykstyńskiej w Watykanie, stajemy wobec ogromnego fresku Michała Anioła przedstawiającego Sąd Ostateczny, a na nim, wśród tłumu kłębiących się postaci, ale w dosyć wyeksponowanym miejscu, możemy podziwiać postać patronki Dzierzgonia. Czy łatwo ją odnaleźć na fresku? Tak, znajduje się wśród męczenników, a ci z kolei są umieszczeni po prawej stronie (po lewej stronie patrząc od Chrystusa), mniej więcej w połowie wysokości całej kompozycji. Mają ze sobą narzędzia męki i wysuwają je przeciwko potępionym, którzy pragną dostać się do nieba. Zwykle pochylają się, a przez to wpisują się w ruch panujący na całym fresku – rozpoczyna się on na dole po lewej stronie na dole, gdzie zilustrowane jest powstawanie umarłych z ich grobów (w oparciu o wizję proroka Ezechiela: „i patrzyłem, a oto powróciły ścięgnięta i wyrosło ciało,



*Współczesny herb Dzierzgonia*



*Jedna z dawnych wersji herbu Dzierzgonia*

a skóra pokryła je z wierzchu, ale jeszcze nie było w nich ducha” – Ez 37, 8), następnie ruch kontynuowany jest przez postaci wstępujące do nieba, tam w centrum jest Chrystus i osoby go otaczające, wyżej w kompozycję wpisują się aniołowie również ukazani w ruchu, a po prawej stronie ruch opada, poprzez męczenników, ku postaciom strącanym w dół czy też ściąganym przez demony, aż do łodzi Charona po prawej stronie na dole. Niezwykła i nowatorska jest ta dynamika kompozycji, ma też ważne znaczenie teologiczne. Dagobert Frey w swoim studium poświęconym Michałowi Aniołowi pisze: „...ta przestrzeń... ma wizjonerską moc gwiazdzistego nieba, w którego wywołującej zawroty głowy nieskończonej głębi tonie wzrok... Wszystko jest w ruchu, ale to nie z materii ekstensywnie rozwija się ruch, lecz to sama przestrzeń jest przemieniona w fenomen ruchu”<sup>1</sup>. Teologicznie już przez samą kompozycję Sąd Ostateczny Michała Anioła odpowiada na pytania zadawane przez późną teologię scholastyczną na progu epoki nowożytnej: co możemy wiedzieć o Bogu, a co Bóg może wiedzieć o przyszłych wydarzeniach zależnych od naszej wolnej woli? Jak pogodzić ludzką wolność i wszechmoc Boga? Na czym polega pośrednictwo Chrystusa? Czym jest opatrność, a czym predestynacja? Na fresku widzimy potężny ruch, który porywa wszystkich ze sobą – czy Chrystus jest Panem tego ruchu, czy również mu się poddaje? Czy feruje wolne wyroki, czy po prostu jest jedynie wyrazem siły, która już wcześniej przesądziła o sprawie zbawienia i potępienia? Wydaje się, że jesteśmy świadkami ujawnienia od dawna już obowiązujących wyroków, a Chrystus – młody, atletyczny, zupełnie odmienny od tradycyjnych przedstawień, nie nawiązuje w żaden sposób do historycznego Jezusa z Nazaretu, ale jest objawieniem tej kosmicznej, boskiej siły, która wszystko porywa ze sobą i która wszystkiemu zapewnia odpowiednie miejsce i los. Oblicze Sędziego jest doskonale spokojne, nieporuszone ludzką namiętnością. On się ani nie gniewa, ani nie denerwuje – to nieubłagany spokój procesu, który i tak się ma dokonać. Tu już nie ma o co prosić, nawet Maryja nie wstawia się za grzesznikami, ale jedynie przygląda się z góry straszliwym ostatecznym wydarzeniom. To właśnie często rzuca się w oczy, że w Sądzie Ostatecznym Michała Anioła, w przeciwieństwie do wszystkich wcześniejszych przedstawień tego tematu, całkowicie brakuje elementu modlitwy wstawienniczej. W średniowieczu Sędzia tronuje zawsze pomiędzy Maryją a Janem Chrzcicielem. Wstawiennictwo Maryi jest zestawione ze wstawiennictwem Jana Chrzciciela, gdyż to Jan jako pierwszy w Nowym Testamencie przepowiadał nadchodzący koniec czasów. Później, od czasów Giotta, wraz ze wzrastającym kultem Maryi w rozwiniętym średniowieczu, Jan Chrzciciel ustępuje miejsca Maryi, która na przykład na fresku w Pizie tronuje obok Chrystusa we własnej mandorli. U Michała Anioła również widzimy ją obok Sędziego, ale – jak interpretując to niektórzy – odwraca się ze zgrozą, jak gdyby nie rozpoznawała w Nim swojego Syna<sup>2</sup>.

Niepokoje epoki, splądrowanie Rzymu w 1527 (Sacco di Roma), *Boska Komedia* Dan-tego, odkrycie na nowo niektórych (zwłaszcza późnych i skrajnie pesymistycznych) pism św. Augustyna, kazania dominikanina Savonaroli, które młody Michał Anioł słuchał we Florencji – to wszystko oddziałuje na wyobraźnię tak samego artysty, jak i odbiorców dzieła (oczywiście wówczas – dzisiaj nie mamy już porównywalnego zaplecza). Co więcej – Michał

<sup>1</sup> Dagobert Frey, *Michelangelo-Studien: Leben und Werk*, Wien 1920, s. 142.

<sup>2</sup> Por. Karolina Lanckorońska, *Freski Sykstyńi i inne arcydzieła Michała Anioła*, (opr. J. Miziołek), Warszawa 2022, s. 106–107.

Anioł w okresie malowania fresku Sądu Ostatecznego (1534–1541) pozostaje w bliskich relacjach z Vittorią Colonną i kręgiem jej przyjaciół i znajomych. Vittoria Colonna to markiza Pescary, poetka – Michał Anioł napisał dla niej kilka sonetów i podarował jej parę swoich rysunków (rysował także jej portrety). O tym, jak wpływową była osobą, niech świadczy fakt, że gdy papież Paweł III (podtrzymał on zlecenie Klemensa VII dotyczące namalowania Sądu Ostatecznego przez Michała Anioła) zachorował w 1546 roku, to z nią właśnie omawiał wybór swojego następcy prosząc ją, aby skłoniła kardynałów do



*Katarzyna Aleksandryjska Sąd Ostateczny*

wyboru kardynała Sfondrato (do konklawe wówczas nie doszło, bo papież przeżył jeszcze trzy lata). Grupa skupiona wokół Vittorii to krąg znaczących postaci, między innymi kardynałów, zatroskanych o odnowę i reformę Kościoła, dążących do niej i ją przygotowujących. W grupie tej dyskutowano gorliwie na temat predestynacji, przełomów dokonujących się po drugiej stronie Alp (powstanie protestantyzmu), niektórzy jej członkowie przechodzą na protestantyzm (np. jeden z pierwszych kapucynów, wybitny kaznodzieja, mówca i asceta, Bernardino Ochino), ale nadszyciem jest myślenie o tej grupie w kategoriach późniejszych międzywyznaniowych podziałów. W latach trzydziestych i czterdziestych XVI wieku nie było jeszcze żadnych odnośnych wypowiedzi soboru, więc czymś ahisterycznym jest mówienie o protestantyzmie albo też o „heretyckich ideach”, gdy chodzi jedynie o ogólnie rozpowszechnione i wszędzie dyskutowane poglądy, które z pewnością nie były własnością żadnej odmiany protestantyzmu.

Powróćmy jednak do patronki Dzierzgonia. Na fresku przedstawiona jest obok św. Błażeja – fachowo mówi się o „grupie Błażeja i Katarzyny”. Występują razem, a łączy ich też jeszcze jeden szczegół – obydwójce są patronami chorób gardła. Do dzisiaj jeszcze w niektórych kościołach w dzień wspomnienia św. Błażeja można otrzymać błogosławieństwo gardła – przyjmuje czasami formę lekkiego podduszenia świecami złożonymi na krzyż. Wypada tylko polecić, bo to piękna tradycja, a sezon na choroby gardła w naszym klimacie trwa w gruncie rzeczy cały rok. Warto dodać, że na fresku św. Błażej nie występuje z dwoma świecami, ale z narzędziem tortur: wielkim zgrzebłem, którym rozszarpywano jego ciało.

Wszystkie inne postaci męczenników otaczające Błażeja i Katarzynę są pochylone, w pewien sposób inicjują ruch schodzący całej kompozycji. Tymczasem tylko Błażej zwraca się wyprostowany do Chrystusa, jego poza jest niepokojąca, na zasadzie sprzeczności. Uwaga – to jest jedyna postać na fresku, która nie pochodzi od Michała Anioła, a namalował ją całkiem na nowo Daniele da Volterra; poprzednią pozę Błażeja widać na kopii Venustiego<sup>3</sup>. Postać ta była pochylona nad Katarzyną i trzymała zgrzebło grożąc nim potępionym. Co więcej – postaci te były nagie, tak jak zresztą zdecydowana większość w całej kompozycji.

<sup>3</sup> Marcello Venusti w 1548 roku namalował kopię Sądu Ostatecznego na zlecenie kardynała Alessandra Farnese.

Dokładne porównanie kopii (różnych kopii i rycin) z freskiem dowodzi, że późniejsze prze-malowania były bardzo niewielkie, z jednym jedynym wyjątkiem: całkowicie zmieniono grupę Błażeja i Katarzyny. Dotykamy tu też jednak szerszego problemu wyrażającego się pytaniem: dlaczego prze-malowano Sąd Ostateczny? Popularna teza głosi, że to nagość tak szokowała Pawła IV i jego otoczenie. Rzekomo z powodu zgorszenia postanowiono zle-cić Danielowi de Volterra domalowanie skrawków materiału nagim postaciom i całkowite „ubranie” właśnie naszej św. Katarzyny (malarz ten przeszedł do historii sztuki z niezwykle subtelnym przydomkiem „Majtkarz”). Jest jednak nieco naiwnym myślenie, że na prze-strzeni jednego pokolenia kuria rzymska stała się nagle tak bardzo pruderyjna. Nagich po-staci w sztuce Rzymu i Włoch nie brakowało i później – z pewnością nie było to (i przecież nie jest) w żaden sposób szokujące dla wyrobionej publiki. Dla naszego rozumienia tych spraw swoje zrobiła literatura. Oto w słynnej powieści „Udręka i ekstaza” Irving Stone w tej sposób wyobraża sobie dialog pomiędzy papieżem a Michałem Aniołem:

„- Przyzwoci ludzie wstrząśnięci są nagością świętych i męczenników, zupełnym obna-żeniem setek mężczyzn i kobiet...”

– Są ograniczeni umysłowo, ojciec święty, są ignorantami, nie znają prawdziwej natury sztuki.

– Czy nazwiesz swego ojca świętego ograniczonym, Michale Aniele? I ignorantem? Bo jestem jednym z nich.

– We fresku nie ma nic złego. Nie znajdzie się nigdzie ściany bardziej przenikniętej miłością Bożą.

– No cóż, nie żądam, żeby ściana została zburzona. Po prostu pokryjemy ją wapnem. Po-tem coś na niej wymalujecie, temat, który uszczęśliwi każdego. Coś prostego i pobożnego, co potrafcie namalować szybko”<sup>4</sup>.

Brzmi to przejmująco i dramatycznie – w końcu ma być przekonujące dla czytelnika, ale chyba głównie dla czytelnika amerykańskiego, który z protestanckim purytyzmem i wszechobecną cenzurą w odniesieniu do cielesności konfrontował się w codzienności (i konfrontuje nadal, być może w jeszcze większym stopniu). Faktem jest jednak, że Paweł IV chciał całkowicie zniszczyć fresk. To charakterystyczne – chciał zniszczyć właśnie Sąd Ostateczny, a nie sklepienie Sykstyny (które Michała Anioł pokrył malowidłami o wiele wcześniej: 1508–1512), gdzie nagości wcale nie było mniej. Powód musiał być inny, ściśle związany z teologią i historią powstania dzieła. Paweł IV (papież w latach 1555–1559) przed zostaniem papieżem początkowo sympatyzował z humanistami, potem działał ener-gicznie przeciwko nim na rzecz kontrreformacji. W 1542 wszedł w skład trybunału rzym-skiej Inkwizycji. Już jako papież przyczynił się do opublikowania oficjalnego indeksu ksiąg zakazanych w 1559 (warto zauważyć, że ten pomysł wywodzi się właśnie z XVI wieku). Był znany z bezkompromisowości i... wspierania swoich krewnych na ogromną skalę, co szokowało nawet przywykłych do papieskich nadużyć Rzymian. Jego bezkompromisowość wyrażała się także w zwalczaniu wpływów, którymi niegdyś w Rzymie cieszyła się Vittoria Colonna (umarła w 1547, więc proces przeciwko niej był już procesem pośmiertnym). Cały odnowicielski a zarazem pełen niepokoju i niepewności klimat Rzymu pierwszej

<sup>4</sup> Irving Stone, *Udręka i ekstaza*, Warszawa 1973, s. 472.

połowy XVI wieku musiał jawić mu się jako wyjątkowo niezdrowy i godny potępienia. Swoistą ilustracją, upamiętnieniem, a może i ukoronowaniem tego czasu był tak niezwykle fresk Michała Anioła. Wraz ze skuciem go ze ściany chciał w symboliczny sposób uporać się z intelektualnym i duchowym dziedzictwem kręgu Vittorii Colonna. Przyjmuje się, że na fresku, poniżej Maryi, jest przedstawiona właśnie ona, niepozorna i skromna, ale przecież drażniąca dla kogoś, kto cały mechanizm inkwizycyjny skierował do walki z nią.

W każdym razie fresk został w pewien sposób zniszczony przez ingerencję „Majtkarza”. Domalowane strzępki materiału zakłócają wprowadzie linie ciała, ale też nie może być tu mowy o jakiejś wielkiej zmianie. Dzieło zachowało swoją siłę i wymowę. Wyjątkiem jest grupa Błażeja i Katarzyny. Tutaj zmieniono naprawdę dużo.

Jedna z teorii mówi, że grupę tę uznano za szczególnie nieprzyzwoitą. Dlaczego? Przy odpowiednio (a raczej nieodpowiednio) nakierowanej wyobraźni taka grupa w swoich oryginalnych pozach może budzić jakieś „nieczyste” skojarzenia, ale trzeba przyznać, że sporo jest w takim ujęciu złej woli i po prostu indywidualnych „grzesznych” projekcji. Stąd też Błażeja namalowano całkowicie od nowa, ubrano go i podniesiono go, nadano mu inny kierunek, a Katarzynie domalowano jaskrawo-zieloną szatę. Jej pozy nie zmieniono; pochylając się trzyma swoje koło (a raczej fragment koła) i w tym momencie odwraca się z przerażeniem ku Chrystusowi. Tym spojrzeniem jako jedyna z grupy łączy się z centrum fresku. Być może ten wyjątek jest nawiązaniem do jej mistycznych zaślubin z Chrystusem. Skąd jednak ten motyw? Cóż, we wczesnym renesansie często mylono Katarzynę Aleksandryjską z Katarzyną Sieneńską, czternastowieczną mistyczną oblubienicą Chrystusa. To jedyne 1000 lat różnicy (!), ale trzeba pamiętać, że dopiero jezuici na początku XVII wieku zajęli się nauką hagiografią (hagiologią) porządkując materiał przekazany przez tradycję. Wcześniej spora część praktycznej hagiografii opierała się na legendach, skojarzeniach, księgach liturgicznych mocno różniących się w zależności od kraju i regionu, tradycjach ikonograficznych – to wszystko sprzyjało tego typu łączeniu się postaci świętych.

W tym kontekście wypada zbadać jeszcze inny wątek, na który zwraca uwagę Maria Dzielska w swojej książce o Hypatii z Aleksandrii. Oto niektórzy badacze legendy św. Katarzyny uważają, że w jej hagiograficznym wizerunku znajdują się motywy zaczerpnięte z biografii Hypatii. Kim była Hypatia? To aleksandryjska uczona, poganka, która zajmowała się matematyką i astronomią, jej wykłady miały liczne grono entuzjastycznych słuchaczy. Uchodziła za autorytet moralny. W roku 415 została zamordowana, a pośrednią odpowiedzialność za jej śmierć przypisuje się ówczesnemu biskupowi Aleksandrii, Cyrylowi. Mord na Hypatii, o podłożu głównie politycznym, choć nie bez elementów osobistej zawiści i niechęci, wywołał duże oburzenie w ówczesnym świecie, także ze strony chrześcijan. Być może na zasadzie swoistych wyrzutów sumienia hagiografia chrześcijańska powiązała niektóre wątki życia Hypatii z postacią św. Katarzyny. „Możemy więc zapytać, czy legenda św. Katarzyny nie stanowi czegoś w rodzaju chrześcijańskiej ekspiacji za niezastudzoną śmierć Hypatii oddając pod imieniem i doświadczeniami losu uczonej Katarzyny hołd jej duchowym zaletom, wiedzy i moralnej godności?”<sup>5</sup>

<sup>5</sup> Maria Dzielska, *Hypatia z Aleksandrii*, Kraków 2010, s. 26.

Wiek XVI to odrodzenie myśli platońskiej i neoplatońskiej, zwłaszcza we Włoszech. Na przykład działająca do 1522 Akademia Florencka (powstała w 1462 z inspiracji Kosmy Medyceusza Starszego, którego wnuk, Wawrzyniec Wspaniały, uczynił z Florencji stolicę uczonych artystów – do których należał również Michał Anioł) przyczyniła się do dokonania przekładu wszystkich dzieł Platona i Plotyna, a także wielu pism neoplatońskich. Uosobieniem tych nowych zainteresowań i intelektualnych fascynacji mogła stać się kobieta-filozof z Aleksandrii, Katarzyna (lub może tak naprawdę Hypatia). Późniejsze kontrreformacyjne oblicze Kościoła odnosiło się z dużą rezerwą do tego bardzo szerokiego nurtu renesansowego platonizmu (już chociażby zbliżenie tego nurtu do filozofii żydowskiej musiało mocno kontrastować z późniejszą decyzją Pawła IV o zamknięciu Żydów w getcie otoczonym murem). Na fresku Sądu Ostatecznego ofiarą tej postawy mogła stać się postać św. Katarzyny, która najwyraźniej szczególnie zainteresowała „cenzorów” dzieła. To postać szczególnie drażniąca, budząca wiele skojarzeń: uczona, wybitna i wpływowa Vittoria Colonna, proreformatorskie i równocześnie humanistyczne kręgi watykańskie, Medyceusze na tronie papieskim – Leon X (1513–1521), Klemens VII (1523–1534), papieskie sojusze antyfrancuskie (Paweł IV z kolei był profrancuski a antyhiszpański). Wiele powodów, dla których – skoro już nie udało się całkowicie zniszczyć fresku w Kaplicy Sykstyńskiej – należało przynajmniej symbolicznie uderzyć w wizerunek Katarzyny Aleksandryjskiej. Ta część fresku nie mogła zostać eschatologicznie obnażona, bo widocznie prawda była jeszcze zbyt kontrowersyjna i prowokująca.

Co to oznacza dla nas dzisiaj? Cóż, w konsekwencji nie możemy w Watykanie podziwiać muskularnej nagości patronki Dzierzgonia w mistrzowskim ujęciu Michała Anioła – pozostaje nam jaskrawa, domalowana później szata, która pozostaje świadectwem interesujących XVI-wiecznych walk teologicznych i kościelno-politycznych, mniej lub bardziej uświadomionych historycznych niechęci i fobii, a być może także całkiem osobistych urazów i psychologicznych zranień.

Agnieszka Świercz-Karaś

# GRANICE SĄ W GŁOWIE

Czasami, żeby poznać losy narodu, wystarczy spojrzeć z bliska na jedną rodzinę. O tym, czym jest wojna, i jak się zostaje emigrantem na Pomorzu, opowiada rodzina Gul z Berdyczowa/Sztumu.

**„Teraz wiem, jak bardzo byłam szczęśliwa. Miałam spokojne, stabilne, dobre życie” – Nellia Gul.**

**„Tata zawsze powtarzał, że Rosjanom nie można ufać” – Vladlen Gul.**

**„Symptomy były widoczne. Bardzo dużo bogatych ludzi opuszczało kraj” – Siergiej Gul.**

LUTY 2014

W nocy z 26 na 27 lutego 2014 r. rosyjscy żołnierze bez dystynkcji, tak zwane zielone ludziki, uzbrojeni w karabiny i granatniki, zajęli budynki parlamentu Republiki Autonomicznej Krymu. Swoje wsparcie dla Ukrainy na forum ONZ wyraziło wówczas ponad 40 krajów. Nie powstrzymało to jednak Rosji, która 18 marca 2014 roku ogłosiła inkorporację półwyspu. Aneksja Krymu i wywołana przez Moskwę w kwietniu tego samego roku prorosyjska rebelia w Donbasie były początkiem napaści Rosji na Ukrainę.

– To był ten moment, kiedy podjąłem decyzję o wyjeździe z Ukrainy. Zdecydowałem się na Polskę, ponieważ w naszej rodzinie było dużo Polaków wśród dziadków i pradziadków. Dzięki temu już na przełomie 2014 i 2015 r. otrzymałem kartę stałego pobytu. W domu nie mówiło się nigdy po polsku, ale modlitwy, różne świąteczne obrzędy, odmawiane były w tym języku. Dopiero jednak gdy zamieszkałem tutaj, zobaczyłem jak dużo nas łączy, jak podobne są nasze kultury – opowiada Siergiej Gul, obecnie mieszkaniec powiatu sztumskiego i właściciel Mercus Camper& Auto Bus Center.

W Berdyczowie, skąd pochodzi rodzina Gul, pan Siergiej od 2006 r. prowadził firmę działającą w branży samochodowej. Niestabilna sytuacja i brak możliwości rozwoju sprawiły, że 1 września 2016 r. zostawił żonę i dzieci na Ukrainie, a sam został emigrantem. – Długo szukałem miejsca na zamieszkanie. Początkowo myślałem o Poznaniu, albo na przykład o Warszawie. W końcu je znalazłem. Okazało się, że to Sztum. Tutaj jest świeże powietrze, jest czysto, ładnie, nie ma korków, wszędzie jest blisko i wszystko mamy tutaj na miejscu. Chciałem, aby moje dzieci wychowywały się w przyjaznym, zdrowym środowisku – tłumaczy swój wybór Siergiej Gul.

Przez rok rodzina Gul widywała się przede wszystkim online. Tyle potrzebne było czasu, aby przygotować nowy dom w Polsce. 1 września 2017 r. Vladlen i ....., dzieci pana

Siergieja i pani... , rozpoczęły rok szkolny w sztumskich szkołach. Były pierwszymi ukraińskimi uczniami w miejscowych placówkach.

– Zostaliśmy przyjęci bardzo dobrze. Dyrekcja przeprowadziła rozmowy z nauczycielami i uczniami, żeby się zaopiekowano naszymi synami. Zapewniano nas, że jak będziemy potrzebować jakiegokolwiek pomocy, mamy śmiało mówić. Ludzie byli dla nas przychylni – wspomina Siergiej Gul.

## 24 LUTEGO 2022 R. (PORANEK)

„Obudził mnie rano telefon. Usłyszałem, że wybuchła wojna. Żona i dzieci byli akurat w Ukrainie. Mieli wracać do domu 28 lutego. Kiedy udało nam się połączyć, zapadła decyzja, żeby natychmiast wyjeżdżali. Około godziny 10–11 rano już byli w samochodzie” – Siergiej Gul.

„Zadzwoiła do mnie koleżanka. Dzwoniła bardzo długo, bo wszystkie sieci były przeciążone. W pierwszej chwili nie wiedzieliśmy, jak to jest poważne, jak ciężkie są ataki. My byliśmy już przecież w stanie wojny od 8 lat. Przez ten czas nasi żołnierze cały czas bronili kraju, umierali. Kiedy znowu usłyszeliśmy słowo wojna, nie myśleliśmy, że Rosja pójdzie tak daleko” – Nellia Gul.

„To były akurat ferie. Byliśmy u dziadków w Berdyczowie. Około godziny 7 rano babcia zaczęła mnie budzić. Tłumaczyła, że wybuchła wojna, a ja tylko przewróciłem się na drugi bok spać dalej. Byliśmy w stanie wojny od 2014 r. więc się nie przejąłem, nawet jak babcia jeszcze raz próbowała mnie budzić” – Vladlen Gul.

## 24 LUTEGO 2022 R. (PIERWSZE GODZINY)

Berdyczów położony jest w obwodzie Żytomierskim. Od Kijowa, stolicy kraju, który był jednym z pierwszych celów ataków Rosjan, dzieli go około 180 km. Już 3 godziny od wybuchu wojny na lotnisko wojskowe w Żytomierzu (około 20 km od domu państwa Gul w Berdyczowie) padają pociski.

– Jako pierwsi wyjechaliśmy ja, brat i nasza mama. Kiedy zorientowałem się, co się dzieje, pojechałem po mamę, ponieważ dzień wcześniej zabrałem auto do babci Nellii. Telefony przez przeciążoną sieć nie działały. W ciągu godziny byliśmy spakowani i gotowi do drogi. W tym momencie autostrada żytomierska była już bombardowana. Na drogach nie było jednak widać paniki. Ludzie zachowali zimną krew. Korek przy granicy z Polską miał około 8 km, ale przepuszczano każdego – opowiada, wówczas 17-letni, Vladlen Gul.

## 25 LUTEGO 2022 R.

Tego dnia w Ukrainie były duże kolejki do aptek, na stacje paliw. Szybko zaczęto przerażać piwnice na schrony. Pani Nellia Gul pomaga spakować się swojemu drugiemu dziecku, córce..... i ją też wysyła za granicę. Tym razem jest to już mały konwój. Ze Sztumu z firmy pana Siergieja jadą do Berdyczowa 3 busy. Oprócz córki pani Nelli zabierają tego samego dnia dalszą rodzinę i przyjaciół państwa Gul. Stają w ogromnych korkach na granicy. Tym razem nie mają szczęścia. Kierowcy, mężczyźni, nie zostali wypuszczeni z Ukrainy. Jeden z nich ma 18 lat. Za kółko przesiadają się dwie pasażerki z busów. Ciągłe brakuje jednego kierowcy. Zostaje nim przypadkowa kobieta zabrana spod granicy. Pasażerów robi się więcej, na podłodze busów jedzie tyle osób, ile się tylko zmieści.

W całej Polsce, w tym i w powiecie sztumskim, wszystkie służby starają się przygotować na przyjęcie uciekających przed wojną. Powstają miejsca zbiorowego zakwaterowania, ludzie przyjmują uchodźców pod swoje dachy. Mieszkańcy Powiśla stają na wysokości zadania i już w pierwszych dniach marca witają gości uroczystym obiadem, wspólną modlitwą i obietnicą pomocy. Nie ustają zbiórki, a busy Auto Bus Center & Mercus Camper pomagają na granicy. – To był chaos, nie było wiadomo jak jechać, którędy uciekać, godzina policyjna, podczas której nie można było się poruszać. Mieliśmy swoje busy w Ukrainie i one przywoziły ludzi do granicy. Tam były prawdziwe tłumy. My jednak zawsze byliśmy zorganizowani, wiedzieliśmy, po kogo jedziemy, po rodziny i znajomych Ukraińców, którzy mieszkają w powiecie sztumskim. Każdy chciał sprowadzić kogoś z bliskich. Raz nawet do takiego małego busa 18 dzieci z matkami zabraliśmy z granicy. Moi pracownicy sami też jeździli na granicę, każdy był zaangażowany – tłumaczy Siergiej Gul.

## 6 MARCA 2022 R.

Ostatni dom w Berdyczowie opuszczają dziadkowie, Nellia i Leonid Gul. Wyjeżdżają 6 marca. – Nie chcieliśmy tego robić, ale syn nas tak trochę zmusił. Powiedział mi: mamo, chcesz zostać i bronić dom przed bombami? Jak? Staniesz i zasłonisz go jak pocisk będzie spadał? Nie będzie ani domu, ani was – opowiada pani Nellia – Dobrze jednak, że zostaliśmy jeszcze te kilka dni. W telewizji pokazywano cały czas, co powinniśmy robić, jak się zachować, to bardzo pomagało. Zobaczyliśmy też, co robią Rosjanie... morderstwa... gwałty... okrucieństwa... straszne okrucieństwa. Nie baliśmy się wojny, bomb, ale bardziej baliśmy się ludzi, którzy mogą przyjść i znęcać się nad nami. To zaważyło i podjęliśmy decyzję.

Podróż była ciężka. Trasę, którą normalnie da się pokonać w 12 godzin, jechali trzy doby. Starszym osobom zaczęły puchnąć nogi, cały czas w samochodzie, cały czas w nerwach. Wówczas myśleli, że wyjeżdżają na miesiąc, może dwa.

## KWIECIEŃ 2022 R.

Pierwsze dni i tygodnie w Polsce były dla Leonida i Nellii Gul bardzo ciężkie. – Babcia siedziała przed telewizorem, oglądała cały czas wiadomości i płakała. Obserwowała ilu ludzi umiera, ile osób wraca jako niepełnosprawni, ranni. Cały czas śledzi, ile jest u nas pogrzebów... a jest ich coraz więcej. Całe cmentarze są w ukraińskich flagach, tam pochowani są żołnierze. Miejsc na cmentarzach też już brakuje – mówi Vladlen Gul.

Wielki stres nie pozostał bez echa na zdrowiu starszych państwa Gul. Dwa tygodnie po przyjeździe do Polski pan Leonid przechodzi zawał. Kiedy podczas rozmowy pani Nellia opowiada o tej sytuacji, pan Leonid z dumą pokazuje na klatkę piersiową, ma tam teraz rozrusznik serca. – Jacy my jesteśmy wdzięczni, że trafiliśmy do Polski i polskiego szpitala, przecież teraz na Ukrainie jest wojna, i tam na pewno nie byłiby w stanie zaoferować nam tak fachowej pomocy. Takie szczęście w nieszczęściu – mówią z godnie starsi małżonkowie Gul.

## WRZESIEŃ 2023 R.

Dom państwa Gul w Berdyczowie na moment przeprowadzania rozmowy stoi opustoszały, ale cały. Nie wszystkie budynki w okolicy mają tyle szczęścia. – Rosjanom bez różnicy, gdzie trafiają, czy jest to obiekt wojskowy, puste pole, sklep czy szkoła. Ludzie są już bardzo zmęczeni. Nigdy nie wiadomo, kiedy i gdzie będzie nowy atak. Prawie cały czas wyją syreny. Słuchać, jak obrona przeciwlotnicza działa, wszystko się trzęsie. Cały czas jest stres. Ludzie płaczą, dzieci nie wytrzymują, bo cały czas coś lata nad głowami, cały czas są alarmy. Nie wszyscy chowają się już jednak do schronów, bo inaczej nie dałoby się żyć. Ludzie przecież muszą robić zakupy, chodzić do pracy, szkoły – tłumaczy pani Nellia, która sierpień tego roku spędziła w rodzinnych stronach w Ukrainie.

– Koledzy wysłali mi ostatnio wiadomość głosową, jak słysząc latające nad nimi drony. Widzieli i tylko mogli patrzeć czy wybuchną nad miasteczkiem czy polecą dalej. Oni się już też chyba trochę przyzwyczaili i próbują żyć normalnie, chodzić do szkoły. Gorzej jest jednak w dużych miastach, takich jak Kijów, tam jest cały czas strach, cały czas coś przelatuje – opowiada Vladlen.

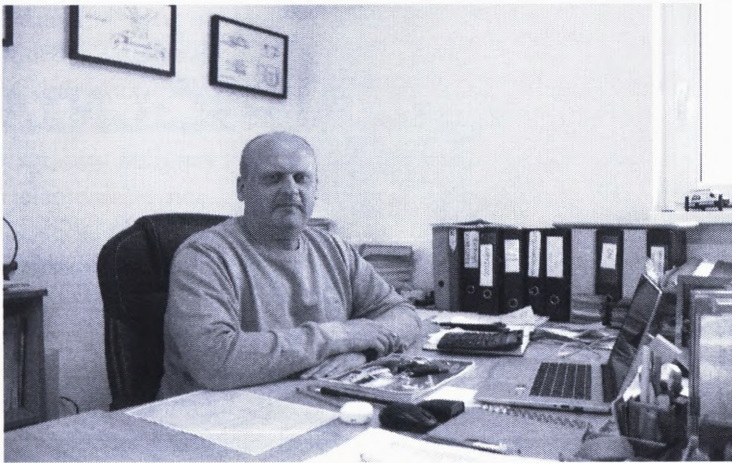
Rodzina państwa Gul przyzwyczała się natomiast do życia w Polsce. Pani Nellia chodziła na kurs języka polskiego, na zajęcia z decoupage, masażu i przynajmniej, że zaaklimatyzowała się w Sztumie.

– Cały czas trwają kursy, które mają pomóc mieszkańcom Ukrainy dostosować się, ale ludzie i kultura są tak naprawdę bardzo podobne. Wszyscy jesteśmy przecież Słowianami. Ja to się nawet pogubiłam, gdzie jest teraz mój dom. Tam na Ukrainie, gdzie mieszkałam 60 lat i zostawiłam to, co nabyłam, to, co człowiek zbierał, żeby mieć spokojną starość. Czy tutaj w Polsce jest teraz mój dom? – zastanawia się pani Nellia.

**„Granice są w głowie” – Siergiej Gul.**

**„Mam teraz dwa domy. Tam zostały ściany, ale nie ma już ludzi” – Nellia Gul.**

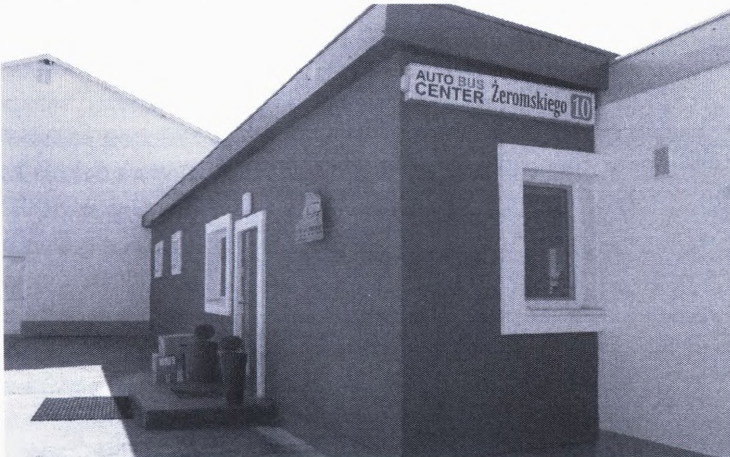
**„Nie musi mi pani robić zdjęcia, ja już jestem tak samo Ukraińcem jak Polakiem” – Vladlen Gul.**



*Siergiej Gul przy pracy, fot. archiwum rodzinne*



*Nellia i Leonid Gul, rodzice Sergieja, fot. archiwum rodzinne*



*Siedziba firmy Sergieja w Sztumie, fot. archiwum*

Andrzej Kasperek



# MÓJ OGÓLNIAK

*Moim nauczycielom i kolegom z nowodworskiego LO poświęcam*

W tym roku minęły 32 lata mojej pracy w Liceum Ogólnokształcącym im. Ziemi Żuławskiej w Nowym Dworze Gdańskim. Jeśli do tego dodać cztery lata nauki, to wyjdzie razem 36 lat spędzonych w murach tej szkoły. W 2023 r. moje liceum kończy 75 lat istnienia. Tak więc prawie połowę lat istnienia żuławskiego LO znam z autopsji, z dwóch odmiennych perspektyw – ucznia i nauczyciela.

Nowy Dwór Gdański to nieduże miasto, raptem dziesięć tysięcy mieszkańców. Są w nim zaledwie dwie szkoły średnie: LO i Zespół Szkół na ul. Warszawskiej (istnieje od 1962 r.). Od zawsze było tak, że kto nie kontynuował nauki w liceum, ten wybierał się do zawodówki lub technikum. Innych alternatyw nie było. Mało kto mógł uczęszczać do trójmiejskich lub elbląskich szkół – wiązało się to z koniecznością zamieszkania w internacie lub uciążliwymi dojazdami. A poza tym w „czasach słusznie minionych” rejonizacji przestrzegano bardzo surowo. Wtedy nie funkcjonowało jeszcze hasło: „Dobra szkoła blisko domu”, ale liceum tak właśnie traktowano. Jego absolwenci bez problemów dostawali się na wyższe uczelnie. Na przykład maturzyści z rocznika 1983 zdali w 65% na studia wyższe. Ten wynik nawet dziś, w epoce powszechnego studiowania, musi budzić szacunek. Nasza szkoła stała się miejscem edukacji młodzieży z powiatu nowodworskiego i budowania więzi z regionem, kształtowania tożsamości żuławskiej. Stała się też naturalnym zagłębiem kadr dla urzędów, szkół, instytucji. Dawała (i ciągle daje) przygotowanie do pracy i dalszej nauki.

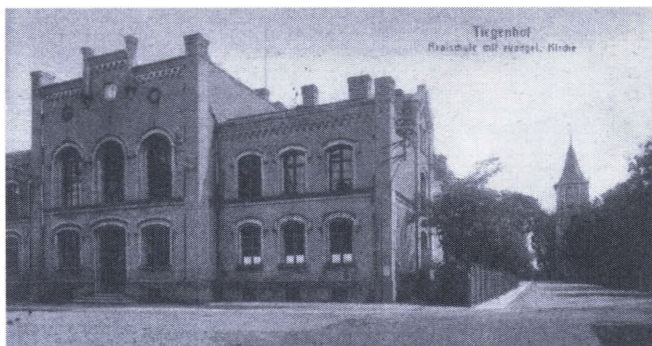
Obecna szkoła mieści się w budynku wybudowanym w 1925 r. dla Realgymnasium –



*Liceum Ogólnokształcące im. Ziemi Żuławskiej w Nowym Dworze Gdańskim,  
fot. A. Kasperek*

szkoły mającej rangę gimnazjum. Przedtem od 1871 r. w miasteczku liczącym powyżej dwóch tysięcy mieszkańców istniała Wyższa Szkoła Miejska przemianowana w 1901 roku na Realshule, czyli Szkołę Realną, istniejąca na terenach niemieckich (do dzisiaj) typ 6-letniej szkoły. Na Żuławach nauczanie dzieci i młodzieży zawsze traktowano bardzo odpowiedzialnie, już od początku XVIII wieku funkcjonowało tu coś w rodzaju dzisiejszego obowiązku szkolnego. Ambitni mieszkańcy Tiegenhofu

uznali, że ich dzieci muszą na miejscu mieć możliwości kształcenia na odpowiednim poziomie. Nie żałowano pieniędzy na budowę i powstał zgrabny budynek z żółtej cegły z elementami neogotyku. Było boisko szkolne, sala gimnastyczna, elegancka aula, w której odbywały się koncerty.



*Realschule, arch. P. Siwickiego*

Kiedy pierwsi osadnicy przybyli na Żuławki zastali tu zrujnowane miasto i zalane poldery.

Szkoła także była zdewastowana. Ci, którzy nie przestraszyli się tego widoku, próbowali organizować tu normalne życie. A jakie może być życie społeczności bez szkoły? Wśród pionierów znalazło się kilku nauczycieli – w zniszczonym budynku obecnej Szkoły Podstawowej nr 1 udało się im urządzić dwie sale lekcyjne i rozpoczęto naukę. 17 września 1945 r. otwarto pierwszą placówkę oświatową. Naukę rozpoczęło 22 dzieci. „Uroczystość zgromadziła według [starej] szkolnej kroniki praktycznie wszystkich Polaków przebywających w tym czasie w mieście [...]” – opisuje Marcin Owiński w książce „Tiegenhof | Nowy Dwór Gdański w 1945 roku. Koniec i początek miasta na Żuławkach”. Na osuszane tereny Żuław przybywali uciekinierzy ze zrujnowanej Warszawy, repatrianci z Wołynia i Wileńszczyzny, osadnicy z Mazowsza i Kielecczyny, reemigranci z Francji i wysiedleńcy z Bieszczad przeniesieni tu w ramach akcji Wisła. Wielu z nich miało przecież dzieci. Najczęściej były one pozbawione w czasie okupacji szansy na normalną edukację. Teraz szybko próbowano nadrobić stracone lata. Dlatego w jednej klasie uczyło się kilka roczników. Każdy był na innym etapie kształcenia, każdy przybył z innych stron, każdy inaczej mówił. Stąd szkoła tutaj miała wielką funkcję scalającą. Tworzyło się na nowo społeczeństwo regionu. Bo jednocześnie opuszczali te tereny autochtoni – następowała zupełna wymiana ludności. Nowi mieszkańcy próbowali zrozumieć tę unikalną krainę, przyzwyczaić się do jej klimatu, oswoić krajobraz, nauczyć się tu gospodarować.

W 1948 r. szkołę powszechną przekształcono w Państwową Szkołę Ogólnokształcącą Rozwojową, składającą się z SP i LO. Oznaczało to, że uczniowie VIII klasy znajdowali się na poziomie pierwszego stopnia licealnego. Było ich wówczas dwudziestu. Do pierwszej matury w 1952 r. przystąpiło 15 abiturientów. Potem liczba oddziałów licealnych wzrastała i szkoła szybko przekroczyła liczbę stu uczniów. Ale dopiero od połowy lat 60-tych zwiększono liczbę klas do 10. Od 1955 r. nauka odbywała się w wyremontowanym budynku przedwojennego gimnazjum, który do dziś pozostaje siedzibą LO. W 1969 r. liceum nadano imię Ziemi Żuławskiej. W latach 60-tych liczba uczniów osiągnęła dwieście, a w 70-tych nawet trzysta osób. Później jednak nastąpiła stagnacja i zdecydowano się na otwarcie Średniego Studium Zawodowego dla Pracujących (1974 r.), a później Liceum Medycznego (1977 r.). Dnia 1 września 1984 roku powstał Zespół Szkół nr 2, w skład którego wchodziła także Szkoła Podstawowa nr 5. Jednak prawdziwy boom nadszedł w latach 90. Wtedy liczba oddziałów osiągnęła 25, a uczniów przeszło 700! W czasach reformy gimnazjalnej, gdy powstało trzyletnie liceum, nasza szkoła się podwoiła, dosłownie „pękała w szwach”; brakowało izb lekcyjnych



*W pokoju nauczycielskim, lata 50.*



*Moja pierwsza wycieczka jako wychowawcy – do Torunia, arch. A. Kasperka*



*Moja klasa maturalna IV D (1973–77), arch. A. Kasperka*

i pracowaliśmy w pomieszczeniach nie nadających się do nauki, uczyliśmy w wynajętych salach i salkach... Zespół Szkół (później przemianowany na ZS nr 1, w skład którego obok LO wchodziło Gimnazjum Sportowe) istniał do czasów „deformy” minister Zaleskiej. Od kilku lat liceum jest bytem samodzielnym.



*Nauczyciele, lata 70.*

Nowodworski ogólniak nigdy nie był dużą szkołą, może dzięki temu stosunki pomiędzy nauczycielami i uczniami były bliskie, dodatkowo zacieśniały się jeszcze w czasie jesiennych wykopków, wycieczek szkolnych, wakacyjnych obozów wędrownych czy zajęć kółek zainteresowań, szkolnego klubu sportowego, drużyny harcerskiej albo chóru. Pewnie wielu jej absolwentów mogłoby powtórzyć za Kornelem Makuszyńskim: „Moja szkoła tuliła nas zawsze do gorącego serca”. W ich pamięci pozostały nazwiska nauczycieli i dyrektorów. Przewinięło się ich w historii szkoły kilkunastu: Adolf Wojtyśzko, Władysław Prądzyński, Stanisława Seredyńska, Jerzy Zimochowski, Władysław Nowak, Tadeusz Mierzwiński, Teresa Krasuska, Franciszek Bierło, Wojciech Włodkowski, Zofia Dąbska, Dorota Chojna i Marian Kwoczek. Niektórzy kierowali placówką kilka lat, niektórzy kilkanaście.

Kilka tygodni temu pożegnaliśmy śp. Zofię Dąbską, która dyrektorowała najdłużej, 17 lat. Gdy w roku 1973 rozpoczynałam swą naukę w liceum ogólnokształcącym Zofia (wówczas) Koman zaczynała tam swą pierwszą pracę zaraz po studiach. Została moją wychowawczynią. Piękna, szczupła i wysoka, z długimi pszenicznymi włosami. Wszyscy chłopcy z naszej klasy natychmiast się w niej zakochali. Porównywaliśmy ją do włoskiej gwiazdy Sofii Loren. Lata jej kadencji (1990–2007) to bardzo trudny okres transformacji. Robiła wszystko, żeby sprostać wyzwaniom nowych czasów – znaleźć nauczycieli języka angielskiego, który zastąpił rosyjski, stworzyć pracownię komputerową, zmotywować grono pedagogiczne do poszerzania kwalifikacji, żeby nasza szkoła nie była gorsza od tych wielkomiejskich. Szukała środków na remont gmachów szkolnych. Za jej kadencji odnowiono salę gimnastyczną i budynek filialny, zbudowano łącznik pomiędzy budynkami. Była dobrym dyrektorem i dobrym człowiekiem – uczciwym, sprawiedliwym. Skromnym, może aż za bardzo, życzliwym ludziom, wyrozumiałym. Kiedy mogła, to zawsze pomogła. Nigdy się nie wywyższała, nikomu nie dawała odczuć swej przewagi – ani jako nauczycielka i wychowawczyni, ani jako dyrektorka.

Cytuję tu fragment swego słowa pożegnalnego wygłoszonego na Jej pogrzebie. Od lat żegnam swych nauczycieli, którzy czasem stali się moimi dobrymi kolegami lub wręcz przyjaciółmi, jak historyk Janusz Wyka, z którym objechałem z wycieczkami pół Europy (kiedyś o tym napiszę). Matematyk i dyrektor ZS Aleksy Korneluk, który skutecznie namawiał mnie do przejścia do pracy w liceum ze szkoły podstawowej w Lubieszewie. Geografka Teresa Krasuska, germanistka Danuta Gnyś, plastyczka Krystyna Szeweluk... Odeszli, ale pamiętamy



*Medyk w pochodzie 1-majowym, 1980*

o nich. Nie zapomnieliśmy też słynnego woźnego – pana Alojzego Szlei, który przepracował w szkole przy ulicy 3 Maja 3 przeszło 40 lat. Pomyśleć tylko – przez mury szkoły przewinęło się kilkuset nauczycieli a absolwentów jest już kilka tysięcy. Nikt tego nie policzył, ale to liczba powyżej pięciu tysięcy. A zaczęło się tak skromnie.

Kadra pedagogiczna składa się z dobrze wykształconych nauczycieli, fachowców w swoich dziedzinach, umiejących nawiązać kontakt z młodzieżą, porządnie przygotowujących licealistów do egzaminów. Wystarczy przeczytać zestawienia wyników egzaminów w kraju i województwie pomorskim, aby zobaczyć, jak wypada LO w tych rankingach. Możemy być dumni z naszych uczniów i nauczycieli, z ich pracy i dokonań. Tym bardziej, że dzisiejsza szkoła zdecydowanie różni się od tej dawnej, nawet tej sprzed dziesięciu lat. Jest coraz więcej osób z niedostosowaniami, z depresją, z problemami psychicznymi. Tak jest w całym kraju, to wynik pandemii i wszelakich zmian, które związane są z powszechną cyfryzacją i zmianą naszego codziennego trybu życia.

Pracuje się ciężiej, a zawód nauczyciela jest w Polsce wciąż niedoceniony. Bo jeśli początkujący belfer zarabia 3690 zł brutto, czyli 90 złoty więcej od pensji minimalnej, to nic dziwnego, że nikt do szkoły nie chce iść, a średnia wieku nauczycieli w RP to ok. 47 lat. Nie brakuje jednak pedagogów, którzy są na emeryturze i wciąż uczą w szkole. Czytając słowa Jana Zamoyskiego: „Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”, które są tak chętnie przywoływane na wszelakich akademiach zastanawiam się, czy rządzący je rozumieją? I czy widzą związek przyczynowo skutkowy pomiędzy dwoma częściami tego zdania? Czy tylko rządzący? Strajk nauczycieli w 2019 roku większość Polaków potraktowała tylko jako walkę belfrów o większe zarobki (jak najbardziej słuszną), a zupełnie zignorowano fakt, że strajkowano też o godność i status zawodu. Niemiecka edukacja uważana jest za jedną z najlepszych na świecie, a nauczyciele zawsze byli tam odpowiednio wynagradzani. Niemcy po prostu wiedzą, jaki jest związek pomiędzy jakością pracy szkoły, a wysokością PKB, czyli Produktu Krajowego Brutto. Nauczyciele zarabiają tam około 5 tys. euro brutto. Oznacza to, że to jeden z najlepiej opłacanych zawodów w Europie.

Od lat problemem naszego ogólniaka jest odpływ uczniów do szkół w Trójmieście i Elblągu. Dziś o wiele łatwiej do nich dotrzeć niż przed laty. U sąsiada trawa zawsze wydaje się bardziej zielona, a poziom tamtych szkół wyższy. Często to tylko iluzja, a jeśli dołoży się do tego koszty i uciążliwości dojazdów, to okazuje się, że nie było warto. Według mnie jest to także wyraz wciąż funkcjonującego braku tożsamości lokalnej. Uczeń kartuskiego czy wejherowskiego liceum utożsamia się o wiele bardziej z regionem, w którym żyje jego rodzina od pokoleń. Dotyczy to też szkół, bo do nich chodził dziadek i ojciec, mama i babcia. To



*Strajk, 2019 r., z arch. A. Kasperka*

dłaczego ja mam szukać gdzie indziej? U nas ciągle jeszcze tego brak. Imię Ziemi Żuławskiej nadane przed laty naszemu liceum zobowiązuje. Rodzice i uczniowie muszą sobie postawić pytanie, czy są częścią tej ziemi, czy tylko potomkami ludzi, których przygnały tu wiatry historii a oni tylko czekają, aby stąd wyfrunąć.

Każdy rok przynosi zmiany w wyglądzie i wyposażeniu ogólniaka. Zbudowano łącznik, dzięki któremu można suchą nogą przejść z gmachu głównego do budynku filialnego i hali, wyremontowano salę gimnastyczną, zbudowano nowe boisko. W każdej klasie jest komputer podłączony do Internetu, są projektory, tablice multimedialne... Oczywiście chciałoby się więcej – najpilniejsza jest termoizolacja budynków. Wcale nie jest to proste i wcale nie chodzi tylko o finanse, nawet jeśli uda się je zdobyć, to okazuje się, że konserwator zabytków stawia jakieś wydumane żądania...

Czasy się zmieniają, do szkoły przychodzą inni uczniowie niż kiedyś, z innymi oczekiwaniami i planami życiowymi. Nasza szkoła chce odpowiadać na ich potrzeby i oczekiwania, ale nie na zasadzie schlebiania gustom i obniżania wymagań czy tolerowania lenistwa. Ambicją naszych nauczycieli jest, aby wykształcić i wychować nowoczesnego młodego człowieka, który będzie umiał dobrze sobie radzić we współczesnym skomplikowanym świecie. Będzie dobrze przygotowany do życia w czasach globalizacji, ale nigdy nie zapomni skąd pochodzi i gdzie leży jego mała ojczyzna. Hasło: „Dobra szkoła blisko domu” to nie tylko slogan reklamowy! Trzeba uwierzyć, że koło nas jest ogólniak wcale nie gorszy niż te z Elbląga czy Gdańska. Nasz, żuławski, czyli DOBRY!

\*\*\*

Przez cztery lata nauki w ogólniaku przejechałem przeszło 20 tysięcy kilometrów kolejką wąskotorową, którą przez sześć dni w tygodniu dojeżdżałem do niego. Kiedyś policzyłem, że to połowa długości równika. Niezły wynik! Byłem pilnym uczniem, bo nauka zawsze mnie interesowała. Mnóstwo czytałem. Dobrze wspominam ten czas, bo dla mnie liceum było przepustką na studia wyższe. Skupiałem się na przedmiotach humanistycznych, a przedmioty ściśle trochę odstawiłem na bok, ale wyrozumieli nauczyciele nie gniewali się na mnie, bo wiedzieli, z czego jestem dobry i co chcę robić... Pamiętam wycieczki klasowe do Krakowa, Warszawy i Wrocławia. Tam poszliśmy do słynnego Teatru Laboratorium Jerzego Grotowskiego na legendarne przedstawienie „Apocalipsis cum figuris”. Przeżycie było



*Na przerwie – zaczytani uczniowie. Znak czasu. Fot. A. Kasperek*

ogromne. To wtedy zrozumiałem, jak ważnym elementem kształcenia są wycieczki i że tego, co zobaczymy, nikt nam już nie zabierze. Pewnie dlatego zorganizowałem później kilkadziesiąt wycieczek, od jednodniowych wyjazdów do Gdańska czy Malborka po wielodniowe wyprawy aż po Barcelonę, Niceę, Oxford czy Mykeny.

Kiedy na początku lat 90-tych ubiegłego wieku zaczyna-

łem pracę w moim dawnym liceum ze smutkiem zobaczyłem, że w klasach niewiele się zmieniło, czasem nawet ścian nie pomalowano. A portrety pisarzy wiszą te same, ławki i krzesła są niezmienione a linoleum podarte... Wielu nauczycieli i nauczycielek nosiło te same marynarki i palta, które zapamiętałem z lat 70-tych. Przyznam się po latach, że chciałem wówczas uciekać, bo przeraziła mnie myśl, że ja sam też będę po 20–30 latach donaszał stary paltot... Ale nie uciekłem, nie do końca wiem dlaczego. Pewnie najprościej będzie powiedzieć, że polubiłem tę robotę, bo rozumiałem, jak jest ważna. Jest takie powiedzenie, że nauczyciel to szlachetny zawód – szkoda, że nauczyciele często do niego nie dorastają. Wolę myśleć, że ja dorosłem.

Minęły cztery dekady mojej pracy. 23 czerwca 2023 r. po raz ostatni wziąłem udział w zakończeniu roku szkolnego, były to ostatnie moje wakacje jako nauczyciela. Potem już emerytura. Godnie mnie pożegnano, dyrektor LO Marian Kwoczek uhonorował mnie nagrodą a uczniowie zasypali mnie kwiatami i słodyczami; pamiętali nawet o moich ukochanych czereśniach – Ewa zerwała je rano na działce... Pióro z grawerem, własnoręcznie namalowane obrazy, miody i konfitury... Takie miłe dowody sympatii i pamięci. I życzenia: napisania kolejnych książek, podróży po świecie, obejrzenia zaległych filmów oraz przeczytania odłożonych (na potem) książek. Ich wspaniałe uśmiechy, nasze wspólne wzruszenie, wilgotne oczy koleżanek i uściski ręki kolegów. Piękne słowa pożegnania moich byłych uczniów i wychowanków – Basi i Wojtka. To wszystko chcę zachować w pamięci.

Czterdzieści lat temu zaczynałem „obuczać łby żuławskie”. Chętnie używałem zawsze tej parafrazy Mickiewicza, ale chyba nikomu tym nie uchybiłem. Kiedy pisałem pracę magisterską na seminarium prof. Marii Janion na temat „Motywy samobójcze w twórczości młodego Mickiewicza”, bardzo się w twórczość Wieszcza zagłębiłem. W wielu wydaniach jego wierszy pomija się utwór z 1821 r. zatytułowany „Do malarza”. Został napisany w czasie, kiedy Adam Mickiewicz pracował jako nauczyciel powiatowy w Kownie. Znajduje się tam fragment: „Kto szczerzy Akadema hołdownik Minerwie, / Żmudzkich łbów obuczaniem rychło pierś oberwie”. Pomyślałem wtedy, że jeśli zamienić epitet „żmudziński” na „żuławski”, to sytuacja nauczyciela prowincjonalnego niewiele się zmieniła. Robota jest podobna i podobny jest opór materii... Czciiciel Minerwy, bogini mądrości, przechadzający się po ogrodzie Akadema, w którym nauczał Platon... Czyż może być piękniej określony nauczyciel?

Jako nauczyciel języka polskiego nie tylko starałem się zaszczepić w moich uczniach miłość do literatury i języka, zabierałem na wycieczki, do kina i teatru, na wystawy. Ciągałem ich po Europie, zamęczałem muzeami i zabytkami, ale też łaziliśmy po górach, taplaliśmy się w aquaparkach i gnietliśmy na kamienistych plażach Grecji i Italii. Zorganizowałem kilkadziesiąt wycieczek po kraju i zagranicznych, jak policzyłem, to z tych 40 lat prawie cały rok spędziłem w rozjazdach. Bo to forma kształcenia i formacji, którą bardzo lubię.

Dziesięć lat temu powiedziałem w wywiadzie: „... pracuję jako nauczyciel języka polskiego i jest to coś, co nadaje sens mojemu życiu. Staram się wprowadzać młodzież w tajniki polskiej i światowej literatury, filmu i sztuki. Uczę tolerancji. Objaśniam jej współczesny świat. Moi wychowankowie są dziś sędziami, nauczycielami, lekarzami, rzemieślnikami, rolnikami, urzędnikami i robotnikami. Jestem z nich dumny. Moja działalność w opozycji (w czasach PRL-u) i praca nauczycielska mają te same podstawy – chciałem i nadal chcę lepszej Polski. Może brzmi to patetycznie, ale to prawda”. Bo ja zawsze kierowałem się w swej pracy nauczycielskiej słowami Wojciecha Młynarskiego: „Róbmy swoje”. A także Jacka Kaczmarskiego: „A ty siej. A nuż coś wyrośnie”. I chyba trochę wyrosło. Dziś nadal tak myślę, choć polską szkołę bardzo przez tę dekadę sponiewierano... Ale nie chcę teraz o tym pisać. Gdy wcześniej o tym wspominałem, to mocno się wahałem, czy dać ten passus, bo to przecież tekst o innym charakterze. Ale za bardzo mnie to boli, za mocno uwiera.

Od lat żegnając swoich uczniów ofiarowywałem im egzemplarz „Dezyderaty” Maxa Ehrmanna, bo słowa tam zawarte nie starzeją się i są niczym latarnia morska... Tym razem też tak zrobiłem i dołączyłem rzymską maksymę, słowa wypowiedane przez konsulów rzymskich przy przekazywaniu urzędu następcy: „Feci quod potui, faciant meliora potentes. Zrobiłem, co mogłem, kto potrafi, niech zrobi lepiej”.

Bardzo bym chciał, aby spełniły się życzenia dla Żuław z wiersza Czesława Miłosza:

„Człowiekowi jak życzyć? Niech będzie szczęśliwy.

Niech własną ręką stworzy niestworzone dziwy,

Nie złoto, niechaj gwiazdę marzenia wyorze.

W ciemnozielony ogród niechaj myślą zmieni

Krainę płaską wziętą z wody i płomieni”.

Od 75 lat nasi uczniowie i absolwenci pracują, aby one wreszcie się ziściły. Własnymi rękami i umysłami próbują niestrudzenie zamienić naszą krainę w kwitnący ogród.

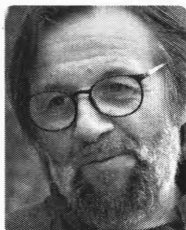
Spełniajmy więc nasze wspólne marzenia!

Powodzenia moi uczniowie i uczennice – dawni oraz obecni!

Wytrwałości i nadziei moje koleżanki i koledzy!

# Prowincje bliskie i dalekie

Krzysztof Czyżewski



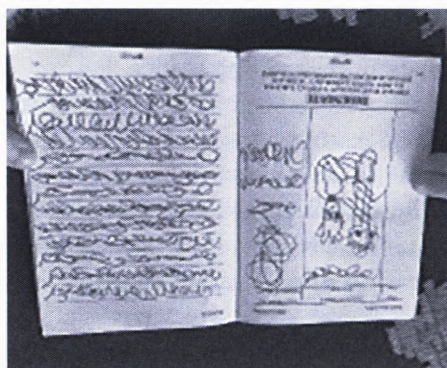
## NOTATKI SŁÓW I OBRAZÓW

### JANECZKA PISZE WIERSZE

17 lutego 2023 roku

Tłumaczyliśmy z Iryną wiersze, gdy przysiadła się do nas Janeczka.

- Ja też piszę wiersze...
- Pokażesz nam?
- Ale nic nie zrozumiecie!
- Dlaczego?
- Ja piszę wiersze w innych literach, trochę bazgrołowych.



Umawiamy się na warsztat z techniki pisania w innych literach.

- Iryna pierwsza, potem dziadek.
- Nie możemy być razem?
- Nie mam miejsca dla aż dwójki dorosłych naraz! Jeśli chcecie odczytać mój wiersz o smokach, to potrzebuję dużo miejsca...

### MACHEJ PISZE PRAGĘ

14 marca 2023 roku

Czy ktoś z Państwa do Pragi? Tylko proszę się nie spieszyć. Komuż to dzisiaj po drodze? Nie raz się przecież jeździło. Książek nie mało się przeczytało, nie jedno piwo się rozlało... Ledwie przedwczoraj media donosiły o tysiącach protestujących w czeskiej stolicy przeciwko pomocy Ukrainie i okrzykach tych z przypiętą literą „Z”: „Zatrzymać wojnę, zatrzymać NATO”. Wiadomo, putinowcy na to, jak na lato... Więc kto z Państwa do Pragi? W moim zaproszeniu nie ma blagi – jest podróż, jakiej jeszcze nie było, z książką „Praga in flagranti”, czyli co się Zbigniewowi Machejowi pod piórem poety, eseisty, tłumacza, epistolografa i diarysty zrodziło.

Proszę się tylko nie spieszyć. Praga Macheja potrzebuje czasu, zaoszczędzonego gdzieś na peryferiach dnia i nocy. Jeśli taki czas znajdziemy, to może się okazać, że żadną ucieczką od ponurej rzeczywistości się nie salwujemy, że w lekturze książki antidotum znajdziemy na upiorną literę „Z” w praskim tłumie.

Powinniśmy odkładać smakołyki, bo zjedzone na chybcika i byle gdzie, nie mają żadnego smaku. Potrzebują atmosfery, czasu nasyconego innym światłem. Dlatego odkładamy je sobie, czekając odpowiedniej chwili. To samo dotyczy podróży do miasta, którego nie chcielibyśmy prześlepić. Przynajmniej tak to było w przypadku dziewczyny z Charkowa, której imienia nie zdążył zanotować Ostap Sływyński, inicjator i redaktor ukraińskiego *Słownika wojny*. To za jej sprawą w tej książce, obok takich słów, jak piękno, pokój, pożegnanie czy prysznic, pojawia się Praga. Opowiedziała mu o tym, jak wojna, wyrzucając ją z domu i gwałcąc odkładany przez lata inny czas, odebrała jej radość smakowania wymarzonego miasta: „... zawsze chciałam pojechać do Pragi... A teraz w końcu jadę, a radości żadnej”.

Zdarzało się już, że w serii „Meridian” bohaterem było miasto, choćby Wenecja Matwejevicia, Sarajewo Sarajlicia i Kalamuić, Dubrownik Rapackiej, Wilno Venclovy i Kuncinasa, Bukareszt Sebastiana, Nowy Jork Mekasa i Florescu, Triest Magrisa, Belgrad Dawida... Była też Praga Skvoreckiego i Ajvaza. Teraz jest Praga Macheja.

## ODESZŁA DUBRAVKA UGREŠIĆ (1949–2023)

17 marca 2023 roku



„Przekleństwo lisa polega na tym, że nie jest kochany. Lis nie ma tak wielkiej siły, żebyśmy się go bali i ukorzyli się, ani też rzucającej się w oczy urody, żebyśmy zamarli na jego widok. Jak zresztą pokochać kogoś, kto zmienia twarz i swoją naturę, kogoś, kto czasem

jest do nas przywiązany, to znów gotowy sprzedać nas za bezcen komuś, co do kogo nie mamy pewności, czy należy do świata martwych, czy do świata żywych. Lis nie należy ani do zwierząt, ani do nas, ludzi, ani do bóstw. Jest wiecznym ślepym wędrowcem, migrantem przemieszczającym się między światami, a kiedy złapią go bez biletu, wtedy ogonem podrzuca kulki, wykonuje swoje tanie sztuczki czy to przed ludźmi, czy przed zwierzętami, czy niebiosami. Ten zachwyty, który przez chwilę na niego spływa, lis krótkowzrocznie (O, lisa słabości!) uważa za miłość. To lisie momenty sławy. Reszta jest historią strachu, ucieczek przed nabojami myśliwych, nieustającym szczekaniem psów; historią pogoni, razów, lizania ran, poniżenia, samotności i taniej zabawy z grzechotką zrobioną z kurzych kostek.

...nie miałabym nic przeciwko temu, żebym została opisana jako staruszka, która wychodzi w zimną noc... i kiedy się tak oddała, wokół jej nóg, z ciemności wyłaniają się małe lisy. I proszę, jest ich coraz więcej, uwijają się, tworząc królewski tren w kolorze miedzianym, tak długo, póki i trenu, i staruszki nie pochłonie ciemność.”

*Przełożyła Dorota Jovanka Ćirlić*

## AŁYCZA

23 maja 2023 rok



## PIĘKNA

staruszka w podwórku mariupola  
 resztką życia osłania ałyczę  
 szła zima noc brała każdy opał  
 w drzewo wrosła sprzeciwu okrzykiem

*budzę się rano o samym świcie  
patrzę przez okno a ona wciąż tam jest  
przy drzewie ale już leży na ziemi<sup>1</sup>*

śmierć ją ścięła  
drzewa nie tknęła

*pewnych rzeczy już po prostu serce nie może pomieścić  
posadziłem ałyczę w moim ogrodzie  
może też u siebie posadzi ją ktoś  
ponoć w Polsce przyjmuje się dobrze  
śliwki ma wiśniowe młodą starość  
nasza sąsiadka... nawet nie pytałam potem co się z nią stało  
na śmierć wojnie  
sadzi w nas ałycze*

W „Słowniku wojny”, ułożonym przez Ostapa Sływyńskiego i zilustrowanym przez Anastasię Awramczuk, znalazłem opowieść Wiki z Mariupola o starszej kobiecie, która protestowała przeciwko wycięciu ałyczy na jej podwórku – podzieliłaby ona los innych drzew wycinanych na opał by ludzie w oblężonym i bombardowanym mieście mogli przeżyć zimę. Wika zapamiętała sąsiadkę strzegącą drzewa ałyczy przez dzień i noc, a następnego ranka leżącą przy nim bez życia. Poruszony jej opowieścią, napisałem wiersz, w którym wspomniałem, że posadziłem ałyczę w swoim ogrodzie, i że może posadzi ją jeszcze ktoś. Nie przypuszczałem, że zrodzi się z tego cała „akcja”, że tak wielu ludzi przyjmie tak głęboko do serca tę mikrohistorię rozgrywającą się na obrzeżach wielkiej historii. Do dzisiaj otrzymuję listy, telefony i inne sygnały o tym, że ktoś sadzi u siebie ałyczę. Czasem pochodzą one od pojedynczych osób, czasem od całych szkół i organizacji. „Będziemy pielęgnowali ałyczę i pamięć o staruszce z Mariupola – czytam na Facebooku – Z cierpkich owoców wyrasta nowy sad.”

Wojna odbiera nam ogród życia, lecz nie jest zdolna zapobiec jego odradzaniu się. Może dlatego ta opowieść o człowieku stojącym na straży drzewa pośród apokaliptycznej pożogi porusza w nas serdeczną strunę i nie pozwala pominąć milczeniem ważnej prawdy o tej strasznej wojnie. Wszak toczy się ona nie tylko o wolność Ukrainy, także o życie każdego życia, nawet najmniejszego, ludzkiego i nieludzkiego, obdarzonego imieniem i miejscem w sercu. Giną na niej wolontariusze ze schroniska dla zwierząt i obrońcy przyrody. Broń przeciwko nim skierowana to nie tylko militarny oręż, to także wzgarda dla pojedynczego istnienia, dla bezbronnych i słabych.

Piękna jest staruszka z Mariupola, piękna pamięć o niej. Wojna przegrywa tę wojnę.

<sup>1</sup> Teksty zaznaczone kursywą są cytatami z opowieści Wiki z Mariupola, zamieszczonej w *Słowniku wojny* w przekładzie Bohdana Zadury; ułożył Ostap Sływyński (Pogranicze, 2023).

## PODRĘCZNA PÓŁKA KSIĄŻEK Z WOJNĄ W TLE

11 czerwca 2023 rok

Dotarła właśnie do Krasnogrudy książka *Czesław Miłosz i wiek XXI* pod redakcją Joanny Zach i Katarzyny Jarzyńskiej. Pierwsza książka z serii „Kontynenty” Ośrodka Badań nad Twórczością Czesława Miłosza przy Uniwersytecie Jagiellońskim. Książka trafia u mnie na półkę podręczną z wojną w tle. Po jej jednej stronie Simone Weil w przekładzie i opracowaniu Małgorzaty Frankiewicz, z blokiem autokrytycznych tekstów ukazujących głęboką przemianę wojującej pacyfistki, kulminującą w jednym z najważniejszych esejów jakie w ubiegłym stuleciu napisano o wojnie – „*Iliada*”, czyli *poemat siły*. Po drugiej stronie opowiadania i eseje Dževada Karahasana, ważnego dla mnie świadka wojny w byłej Jugosławii. U boku *Doniesień z krainy ciemności – Ex ponto* Ivo Andrića. Pisząc esej-pożegnanie zmarłego niedawno Dževada, koncentruję się na prowadzonym przez niego do końca życia dialogu z krótkim wprawdzie, ale do dzisiaj nie dającym spać spokojnie opowiadaniem Andrića *List z 1920 roku*. I ciągnę rozmowę dalej, do Ukrainy. Czytana po latach *Pasja pokoju* Thomasa Mertona, uważnego czytelnika *Zniewolonego umysłu*, warta byłaby osobnej refleksji...

Warte lektury i osobnej debaty jest to, jak Miłosz, świadek dwóch wojen światowych, rezonuje dzisiaj. Z otwierających książkę, a przygotowanych przez Aleksandra Fiuta wypisów z archiwum poety, wynotowuję fragment odczytu wygłoszonego w Osace w 1983 roku: „Książka Raymonda Arona *Koniec wieku ideologii* ukazała się mniej więcej trzy dekady temu i wątpię, czy wszystkie jej założenia znajdowały wówczas potwierdzenie. A jednak jesteśmy w istocie świadkami stopniowej erozji doktryn politycznych, które w danym momencie wyglądały jak nowe technologie, teraz natomiast przypominają puste skorupy. Ekstrapolując, możemy oczekiwać, że ten proces doprowadzi do niczym nie przesłoniętej nagiej siły politycznej i militarnej, która ukaże się bez ponętnych zasłon takiej czy innej doktryny”.

## JANECZKA I POMIDOR

9 lipca 2023 roku

- Już się za tobą stęskniłem.
- Poszliśmy z babcią do ogrodu. Ona jest duża i z góry widziała tylko zielone pomidory. A mi się trafił czerwony. Mały człowiek widzi chyba więcej...
- A podzieliłaś się nim z babcią?
- Zjadłam całego od razu.
- I co?
- No może widzi więcej, ale...
- Ale co?
- A potrafisz zrobić szpagat?

- Poczekaj, co z tym ale?
- Zobacz, jak wysoko podnoszę nogę.
- Ale co z tym pomidorem?
- Jakim pomidorem?

## EULOGIA DLA DOMOSŁAWSKICH

22 lipca 2023 roku



Odeszli bracia Grzegorz (23 marca) i Wojciech (19 lipca) Domosławscy. Dobrze zapisali się w pamięci mieszkańców Sejn. Dla nas w Pograniczu stali się bezcennym ogniwem przekazu tradycji, z których czerpie nasza praca. Zapewne wiele osób spoza naszego małego polsko-litewskiego księstwa pamięta ich z debat w Białej Synagodze czy w Międzynarodowym Centrum Dialogu w Krasnogrudzie. Zresztą nie tylko. Ileż to razy zaskoczyli mnie siedząc w pierwszym rzędzie podczas wykładów i innych spotkań, które miałem w Gdańsku, Krakowie, Warszawie czy Poznaniu. Zawsze im się chciało, nigdy nie było za daleko. A potem podchodzili „jeszcze na słówko”, zasypując mnie pytaniami i nowymi pomysłami: „Czytał już pan ostatniego Czaplńskiego?”; „Brakowało nam takiej powieści jak *Maranta Jonuškaitė*, proszę więc jak najszybciej zaprosić ją na spotkanie”; „Mamy parę pytań do profesora Snydera, kiedy będzie w Krasnogrudzie?” ... Zamieszczona przeze mnie fotografia zatrzymuje w pamięci ich ostatnią wizytę w naszym domu w Krasnogrudzie. Przynieśli wtedy teczki z tekstami i zapiskami swojego ojca Wacława. To wokół ich lektury, odkrywającej rąbek duchowego życia sejneńskiej inteligencji, toczyła się nasza ostatnia rozmowa.

Po odejściu pana Grzegorza napisałem eulogię, którą teraz, po śmierci drugiego brata, nieznacznie tylko zmieniam, pisząc o nich w liczbie mnogiej, tak bardzo bowiem ich żywoty zespoły się w jedną opowieść o dwóch takich, co poszli w świat z Sejn, a potem różnymi drogami wciąż do nich powracali.

Księga żywota braci Grzegorza i Wojciecha Domosławskich zapisana została wędrówką ludzi pogranicza, którzy wierność tradycjom rodzinnym i lokalnym potrafili łączyć z otwartością na świat, samokrytycyzmem i solidarnością z innymi. Obaj mogli w tej księdze już dawno wpisać pauzę i cieszyć się odpoczynkiem należnym nestorom. Tymczasem ich zaangażowanie obywatelskie, ciekawość drugiego człowieka, chęć służenia swoją wiedzą i doświadczeniem innym, zdawały się wręcz przybierać na sile, swoją energią i nonkonformizmem często zawstydzając o wiele młodszych od nich. Śmierć zabrała ich za wcześnie, czyniąc w kręgu rodziny i bliskich im ludzi wyrwę nie do zasypania, jak to bywa po odejściu osób niezastąpionych. Lecz być może tak właśnie miało się stać i jest w tym dramacie losu przekaz pozostawiony nam do odczytania.

Nie zawsze byli jednomyślni, ale tym, którzy ich znali nie mogło ująć uwagi jak dojrzałe było ich braterstwo, jak rozumieli się w półsłowa. Z pewnością i w tym Grzegorz i Wojciech byliby zgodni: nie cieszyłby ich fakt, że księga ich żywota zostaje skrzętnie zamknięta, ładnie oprawiona i postawiona wysoko na półce. Pozostawili ją nam otwartą, bez kropki w ostatnim zdaniu, z notatkami planów na przyszłość, z trudnymi pytaniami bez odpowiedzi, z tym „nakazem albo wezwaniem w nadziejskim języku” z wiersza *O aniołach* Czesława Miłozza: „zaraz dzień / jeszcze jeden / zrób co możesz”. Wrodzona skromność ustawiała ich w dystansie do pochlebców, a wdzięczność innych przekuwali we współdziałanie dla wspólnej sprawy.

Grzegorz i Wojciech byli rodem z sejneńskich Domosławskich. Czasem zastanawialiśmy się wspólnie czy w samym nazwisku nie kryje się matryca ich losu. Oni zwykle obracali to w żart, ale dla nas – dobrze znających i ich i innych członków rodziny – oczywistym było, że jest w tym coś na rzeczy. Sławić dom swój – cóż to dla nich znaczyło? Z pewnością nie chodziło o bezkrytyczne wychwalanie swoich, w dodatku kosztem prawdy i solidarności z innymi. A zatem co? Warto spróbować odpowiedzieć na to pytanie, skrywa się w nim bowiem ślad mogący nas doprowadzić do ważnej dla Sejn tradycji, z którą utożsamiali się bracia Domosławscy.

Na początku przydawania sławy własnemu domowi znajdują się trud, praca i pamięć. Są to wartości, które Grzegorz i Wojciech wyczytywali z napisu na nagrobku swojej prababki, Apolonii Haberskiej, pochowanej na sejneńskim cmentarzu w 1897 roku. Trud, obok wysiłku, rozumieli także w sensie wychodzenia naprzeciw temu, co w życiu trudne, wymagające odwagi, czasem przeciwstawienia się swoim, jeśli dobro wspólne, obywatelskie, tego wymagało. Cóż to za patriota, pytali, który boi się spojrzeć prawdzie w oczy? Nie swojej prawdzie, ale tej pogranicznej, w której do głosu dochodzi też perspektywa drugiego, sąsiada albo gościa. W jednym z pisanych pod koniec życia felietonów Grzegorz konstatawał: „Niemożliwe jest godzenie się z sytuacją, w której nie można postawić trudnych pytań... Może wówczas, kiedy zastanawiamy się nad źródłami naszego zła, rosną szanse na dobro?” Z kolei wartość pracy w ich rozumieniu wyrasta w z tradycji pozytywistycznych i oddaje pracowitość w służbę przewycięzania nierówności społecznych i troski o godność ludzi

wykluczonych ze względu na pochodzenie społeczne, status materialny czy przynależność do mniejszości. Wreszcie pamięć, której czuli się może najbardziej oddani, to wiecznie wymagający pielęgnowania ogród, decydujący o tym, kim jesteśmy i jaki horyzont przyszłości otwiera się przed nami.

Bracia Grzegorz i Wojciech byli strażnikami pamięci. W centrum ich świata sytuowała się apteka przy placu św. Agaty. Z jednej strony znajdowała ona przedłużenie w domu rodzinnym, z drugiej w przylegających do niej sukienicach. Większość z nas zna ją już tylko z opowieści i starych fotografii. A jednak w wymiarze symbolicznym stara sejneńska apteka ciągle promieniuje w naszej małej ojczyźnie, znajdując wiernych kontynuatorów etosu życia ludzi tam wychowanych. Miejsce to stworzyli ich dziadkowie, Wincenty Domosławski, absolwent farmacji w Warszawie i weterynarii w Petersburgu, oraz Małgorzata z Grabowskich, kobieta wielu pasji, w tym teatru amatorskiego. Starając się odtworzyć atmosferę tego domu, Grzegorz wraz z Wojciechem pisali: „głównym kryterium oceny ludzi była w nim praca na rzecz rodziny i społeczeństwa. Państwa niepodległego jeszcze wtedy nie było. Jednak obecny duch liberalny i świadomość konieczności włączenia coraz szerszych warstw społeczeństwa polskiego, głównie chłopów, w sprawy narodu, stawały się nakazem obywatelskim”. Ducha domu odzwierciedlała też bogata biblioteka, z literaturą współczesną, wykładami Mickiewicza w College de France i książkami do nauki francuskiego, rocznikami filozoficznego „Przeglądu Powszechnego” wydawanego przez jezuitów i wielotomową *Historię sztuki*, książkami o historii i kulturze Żydów oraz siedmiotomowym dziełem Kucharzewskiego *Od białego caratu do czerwonego*.

Nadszedł jednak trudny czas pierwszej wojny światowej, a zaraz potem zbrojnego konfliktu między Polakami i Litwinami o przebieg granicy rozdzielającej nowe państwa narodowe. Apteka Domosławskich stała się wówczas areną dramatu – 25 sierpnia 1919 roku żołnierze litewscy zastrzelili w niej Wincentego. Przywołując słowa księdza Ignacego Dziermejki moglibyśmy powiedzieć: „duch miejsca dostał w pysk”. Zwykle taka tragedia oddaje naszą pamięć pod władzę rodzinnej traumy, obejmującej pieczę nad cierpieniem i poczuciem krzywdy, ale również obciążającej członków rodziny – także jej przyszłe pokolenia – urazem nienawiści, narodowościowych uprzedzeń czy też żądy odwetu. Mogłoby się przecież tak wydarzyć, że apteka przy placu św. Agaty stałaby się ostoją takiej właśnie, negatywnej pamięci. A jednak w księdze żywota Grzegorza i Wojciecha duch tego miejsca zapisał się zupełnie inaczej. Rozumieli oni doskonale polsko-litewskie urazy i nie oceniali ludzi, którzy w przeszłości swój patriotyzm wyrażali w postawach anty-litewskich czy anty-polskich. Jednocześnie uważali, że przyszłość Sejnu leży w rozwoju sąsiedzkiej współpracy i budowie społeczeństwa obywatelskiego, które da nowe życie wielokulturowym tradycjom dawnej Rzeczypospolitej i Wielkiego Księstwa Litewskiego.

„Ograniczajmy emocje – pisał Grzegorz – także patriotyczne, na rzecz racjonalnej argumentacji.” Podczas pamiętnych Zaduszek w Białej Synagodze Wojciech mówił o potrzebie nowego patriotyzmu, budowanego na fundamencie dobrego współistnienia z innymi i przewyciężenia negatywnej pamięci, którą dziedziczymy po traumatycznych wydarzeniach z przeszłości. Była to jedna z najważniejszych lekcji, jaką w Sejnach otrzymaliśmy od ludzi pogranicza. Za słowami słyż czyny – bracia Domosławscy byli inicjatorami i fundatorami konkursu dla polskiej i litewskiej młodzieży na prace dotyczące przyszłości

Sejneńszczyzny, pomagali Jerzemu Nazarukowi redagować dwujęzyczne polsko-litewskie pismo „Gaładuś”, współtworzyli strategię rozwoju naszego regionu w oparciu o współpracę transgraniczną i pielęgnowanie wielokulturowego dziedzictwa, brali czynny udział w debatach w Międzynarodowym Centrum Dialogu w Krasnogrudzie... – by wymienić tylko niektóre z ich licznych obywatelskich zaangażowań.

Praca nad przydawaniem sławy własnemu domowi doprowadziła Grzegorza i Wojciecha Domosławskich do szczególnego rodzaju patriotyzmu, tak charakterystycznego dla ludzi pogranicza. Jego tajemnica kryje się w tym, że swoim sercem, ale też poczuciem odpowiedzialności obejmowali całość – a nie tylko część, narodową czy kulturową – rodzinnego miejsca, które było jednocześnie domem, ojczyzną, Europą i małym centrum świata. Swoją tożsamość zakorzenionych Sejneńczyków określali słowami zapisanymi przez Grzegorza, które może najlepiej pozwalają nam zrozumieć ich życiowe wybory: „Jestem Polakiem z racji tradycji i historii, ale są we mnie także sympatie wobec miejscowych Litwinów – staram się zrozumieć ich losy i punkty widzenia. Utożsamiam się z oświeceniem europejskim, z lewicową myślą demokratyczną, słucham Chopina, lubię muzykę klezmerską. Kupiłem ostatnio płytę z utworami Ewy Demarczyk śpiewanymi po rosyjsku. Od sześćdziesięciu lat bytuję w Wolnym Mieście Gdańsk, co też wpłynęło na moje rozumienie polskości. W sumie to taka pograniczna staroświecka tożsamość, coś z profesora Andrzeja Strumiły...”.

Odczytując księgę żywota braci Domosławskich nie powinniśmy zapominać o ich drugich małych ojczyznach, czyli Łodzi w przypadku Wojciecha i ważnym dla nich obu solidarnościowym Gdańsku. Grzegorz wyruszył do Gdańska w 1956 roku, najpierw jak zwykle przepełnionym PKS-em z Sejn do Suwałk, potem pociągiem. Z górą dwadzieścia lat pracował w przemyśle okrętowym, uczestniczył w rozbudowie Stoczni Gdańskiej i nigdy nie zaakceptował krzywdy, jakiej doznali pracownicy przy jej likwidacji, co istotnie osłabiało jego obywatelską dumę z osiągnięć ruchu „Solidarności”. Do Sejn powracał Gdańszczanin, dla którego wolność już na zawsze zrosnięta była z solidarnością, a w świecie neoliberalizmu i gospodarki rynkowej dodatkowo zagrożona społeczną znieczulicą. Za najbardziej groźną dla naszej przyszłości obaj bracia uznawali sytuację, w której wolność bierze górę nad moralnością. Byli ekonomistami i humanistami, choć w ich przypadku spójnik „i” jest tu nie na miejscu, bowiem nie były to dla nich dwie osobne dziedziny zainteresowań i zawodowych pasji. Uważali, że gospodarka powinna otwierać się na wymiar duchowy, cenić kapitał ludzki i społeczną partycypację, budować swój rozwój w oparciu o wartości etyczne i wrażliwość ekologiczną. Z drugiej strony kultura nie powinna być oderwana od rzeczywistości, w tym od realiów ekonomicznych i życiowej pragmatyki, gdyż doprowadzi to do jej wyobcowania, a tym samym pozbawi się ona możliwości zmieniania świata na lepsze.

Pod koniec życia Grzegorz i Wojciech coraz częściej powracali do wspomnień o swoim ojcu, Wacławie Domosławskim. Czytanie pozostawionych przez niego tekstów, zapisków i listów, pozwoliło im niejako na nowo go poznać i uświadomić sobie, jak wiele mu zawdzięczają. Oto słowa ojca, z którymi może najbardziej się identyfikowali, a które przez nas powinny być odczytywane jako wierny portret ich wewnętrznego świata: „Patrząc na życie z małej wysokości... ograniczone okolicznościami, nie widzi się nic, wszystko jest w porządku, dzień za dniem płynie, równo, spokojnie. ...zdawało by się, że... nie ma w świecie siły, która by mogła ten szary dzień... zmienić. Ale to złudzenie. On tak płynie dopóty, dopóki na tę szarzyznę się zgadzamy, póki nam jest z nią dobrze i znośnie. Ale niech tylko

zrodzi się mały odruch niezadowolenia... Szary dzień musi być rozświetlony, bez nowego światła i to światła ogromnego, oślepiającego, bez nowego poddmuchu i odmiany, życie staje się niemożliwe, szczęście dnia codziennego staje się nieszczęściem, harmonia pryska. Zaczyna się szukanie, pragnienie, tęsknota, praca intensywna mózgu, mięśni. Zaczyna się ruch, dynamika, radość życia, cel życia, patos życia, emocja. Jednostka kroczy naprzód, rozwija pęd, odkrywa tajemnice...”

Słowa ojca były dla nich wezwaniem do życia czynnego, wyrażającego się w ich życiowej maksymie, zapisanej przez Grzegorza: „Ciągłe usiłowanie przekraczania granic to sens istnienia ludzi myślących”. Jakże chciałoby się o tym z nimi porozmawiać, jakże bardzo brakowało nam będzie kolejnej z nimi pogawędki, która niepostrzeżenie przemienia się w debatę, to nic, że uwidaczniającą różnicę zdań, ważne, że z troską o dobro wspólne. Nie zamykajmy księgi żywota Grzegorza i Wojciecha Domosławskich. Rozmawiajmy, pamiętając ich słowa: „Dobre rozmowy nigdy nie powinny się kończyć. Konieczna jest roztropna ich kontynuacja...”

## EULOGIA DLA JANINY OSEWSKIEJ<sup>2</sup>

12 sierpnia 2023 roku



być może to śmierć  
starczy przecinek by być  
i skoczyć w morze

<sup>2</sup> Mowa wygłoszona na pogrzebie Poetki 12 sierpnia 2023 roku w Augustowie.

Janka przeżyła życie niezdawkowo, z interpunkcyjną uwagą dla drobiazgu. Okruchy życia, jak chleba, trzeba zebrać do ostatniego, nad najmniejszym się pochylić. Inaczej mamy przykarane. Tak żyła, tak uczyła, tak pisała. Do lękliwego i niefrasobliwego „być może” wstawiła przecinek, uwalniając bycie i morze – dwa żywioły, którym się oddała. W geście poetyckim uczyniła to w ostatnim tomie *Listy i stacje*, kończącym się cyklem wierszy *Być, morze*. W życiu czyniła to od lat. Powtarzała, że poezji się nie pisze, poezję się mówi, rozumiejąc przez to nie tylko słowo odzyskujące brzmienie, ale też uwiarygodnione działaniem. Jeszcze na kilka godzin przed odejściem, gdy nic już nie mówiła i spojrzenie miała martwe, w ostatnim uścisku naszych dłoni, wyczułem ten przecinek – drgnienie wiatru napinające żagiel do podróży. Jej bycie było w służbie innym i w poszukiwaniu Innego. Jej morze było zanurzeniem we wszechogarniające, gdzie człowiek maleje do ziarna pokory i wznosi się ponad siebie; zanurzeniem w las augustowski (wciąż słyszę, jak mówi: „odbierzcie mi las, a nie będzie mnie”), podaniem się nurtom Netty i Czarnej Hańczy, wskoczeniem do Sajenka albo Hołn, zrywającym do lotu uderzeniem fali Bałtyku w litewskiej wiosce Karklė, rozpamiętywaniem pamiętania, które odnajdywała w warsztacie budowniczych mostów. Morzem były jej trzy umiłowane ziemie: augustowska, sejneńska i suwalska. We wszystkim, co czyniła, brała niebo na świadka, wierna przyrzeczeniu, które złożyli sobie z Tadeuszem.

Nagła choroba rychło zabrała Tadeusza. Janka była wtedy dyrektorką szkoły społecznej w Augustowie, ich trzech synowie studiowali. Gdy spada na nas taki cios losu, człowiek może się załamać, oddać rozpacz, a inni ludzie obejmą go współczuciem i sympatią. Ale nie odnotowano wtedy nieobecności pani dyrektor w szkole. Swoim uczniom opowiadała o dwóch myszkach, które wpadły do śmietany – jedna się poddała i utonęła, druga tak przebierała nóżkami, że ubiła masło i wydostała się z pułapki. Janka zebrała się w sobie, rodzina dała jej siłę. W końcu miłość, jak się kiedyś do tego przyznała, nie była dla niej tematem poezji, lecz życia. Odczuła wtedy osamotnienie, jak każda siłaczka, która daje radę, miast budzić litość. Oddała się pracy pedagogicznej, stając się znaną w całym kraju innowatorką kształcenia dzieci w oparciu o poczucie własnej wartości, ocenianie kształtujące i budowanie zaufania między nauczycielem i uczniem, czyli tak zwany „nacobez” – nie bójcie się, powiem wam na co będę zwracała uwagę.

Doświadczenie życiowe bardzo pomogło Jance w praktykowaniu pedagogiki dobra – uczeniu dzieci sztuki dostrzegania wokół siebie tego, co pozytywne, okrucichów światła. Nabrało to szczególnego znaczenia w momencie, gdy objęła dyrekcję publicznej szkoły nr 6 w Augustowie, znajdującej się na Lipowcu, robotniczej dzielnicy, po likwidacji tartaku dotkniętej bezrobociem. Ze „szkoły na Polance” uczyniła nie tylko „szkołę z klasą”, szybko windującą się w górę wynikami nauczania, ale też promieniującą na całe sąsiedztwo, znaną z etosu zaangażowania obywatelskiego i w dużym stopniu przykładającą się do tego, że dzisiaj jest to jedna z najpiękniejszych i najbardziej atrakcyjnych do zamieszkania dzielnic miasta. Ten niezwykły, rozłożony na wiele lat i połączony z twórczą pracą literacko-artystyczną wysiłek Janki przełamał jej osamotnienie wdowy, która daje sobie radę. W pełni zasłużyła na to, że Augustów może szczycić się jej obywatelstwem. Nigdy też nie przeszła na nauczycielską emeryturę. Uczniów zastąpiły wnuczki, prawie cała klasa, siedmioro... Gdy nie umiały jeszcze chodzić i u niej w domu wspinały się na czworakach po schodach na piętro, nigdy nie słyszały od niej „nie wolno, to zbyt niebezpieczne, proszę zejść”, tylko „uważnie, nie bój się, nie oglądaj się za siebie, dasz radę, jeszcze trochę a dotrzesz na górę”.

A jednocześnie z miłości do wnuczek tworzyła siebie, powracając do pięcioletniej dziewczynki, która nie słyszała nic poza głosem wyobraźni.

Inną, równie ważną jak rodzina i szkoła ostoją Janki była praca artystyczna, poezja i fotografia, połączone z szalonymi podróżami i marzeniami nabierającymi kształtu. Zwieńczeniem tych pasji jest stworzona przez nią Fundacja Słowo i Obraz, którą i miastu Augustów, i nam, ludziom kultury, pozostawia jako schedę do kontynuacji i dochowania jej wierności.

Jest dwunasty sierpnia 2023 roku.

Stoimy przy Twoim martwym ciele, Janko.

Na początku listopada 2003 Ty tak stałaś przy Tadeuszu.

Świadomość niewyraźnego w języku bólu rozstania przebudziła poetkę.

Guślarka, spisywałaś mowę duszy zmarłego, a nam brzmią teraz w uszach jego słowa miłosne o siwiźnie dodającej Ci blasku, uśmierzające chorobę.

Jak Ty wtedy, zamykamy oczy. Jesteś na wyciągnięcie ręki.

Napełniamy swoje serca spokojem, by trwać w nim jeszcze długo po Twojej śmierci.

Na fotografii, trzymanej zawsze na piersi rodziny, z waszej piątki pozostała trójka, lecz wchodzą w nią synowe i wnuczki, ledwo mieszcząc się w jej ramach.

I jak Ty, wciąż tak samo nic nie rozumiemy.

Tylko zapamiętane jak modlitwę nosimy.

Tylko w stronę ciszy zwróceni, Twoim śladem staramy się urodzić ją w sobie, nie z milczenia,

a z uporządkowania samolubnych rupiecarni;

ciszę tak szeroką, że słyszać drzenie rąk zapinających żonie guziki z tyłu sukienki.

Z każdym Twoim wierszem przeczytany słyszymy więcej.

Staramy się tu być niezdawkowo.

Wtajemniczeni w interpunkcyjną sztukę uwagi, stawiamy kropkę po „Jesteś martwa”.

Lecz nie pozostawiasz nas w martwym punkcie.

Coś nas zbliża. Jak wtedy u Ciebie w domu,

gdy opowieść o „pograniczu w ogniu”

przemieniała się w „pogranicze przy ogniu”.

Coś nas zbliża do sedna. Coraz szersze rozświetlenie rzeki.

Mała jest i dlatego niewyczerpana niebieska kropla.

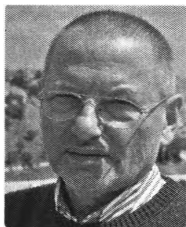
Zasiewałaś ją nam w ogrodach oczu, serc, pamięci.

Oczy otwierają nam się do wewnątrz:

nareszcie z muzyką lasu granicę przetańczysz, niezauważalnie.

Niech most będzie z Tobą, Janko.

Marek Suchar



# W POSZUKIWANIU ZAGINIONEJ ARKI, CZYLI TAJEMNICE I ZAGADKI ETIOPSKIEJ OBECNOŚCI W JEROZOLIMIE

Na dachu Bazyliki Grobu Bożego w Jerozolimie znajduje się coś w rodzaju dużego pła-  
skiego tarasu, a na nim przedziwne, przypominające chaty w jakiejś afrykańskiej wiosce,  
małe domki. To mieszkania tajemniczych ciemnoskórych etiopskich mnichów, którzy mają  
stąd dosłownie kilka kroków do podwójnej kaplicy swojego klasztoru *Debre Sultan* przy-  
legającego do Bazyliki Grobu. Miejsce jest niezwykle malownicze, nic więc dziwnego, że  
jego fotografie często pojawiają się w fotoreportażach ze Świętego Miasta. Ale oglądają-  
cym te interesujące zdjęcia często przychodzi pewnie do głowy pytanie: Skąd właściwie  
wzięli się w Jerozolimie przedstawiciele tego egzotycznego, afrykańskiego kraju, o którym  
przecież nieczęsto się słyszy? Jak doszło do tego, że w najświętszym dla wielu chrześcijan  
miejscu, czyli w Bazylice Grobu, akurat oni mają dziś własny klasztor i kaplicę? Postara-  
my się pokrótce odpowiedzieć na te i inne jeszcze pytania dotyczące tajemniczej etiop-  
skiej wspólnoty religijnej i jej wielowiekowych, pełnych tajemnic i zagadek związków  
z Jerozolimą.

Obecność Etiopczyków w Jerozolimie jest łatwo zauważalna, choć ich społeczność jest  
stosunkowo nieliczna i wynosi tylko około dwóch tysięcy osób, w tym około dwudziestu  
przedstawicieli duchowieństwa. Dokładne liczby są trudne do zdobycia, bo to społecz-  
ność stosunkowo hermetyczna, a komunikacja z nią jest bardzo utrudniona również ze  
względów językowych. Te dwa tysiące to również niewiele w porównaniu z czterdziestoma  
milionami żyjących w Etiopii i w diasporze wyznawców Etiopskiego Kościoła Ortodoksyj-  
nego Tewahedo, którego członkami są ci mieszkający w Jerozolimie Etiopczycy.

Jak można zauważyć, określenia „etiopski” używamy tu naprzemiennie zarówno dla  
określenia narodowości, jak i w znaczeniu przynależności religijnej, bo stosuje się je po-  
tocznie w odniesieniu do wyznawców narodowego etiopskiego kościoła chrześcijańskiego,  
którego członkami jest przeważająca większość osób o narodowości etiopskiej. Starożytne  
etiopskie chrześcijaństwo ma bowiem charakter narodowy i przez wiele wieków nieroze-  
rwalnie związane było z etiopską państwowością. Współcześnie, a konkretnie od lat 70-  
tych XX wieku, relacje te są bardziej skomplikowane, ale to temat na inną okazję. Nasza  
opowieść o etiopskiej obecności w Jerozolimie i miejscach z nią związanych będzie więc  
dotyczyła zarówno *Etiopskiego Kościoła Ortodoksyjnego Tewahedo*, jednego z najstarszych na  
świecie kościołów chrześcijańskich, jak i samego państwa etiopskiego i jego fascynującej,  
wielowiekowej historii.

Zacząć należałoby od stwierdzenia, że Etiopia jest krajem absolutnie wyjątkowym. Na  
tę jej wyjątkowość składa się kilka przyczyn. Najważniejszą są niewątpliwie imponujące,  
wielowiekowe tradycje chrześcijaństwa etiopskiego. Cóż w tym wyjątkowego? – można

spytać. Przecież w różnych krajach Afryki żyje wielu chrześcijan. To prawda, ale istnienie tych afrykańskich chrześcijan jest zwykle efektem działalności misyjnej kolonizatorów europejskich mającej miejsce w czasie kilku ostatnich stuleci. Tymczasem chrześcijaństwo etiopskie liczy sobie co najmniej osiemnaście wieków, a kościół etiopski jest w ogóle jednym z najstarszych kościołów chrześcijańskich na świecie. Jeśli więc ktoś kogoś miałby tu nawracać, to raczej Etiopczycy Europejczyków, a nie odwrotnie. Wystarczy tylko uświadomić sobie, że kiedy Polska przyjmowała chrzest, Etiopczycy byli chrześcijanami już od ponad połowy tysiąclecia.

Zupełnie wyjątkowa jest też historia królestwa Etiopii jako kraju położonego w sercu Afryki, a to dlatego, że w odróżnieniu od większości krajów tego kontynentu (wyjąwszy kraje Aryki Północnej), jest ona bogato udokumentowana na piśmie. Od co najmniej IV wieku naszej ery w Etiopii posługiwano się własnym, oryginalnym pismem, przy pomocy którego w starożytnym języku geez albo gyzz sporządzano dokumenty, spisywano kroniki i sporządzano oraz kopiowano święte teksty. Tymczasem przeszłość wielu innych krajów afrykańskich przesłania mrokiem brak dotyczących jej świadectw pisemnych. Ale dotyczy to nie tylko krajów Afryki. Warto pamiętać w tym kontekście, że pierwszym władcą Polski umiejącym czytać i pisać był Mieszko II, żyjący w XI wieku, czyli wtedy, kiedy Etiopczycy posługiwali się pismem już od co najmniej ośmiuset lat.

Ale najważniejszą może rzeczą decydującą o wyjątkowości Etiopii jest to, że jako jedyne państwo na afrykańskim kontynencie przez cały okres swego grubo ponad dwa tysiące lat liczącego istnienia zachowało niepodległość i niezależność, nigdy nie zostało podbite i nigdy też nie było niczyją kolonią. Jedynie już w wieku XX, w latach 1935–41, na kilka lat znalazło się pod okupacją włoską. Burzliwe, ponure i krwawe czasy w historii tego kraju nastąpiły dopiero w latach 70-tych XX wieku, kiedy to po obaleniu cesarstwa w wyniku przewrotu wojskowego wprowadzono dyktaturę wojskową mocno wspieraną przez ówczesny Związek Radziecki. W latach 90-tych XX wieku rozpoczęła się stopniowa liberalizacja. Dziś Etiopia jest formalnie demokracją parlamentarną, a choć rządy od trzydziestu lat sprawowane są w sposób autokratyczny przez Etiopski Ludowo-Rewolucyjny Front Demokratyczny, to pod względem gospodarczym Etiopia z kraju najbiedniejszego stała się najszybciej rozwijającym się gospodarczo krajem Afryki.

Naszą opowieść rozpoczęliśmy od wspomnienia o malowniczej obecności egzotycznych etiopskich mnichów na dachu jerozolimskiej Bazyliki Grobu Pańskiego i pytania, skąd się w tym miejscu wzięli. Jak wiadomo odległość dzieląca Jerozolimę od stolicy Etiopii Addis Abeby wynosi prawie cztery tysiące kilometrów. Dziś to zaledwie kilka godzin lotu samolotem, ale w przeszłości, aby pokonać taki dystans, trzeba było podróżować całymi miesiącami. I to właśnie jest pierwsza z zapowiadanych w tytule artykułu zagadek. Bo niezależnie od tej znaczącej geograficznej odległości, stosunkowo bliskie związki Etiopii z Jerozolimą, a konkretnie rzecz ujmując najpierw z judaizmem, a później również z chrześcijaństwem, mają zadziwiająco długą historię obejmującą w przypadku chrześcijaństwa bez mała całe ostatnie dwa tysiąclecia, a w przypadku judaizmu prawdopodobnie znacznie więcej. Istnieje bowiem wiele poszlak wskazujących na to, że jakieś wzajemne związki Etiopii z judaizmem istniały jeszcze przed powstaniem chrześcijaństwa. Jedną z wielu z takich poszlak jest choćby ciekawy fragment Dziejów Apostolskich (które jak się powszechnie uważa powstały

w drugiej połowie I wieku n.e) opowiadający o spotkaniu diakona Filipa z dworzaninem królowej Etiopii, który przyjechał do Jerozolimy „*aby się modlić i złożyć pokłon Bogu*” (Dz 8,27–38). Tajemnicza sprawa. Przyjechał aż z Etiopii z religijną pielgrzymką do jerozolimskiej świątyni!? Czyżby mogło to znaczyć, że ten ważny etiopski dostojnik był wyznawcą judaizmu? Przypomnijmy – rzecz ma miejsce w drugiej połowie I wieku naszej ery, a zatem na prawie trzy wieki przed oficjalnym przyjęciem przez królestwo Etiopii chrześcijaństwa. Zwróćmy też uwagę, że autor Dziejów Apostolskich ani pielgrzymowaniu Etiopczyka do jerozolimskiej świątyni, ani czytaniu przez niego hebrajskiej Biblii, zupełnie się nie dziwi i wcale nie to jest powodem uwiecznienia całego zdarzenia w Dziejach Apostolskich, ale fakt, że Filip najpierw „*głosił Etiopczykowi Jezusa*” odwołując się do cytatów z czytanej właśnie przez niego Księgi Izajasza, a następnie ochrzcił go, zresztą na jego prośbę. Trudno oczywiście ocenić, na ile relacja o tym zdarzeniu ma charakter historyczny, ale zamieszczenie jej w tekście uznawanym bardzo szybko przez całą społeczność chrześcijańską za święty przemawiałoby nie tylko za jej autentycznością, ale również za tym, że relacje etiopsko-żydowskie musiały być dla pierwszych chrześcijan czymś oczywistym i niewymagającym komentarza, podobnie jak ich misyjna apostolska działalność wśród przedstawicieli tego narodu. Zresztą, aby znaleźć świadectwa wczesnych związków Etiopii z chrześcijaństwem, nie musimy sięgać wyłącznie do świętych tekstów. Istnienie tych związków jest bowiem historycznym faktem bogato i w pełni udokumentowanym. Etiopię nazywa się przecież „*drugim chrześcijańskim państwem na świecie*”, jako że chrześcijaństwo stało się oficjalną religią państwową tego królestwa już w roku 324 naszej ery. Stało się to krótko po tym, jak na taki krok, jako pierwszy w historii, zdecydował się władca Armenii. W Rzymie stało się to, jak wiadomo, dopiero kilkadziesiąt lat później. Tam bowiem, choć na mocy edyktu mediolańskiego wyznawanie chrześcijaństwa przestało być przestępstwem w roku 313, to oficjalną religią państwową stało się ono dopiero za panowania cesarza Teodozjusza w roku 392.

O ile relacje etiopsko-chrześcijańskie w świetle wspomnianych przekazów historycznych nie stanowią dla nas aż takiego zaskoczenia, o tyle hipoteza zakładająca istnienie wcześniejszych związków Etiopii z judaizmem i tego, że sięgają one jeszcze pierwszego tysiąclecia przed naszą erą, rodzi pytania o oto, jak mogło do nich dojść, zważywszy choćby na wspomniany już wcześniej geograficzny dystans dzielący oba kraje. Wystarczy tylko uświadomić sobie, że podróż z Etiopii do Jerozolimy musiała trwać w tamtych czasach pewnie 3–4 miesiące, nie wspominając już o rozmaitych trudach i zagrożeniach, które się z nią wiązały. Nie chodzi o to, że w czasach antycznych nie podróżowano, albo że pomiędzy odległymi nawet krajami nie istniała wymiana handlowa, ale w tym przypadku mielibyśmy do czynienia z relacją o wyjątkowym, bo religijnym charakterze, a to byłoby jednak czymś historycznie niezwykłym. Żeby to zrozumieć, musimy na chwilę wyzwolić się z naszych współczesnych schematów wynikających z istnienia dziś na świecie religii uniwersalnych, obejmujących jednocześnie wyznawców z różnych narodów czy państw. Wiara ludu Izraela była religią jednego tylko narodu. Ktoś, kto uznawał za swego Boga JHWH i przyjmował na siebie wynikające z tego obowiązki (na przykład obrzezanie), stawał się przez to automatycznie członkiem narodu wybranego, Domu Izraela, a najważniejszym miejscem na świecie stawała się dla niego Świątynia Jerozolimska. Zdarzało się co prawda w czasach biblijnych, że nie – Żydzi nawracali się na judaizm, ale nie były to częste przypadki, bo prozelityzm (czyli

dążenie do pozyskania nowych wyznawców) był przez Izraelitów praktykowany rzadko, a jeśli już, to raczej z powodów politycznych niż religijnych.

Skąd więc (ewentualna i hipotetyczna) obecność wyznawców judaizmu w odległym afrykańskim kraju w pierwszym tysiącleciu przed naszą erą?

O ile historycy w większości mają trudności z udzieleniem odpowiedzi na to pytanie, o tyle sami Etiopczycy nie mają w tej kwestii szczególnych wątpliwości. Otóż większość z nich wierzy po prostu w informacje zawarte w świętej księdze zatytułowanej *Kebrä Nägäst* (Chwała królów). Z księgi tej wynika między innymi, że wspomniana w Biblii królowa Saby, która złożyła wizytę w Jerozolimie w czasie panowania króla Salomona, była królową Etiopii, oraz że wizyta ta zakończyła się jej związkiem z królem Izraela Salomonem. Owoce tego związku był Menelik Pierwszy, późniejszy władca Etiopii i założyciel etiopskiej dynastii królewskiej Salomonidów, panującej zresztą aż do lat siedemdziesiątych XX wieku. Gdyby to była prawda, niewątpliwie wyjaśniałoby to przyczynę historycznych relacji etiopsko-żydowskich. Oznaczałoby też, że trwają one już od IX wieku p.n.e. Oznaczałoby, ale niekoniecznie oznacza. Użyty tu tryb warunkowy jest wyjątkowo uzasadniony, jako że święta księga *Kebrä Nägäst* nie jest uznawana przez historyków za obiektywne źródło historyczne. Z drugiej wszakże strony...

Obecność w Jerozolimie wyznawców kościoła etiopskiego stwarza nam niepowtarzalną okazję do spotkania z nimi i poznania ich bez konieczności odbywania podróży do serca Afryki. Skorzystajmy więc z okazji i spróbujmy przyjrzeć się bliżej tej społeczności. Jak już wspomnieliśmy, w Jerozolimie są dwa główne miejsca związane z Etiopczykami. Pierwsze to malowniczy klasztor znajdujący się na dachu Bazyliki Grobu, a konkretnie na dachu jednej z jego części, czyli kaplicy św. Heleny. Niewielkie i niepozorne drzwi na tym dachu prowadzą do dwóch połączonych ze sobą schodami kaplic, którymi opiekują się dziś Etiopczycy sprawując w nich o różnych porach dnia swoje religijne obrzędy. Kaplice te symbolizują nieustanną, trwającą od wieków walkę Etiopii o utrzymanie własnego przyczółka w Jerozolimie. Tu pora wyjaśnić, że jakkolwiek Etiopczycy zaliczani są do przedstawicieli wspólnot religijnych, którym wydane w XIX wieku tureckie prawo nazywane „*Status Quo*” regulujące zasady koegzystencji wyznawców różnych odłamów chrześcijaństwa w Bazylice Grobu Pańskiego przynajmniej prawo do obecności w tej świątyni, to jednak w samym jej wnętrzu nie mają oni przypisanej sobie kaplicy i podobnie jak Syryjczykom i Koptom (którzy co prawda mają tam własne kaplice), nie wolno im w niej nocować. Prawo zamieszkiwania (nocowania) w Bazylice mają tylko Grecy (czyli przedstawiciele konstantynopolitańskiego prawosławia), łacinnicy (czyli rzymscy katolicy, a konkretnie franciszkanie z Kustodii Ziemi Świętej) oraz Ormianie (czyli przedstawiciele Apostolskiego Kościoła Ormiańskiego).

Etiopski Kościół Ortodoksyjny *Tewahedo*, jak już powiedzieliśmy, został założony po przyjęciu chrześcijaństwa przez władcę Etiopii w 324 roku n.e. Jego pierwszym biskupem był Frumencjusz, Syryjczyk z urodzenia, wychowany w Etiopii, a wyświęcony w Aleksandrii. To ważne, bo choć ten kościół chrześcijański od V wieku n.e. nie pozostaje w jedności z Rzymem, to posiada on według rzymskich katolików, podobnie jak i pozostałe chrześcijańskie kościoły wschodnie, tak zwaną *sukcesję apostolską*, czyli z katolickiego punktu widzenia prawomocnie wyświęconych biskupów, a to z kolei znaczy, że etiopscy księża są również i dziś wyświęceni przez tychże biskupów prawomocnie, a udzielane przez nich

sakramenty mają z katolickiego punktu widzenia prawdziwą moc. Jest tak dlatego, że biskupi tego kościoła wyświęceni są przez biskupów, którzy sami byli wyświęceni przez biskupów, z których pierwszy kiedyś w historii wyświęcony był jeszcze przez biskupa mającego nadaną przez apostołów moc sprawowania sakramentów. Nazywa się to właśnie sukcesją apostolską i dotyczy ona również innych chrześcijańskich Kościołów Wschodu (koptyjskiego, syryjskiego, ormiańskiego i właśnie etiopskiego), a także prawosławia, które choć zwłaszcza nam Polakom może się to wydać paradoksalne, wedle tej nomenklatury uważane jest za chrześcijański Kościół Zachodu.

Językiem świętych tekstów i liturgii etiopskiej jest starożytny język geez albo gyyz. Zarówno liturgia, jak i obrzędowość kościoła etiopskiego zawierają wiele elementów pamiętających z pewnością jeszcze czasy pierwszych chrześcijan. Co więcej, okazuje się, że chrześcijanie w Etiopii zachowali także wiele zasad i obyczajów właściwych dla judaizmu, m.in. obrzezanie chłopców w ósmym dniu życia, świętowanie szabat i koszerność. Czy może to potwierdzać przedstawione tu wcześniej hipotezy, że Etiopczycy najpierw byli wyznawcami judaizmu i dopiero jako tacy przyjęli chrześcijaństwo? A może oznacza to, że przyjęli chrześcijaństwo od gmin judeochrześcijańskich, czyli pierwszych chrześcijan wciąż jeszcze przestrzegających religijnych reguł judaizmu? Można powiedzieć, że obie te ewentualności są w świetle świadectw i faktów historycznych równie prawdopodobne i obie zresztą mogą być jednocześnie prawdziwe. Przecież znany jest fakt zamieszkiwania na terenie Etiopii do XX wieku odrębnej społeczności Felaszów wyznających judaizm w jego wersji sprzed dwóch tysięcy lat (dlatego niektórzy rabini odmawiają uznania ich za żydów, a w każdym razie za żydów ortodoksyjnych<sup>1</sup>). Wiadomo, że członkowie tej społeczności określają ją jako „Beit Israel”, czyli „Dom Izraela”. Warto nie przechodzić nad tym faktem zbyt łatwo do porządku dziennego. Do Felaszów jeszcze wrócimy w dalszej części naszej opowieści. W tym miejscu natomiast warto zwrócić uwagę na to, że jeśli Etiopczycy przyjęli chrześcijaństwo w jego judeochrześcijańskiej wersji czy postaci, to mielibyśmy w ich przypadku do czynienia ze wspólnotą przechowującą w jakimś stopniu do dziś pewne elementy i tradycje judeochrześcijaństwa. Byłaby to rzecz niebywała, a ich samych można by było w takim razie uznać za „żywą, archeologiczno-religijną skamielinę”. Judeochrześcijaństwo zniknęło bowiem całkowicie z chrześcijańskiego świata na przełomie IV i V wieku naszej ery.

W tym miejscu konieczne będzie wyjaśnienie tego terminu, który kryje w sobie dwa człony, według niektórych zdające się wzajemnie wykluczać. Jak wiadomo bowiem, chrześcijaństwo i judaizm nie tylko różnią się od siebie, ale można wręcz sądzić, że w wielu kwestiach jako religie znajdują się wobec siebie w opozycji. Cóż miałyby w takim razie oznaczać ta dwuczłonowa, łącząca żydostwo z chrześcijaństwem lub odwrotnie, a dla wielu przez to niepokojąca zbitka? Sprawa jest dość prosta. Otóż judeochrześcijanami nazywamy tych, którzy po śmierci Jezusa stanowili pierwszą wspólnotę jego wyznawców i którzy przyjęli jego nauki jako wypełnienie Prawa Mojżeszowego. Określamy ich jako judeo-chrześcijan nie ze względu na ich pochodzenie etniczne, ale ze względu na ich przynależność do żydowskiej wspólnoty religijnej. Ich samoświadomość i poglądy w kwestiach doktrynalnych a także

<sup>1</sup> Stosowana tu podwójna pisownia słowa „żyd” raz wielką, raz małą literą, wynika z zasady, że kiedy używane jest ono w znaczeniu narodowości, należy je rozpoczynać wielką literą, natomiast kiedy oznacza wyznanie, piszemy je małą literą, tak jak w przypadku innych wyznań, np. katolików, protestantów czy muzułmanów.

praktyki religijne wiązały się bowiem z judaizmem. Można powiedzieć, że „na samym początku wszyscy chrześcijanie byli judeochrześcijanami” i stwierdzenie to odnosi się zarówno do apostołów, jak i uczniów oraz krewnych Jezusa. Jak pisze wybitny biblista i tłumacz oraz znawca wczesnego chrześcijaństwa, ks. profesor Marek Starowieyski, w pierwszym okresie istnienia chrześcijaństwa, to jest od drugiej połowy I do V wieku n.e, judeochrześcijanie stanowili jego ważną, również liczebną, część<sup>2</sup>. Stopniowo, z upływem czasu, do grona wierzących w zmartwychwstanie Jezusa (nazwa „chrześcijanie” pojawiła się dopiero w II wieku n.e) zaczęli przyłączać się coraz liczniejsi nie-Żydzi. Wiązało się to z działalnością misyjną chrześcijan, w ramach której zdobywali oni coraz liczniejszych nowych wyznawców wśród pogan zamieszkujących całe wielkie imperium rzymskie, a także żyjących poza nim – znana jest nam działalność misyjna apostołów w Azji i Afryce ( np. w Indiach czy właśnie w Etiopii). Pierwsi wyznawcy Jezusa mogli być przekonani, że przyjęcie jego nauk jest tożsame z przyjęciem judaizmu, którego on sam był przecież wyznawcą. Pogląd taki musiał być dla nich oczywisty również dlatego, że nauki Jezusa były mocno osadzone w judaizmie, a on sam dowodził swej mesjańskiej misji odwołując się do mających ją zapowiadać fragmentów Biblii. Z początku wzajemne relacje między wyznawcami Jezusa a wyznawcami judaizmu nie powodowały wielkich problemów. Apostołowie nie zaprzestali judaistycznych praktyk, dalej modlili się w Świątyni Jerozolimskiej, występowali w synagogach. Problem pojawił się i zaczął stopniowo narastać, kiedy nauki Jezusa coraz powszechniej zaczęli przyjmować nie-Żydzi. Głównym powodem było to, że część judaistycznych rygorów rytualnych, takich jak choćby obrzezanie czy niektóre zasady czystości rytualnej, była dla nich trudna do przyjęcia. Z tego co wiemy, święty Paweł jako pierwszy postulował (a postulat ten ostatecznie zaakceptowali też mający wśród pierwszych chrześcijan największy autorytet apostołowie Piotr i Jakub) zwolnienie pogańskich neofitów z tych wynikających z judaizmu uciążliwych obowiązków rytualnych. Stworzyło to skomplikowaną sytuację, w której część wyznawców Jezusa czuła się zobowiązana do przestrzegania tych reguł i przywiązana do religijnej tradycji judaizmu, a część pozostawała od samego początku w pewnej opozycji wobec niej. Rozważając te kwestie trzeba też mieć na uwadze, że był to okres, w którym chrześcijaństwo dopiero się kształtowało i co za tym idzie kształtowało się również stopniowo poczucie religijnej tożsamości jego wyznawców. Wiele wskazuje na to, że na samym początku tego procesu ani sami pierwsi chrześcijanie, ani inni wyznawcy judaizmu, nie mieli raczej poczucia wzajemnej odrębności. Także Rzymianie uważali „wyznawców Chrystosa” po prostu za jedną wielu sekt istniejących wtedy w obrębie judaizmu, na co mamy wiele świadectw historycznych. Stopniowe krystalizowanie się chrześcijańskiej samoświadomości i poczucia tożsamości, zarówno w sferze doktryny, jak i praktyk religijnych, powstawało w dużym stopniu w opozycji do innych ówczesnych systemów religijnych, w tym również, czy może zwłaszcza, do judaizmu. Wynikające na tym tle konflikty i napięcia prowadziły z czasem chrześcijan głównego nurtu do kwestionowania wielu elementów łączących chrześcijaństwo z judaizmem. W konsekwencji spowodowało to, że judeochrześcijaństwo zaczęło stopniowo traktować na równi z pojawiającymi się wtedy herezjami, czego jednym ze skutków było zniszczenie jego dorobku i pism jako niezgodnych z naukami Kościoła.

<sup>2</sup> M. Starowieyski (red), Apokryfy Nowego Testamentu tom 1, Ewangelie apokryficzne, cz.1, *Ewangelie judeochrześcijańskie*, WAM, 2013.



*Kamienne zabudowania etiopskiego klasztoru Debre Sultan na dachu bazyliki Grobu Bożego*



*Nieszpory w kaplicy klasztoru etiopskiego przy Bazylice grobu Bożego*

Jak pisze ksiądz profesor Starowieyski, teksty dokumentujące doktrynę i rytuały religijne judeochrześcijan „zniknęły gdzieś około V wieku, wraz ze wspólnotami, które ich używały”. Można tylko dodać, że nie tyle po prostu „zniknęły”, co zostały dość konsekwentnie zniszczone przez przedstawicieli ówczesnego głównego nurtu chrześcijaństwa. Nasza wiedza o judeochrześcijanach ma więc dziś w dużym stopniu charakter pośredni, a poglądy na ich temat formułuje się dziś przede wszystkim na podstawie cytatów z ich pism przytaczanych przez z reguły nieprzychylnych im pisarzy wczesnochrześcijańskich. Jeśli jednak uznalibyśmy kościół etiopski za dziedzica tradycji judeochrześcijańskich, mógłby on być dla nas dzisiaj jedynym w swoim rodzaju i niezwykle cennym źródłem wiedzy na temat początków chrześcijaństwa.

Będąc w Jerozolimie zauważyłem, że katolicycy pielgrzymi mają często problem ze zrozumieniem natury relacji łączących kościół katolicki z Kościołami Wschodu, a więc również z kościołem etiopskim. Na przykład nie są pewni czy mają czy też nie mają traktować ich wyznawców jako innowierców. Dla niektórych jest to ważne, bo wiąże się z ewentualnym uczestnictwem w sakramentach udzielanych przez duchownych tych kościołów. Niewiedza jest spowodowana tym, że kościoły te są w Polsce praktycznie nieobecne i nieznanne. Pobyt w Jerozolimie jest zatem znakomita okazją, by je lepiej poznać.

Kościół Wschodu, o których tu mówimy, a w ich liczbie również kościół etiopski, zalicza się do tzw. „kościół przedchalcedońskich”, która to nazwa odwołuje się do rozłamu, jaki dokonał się w Kościele Powszechnym na Soborze w Chalcedonie w 451 r. To właśnie wtedy od chrześcijaństwa zachodniego, obejmującego obszary wpływu Rzymu i Bizancjum, oddzieliły się kościoły wschodnio-chrześcijańskie, o których była tu już mowa, czyli: Ormiański, Koptyjski i Syryjski, a także Etiopski. Dziś o istnieniu chrześcijan wschodnich my na Zachodzie właściwie w dużym stopniu zapomnieliśmy. Dlatego też określenie ich „zapomnianymi braćmi chrześcijaństwa” wyjątkowo trafia mi do przekonania<sup>3</sup>. „Kościół Wschodnie” zostały wyklęte przez Rzym i Bizancjum pod zarzutem herezji monofizytyzmu. Nie podejmę się w tym miejscu wyjaśnić dokładnie, na czym polegał monofizytyzm, a zwłaszcza dlaczego uznano go za herezję. Najkrócej mówiąc spór dotyczył tego, czy Jezus miał podwójną naturę bosko-ludzką, czy też jedną naturę, w której dwa pierwiastki, boski i ludzki, były ze sobą zmieszane. Nie sądzę, by w dzisiejszych czasach przeciętni wyznawcy chrześcijaństwa w jakimkolwiek stopniu doceniali istotę tego rodzaju sporów dogmatycznych, a przede wszystkim byli w stanie zrozumieć, o co w nich chodzi. Zresztą w czasie rozmów prowadzonych obecnie przez przedstawicieli kościołów wschodnich z przedstawicielami Kurii Rzymskiej obie strony stwierdziły, że „tak naprawdę cała sprawa była raczej nieporozumieniem językowym”. Stworzono też na tę okazję nawet wygodny termin „herezji werbalnej”. Czyli, że herezja niby była, ale właściwie tylko w sferze terminologicznej, a zatem nie dotyczyła istoty rzeczy, a więc tak jakby jej w rzeczywistości nie było. Najpoważniejszą dziś przeszkodą w ostatecznym zbliżeniu Kościołów Wschodnich i kościoła katolickiego jest, o ile wiem, kwestia papieżstwa, a nie kwestie dogmatyczne czy liturgiczne.

Jak powiedzieliśmy wcześniej, w Jerozolimie znajdują się dziś dwa kościoły etiopskie. Pierwszy to ten, o którym już była mowa, czyli Deir Sultan, znajdujący się na Starym

<sup>3</sup> Określenia tego użyli Beata Kowalska i Andrzej Flis, autorzy przepięknego albumu „Zapomniani Bracia. Ginący świat Chrześcijan Bliskiego Wschodu”.



*Charakterystyczna rotunda Kościoła Kidane Mehret przy ulicy Ethiopia w Jerozolimie*

Mieście na dachu Bazyliki Grobu Świętego. Drugi to kościół Kidane Mehret (Przymierze Miłosierdzia), stanowiący część klasztoru Debre Genet (Sanktuarium Raju) znajdującego się w zachodniej części miasta przy ulicy Etiopia, wąskiej, niedługiej uliczce odchodzącej od ulicy Proroków, a kończącej się w dzielnicy Mea Shearim zamieszkaną przez ultraortodoksyjnych Żydów. Debre Genet zostało założone pod koniec XIX wieku na gruncie zakupionym przez ówczesnego cesarza Etiopii, który razem z kilkunastoma wybudowanymi na jego terenie nieruchomościami pozostaje do dziś własnością żyjących potomków etiopskiej rodziny cesarskiej. Wysoka na 6–7 pięter kopuła kościoła Kidane Mehret zbudowanego w tradycyjnym etiopskim stylu jest najbardziej widocznym elementem klasztoru. Zgodnie z etiopskimi zasadami budynek kościoła ma formę rotundy, a w jego centrum znajduje się niedostępne dla wiernych prezbiterium utworzone przez filary, na których wspiera się kopuła stanowiąca zwieńczenie dachu budynku, a w nim ołtarz i przechowywana w każdym etiopskim kościele kopia kamiennych tablic Mojżesza, czyli *tabot*. Okrągłe, usytuowane centralnie prezbiterium otacza również okrągła galeria, której ściany ozdobione są wykonanymi w charakterystycznym dla kościoła etiopskiego stylu obrazami, w której mogą przebywać w czasie nabożeństw wierni i gdzie udzielana jest im komunია.

Wspomnieliśmy tu o tym, że w jerozolimskim kościele etiopskich chrześcijan, jak zresztą w każdym innym z etiopskich kościołów, znajduje się kopia kamiennych tablic Mojżesza. Etiopczycy wierzą natomiast, że oryginał, czyli prawdziwe tablice Mojżeszowe z wrytymi na nich dziesięcioma przykazaniami, umieszczone w drewnianej skrzyni nazywanej od

czasów biblijnych Arką Przymierza, znajdują się w kaplicy Marii z Syjonu w dawnej stolicy Etiopii Aksum. To dopiero historia!

Jak wiemy z biblijnej Księgi Wyjścia i zawartej w niej opowieści o otrzymaniu przez Mojżesza na Górze Synaj kamiennych tablic z dziesięcioma przykazaniami, Bóg nakazał Mojżeszowi wykonać specjalną skrzynię do ich przechowywania. Warto zauważyć, że była ona bardzo podobna do skrzyń, jakich używano w celach kultowych w ówczesnym Egipcie. Takie odpowiadające biblijnemu opisowi skrzynie kultowe znalezione zostały między innymi w odkrytym w 1922 roku grobowcu faraona Tutenchamona. Na polecenie

Mojżesza, zgodnie ze szczegółowymi instrukcjami udzielonymi mu przez Boga, arkę wykonał rzemieślnik Betsalel. Była to skrzynia z drewna akacjowego, od środka i z zewnątrz pokryta złotą blachą, opatrzona specjalnymi uchwytami ułatwiającymi jej przenoszenie. Na wieku skrzyni umieszczone zostały dwa złote posągi postaci nazywanych cherubami dziwnie przypominających egipskie sfinksy. Po długiej wędrówce i przybyciu Żydów do Ziemi Obiecanej Arka została ostatecznie umieszczona w zbudowanej przez króla Salomona Świątyni Jerozolimskiej. Przebywała tam aż do czasu zdobycia Jerozolimy przez Babilończyków i zburzenia Świątyni Jerozolimskiej w VI wieku p.n.e. Wtedy zniknęła – nie tylko w sensie fizycznym, ale zniknęła także z kart Biblii, która nie tylko ani słowem nie wspomina samego jej zaginięcia, ale też nigdy więcej w ogóle o niej nie wspomina. Wydaje się to o tyle niezrozumiałe, że wcześniej Arka Przymierza odgrywała niezwykle ważną, niemal centralną rolę w religijnych obrzędach Żydów. Jej zniszczenie lub zniknięcie powinno więc zostać w jakiś sposób odnotowane i skomentowane. A tymczasem zniknięcie Arki do dziś otacza aura tajemnicy prowokująca rozmaite domysły i hipotezy stanowiące pożywkę dla specjalizujących się w tropieniu historycznych zagadek i tajemnic artystów.

Najbardziej prawdopodobna z wielu hipotez dotyczących losów Arki Przymierza jest ta, według której została ona po prostu zrabowana i zniszczona przez Babilończyków. Dla porządku należy jednak odnotować, że wedle innej hipotezy żydowscy kapłani ukryli Arkę w podziemiach Wzgórza Świątynnego w Jerozolimie, gdzie spoczywa ona do dzisiaj. Istnieje jeszcze trzecia hipoteza, która zakłada, że w czasie najazdu Babilończyków żydowscy kapłani



*Charakterystyczny styl etiopskiego malarstwa religijnego*



*Model Arki Przymierza w skali 1 do 1 w ewangelickim kościele Wniebowstąpienia na Górze Oliwnej*

wywieźli Arkę przez Egipt do Etiopii, gdzie do dzisiaj znajduje się ona w klasztorze Marjam Tsyjon (Marii z Syjonu) w Aksum. Inny wariant tej ostatniej wersji głosi, że jeszcze na długo przed najazdem Babilończyków Arkę wywiózł z Jerozolimy wspomniany tu już przez nas wcześniej syn króla Salomona i Królowej Saby, etiopski król Menelik, który następnie ukrył ją w Aksum, dawnej stolicy Etiopii, gdzie pilnie strzeżona znajduje się do dziś. Na miejscu w jerozolimskiej świątyni pozostała tylko jej kopia, więc jej zniszczenia (jako kopii zaledwie) autorzy biblijni nie uważali za warte wspomnienia na kartach świętej księgi.

Na marginesie można tylko wspomnieć, że informacja, jakoby Arka została wywieziona z Jerozolimy do Etiopii przez króla Menelika, zawarta jest we wspomnianej już wcześniej świętej księdze Etiopczyków Kebra Nagast (Chwała królów) spisanej prawdopodobnie około VI wieku naszej ery. Co ciekawe, historię tę, razem z całą opisaną w Kebra Nagast historią etiopskiej dynastii monarszej, cesarz Haile Sellasje, włączył za swego panowania do etiopskiej konstytucji. Zgodnie z jej przekazem uważał on siebie za potomka w linii prostej biblijnych królów Dawida i Salomona. I znów wypada nam posłużyć się użytym tu już wcześniej zwrotem „gdyby to była prawda”. Istotnie bowiem, gdyby to była prawda, to oznaczałoby to na przykład, że żyjący dziś potomkowie ostatniego etiopskiego cesarza również byliby w prostej linii potomkami biblijnego króla Salomona. Być może z tego powodu działający na Jamajce ruch religijny rastafarian uznał Haile Sellasję za wcielenie Boga Jah i mesjasza. Nazwa tego ruchu pochodzi zresztą od prawdziwego imienia i nazwiska cesarza, który zanim został koronowany, nazywał się ras Tafari Makonnen (czyli książę Tafari Makonnen). Najstłynniejszym rastafarianinem był jak wiadomo słynny jamajski piosenkarz

Bob Marley, który poprzez muzykę reggae spopularyzował założenia tego ruchu na całym świecie. Niezależnie od wierzeń rastafarian etiopski cesarz zasługuje na uwagę jako jeden z ostatnich w pełnym tego słowa znaczeniu, feudalnych władców świata. To właśnie jemu poświęcona jest jedna z najbardziej znanych książek Ryszarda Kapuścińskiego „Cesarz”. Warto też wspomnieć o osobistych związkach cesarza z Jerozolimą. W latach 1935–1941, kiedy na skutek okupacji Etiopii przez wojska Mussoliniego zmuszony był on udać się na emigrację, za jej miejsce wybrał właśnie Jerozolimę, gdzie zatrzymał się najpierw w jednej z należących do niego nieruchomości znajdujących się przy ulicy Proroków (nieдалeko klasztoru Debre Ganet), a następnie w przepięknej willi „Lea” w dzielnicy Rehavia.



*Budynek byłej ambasady etiopskiej przy ulicy Proroków*

Przy ulicy Proroków, zresztą bardzo niedaleko prowadzonego przez polskie siostry elżbietanki Nowego Domu Polskiego, znajduje się ciekawy i wyróżniający się architektonicznie budynek dawnej ambasady etiopskiej. Sama ambasada została przeniesiona do Tel Avivu, a budynek podzielony został na lokale mieszkalne, obecnie chyba o nie najwyższym standardzie. Wynajmują ją dziś oprócz żyjących w Jerozolimie rodzin etiopskich również studenci Akademii Betsalela, czyli izraelskiej Akademii Sztuk Pięknych. Z dekoracji umieszczanych przez nich w oknach domyślać się można, że przynajmniej część z nich należy do sympatyków rastafarianizmu.

Kontynuując naszą opowieść o losach Arki Przymierza wspomnieć trzeba, że rzeczywistość w dawnej stolicy Etiopii – Aksum, w pilnie strzeżonej kaplicy kościoła Marjam Tsyjon, gdzie według wierzeń Etiopczyków ma być przechowywana biblijna Arka Przymierza, najprawdopodobniej rzeczywiście znajduje się jakiś przedmiot, który od co najmniej XVI wieku (wcześniejszych wzmianek na ten temat nie znaleziono) w Etiopii za Arkę Przymierza się uważa. Zweryfikować autentyczności tego religijno-archeologicznego artefaktu sprawdzić bezpośrednio jednak nie można, ponieważ do kaplicy, w której jest on przechowywany, nikt nie ma prawa wstępu poza jedną osobą – jej strażnikiem, dożywotnio wybieranym spośród mnichów, po którego śmierci wybiera się kolejnego, który swą funkcję znów pełni dożywotnio. Wiele na ten temat można dowiedzieć się z arcyciekawej książki Stuarta Munro Haya „W poszukiwaniu Arki Przymierza”, której autor prześledził wszystkie dostępne etiopskie źródła pisane, żeby ustalić, jak to właściwie było i jest z tą Arką, a także skąd mogło się wziąć przekonanie, że przedmiot pilnie strzeżony w kaplicy Marjam Tsyjon jest



*Pochodzących z Etiopii Felaszów spotkać można w synagodze przy Ścianie Placzu*

autentyczną biblijną Arkę Przymierza. Na podstawie badań Munro ustalili, że w Etiopii istnieje od wieków zwyczaj wykuwania z marmuru albo alabastru kamiennych tablic, które nazywa się „tabot” i uważa za wizerunek kamiennych tablic Mojżesza. Taboty te kładzione są na ołtarzu jako płyta, na której odprawia się eucharystię. Następnie przechowuje się je w skrzyniach mogących naśladować kształtem i zdobieniami Arkę Przymierza. Określenia „tabot” pierwotnie oznaczającego kamienne tablice z czasem zaczęto jednocześnie używać jako nazwy również i skrzyń, w których są one przechowywane. Dziś słowo to oznacza więc zarówno kopie kamiennych tablic, jak i Arkę Przymierza. „Taboty” znajdują się w kościele w okrągłym prezbiterium, w którym kapłani sprawują eucharystię nie będąc widocznymi dla wiernych, czyli w części świątyni niedostępnej a nawet niewidocznej dla ogółu wiernych. Jedynie w wielkie święta nosi się je w procesji spowite w dekoracyjne zasłony. Profesor Munro doszedł do wniosku, że pilnie strzeżony w Aksum przedmiot to zapewne jakiś bardzo stary, niewątpliwie cenny i czcigodny egzemplarz takiego właśnie „tabotu”. Przy czym bardziej prawdopodobne jest, że chodzi o samą kamienną tablicę, ale nie można też wykluczyć, że o jakąś antyczną skrzynię, w której jest ona przechowywana. Przekonanie o istnieniu autentycznej Arki (skrzyni) wynikałoby w tym wypadku z wieloznaczności nazwy „tabot”. Można tylko w tym miejscu powiedzieć, że nawet jeśli byśmy mocno powątpiewali w „mojżeszowe pochodzenie” tabotu przechowywanego w Aksum, to w każdym razie trzeba by go uznać za przedmiot nieocenionej wręcz historycznej i symbolicznej wartości.

Ale proszę mi wierzyć, że niezwykle losy Arki Przymierza i wierzenia rastafarian w boskość i nieśmiertelność ostatniego etiopskiego cesarza to także jeszcze nie koniec etiopskich tajemnic, z którymi zetknąć się możemy w Jerozolimie. Kolejną z takich tajemnic, tym razem niezwiązaną już z etiopskim chrześcijaństwem, jest bowiem istnienie tajemniczego ludu Felaszów. Są to etiopscy wyznawcy judaizmu, których państwo Izrael ewakuowało z ogarniętej wojną domową Etiopii w ramach dwóch akcji: „Mojżesz” w roku 1984 i „Salomon” w 1991, jako Żydów mających tzw. prawo do powrotu i osiedliło u siebie nadając im obywatelstwo izraelskie na dokładnie takiej samej zasadzie, na jakiej może je otrzymać każdy, kto wyznaje judaizm lub kogo chociaż jedno z dziadków było Żydem. Uważano, że nie sposób odmówić tego prawa tym, którzy uważają samych siebie za potomków biblijnego króla Salomona i którzy swą wiarę w Boga JHWH i szacunek dla jego przykazań jako lud potrafili przenieść przez tysiąclecia. Szacuje się, że dziś w Izraelu mieszka ich od 60 do 100 tysięcy. Można ich spotkać głównie na ulicach Tel Avivu, ale także i w Jerozolimie, gdzie natknąć się na nich można zawsze pod Ścianą Płaczu. Po przybyciu do Izraela Felasze mieli wiele trudności z adaptacją oraz integracją ze współczesnym społeczeństwem izraelskim. Przyjechali przecież z serca Afryki, często z lepianek budowanych z trzciny i błota. Byli w większości niepiśmiennymi rolnikami lub pasterzami bydła, a trafili do jednego z najwyżej rozwiniętych technologicznie krajów świata. Wielu z nich do dziś jest bezrobotnych lub wykonuje nisko płatne prace, co zmusza szereg felaskich rodzin do korzystania z pomocy socjalnej. Młodzi z tej społeczności są w związku z tym szczególnie podatni na rozmaite patologie.

Z kulturą Felaszy łączy się w jakiś sposób muzyka pewnego współczesnego izraelskiego artysty, bardzo popularnego nie tylko w Izraelu, ale i na całym świecie, Idana Raichela. Jest on twórcą wyjątkowego przedsięwzięcia muzycznego pod nazwą „The Idan Raichel Project”. Po ukończeniu służby wojskowej podjął on pracę jako doradca w szkole dla imigrantów, gdzie zetknął się z muzyką i kulturą Felaszów. Kiedy więc przystąpił do pracy nad swoją autorską płytą, zaprosił do współpracy również etiopskich przyjaciół. Album „The Idan Raichel Project”, który w ten sposób powstał, błyskawicznie stał się bestsellerem na całym świecie. Połączenie muzycznych motywów etiopskich, lirycznej linii melodycznej kompozycji Idana i wątków biblijnych do lirycznych, poetyckich tekstów dało w efekcie coś, czego do tej pory w Izraelu nie słyszano. W „The Idan Raichel Project” śpiewają Izraelczycy pochodzący z Etiopii, ale także z Jemenu, Maroka i wielu innych krajów. Na nagraniach pojawiają się nawet mieszkańcy dalekich Wysp Zielonego Przylądka. Najmłodszy członek zespołu mają po kilkanaście lat, najstarsi ponad osiemdziesiąt. „The Idan Raichel Project” jest więc odbiciem różnorodności i wielokulturowości współczesnego Izraela, jest też wyrazem i symbolem tolerancji, której temu krajowi, tak samo jak i nam wszystkim, tak bardzo potrzeba.

Andrzej Lubiński



## DWIE PIELGRZYMKI DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Przed trzema laty miałem uczestniczyć w pielgrzymce do Ziemi Świętej organizowanej przez parafię w Rodowie, ale na przeszkodzie stanęła wtedy sytuacja covidowa. Ale co się odwlecze, to nie uciecze. W kwietniu 2023 roku pojechałem z grupą prowadzoną przez księży –Krzysztofa Sękułę z Ryjewa i Tomasza Grzywińskiego z Krasnej Łąki. Los sprawił, że niemal dokładnie 140 lat wcześniej hrabia Adam Sierakowski z Waplewa także udał się na pielgrzymkę do Jerozolimy i Betlejem. Aż się prosiło, by te podróże zderzyć ze sobą.

### 1883

Adam Sierakowski (1846–1912), syn Alfonsa i Marii z Sołtanów, był wytrawnym podróżnikiem<sup>1</sup>. Pierwszą podróż zagraniczną z rodzicami odbył w roku 1862 do Włoch. Swoje relacje z wypraw ogłaszał w znanych czasopismach (m.in. „Listy z Jawy” w „Bibliotece Warszawskiej”). Z kilku różnych podróży – do Włoch, Afryki (Algieria i Tunis), Rosji (na Krym), Gruzji, księstw na Kaukazie i Ziemi Świętej – wrażenia i refleksje utrwalił w listach do żony Marii z Potockich. Zostały one wydane w opracowaniu prof. Kazimierza Morawskiego już po śmierci autora w dwóch tomach („Listy z podróży”, Warszawa 1913 i 1914). Nie były one później wznowione, a moim zdaniem na to zasługują.

Jak wynika z listów, podróż do Ziemi Świętej rozpoczął w Budapeszcie 18 kwietnia 1883 roku. W Bukareszcie dołączył do teściowej Katarzyny Potockiej, jej syna Andrzeja i córki Anny oraz wujostwa Konstantego i Jadwigi Branickich. Z Konstancy wypłynęli statkiem. Na trasie żeglugi morskiej były miasta Konstantynopol i Smyrna, dwie wyspy – Rodos, Cypr. Dalej drogą lądową przez Bejrut, Damaszek do Jaffy. Stamtąd Sierakowski rozpoczyna samotną podróż.

„Wyruszam z Jaffy (hotel *Howard*, paskudny, wolnomularski) konno, z drugim konikiem pod rzeczy za 30 franków zapłaty aż do Jeruzalem.” Dociera późnym popołudniem do Ramleh. Zatrzymuje się w klasztorze ojców franciszkanów. „... każdego podróżnika-pielgrzyma chętnie przyjmują; mają nawet obowiązek ubogich pielgrzymów przez 14 dni darmo gościć. Bogatsi, choć nie muszą, ale powinni dać 5 franków dziennie za „ugoszczenie”

<sup>1</sup> Szerzej A. Lubiński, Adam Sierakowski – uczony i podróżnik, w: *Ród sierakowskich na ziemi malborskiej*. Pod redakcją Janusza Hochleitnera i Piotra Szwedowskiego. Malbork 2013; Elżbieta Malinowska, Adama Sierakowskiego sztuka podróżowania i pisanie listów, w: *Od oświecenia ku romantyzmowi i dalej. Autorzy-dzieło – czytelnicy, cz V*, red. M. Piechota, J. Ryba, M. Janowska, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2014.

I klasy, bo w każdym klasztorze są osobne pokoje wcale porządne, z dobrymi żelaznymi łózkami i „zanzanierami” [moskitierami] dla zamożniejszych, a zwykle na dole są pokoje dla ubogich. (...) Nadto każdy klasztor gościnny ma osobnego ojca zakonnego, delegowanego umyślnie do bawienia gości i oprowadzania ich”. Sierakowski chwalił sobie obfitą kolację z dobrym winem, potem wieczerzę i nocleg w wygodnym łóżku. Narzekał na kęszące pchły, a zapomniał zabrać perskiego proszku, popularnego wtedy antidotum.

18 maja wyruszył do Jerozolimy. Zanim dotarł do tego miasta, mijał europejskie nowo wybudowane domy z szyldami, na których widniały rosyjskie napisy i rysunki samowarów, mijał cerkiew rosyjską z zabudowaniami klasztorowymi. Odniósł wtedy wrażenie, że wjeżdża do jakiegoś rosyjskiego miasta.

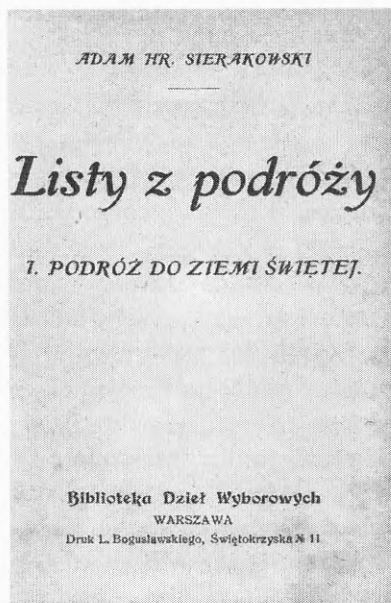
O godz. 2 po południu dotarł do Hospicjum Austriackiego, mieszczącego się przy ulicy Via Dolorosa, naprzeciwko trzeciej stacji drogi krzyżowej, gdzie pierwszy raz upadł Jezus Chrystus. W połowie XIX wieku Cesarstwo Austriackie otworzyło konsulatus i to pierwszy konsul austriacki zainicjował budowę domu pielgrzyma dla obywateli monarchii habsburskiej, zwanego wówczas hospicjum, połączonego z małym szpitalem i kaplicą. W roku 1869 Ziemię Świętą odwiedził cesarz Franciszek Józef i wsparł finansowo tę budowlę. Tym gestem zrobił wielkie wrażenie w Jerozolimie. Inaczej było z następcą tronu Rudolfem. Bardziej interesowały go polowania na hieny i szakale, chociaż wypowiadał się w Betlejem i następnie wyjechał do Jerozolimy, gdzie przebywał przez dwa dni.

Tyrolczyk ojciec Franciszek Costa Major zaprowadził Adama Sierakowskiego do miejsca dawnego muru okalającego świątynię Salomona („Ściana Płaczu”), najświętszego miejsca judaizmu.

Po rozpakowaniu się Sierakowski poszedł na spotkanie z rodziną, która dotarła do Jerozolimy i zamieszkała w hospicjum franciszkańskim Casa Nova, niedaleko klasztoru Najświętszego Zbawiciela. Razem wyszli poza miasto. Oglądali dolinę Cedronu i Józefacką wypełnioną tysiącami grobowców żydowskich. Na polskich pielgrzymach robiło to ogromne wrażenie. Z daleka oglądali górę Oliwną.

Drugi dzień pobytu (19 maja) Sierakowski rozpoczął od wysłuchania brewiarza czytanego przez zakonnik w sanktuarium, gdzie biczowano Chrystusa. Następnie zaczął zwiedzać basztę Dawidową. Całe przedpołudnie poświęcił na poznanie góry syjońskiej z domem Annasza, kościoła św. Jakuba, domu Kajfasza (w nim miał się Piotr zaprzec Chrystusa) oraz domu Matki Boskiej, gdzie zamieszkała ze św. Janem.

Po południu powędrował na górę Oliwną. Rozpoczął od grobu Najświętszej Marii Panny, następnie ogród Gethsemani z drzewami oliwnymi pamiętającymi czasy Chrystusa. Przy wyjściu z ogrodu znajdował się korytarz wykuty w skale; tu Judasz miał pocałować Jezusa



*Karta tytułowa pierwszego tomu „Listów z podróży” Adama Sierakowskiego*

i wskazać, kogo mają aresztować. Na szczycie Góry Oliwnej, gdzie Jezus miał nauczać apostołów modlitwy „Ojciec Nasz”, zbudowany został w drugiej połowie XIX wieku kościół przez księżnę pochodząca z rodu francuskich krzyżowców Boullion i nazwany Pater Noster. Niżej oglądał kamień z odcisniętym śladem stopy Jezusa, jak nastąpić miało jego wniebowstąpienie.

Po obiedzie z czeskim franciszkaninem Paolinem udał się do Grobu Pańskiego, aby spędzić tam noc. W skład obecnego kościoła wchodzi cztery: Maryi Panny, Grobu Pańskiego, Krzyża Świętego i Golgoty-Kalwarii. Są one połączone korytarzami i ciemnymi zaułkami pod jednym dachem. Przed wejściem do grobu tak jak zakonnik ucałował kamień, na którym ciało Jezusa zostało położone po zdjęciu z krzyża, aby zabalsamować jego ciało. Na prawo od tego miejsca znajdują się kamienne schody prowadzone na Golgotę. Wstąpił do okrągłego kościoła, gdzie znajdował się Grób Zbawiciela. W tym miejscu czuł się „osłupiały, przygnieciony ogromem wrażenia i zdrętwieniem serca”. Jeszcze większe wrażenie na Adamie Sierakowskim wywarła góra Kalwaria, mimo że połowa kaplicy należy do prawosławnych, gdzie stały trzy krzyże. W rękach franciszkanów w tej kaplicy jest miejsce, gdzie Matka Boska wzięła syna na kolana. Na pielgrzymach wrażenie robi franciszkański obraz Matki Bolesnej.

Adam Sierakowski chciał przyjąć komunię świętą przy grobie Jezusa podczas pierwszej rannej mszy, gdy kościół jest jeszcze zamknięty. Musiał więc całą noc spędzić w jego zamknięciu. Otrzymał mały pokoik, dolatywały do niego głosy „Hospody pomiluj” rosyjskich pielgrzymów. Zanim rozpoczęły się „śpiewy matutinae” wypił filiżankę kawy. Po półtora godzinnych śpiewach mnisi i Adam Sierakowski poszli do Grobu Pańskiego. Przed przyjęciem komunii wyśpiewał się u ojca Paolina. Następnie wrócił do swojego pokoju, ale nie mógł zasnąć ponieważ mocno dokuczały gryzące pchły. Zszedł więc do kościoła, oczekując na mszę. Po niej wrócił do hospicjum austriackiego.

Rankiem 20 maja rozpoczął zwiedzanie z przewodnikiem zabytków islamskiego wschodu, czyli święty obwód dawnej świątyni Salomona, gdzie znajduje się sławna skała Sachra. Na niej, według podania Talmudu, Abraham i Melchizedek składali ofiary, a Abraham syna Izaaka. Pod tą skałą ma się znajdować ukryta Arka Przymierza. Dlatego Żydzi nie wchodzi do tego meczetu, by nie deptać po tablicach przykazań Mojżeszowych. Dla Arabów to miejsce jest najważniejsze po Mekce. Drugi meczet el Aksa jest ciekawszy i bogatszy w szczegółach ale mniej piękny. Po wyjściu z meczetu obejrzał Złotą Bramę odbudowaną w VI n.e., przez nią to miał w Niedzielę Palmową wjeżdżać Jezus do Jerozolimy. Obok bramy św. Szczepana znajdował się kościół św. Anny, gdzie urodziła się Matka Boska.

Po południu poszedł jeszcze raz do Grobu Pańskiego, aby uczestniczyć w procesji prowadzonej przez franciszkanów. Jej uczestnicy nieśli zapalone świece. Adam otrzymał ją w darze na pamiątkę. Przy każdym sanktuarium przykłonano i śpiewano hymny. Największe wrażenia były przy kaplicy Kalwarii. Słuchając hymnu „Vexilla regis prodeunt”, nagle ktoś poklepał go po plecach. Była to jego teściowa Katarzyna Potocka, obok stała córka Anna, syn Andrzej oraz wujostwo Branicky.

Sierakowski zwiedzał tego dnia jeszcze tak zwane „groby królewskie” wykute w skale przechowywały 37 członków rodziny królewskiej pochodzącej z Kurdystanu.

21 maja przez bramę Joppenką wyjechał konno do Betlejem, oddalonego od Jerozolimy o półtorej godziny. Przy Grocie Narodzenia znajduje się klasztor franciszkański. Obok prawosławni Grecy wybudowali swój. W tym miejscu ciągle wojowali prawosławni z katolikami. W klasztorze franciszkańskim spotkał polskiego zakonnika Benedykta Wojczaka,

który wcześniej był w klasztorze Łąki Bratiańskie koło Nowego Miasta Lubawskiego. Dwa razy odwiedzał Waplewo, skąd zabierał masło do klasztoru.

Następnie z pielgrzymami Sierakowski poszedł do kościoła św. Heleny, gdzie znajduje się Grota Narodzenia i Żłobek Pański. Po wyjściu z grotty odwiedził grootę Panny Mlecznej. Po powrocie do Jerozolimy spotkał się z rodziną i wszyscy odbyli drogę krzyżową. Modlitwy odczytywała Katarzyna Potocka.

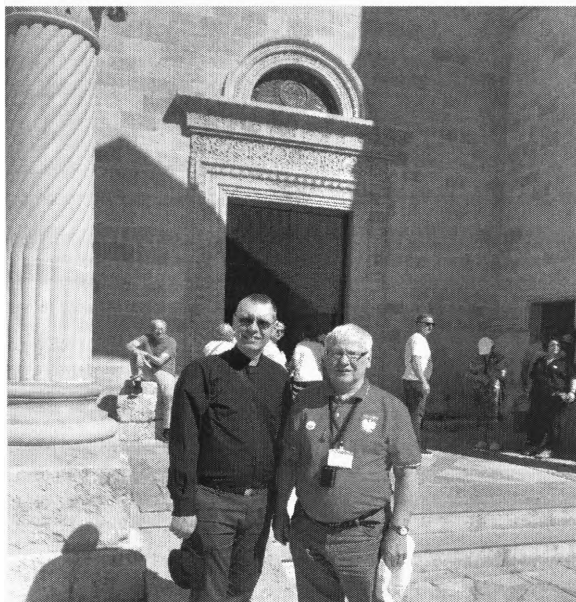
22 maja z rodziną zwiedzał dolinę Cedronu: Grób N. Panny, Grootę Konania, Ogród Gethsemani, grób Jakuba młodszego, pierwszego biskupa męczennika, grób Zachariasza. Po południu zwiedzał górę Scopus skąd jest lepszy widok na ujście Jordanu do Morza Martwego. Następnie udał się z franciszkaninem Majorem do Betanii, zakonnik pokazał mu ruiny domów Łazarza, Marii i Marty. Gdy Adam Sierakowski wszedł do grobu Łazarza, franciszkanin zawołał „Łazarzu mówię wstań”. Wywarło to na pielgrzymie waplewskim ogromne wrażenie. W tym miejscu miał Jezus wskrzesić Łazarza. Wracając do Jerozolimy, zwiedzali całą dolinę Józefacką, na jej końcu przy wsi Siloe oglądał górę Zgorszenia.

23 maja poszedł pożegnać się z rodziną. Wspólnie też odwiedzili przewielebnego Custode oo. Franciszkanów. Jeszcze raz odwiedził Grób Pański i Kalwarię. Otrzymał też od franciszkanów dokument pielgrzymowania do Ziemi Świętej. Powozem spod bramy Damascenkiej po zapłaceniu 30 franków dotarł do Ramleh. Tu spędził noc i udał się następnie do Jaffy, skąd statkiem Apollo odpływał do Aleksandrii i Triestu.

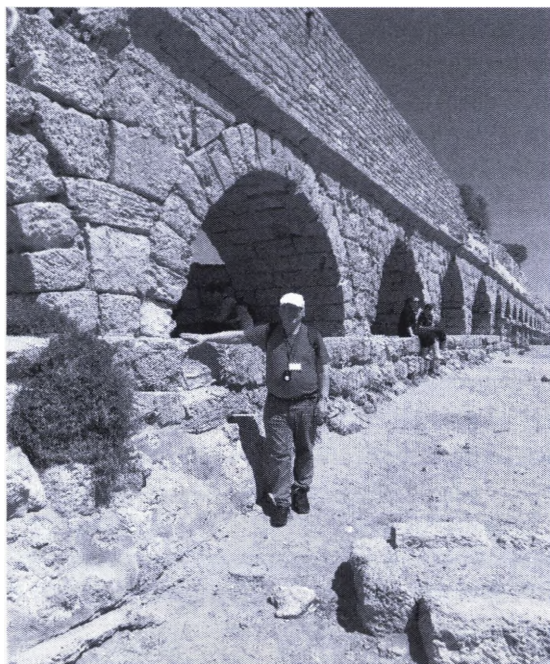
## 2023

Po wylądowaniu na lotnisku Ben Guriona w Tel Awiwie autobusem pojechaliśmy do hotelu w Betlejem. Po krótkim odpoczynku zjedliśmy śniadanie o godz. 9 i godzinę później rozpoczęło się zwiedzanie Bazyliki Narodzenia Pańskiego. Jest ona obecnie w rękach przedstawicieli trzech religii: katolików, prawosławnych, Ormian. Pierwszą Bazylikę Narodzenia ustanowił cesarz Konstantyn Wielki i jego matka Helena w IV wieku naszej ery. Przy Grocie Narodzenia prawosławni zachowują się głośno i zawłaszczają to miejsce dla siebie. Tuż obok jest Grota Mleczna. Legenda mówi, że gdy Maria, karmiąc dzieciątko, upuściła kilka kropeł, zmieniając ubarwienie grotty na białe. Kolejnym zwiedzonym miejscem były Pola Pasterzy, ich grotty i wykuty w nich kościół.

Następnym miejscem, jakie poznawaliśmy to: Góra Oliwna, Gethsemani z gajami oliwnymi, bazylika Konania zwaną „kościółem wszystkich narodów”,



*Ks. dr Krzysztof Sękula i Andrzej Lubiński, fot. archiwum autora*



*Autor pod starożytnym akweduktem w Cezarei Nadmorskiej,  
fot. archiwum autora*

Jezusa dokonane przez Jana Chrzciciela oraz odnowienie tego symbolicznego aktu przez pielgrzymów. Moją głowę polewał wodą ks. Krzysztof, którego uczyłem w sztumskim liceum. Kilkanaście kilometrów dalej znajduje się Morze Martwe, leżące 400 metrów poniżej Morza Śródziemnego. Tu zażywa się kąpeli w mocno zasolonej wodzie, która utrzymuje cały czas ciało na powierzchni.

Przewodniczka zatrzymała autobus i wskazała na znajdujące się w oddali wzgórze Qumran, gdzie w roku 1947 pewien pasterz natrafił na schowane w amforach antyczne zwoje Starego Testamentu gminy Esseńskiej. Było to przełomowe odkrycie rzucające nowe światło na początki tej wspólnoty. O tym odkryciu dowiedziałem się pierwszy raz, gdy studiowałem historię na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Udało się bez przeszkód dojechać do jednego z najstarszych miast – Jerycha, leżącego już na terenie Autonomii Palestyńskiej. Jest ono częstym świadkiem ostrej starć między armią izraelską a Arabami, dlatego są tam przeprowadzane skrupulatne kontrole wjeżdżających samochodów osobowych i ciężarowych. Widzieliśmy Górę Kuszenia oraz Sykomorę, na którą miał wspiąć się niskiego wzrostu celnik Zacheusz, aby zobaczyć Jezusa.

Wieczorem zorganizowano nocny objazd Jeruzolimy, oglądaliśmy Wielką Menorę i Kneset, czyli budynek parlamentu izraelskiego.

Ranek następnego dnia to podejście do Ściany Płaczu, świętego miejsca dla Żydów. Jak nakazuje zwyczaj, w szczelinę ściany włożyłem zapisaną kartkę papieru z intencjami. Dalej nastąpiło zwiedzanie kościoła św. Piotra In Gallicantu (Tam, gdzie piał kogut) – zbudowanym w miejscu, gdzie św. Piotr trzykrotnie zapał się pojmanego Chrystusa. Obok są antyczne schody, po których chodził Jezus.

grób Marii Panny, skała Wniebowstąpienia i miejsce biczowania Jezusa. Kolejnym punktem pielgrzymki było uczestniczenie w drodze krzyżowej (Via Dolorosa) i odmawianie modlitw przy każdej stacji. Prawie trzy godziny czekaliśmy w kolejce, by dotrzeć do Grobu Pańskiego. W miejscu, gdzie nastąpiło zdjęcie Jezusa z krzyża, wszyscy pielgrzymi klękają. Największe przeżycia duchowe miało miejsce na Kalwarii, gdzie jest dziura, w którą wstawiono krzyż z ubiczowanym Jezusem, a pielgrzymi wkładali w nią rękę. Msza święta, jaką odprawiono niedaleko Grobu była również niesamowitym doświadczeniem duchowym.

Dzień później w rannych godzinach jeszcze raz podjechaliśmy na Górę Oliwną i zwiedziliśmy kościół Pater Noster. Tutaj Jezus uczył modlitwy „Ojciec Nasz”. Są tam tablice z tą modlitwą napisaną w różnych językach.

Około godz. 10 dotarliśmy autobusem nad rzekę Jordan, tu miało miejsce chrztu

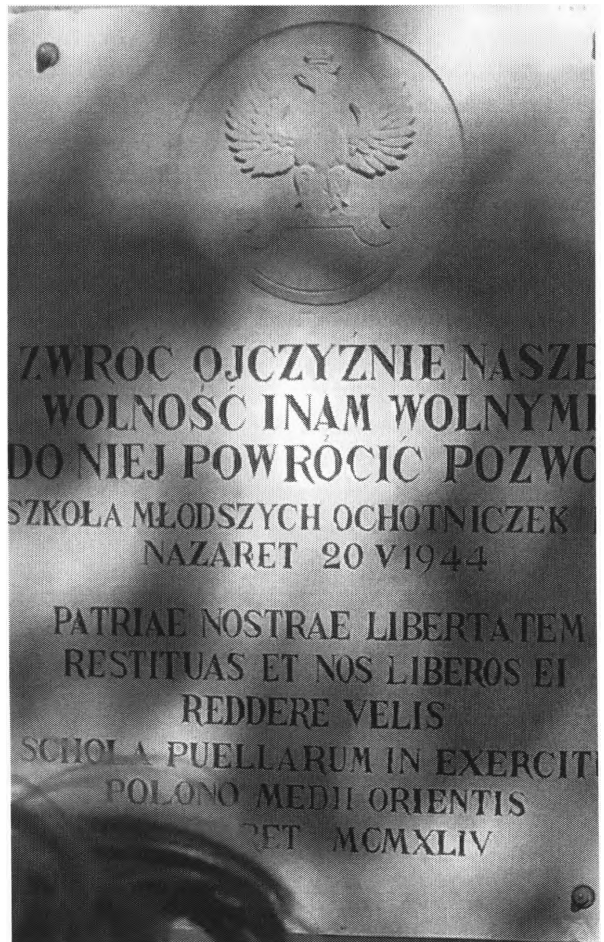
W Wieczerniku nastąpiło zesłanie Ducha Świętego, obmycie nóg i ostatnia wieczerza, obok była ciemnica, do której spuszczonego został Jezus. Nieco dalej znajduje się miejsce zaśnięcia Marii Panny na górze Syjon oraz kościół św. Anny miejsce urodzenia się Matki Boskiej. Kościół Elżbiety wiąże się ze spotkaniem Elżbiety z Matką Boską w domu Zachariasza i późniejszym narodzeniem Jana Chrzciciela.

Ostatni dzień w Jerozolimie to zwiedzanie Yad Vaschem, miejsca upamiętnienia symbolicznym drzewkiem tych osób, które ratowały z narażeniem życia Żydów w czasie II wojny światowej. Najwięcej było polskich drzewek. W dużym przyciemnionym pomieszczeniu są tablice z obozami zagłady, tu delegacje z różnych państw składają wieńce, aby uczcić ofiary drugiej wojny. Przejmujące jest przejście, gdzie wymienione są tylko nazwiska dzieci zamordowanych w czasie wojny. W Betanii oglądaliśmy miejsce grobu Łazarza i miejsca jego wskrzeszenia przez Jezusa. Zwiedzając historyczne miejsca w Jerozolimie i Betlejem towarzyszyła mi ciągle myśl, że te miejsca odwiedzał również Adam Sierakowski z Waplewa.

Zanim kolejnego dnia dojechalibyśmy na nocleg do miasta Tyberias mogliśmy obejrzeć w Cezarei Nadmorskiej starożytny akwedukt. Mieszkał w tej miejscowości przez 10 lat Poncjusz Piłat. Miastu nadano nazwę na cześć cesarza Tyberiusza.

Przed wjazdem do Hajfy na górze Karmel znajduje się kościół Gwiazda Morza. Tu Matka Boska miała nauczyć odmawiania różańca. Obok znajduje się mały pomnik upamiętniający wojny napoleońskie z roku 1799, gdy Napoleon wyprawił swoich żołnierzy mających opanować tamte tereny. Podczas tej wyprawy zginął Polak Józef Sułkowski (oficer największych nadziei), miał przewyższać Napoleona pod względem talentów wojskowych i dlatego został tam zesłany na pewną śmierć.

W Kanie Galilejskiej zwiedziliśmy miejsce, gdzie miało dojść do cudownej zamiany wody w wino podczas uroczystości weselnych dokonanych przez Jezusa. W kościele Zwiastowania odnowione zostały przyrzeczenia małżeńskie. Tu też anioł miał przekazać Pannie Marii, że urodzi syna. Nazaret to miejsce zamieszkania cieśli Józefa z Marią Panną. Dom, gdzie żyli, to obecnie kościół pod wezwaniem św. Józefa. Niedaleko znajduje



*Tablica pamiątkowa w Nazaret, gdzie uczyły się dzieci polskie w czasie II wojny światowej po wyjściu z Rosji Radzieckiej polskiego wojska pod dowództwem gen. Władysława Andersa.*

się szkoła. W czasie II wojny światowej uczyły się w niej polskie dzieci polskie po wyjściu wojska polskiego z Rosji. Na ścianie budynku jest tablica z ufundowanym przez uczennice tej szkoły z napisem: „Zwróć Ojczyźnie Naszej Wolność i Nam Wolnymi do Niej Powrócić Pozwól. Nazaret 1944”. Opiekowała się tymi dziećmi (niektóre były sierotami) Hanka Ordonówna, odtwórczyni wielu piosenek i tej najbardziej znanej „Miłość ci wszystko wybaczy”. Zmarła wkrótce po zakończeniu II wojny na Bliskim Wschodzie.

Ostatni dzień pielgrzymki to przyjazd na Górę Błogosławieństw niedaleko miejscowości Tagba. Następnym miejscem zwiedzania było Kafarnau, leżące nad Jeziorem Tyberiackim. Tu miało nastąpić cudowne rozmnożenie chleba i ryb dla ludzi, jacy podążali za Jezusem słuchając jego nauk. W tej miejscowości mieszkali też bracia apostołowie - Piotr i Andrzej, często odwiedzał ich Jezus. Miał u nich uleczyć paralityka. W sąsiedztwie domu znajduje się synagoga. W niej nauczał Jezus, ale nie wszyscy słuchacze rozumieli słowa przez niego wypowiedzane w szczególności: „kto pije moją krew, żyć będzie”.

Święty Franciszek odwiedził w roku 1216 sułtana, aby go nawrócić na chrześcijaństwo. Nic nie wskórał, ale sułtan pozwolił, aby się osiedlili w tym miejscu franciszkanie i do dnia dzisiejszego opiekują się tą świątynią Prymatu św. Piotra. Ostatnim punktem był wjazd na górę Tabor, miejsce przemienienia się Jezusa wobec trzech apostołów.

Duże wrażenie zrobiła na mnie podróż statkiem po Jeziorze Galilejskim oraz spożycie tam dwóch ryb. Z tym wiąże się też zrezygnowanie z posiłku w restauracji należącej do Rosjan. Nie chcieliśmy wzbogacać najeźdźcy, jaki napadł na Ukrainę.

Ranna zorza oglądana z hotelu nad Jeziorem Galilejskim zrobiła też wielkie wrażenie. Wzgórza Golan, które widać za jeziorem, to ciekawy widok. Podziwiając je przyszła mi na myśl wojna prowadzona przez Izrael z arabskimi sąsiadami w ostatnim półwieczu XX wieku. Ten, kto panował nad wzgórzami, miał doskonały wgląd w terytorium izraelskie.

Pielgrzymki do Ziemi Świętej współczesne, czy te realizowane w XIX wieku, są wielkim przeżyciem duchowym i pozostają na zawsze w pamięci ich uczestników. Raz w życiu należy taką odbyć i do tego zachęcam czytelników „Prowincji”.

Piotr Opacian



## KOLTUR I KIRKJUBOUR – PERŁY WYSP OWCZYCH?

Codzienny rytuał toczącego się tu życia, a cechuje go spokój i impregnacja na cywilizacyjny pośpiech, został gwałtownie przerwany rykiem silnika lądującego helikoptera. Kiedy pilot sadzał swoją maszynę na żyznych łąkach wyspy Koltur, inny przybysz, korzystający z dużo bardziej ekologicznego środka transportu, miał jeszcze około godziny do miejsca możliwego lądowania i zmagał się z przeciwnym prądem na południowo-wschodnim cyplu wyspy. W strefie cieśnin na północ i południe od wyspy Sandoy prądy morskie, przy odpowiedniej konfiguracji (prądy syzygijne), mogą osiągać prędkość do 15km/h, a to znaczne prędkości, ale dużo większym problemem jest ich zmienność i niestandardowe zachowanie pod wpływem dodatkowych czynników takich jak wiatr czy wyfalowanie. Nawet po dogłębnej analizie map pływowych i aplikacji Rak, w rzeczywistości możemy zostać niemile zaskoczeni tym, co zastaniemy na poszczególnych cyplach i przesmykach.

Kiedy wioślarz sforsował wreszcie trudności, które postawiło przed nim morze, i wylądował na jedynym tu dostępnym skrawu piaszczystego wybrzeża, które notabene znika dwukrotnie na dobę na kilka godzin (trzeba więc i to wziąć pod uwagę planując dzienny



przebieg), na wyspie wszystko powróciło do normy – czyli zapanował ponownie spokój. Pierwszym przybyszem był niemiecki biolog, spędzi tu letni sezon prowadząc badania terenowe, drugim – polski kajakarz. Pojawienie się na wyspie w przeciągu jednej godziny niemieckiego biologa i polskiego kajakarza to niewątpliwie niestandardowe wydarzenie – przyznaje jedyna mieszkająca tu na stałe osoba – Bjorn Patursson. Bjorn, choć twardy, odporny na życie w trudnych, wyspiarskich warunkach, wita mnie bardzo ciepło i przychylnie, zapewniając, że mogę tu zostać dłużej i w przyszłości mogę lądować tu ponownie. Przyjmuję to z wielką ulgą. Na Wyspach Owczych miejsca na bezpieczne lądowanie a później komfortowy biwak to towar wyjątkowo deficytowy, a przecież tak niezbędny dla



długodystansowego kajakarza morskiego, może wręcz stanowić o jego być albo nie być. Z drugiej strony każdy niemal skrawek ziemi jest tu prywatną własnością, więc to pozwolenie ma dla mnie zasadnicze znaczenie, tym bardziej, że za chwilę w rozmowie dowiaduję się, że Koltur to zarówno strefa ochrony przyrody, jak i muzeum, której Bjorn jest kustoszem.

Koltur urzekło mnie z chwilą, kiedy postawiłem na tej wyspie swoją stopę. Wyspa jest piękna. Składa się z trzech części. Na północnym-zachodzie wznosi się wysoka góra z monumentalnymi klifami. Jej część południowo-wschodnią zajmuje stosunkowo niski garb z dużo skromniejszymi klifami. Garb opada na północ rozległymi łąkami do siodła, które łączy go ze stromymi stokami wspomnianej góry. Łąki są zaskakująco urodzajne jak na tę szerokość geograficzną. Tam, gdzie nie pracują naturalne kosiarki – owce, które zajmują wydzieloną ogrodzeniem część siodła, na zielonych łąkach dominuje fiolet kwitnących właśnie kwiatów. Pierwszy raz spotykam tak urodzajne, mineralne gleby na północnych wyspach Atlantyku i taki nieprzerwany, fioletowy kobierzec kwiatów. Żeby nacieszyć się widokami





i atmosferą zostaję na wyspie cały dzień i opuszczam ją po drugim noclegu. Płynę na północny-zachód. Moim celem jest teraz opłynięcie całej Vagar, a potem całej linii klifów zachodniej Streymoy, ale w głowie tli się pomysł, by ostatni biwak na Wyspach Owczych urządzić ponownie tutaj i może przeprowadzić wywiad z Bjornem i napisać artykuł?

Wracam z południa – właśnie opłynąłem Sandoy i biwak na Kultur wydaje się idealny przed zakończeniem rejsu w Kirkjubour, gdzie czeka na mnie mój samochód. Są pływy kwadraturowe, więc mam dużo mniejsze problemy z wytyczeniem czasoprzestrzennym kursu. Łąduję na znanej już sobie plaży i rozbijam namiot w przetestowanym wcześniej miejscu. Rano następnego dnia przed wypłynięciem idę w stronę domu, gdzie mieszka Bjorn. Ku mojemu zdziwieniu wita mnie miła, starsza kobieta i niestety informuje, że Bjorn ma dwutygodniowe wakacje i jest teraz w swoim domu w Kirkjubour, skąd pochodzi. Augusta Mikkelsen, tak się bowiem ta pani nazywa, zapewnia mnie, że Bjorn jest w tej chwili w Kirkjubour, że nigdzie nie wyjechał i dzwoni do niego. Kiedy kilka godzin później ładuję swój sprzęt do samochodu, pojawia się Bjorn i tak łączy się niespodziewanie historia dwóch niezwykle miejsc Wysp Owczych: wyspy Kultur i osady Kirkjubour.

Kirkjubour to najbardziej tutaj popularny cel turystów, a że dojazd jest krótki i prosty ze stolicy Thorshavn, ba, kursują nawet regularne autobusy, to turystów jest tu sporo, bo przyjechać warto. Od momentu pojawienia się w osadzie oczy przykuwają trzy obiekty: okazały budynek z kolorowymi zdobieniami, biały kościół i ciemne ruiny katedry. Czy to możliwe, by tak mała osada była kiedyś siedzibą biskupa i posiadała jedyną na wyspach katedrę? Niestety źródła pisane są bardzo skąpe na Wyspach Owczych, ale mury katedry mówią same za siebie, tak jak i wielość kamiennych zdobień, które teraz można oglądać w Narodowym Muzeum Wysp Owczych w Thorshavn. Choć Foroyingasoga – saga Wysp Owczych, dość dokładnie opisuje wprowadzenie chrześcijaństwa na wyspach, oficjalnie miało to miejsce w roku 998, to nie znajdziemy tam konkretnych informacji o rodzimym biskupstwie. Z czasów średniowiecza zachowało się tylko kilka listów podpisanych przez biskupów z Kirkjubour, poza tym można znaleźć wzmianki o tychże biskupach w źródłach pisanych powstałych na Islandii i w nordyckiej sadze Sverriga. Właśnie w oparciu o najstarszy list przyjmuje się, że biskupstwo na Wyspach Owczych powstało około połowy XII wieku jako jedno z 6 wyspiarskich biskupstw będących częścią prowincji norweskiej, a biskupów nominowano w norweskim Bergen.

Dlaczego biskup Wysp Owczych wybrał sobie Kirkjubour na swoją siedzibę? Prawdopodobnie był to wtedy najżyźniejszy skrawek Streymoyi. Był to też obszar znacznie większy niż obecnie. Dużą jego część pochłonęło morze w czasie licznych sztormów. Wszystko wskazuje na to, że dzisiejsza wysepka Kirkjuboholmur była częścią wybrzeża, wyglądało ono więc diametralnie inaczej. Jeszcze na fotografii wykonanej między rokiem 1855 a 1863 widać trawiastą część cmentarza oddzielającą obecny kościół od morza. Dziś jest tam wąski betonowy pas, a poniżej olbrzymie głazy połączone metalowym łańcuchem chroniące kościół przed podzieleniem losu wielu innych budynków, w tym również i starszego kościoła, z którego pozostał tylko maleńki skrawek jednego z narożników nawy głównej. Jakie były rzeczywiste motywy biskupiego wyboru, nie dowiemy się pewnie nigdy, ale za wyborem poszły duże inwestycje – budowa biskupiej rezydencji i katedry. Jakże wielkie było moje zdziwienie, kiedy dowiedziałem się, że Bjorn urodził się i wychował w tym historycznym

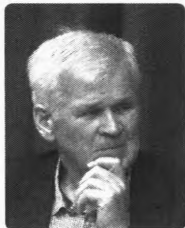
budynku. Tam, gdzie, według sagi Sverriga, wychował się przyszły król Norwegii. No prawie. To, co teraz widzimy, to późniejszy budynek wzniesiony na pozostałościach rezydencji biskupa, czyli na kamiennym podpiwniczeniu. To jedynie zachowało się z dawnej świetności, kiedy po reformacji kościelne dobra zostały redystrybuowane i trafiły w tym przypadku w ręce tutejszego farmera.

Przerywam pakowanie, wyciągam notatnik i zaczynam wywiad z Bjornem. Zacząć można jak bajkę. Dawno, dawno temu, w roku 1989, w pewnym biurze w Thorshavn, pewien młody specjalista do spraw finansowych mieszkający w Kirkjubour, zaczął pisać artykuł, w którym opisuje wyspę Koltur i wyraża żal, że choć w przeszłości tętniła życiem, teraz pozostaje zapomniana. Tym młodym człowiekiem był oczywiście Bjorn Paturrson. Potem pojawił się pomysł zamieszkania tam i założenia farmy. Napisał list w tej sprawie do rządu Wysp Owczych, w 1992 otrzymał odpowiedź i w 1994 zamieszkał tam na stałe. Farma prosperowała bardzo dobrze. Oprócz 160 owiec Bjorn miał również 12 krów i 2 byki i każdego roku pojawiały się na Koltur nie tylko młode owieczki, ale i młode krówki. Nie dawały mu jednak spokoju ruiny dobrze kiedyś prosperującego na wyspie gospodarstwa. Zaczął zabiegać o jego rekonstrukcję, trafił na równych sobie entuzjastów i udało się! Bjorn, Ministerstwo Rolnictwa Wysp Owczych i kilka innych podmiotów założyli w roku 2003 fundację, której celem było odrestaurowanie tamtejszej zabytkowej farmy Heima i Husi. Projekt zakończył się w 2012 całkowitą odbudową zabytkowego gospodarstwa i w tym samym roku zostało ono udostępnione dla zwiedzających. Wtedy też pojawił się pomysł przekształcenia farmy w muzeum-skansen, który został sfinalizowany w roku 2015, właścicielem skansenu jest od tego czasu Narodowe Muzeum Wysp Owczych – Tjodsavnid, a Bjorn został jego kustoszem. Bjorn mieszka tam sam przez cały rok. Opuszcza wyspę tylko na 5 tygodni urlopu i niektóre weekendy.

W czasie prac rekonstrukcyjnych przeprowadzono również badania archeologiczne. Obecny stan wiedzy datuje początki osadnictwa na wyspie na początek IX wieku naszej ery i wiąże je z działalnością Wikingów, którzy byli, poza mnichami irlandzkimi, jedynymi odkrywcami wysp północnego Atlantyku we wczesnym średniowieczu. Ślady tego osadnictwa odkryto pod posadzkami gospodarstwa Heima i Husi. Udokumentowana prosperita osadnicza przypada na wiek XIX, kiedy to farma Heima i Husi nie była jedynym gospodarstwem na wyspie. Oprócz niej istniały na wyspie 4 inne farmy, na pozostałościach jednej z nich wybudował Bjorn swój obecny dom, a ludność wyspy liczyła około 50 osób! Potem przyszedł czas ucieczki z małych wysp w poszukiwaniu środków do życia. Ten schemat najlepiej widoczny jest na Hebrydach Zewnętrznych, które opływałem w zeszłym roku. Wyspy północnej Szkocji obfitują w dziesiątki małych bezludnych wyseppek z ruinami gospodarstw, które jeszcze na początku XX wieku tętniły życiem.

Kiedy 3 lipca 2023 wodowałem swój kajak w przyjaznej przystani Kirkjubour i obserwowałem w oddali intrygujące kształty wyspy Koltur, nigdy bym się nie spodziewał, że te dwa miejsca zepną się w taką kłamrę. Tu rozpoczynałem i tu kończyłem swoją kajakową eksplorację Wysp Owczych, ale okazało się również, że tu rozpoczynałem i kończyłem swoją intelektualną przygodę z Wyspami Owczymi.

Wacław Bielecki



## ZAPISKI MELOMANA

W czasie wakacji drzwi filharmonii i teatrów operowych zostają zamknięte, ale muzyki nie brakuje, bowiem grana jest na niezliczonych festiwalach. Udało mi się dotrzeć na niektóre z nich, te bliższe, w Waplewie Wielkim, Stążkach, Sztumie, i dalsze, w Radziejowicach, Wrocławiu, Tczewie, Elblągu, Toruniu, Grudziądzu.

### DNI CHOPINOWSKIE W WAPLEWIE

piątek, 9 i sobota, 10 czerwca 2023 r.



*Pianista Marek Bracha chętnie opowiada o wykonywanej muzyce, fot. Internet*

W upalny, czerwcowy wieczór zaczęły się w Waplewie Wielkim „17. Pomorskie Dni Chopinowskie”. Witający publiczność gospodarz pałacu Maciej Kraiński zauważył, że to jest 68 koncert w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Jako solista wystąpił Marek Bracha, wykładowca na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie, który nie tylko prezentował utwory muzyczne na fortepianie, ale sporo opowiadał o nich oraz ich twórcach. Tego rodzaju recital z komentarzem wykonawcy nazywał „lecture recital”, czyli recital komentowany. Myślę, że poniekąd wynika on z pracy pianisty w Polskim Radio Chopin, gdzie prowadzi audycję „Muzycy o Chopinie”. W ten sposób, pianista sam mówiąc o muzyce, zwolnił od tego obowiązku Olgę Walentynowicz, zwykle opatrującą komentarzem występy muzyków w Waplewie.

Artysta nadał tytuł swojemu recitalowi: „Tellefsen/Chopin. Przenikanie”. Dokonał w nim ciekawego zestawienia utworów Chopina i jego norweskiego ucznia Thomasa Tellefsena. Było to po prostu porównanie utworów tego samego gatunku obu kompozytorów. Recital zaczął się od pary walców: *As-dur op. 34 nr 1* Chopina i *Walca Des-dur op. 27* Tellefsena. Potem były cztery *Mazurki z op. 17* Chopina i cztery *Mazurki op. 3* Tellefsena. Po nich wysłuchaliśmy *Nokturnu Des-dur op. 27 nr 2* Chopina i *Nokturnu Ges-dur op. 39* Tellefsena. Na zakończenie kolejność kompozytorów została zamieniona, po *Balladzie c-moll* Tellefsena usłyszeliśmy *Balladę g-moll op. 23* Chopina. Licznie zgromadzona publiczność gorąco oklaskiwała kolejne utwory i na bis usłyszała śpiewnego *Mazurka cis-moll op. 6 nr 2* Chopina.

Przyznam, że z dużą przyjemnością słuchałem tego recitalu, ale nie mogłem się oprzeć poczuciu pewnego dyskomfortu wynikającemu z tego, że połowę prezentowanych utworów – chodzi tutaj o dzieła Chopina – znałem bardzo dobrze, a druga połowa – miniatury Tellefsena – były mi zupełnie nieznanne. Nietrudno domyślić się, czyje walce, mazurki, nokturny i ballady były dla mnie lepsze. Ale tak być musi, gdy zestawia się utwory muzycznego geniusza z dziełami nieznanego prawie kompozytora.

Pianista grał na wypożyczonym, dużym fortepianie bawarskiej firmy *Steingraeber & Söhne* z ciemną i dość ciężką barwą, szczególnie w niskim rejestrze. Instrument ten brzmiał lepiej, jak to zauważył wykonawca, w dziełach Tellefsena niż Chopina – i dodajmy – nieco zbyt głośno w małej sali waplewskiego pałacu. Kiedy doczekamy się tutaj własnego fortepianu?



*Gdańskie Trio Jazowe WWS, fot. Internet*

W drugim dniu Dni Chopinowskich słuchaliśmy, jak zwykle, jazzu. Gdańskie *WWS Trio* zagrało koncert inspirowany muzyką Chopina. Artyści wystąpili w składzie: Andrzej Wojciechowski – klarnet, Ignacy Jan Wiśniewski – fortepian i Jarosław Stokowski – kontrabas.

Członkowie zespołu znani są w Waplewie i Sztumie. Wszyscy są absolwentami Akademii Muzycznej w Gdańsku, a dwaj pierwsi pracują tam jako wykładowcy. Klarnciście Andrzeja Wojciechowskiego pamiętamy z ubiegłorocznego występu w Sztumie z Polską Filharmonią Kameralną Sopot pod batutą Wojciecha Rajskiego. Zagrał wtedy *Koncert klarnetowy* Karola Kurpińskiego oraz solo w *Pożegnaniu Ellenai* Feliksa Nowowiejskiego. Dzisiaj po raz pierwszy miałem okazję usłyszeć go w roli lidera zespołu jazzowego.

W czasie koncertu muzycy wykonali osiem utworów oraz dwa bisy. Zaczęło się od niespodzianki, bo kiedy usłyszałem pierwsze dźwięki, to zupełnie nie mogłem skojarzyć o jaki to utwór Chopina chodzi. Dopiero po jego wykonaniu lider powiedział, że była to improwizacja na temat pieśni pt. *Wiosna*. Jest to mniej znana z 19 pieśni skomponowanych przez Chopina. Do najpopularniejszych należą: *Życzenie (Gdybym ja była słońcem na niebie)* oraz *Hulanka (Szynkareczko, szynkareczko, co ty robisz, stój!)*. Podobnie było z późnej z wykonaną improwizacją na temat równie mało znanej pieśni o wieloznacznym tytule *Nie ma czego trzeba* zagranej w rytmie bluesa z rozpoczynającym utwór kontrabasem. W komentarzu lider zespołu sugerował brak dóbr materialnych, tymczasem w tej romantycznej pieśni do słów Bohdana Zaleskiego chodzi o sprawy uczuciowe: *Śpiewać, o śpiewać! I nie ma nikomu! / Kochać, o kochać! I nie ma kogo!*

Potem już nie miałem problemów z rozpoznaniem utworów Chopina. Spośród nich najbardziej spodobały mi się improwizacje na temat *Preludium e-moll* z przeświecącym solem pianisty wzorowanym nieco na jego mistrzu Włodzimierzu Nahornym oraz tzw. *Walc minutowy* zapowiedziany dowcipnie jako „wielominutowy” z karkołomnymi wyczynami klarnetu. Podobnie z humorem podeszli muzycy do *Larga z Sonaty g-moll na fortepian i wiolonczelę*. Jak wiadomo termin „largo” oznacza bardzo wolne tempo, tymczasem usłyszeliśmy improwizację w zawrotnym, tanecznym rytmie.

Publiczność bardzo żywiołowo oklaskiwała muzyków po każdym utworze, chociaż nie było aplauzów tuż po wykonaniu sola przez konkretnego muzyka, co jest przyjęte na koncertach jazzowych. Widać było i słysząc, że artyści „czerpali radość”, jak to określił jeden z nich, ze wspólnego muzykowania i kontaktu z publicznością. Taki też był ten koncert: radosny i piękny.

## 100-LECIE CHÓRU MĘSKIEGO ECHO Z TCZEWA

niedziela, 11 czerwca 2023 r.

Na niezwykle koncert do sali w Centrum Kultury i Sztuki w Tczewie zaprosił mnie Staszek, kolega ze studiów, który od ośmiu lat śpiewa w pierwszych tenorach Chóru Męskiego Echo. Okazja była niezwykle, bo chór obchodzi 100-lecie swego istnienia. Jubileuszowy występ zespołu, co jest oczywiste, przedzielany był słowami gratulacji od prezydenta miasta, starosty, marszałka województwa i ministra kultury i innych oficjeli. Kilku chórzystów i dyrygent Leszek Gołąb otrzymali stosowne medale, wyróżnienia i nagrody, a wszyscy chórzyci – życzenia dalszych stu lat działalności.



Śpiewa stuletni Chór Męski Echo z Tczewa, fot. W. Bielecki

Zajmijmy się jednak stroną muzyczną. Oprócz Chóru Męskiego Echo w drugiej części wieczoru wystąpił razem z nim zaprzyjaźniony Chór Męski Harmonia z Wejherowa, który jest – uwaga – o trzy lata starszy od zespołu tczewskiego oraz trzej tenorzy: Łukasz Wroński, Przemysław Radziszewski i Sylwester Targosz-Szalonek.

Czterogłosowy Chór Męski Echo ma w swoim repertuarze wiele pieśni śpiewanych głównie z akompaniamentem fortepianu. Po otwierającym występ łacińskim hymnie *Jubilate* zaśpiewanym bez akompaniamentu, czyli a cappella, usłyszeliśmy kilka chóralnych fragmentów z pięciu romantycznych oper. Śpiewacy zaczęli od poloneza z *Halki* Stanisława Moniuszki – *Niechaj żyje para młoda* oraz przepięknej pieśni tego kompozytora – *Znaszli ten kraj*. Nie chce się wierzyć, ale właśnie te pieśni i jeszcze kilka innych – jak to powiedział konferansjer Krzysztof Pieczewski – utrzymywane są w repertuarze chóru od prawie stu lat. To przepiękna i mało spotykana wierność tradycji. Następnie jubilaci zaprezentowali *Taniec węgierski nr 5* Brahmsa i *Chór strzelców* z opery *Wolny Strzelec* Webera.

Potem wykonano chór z I aktu opery *Rigoletto* Verdiego, *Chór pielgrzymów* z *Tannhäusera* Wagnera i *Chór Cyganów* z *Trubadura* Verdiego. Następnie w roli przerywnika wystąpił pierwszy z tenorów Łukasz Wroński. Zaśpiewał on arię Jontka *Szumia jodły* z *Halki* Moniuszki z towarzyszeniem fortepianu oraz piosenkę *My Way* z repertuaru Franka Sinatry z akompaniamentem orkiestry nagrany na taśmie.

W kolejnej sekwencji usłyszeliśmy drugiego zaproszonego tenora Przemysława Radziszewskiego w słynnej arii Cavaradossiego z opery *Tosca* Pucciniego i neapolitańskiej pieśni *O surdato nnamurato* oraz łżejszego rodzaju pieśni w opracowaniu na chór męski: *Ride the Chariot – Spirituals Negri*, *Idealny sierżant* Edwarda Pałlasza i *Już taki jestem* Henryka Warsa.

W końcowej części koncertu do chórzystów Echa dołączyli koledzy z Chóru Harmonia z Wejherowa. Oba chóry zaśpiewały *Pieśń rycerską* Moniuszki. Była to druga pozycja wykonana a cappella. Następnie trzeci z zaproszonych tenorów Sylwester Targosz-Szalonek zaśpiewał arię *Nesum Dorma* z opery *Turandot* Pucciniego, pieśń neapolitańską *Funiculi Funiculla*, przebój Toma Jones'a *Delilah* oraz na koniec – arię *Wielka sława to żart* z operetki *Baron Cygański* Jana Straussa. Rozochociona publiczność nie chciała dopuścić do zakończenia

koncertu, wobec tego chórzyci na jej wyraźne życzenie zaprezentowali najśłynniejszy chór operowy *Va, pansiero z Nabucca* Verdiego. Ale tak się tylko wydawało, że to będzie koniec, albowiem występ dobiegał już do końca trzeciej godziny bez przerwy. Był zatem jeszcze chóralny śpiew nigeryjskiej kolędy z czterema bębnami i na koniec znowu powtórzono operetkowy przebój *Wielka sława to żart*, zaintonowany i dyrygowany (!) przez ostatniego z tenorów.

Uroczystość zaczęła chórami z oper, a zakończyła się, chyba wbrew oczekiwaniom organizatorów, operetkowo. Trochę szkoda, że nie operowo i chóralnie, bo jednak była to uroczystość 100-lecia chóru. Moim zdaniem, za dużo było w programie wstawek z zaproszonymi tenorami, którzy korzystali z podkładów z nagrany akompaniamentem w wykonaniu orkiestr i śpiewali – o dziwo – do mikrofonu, co w tak niewielkiej sali było zbyteczne. Na dodatek operator dźwięku zamiast wyciszać, wzmacniał siłę ich głosu, co chwilami prowadziło do zbyt dużego natężenia dźwięku. W sumie jednak był to piękny, jubileuszowy koncert szacownego chóru męskiego. Niech nam śpiewa jeszcze sto lat i dłużej!

## KU CZCI I PAMIĘCI ELBLĄSKICH ORGANMISTRZÓW

niedziela, 25 czerwca 2023 r.



*Gotycki budynek na elbląskiej Starówce, przed wojną siedziba zakładu „Terletzki inh. Wittek” budującego organy, fot. W. Bielecki*

Historia tego koncertu zaczęła się rok temu w Elblągu, kiedy spacerując po starówce przeczytałem informację wywieszoną przed pięknym i okazałym budynkiem w gotyckim stylu przy ulicy Studziennej. Obecnie mieści się tutaj Klinika Bellamed, a przed wojną przez całe 88 lat (1857–1945) działał tutaj zakład budujący organy kościelne. Jego właścicielami byli najpierw bracia August i Max Terletzki, a po nich Eduard (ojciec) i Gerhard (syn) Wittek. Na przełomie XIX i XX wieku była to największa firma organowa w ówczesnych Prusach, która 1925 roku świętowała uroczystość zbudowania 500 organów! Największe

instrumenty wybudowała w gdańskich kościołach – Mariackim oraz św. Piotra i Pawła, ale tak naprawdę, to zakład „Terlezki inh. Wittek” wypełnił małymi organami kilkaset kościoł, w tym oba kościoły w Sztumie (ewangelicki i katolicki), Pietrzwałdzie, Starym Targu, Kraśnej Łące, Malborku, Nowym Stawie, itd.

Treść wywieszanej przed budynkiem informacji zbulwersowała mnie, bo wiadomości o organmistrzach były bardzo enigmatyczne, dlatego z marszu wszedłem do budynku i niepodziewanie natknąłem się na zupełnie nieznanego mi właściciela kliniki dra Gabriela Rucińskiego. Zaczęliśmy rozmowę o historii budynku. W pewnym momencie zaproponowałem, aby zorganizować koncert organowy ku pamięci poprzednich właścicieli. O dziwo, doktor chętnie na to przystał, tym bardziej, że Klinika Bellamed będzie obchodziła 15 rok działalności.

Po roku od tamtego spotkania odbył się w katedrze św. Mikołaja w Elblągu recital organowy ku czci i pamięci elbląskich organmistrzów: Augusta i Maxa Terleztkiego oraz Eduarada i Gerharda Wittka. Jego program był złożony z utworów kompozytorów w jakiś sposób związanych z Elblągiem, a zaczął się i zakończył utworami Haendla. Jaki związek miał ten wybitny kompozytor z Elblągiem? Otóż w 1737 roku miasto obchodziło 500-lecie swojego powstania i rajcowie zamówili u Haendla na tę uroczystość operę poświęconą założycielowi miasta – krzyżackiemu mistrzowi krajowemu Hermanowi von Balk. Jego nazwisko stało się tytułem opery. Została ona wykonana przez elblążan, w tym uczniów tutejszego gimnazjum, w dniu 28 listopada 1737 roku. Przedstawienie prowadził kantor kościoła Mariackiego w Elblągu Christian Lau. Niestety, partytura nie zachowała się do czasów dzisiejszych, dlatego na koncercie usłyszeliśmy fragmenty z innych oper Haendla: *Uwerturę do opery Riccardo Primo* oraz słynną *Arię z opery Rinaldo* – „Lascia ch'io panga” (Pozwól mi płakać), oczywiście, obie w transkrypcji na organy solo.

Kolejne utwory były związane z innym epizodem muzycznej historii Elbląga. Mało kto wie, że tuż przed I wojną światową – w latach 1912–1914 – działała w Elblągu Opera Leśna. Głównym jej organizatorem był Franz Rasenberger, kantor i organista Kościoła Mariackiego (obecnie – Galeria El) oraz dyrektor elbląskiego konserwatorium. Pierwsza opera *Nocleg w Grenadzie* Conradina Kreutzera została wystawiona w Operze Leśnej w Elblągu w 1912 roku. Zauważyć trzeba, że 3 lata wcześniej, ta sama opera – obecnie zapomniana – została wykonana na otwarcie znanej wszystkim Opery Leśnej w Sopocie. Kolejna opera *Wolny strzelec* C. M. Webera została wystawiona w Operze Leśnej w Elblągu w 1913 r., a *Orfeusz i Eurydyka* Ch. W. Glucka w roku 1914. Przedstawienia były prezentowane w plenerze w obecnym Parku Bażantarnia. Wykonawców partii tytułowych zapraszano z różnych teatrów operowych Niemiec, a chór i orkiestra pochodziły z Elbląga. Spektakle operowe prowadzone przez Franza Rasenbergera cieszyły się wielkim zainteresowaniem mieszkańców Elbląga.

Dzisiaj wysłuchaliśmy fragmentów wspomnianych oper, granych i słuchanych przez elblążan przed 110 laty. Były to: Conradina Kreutzera – *Chór z finału I aktu opery Nocleg w Grenadzie* – „Schon die Abendglocken klangen” (Już dzwoniły wieczorne dzwony); Carla Marii von Webera – *Adagio z Uwertury do opery Wolny strzelec* oraz „Chór strzelców” z tej opery oraz Christopa Willibalda Glucka – *Aria z opery Orfeusz i Eurydyka* – „Utraciłem Eurydykę”.

Następnie prof. Roman Perucki zagrał dwa utwory z repertuaru organowego. Zaczął od wspaniałej *Sonaty nr 56* Friedricha Wilhelma Markulla (1816–1887). Kompozytor ten działał w Gdańsku, ale urodził się niedaleko Elbląga w Rychlikach. Jego ojciec był organistą w nieistniejącym obecnie kościele św. Anny w Elblągu. Kolejnym utworem była

kompozycja *Brautzug (Radosny pochód) op. 17 nr 1* Maxa Gulbina (1862–1932), który w latach 1900–1908 był kantorem, organistą i dyrygentem chóru kościoła Św. Trójcy w Elblągu, a potem, aż do śmierci działał we Wrocławiu w kościele św. Elżbiety. Na zakończenie usłyszeliśmy najbardziej znany utwór Haendla, radosne *Alleluja* z oratorium *Mesjasz* w transkrypcji na organy Teodora Duboisa. Koncert zakończył się owacją na stojąco oraz zagrana na bis słynną *Toccatą d-moll* J. S. Bacha. Sponsorem koncertu i jego organizatorem była Klinika Bellamed dra Gabriela Rucińskiego obchodząca w ten sposób 15 lat działalności.

## LETNI FESTIWAL IM. JERZEGO WALDORFFA

czwartek, 29 czerwca 2023 r.



*Hubert Rutkowski gra na historycznym fortepianie Bösendorfera, fot. W. Bielecki*

W Radziejowicach pod Warszawą od czternastu lat odbywa się Letni Festiwal im. Jerzego Waldorffa. W piątym dniu tej imprezy wysłuchałem dwóch koncertów. Pierwszy odbył się po południu w Nowym Domu Sztuki, czyli sali kameralnej zbudowanej ze szkła na ponad 200 foteli. Na dwóch aż fortepianach marki Fiazoli i Bösendorfer zagrał Hubert Rutkowski. Jest to pianista, który wygrał, m.in. Konkurs Chopinowski w Hanowerze w 2007 r., a trzy lata później stanowisko profesora w Hochschule für Musik und Theater w Hamburgu, gdzie jest kierownikiem Katedry Fortepianu. Hubert Rutkowski jest założycielem i prezesem Towarzystwa Muzycznego im. Teodora Leszetyckiego w Warszawie. W ostatnich latach pasją tego pianisty stały się fortepiany historyczne. Dokonał on nagrań płytowych utworów Teodora Leszetyckiego oraz C. Debussy'ego na fortepianie Erarda z 1880 r. i Chopina na fortepianie Pleyela z 1847 r.

W programie recitalu w Radziejowicach znalazły się utwory czterech kompozytorów: *In-termezzo h-moll* Brahmsa, *Ballada wenecka* oraz *6 Medytacji* Theodora Leszetyckiego, *Sceny dziecięce* Schumanna i *Scherzo b-moll* Chopina. Artysta grał na fortepianie Bösendorfera

z roku 1882 należącym do Teodora Leszetyckiego do którego zasiadał też jego najślyniejszy uczeń Ignacy Jan Paderewski oraz na współczesnym instrumencie włoskiej firmy Fazioli. Czasami pianista grał ten sam utwór na obu instrumentach, szybko przesiadając się z jednego do drugiego. Tak było już w pierwszym utworze Brahmsa. Ciekawie zabrzmiały *Sceny dziecięce* Schumanna. Z trzynastu miniatur składających się na nie, najbardziej znana jest część siódma – *Marzenie*, bardzo często wykonywane jako samodzielna kompozycja.

Mnie najbardziej zaciekały utwory Leszetyckiego, które słyszałem na żywo po raz pierwszy. Moje zainteresowanie tym kompozytorem bierze się stąd, iż był on mężem Eugenii Donimirskiej z domu Beniśławskiej, żony znanego na Powiślu działacza Antoniego Donimirskiego, urodzonego w Bukowie w powiecie sztumskim. Eugenia została uczennicą i asystentką Leszetyckiego w Wiedniu, a potem jego żoną, nota bene, trzecią z kolei, po znanej pianistce rosyjskiej Annie Jesipowej. Takie są to bliskie związki wiedeńskiego kompozytora i wybitnego nauczyciela fortepianu z naszym Powiślem i rodziną Donimirskich.

Kompozycje Leszetyckiego, jak napisała muzykolożka Brabara Chmara-Żączkiewicz („Muzyka” 2019, nr 1), są mało urozmaicone, a „Piętno natchnienia nie jest w jego muzyce wyczuwalne i żaden jego utwór nie został przez historię zapamiętany.” Moim zdaniem, jest to opinia zbyt radykalna i nieprawdziwa, bo pojawiły się płytowe nagrania kompozycji Leszetyckiego, a wysłuchane przeze mnie utwory, szczególnie *Medytacje*, są całkiem interesujące dla melomana. Chętnie posłuchałbym Leszetyckiego w naszym Waplewie. Do *Medytacji* dodałbym suitę *A la Campagne (Na wsi)* składającą się z pięciu miniatur dedykowanych przez kompozytora przyszłej żonie Eugenii, wtedy jeszcze Donimirskiej.

Recital Huberta Rutkowskiego zakończył się owacją na stojąco oraz dwoma bisami z Chopina: brawurowo zagraną *Fantazją – Impromptu* oraz *Mazurkiem h-moll*. Przyznam, że lubię takich pianistów, którzy z pamięci oraz z wielką łatwością i radością wykonują przepiękną muzykę.



Aniello Desiderio podczas próby akustycznej przed koncertem, fot. W. Bielecki

Drugi koncert w Radziejowicach zaczął się tego samego dnia w wielkim festiwalowym namiocie o godzinie 21. Na estradzie pojawiła się młodzieżowa orkiestra Sinfonia Iuventus oraz dyrygent Jacek Błaszczyk. Na początek usłyszeliśmy *Uwerturę do opery Carmen* Bizeta, a potem zagrało dwóch solistów. Jako pierwszy wystąpił włoski wirtuoz gitary klasycznej Aniello Desiderio, zwany przez krytyków muzycznych „Paganinim gitary”. Zagrał gitarowy hit – *Concierto de Aranjuez* Joaquína Rodrigo z powszechnie znanym *Adagio* zaczynającym się od smętnego sola rożka angielskiego. Po entuzjastycznych oklaskach widowni gitarzysta wykonał na bis dwie swoje ulubione miniatury, liryczne *Gnossienne nr 1* Erika Satie’go i żywiołowe *Koyunbaba* Carla Domeniconiego.



Vadim Brodski w „Symfonii hiszpańskiej” E. Lalo, fot. W. Bielecki

Po przerwie na estradę wszedł znany skrzypek Vadim Brodski. Pamiętamy go jako zdobywcę pierwszych nagród na konkursie Wieniawskiego w Poznaniu w 1977 r. oraz konkursie Paganiniego w Genui w 1984 r. W Radziejowicach zagrał z orkiestrą *Symfonię hiszpańską* Édouarda Lalo. Tytuł tego dzieła jest nieco mylny, bo w zasadzie jest to koncert na skrzypce z orkiestrą, tyle że dość nietypowy, bo składający się aż z pięciu części. W moje ucho szczególnie wpadła zachwycająca hiszpańskim kolorytem część pierwsza oraz czwarta w rytmie tanga. Publiczność domagała się bisu i usłyszała powtórkę – końcową część dzieła. Siedemdziesięcioletni skrzypek nie zagrał solowego bisu, albowiem widać było, że po świetnym wykonaniu partii skrzypiec w *Symfonii hiszpańskiej* jest po prostu zmęczony.

Letni festiwal w Radziejowicach po pandemicznej przerwie ma swoją liczną publiczność oraz specyficzną aurę podtrzymywaną przez organizatorów oraz stałego konferansjera, ulubionego tutaj Jerzego Kisielewskiego.

## VERTIGO JAZZ CLUB WE WROCŁAWIU

poniedziałek, 3 lipca 2023 r.



*W Vertigo Jazz Club grają nauczyciele gitary, pierwszy z prawej Artur Lesicki, fot. W. Bielecki*

Wieczorem w Klubie Jazowym Vertigo przy ulicy Oławskiej we Wrocławiu przysłuchiwałem się występom uczniów i wykładowców Szkoły Gitary Artura Lesickiego. Ta prywatna placówka zakończyła tym koncertem trzeci rok swojej działalności. Jej założycielem i szefem jest Artur Lesicki, gitarzysta, kompozytor, doktor sztuki w dziedzinie sztuk muzycznych, wykładowca Katedry Jazzu Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu. Uprawia różne gatunki muzyki, głównie jazz. W swoim dorobku ma około czterdziestu płyt.

W czasie wieczornego koncertu na estradzie klubu Vertigo zagrało na gitarach elektrycznych kilkunastu uczniów, sami mężczyźni w wieku około 30 lat. Wszystkim towarzyszyła profesjonalna sekcja rytmiczna w dwuosobowym składzie: Tomasz Grabowy, grający na pięciostrunnej gitarze basowej i perkusista Michał Maliński. Uczniowie grali i improwizowali przeważnie po dwóch, rzadziej solo i tylko raz w trójkę. W ich wykonaniu słuchaliśmy, m.in. standardów jazzowych Charliego Parkera, Duke'a Ellingtona oraz słynnego *Summertime* George'a Gershwina tudzież melodii *Kiedy byłem małym chłopcem* Tadeusza Nalepy z zespołu Breakout. Było dużo bluesa i rhythm and bluesa. Uczniowie, jak to osoby wchodzące w sztukę grania na gitarze elektrycznej, grali różnie. Niektórzy pokazali się jako świetnie zapowiadający się improwizatorzy. Wszyscy byli ciepło oklaskiwani po solówkach przez publiczność składającą się głównie z osób z nimi zaprzyjaźnionych. Po swoim występie otrzymywali od Artura Lesickiego, który prowadził cały koncert, dyplomy. Po prezentacji uczniów cała impreza zakończyła się półgodzinnym występem wykładowców. Trzeba przyznać, że od razu było słuchać różnice na plus w wykonaniu muzyki przez nauczycieli.

Już dawno nie byłem w prawdziwym klubie jazzowym. Przed kilkunastoma laty parę razy udało mi się posłuchać jazzu w klubie Tygmont przy ulicy Mazowieckiej w Warszawie.

Obecnie tam już jazzu nie grają. Trzeba przyznać, że wrocławski Jazz Club Vertigo to znakomicie działająca placówka. Codziennie odbywają się tutaj po godzinie 22 jazz jam session, a oprócz tego często można posłuchać koncertów różnych zespołów jazzowych.

## XIV KONCERT ORGANOWY U ŚW. ANNY W SZTUMIE

niedziela, 30 lipca 2023 r.



*Paweł Seligman przy pulpicie sztumskich organów, fot. W. Bielecki*

Organistę Pawła Seligmana ze Śląska Cieszyńskiego zaprosiliśmy do wykonania tegorocznego koncertu w Sztumie po oglądnięciu cyklu jego audycji pt. *Organowy kwadrans* na YT. Tych audycji jest obecnie ponad 80. Muzyk zaczął ich nadawanie w okresie pandemii. Początkowo była to tylko prezentacja znanych miniatur organowych z ich omówieniem, później prowadzący zaczął także prezentowanie organów – instrumentów w pobliskich kościołach: Brennej Leśnicy, Cieszynie, Skoczowie i w dalej położonych miastach: Jastrzębiu Zdroju, Tychach, Lubaczowie, Jarosławiu, Zamościu, Poznaniu i innych. Z przysłanego CV dowiedzieliśmy się, że jest on absolwentem z klasy organów prof. Juliana Gembalskiego w Akademii Muzycznej w Katowicach, organistą kościoła NMP Królowej Polski w Pogórze koło Skoczowa w diecezji bielsko-żywieckiej oraz nauczycielem w Państwowych Szkołach Muzycznych w Cieszynie oraz Jastrzębiu-Zdroju, gdzie prowadzi klasy organów. Ma w swoim dorobku 10 wydanych płyt CD, w tym 6 z solową muzyką organową oraz liczne koncerty w kraju i zagranicą: Wielka Brytania, Norwegia, Austria, Francja, Niemcy, Słowacja, Czechy.

Podczas XIV koncertu organowego w kościele św. Anny w Sztumie w ostatnią niedzielę lipca br. artysta zaprezentował szeroki i urozmaicony program w którym, jak sam powiedział: *zagra koncert przekrojowy ukazujący możliwości sztumskich organów, ale też różne style w muzyce*. Koncert zaczął się i zakończył utworami Nowowiejskiego. Na początku były to

melodyjne *Medytacje*. Ich nuty, uważane za zaginione, zostały odnalezione przez profesora Ireneusza Wyrwę w antykwariacie pod Londynem. Był to jeden z trzech utworów wysłanych na konkurs we Francji. Melodię *Medytacji* wykorzystał Nowowiejski w arii „Kocham Bałtyku fale” oraz we wspaniałej uwerturze do opery „Legenda Bałtyku”. W Sztumie słyszeliśmy je po raz pierwszy dość dawno temu, bo w 2012 r. w wykonaniu Ireneusza Wyrwy. Utwór ten mógł przekonać słuchaczy, że – jak to zapowiedział wykonawca – *Nowowiejski był doskonałym melodystą, potrafił komponować przepiękne melodie*.

W programie znalazły się też dwa utwory kompozytorów czeskich: *Marsz w stylu Haendla* Bedřicha Antonína Wiedermanna oraz urocza *Fantazja e-moll* Jana Křtitela Kuchařa. Był to swoisty ukłon organisty mieszkającego na Śląsku Cieszyńskim w stronę sąsiadów zza Olzy. Z dawniejszych czasów, sięgających Renesansu, usłyszeliśmy *Fantazję w manierze echa* niderlandzkiego twórcy Jan Pieterszooona Sweelincka. Następnie wykonane zostały utwory Bachów – ojca i syna. Z przyjemnością słuchałem bardzo znanego *Preludium chorałowego nt. Wachet auf, ruft uns die Stimme* (Przebudźcie się, woła nas głos) Jana Sebastiana Bacha oraz nieznaney mi części I z *Sonaty F-dur* Carla Philippa Emanuela Bacha. Kompozytor ten, zwany Bachem berlińskim lub hamburskim, uznawany jest za najwybitniejszego kompozytora spośród synów Jana Sebastiana. Tworzył już w stylu klasycznym, a nie barokowym i w tamtym okresie przewyższał sławą swojego ojca. Nastrojowa *Fantazja nt. pieśni 'Lobe den Herren'* (Głoś imię Pana) Duńczyka Nielsa Wilhelma Gade skłaniała słuchaczy do refleksji. W końcowej części wieczoru usłyszeliśmy utwory kompozytorów francuskich z XIX wieku: nostalgiczne *Communio* Alexandre'a Guilmanta oraz najbardziej wirtuozowski utwór wykonany podczas tego recitalu, żywiołową *Toccatę h-moll* Eugene'a Gigouta. Koncert zakończyła improwizacja Pawła Seligmana na temat „Hymnu Warmii” F. Nowowiejskiego zaczynającego się od słów „O Warmio moja miła, rodzinna ziemio ma” Na bis organista zagrał skoczno *Marsza* Jacquesa Louisa Battmanna.

Koncertu słuchali liczni melomani ze Sztumu i okolic oraz – co się zdarzyło po raz pierwszy w czternastoletniej historii – grupa słuchaczy z Mątów Wielkich i Miłoradza, czyli z byłej parafii ks. Andrzeja Starczewskiego. Przyjechali oni do Sztumu autokarem, ale tak się zdarzyło, że autokar popsuł im się w drodze, więc zadzwonili do prowadzącego koncert księdza Proboszcza, aby opóźnił nieco rozpoczęcie koncertu. I tak się stało.

A jak koncert został odebrany przez słuchaczy? Aby się w tym zorientować, przeprowadziłem mały sondaż telefoniczny, w którym dziesięć osób zapytałem o wrażenia z koncertu wykonanego przez Pawła Seligmana. Wszystkie odpowiedzi były pozytywne. Słuchaczom spodobało się to, że program koncertu był przekrojowy i zawierał wiele „mniejszych form”, tzn. nie było zbyt długich utworów organowych, które mogłyby być niezrozumiałe dla odbiorców. Podkreślano, że organista ciekawie zapowiadał wykonywane miniatury, sypiąc jak z rękawa muzycznymi anegdotami, ale nie za długimi.

A jaki utwór spodobał się najbardziej? Odpowiedzi na to pytanie były różne. Paru osobom spodobał się utwór Carla Philippa Emanuela, syna Bacha, inni zachwycili się improwizacją nt. *Hymnu Warmii* (niektórzy śpiewali ją w chórze), a jeszcze innym wpadła do ucha *Toccatą* Gigouta. Z tego można sądzić, że program koncertu trafił w gusta muzyczne słuchaczy.

Na koniec tej relacji wypada przypomnieć, że XIV koncert w sztumskim kościele św. Anny został zorganizowany z okazji 103 rocznicy pobytu znakomitego polskiego kompozytora Feliksa Nowowiejskiego w Sztumie przed plebiscytem na Warmii, Mazurach i Powiślu w 1920 roku oraz

146-tej rocznicy Jego urodzin. Sztumskie organy zostały zbudowane w 1901 roku przez firmę *A. Terletzki inh. Ed. Wittek* z Elbląga. Do obecnego koncertu przygotował je organmistrz Piotr Duda. Niezawodnym organizatorem koncertu było Sztumskie Centrum Kultury oraz Parafia św. Anny w Sztumie.

## KONCERTOWANIE PO TORUŃSKU

sobota, 5 sierpnia 2023 r.



*Toruńska Orkiestra Symfoniczna, a na przedzie osiem solistek - Koreanek, fot. W. Bielecki*

W Centrum Kulturalno-Kongresowym Jordanki w Toruniu wysłuchałem koncertu symfonicznego w ramach 27. Międzynarodowego Festiwalu „Nova Muzyka i Architektura” zatytułowanego: „Wieczór koreański – głosy wybitnych”. Nie był to, jak sugeruje tytuł, koncert wokalny, tylko występy ośmiu pianistek z Korei Południowej z zespołu o włoskiej nazwie „Koncert Piano Cantabile”.

Był to dla mnie dość dziwny koncert, co wyjaśnię za chwilę. W jego programie były cztery utwory: dwa koncerty fortepianowe Mozarta – *17 Koncert fortepianowy G-dur* i *10 Koncert na dwa fortepiany Es-dur* oraz *Koncert c-moll na dwa fortepiany* J.S. Bacha i *Karnawał zwierząt* Camille’a Saint-Saënsa w którym grają także dwa fortepiany. Toruńską Orkiestrą Symfoniczną dyrygował zastępca dyrektora ds. artystycznych, Litwin – Dainius Pavilionis, a konferansjerkę prowadziła Urszula Urzędowska.

Już na początku przy pierwszym utworze zdziwiłem się kiedy to publiczność zaczęła klaskać po wykonaniu pierwszej części koncertu. Melomani klaskali, bo pianistka wstała, ukloniła się i wyszła z estrady, a jej miejsce przy fortepianie zajęła druga Koreanka, która zakończyła koncert. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że koncert Mozarta składa się z trzech części, a tymczasem w tym toruńskim wykonaniu pominięto drugą, wolną część – melodyjne *Andante*, nie uprzedzając o tym słuchaczy.

Podobny, niezapowiedziany skrót wydarzył się przy wykonywaniu słynnego *Karnawału zwierząt* Saint-Saënsa. Utwór ten składa się z 14 części, ale na Jordankach pominięto niektóre z nich, także nie informując o tym publiczności. Nie chcę tu dochodzić, które części nie zostały wykonane, ale faktem jest, że utwór trwający standardowo około 23 minut skrócono do 16 minut.

Dziwiłem się także, kiedy prowadząca koncert rozwodziła się nad tym, jakim to „awanturnikiem” był Jan Sebastian Bach, ale najbardziej zbulwersowało mnie to, że nie dowiedziałem się niczego o występujących na estradzie ośmiu koreańskich pianistkach.

Na początku usłyszałem tylko, że „Koncert Piano Cantabile”, to „wspaniałe artystki z Korei Południowej, wdzięk, talent, urok.” I dosłownie nic więcej, oprócz imion i nazwisk pianistek. Ani słowa o tym, gdzie i u kogo się kształciły, czy zdobyły jakieś nagrody, gdzie występowały... Trzeba tutaj wyjaśnić, że na koncercie nie było wydrukowanych programów i słuchacze zdani byli tylko na słowa konferansjerki. Dodam, że po zakończeniu występu, kłaniające się nisko koreańskie pianistki nie otrzymały nawet po jednym kwiatku róży. Dziwne to, zaiste, jakieś toruńskie obyczaje koncertowe.

## ORGANY I HARFA Z BURZĄ W TLE

niedziela, 6 sierpnia 2023 r.



*Harfistka prof. Anna Sikorzak-Olek, fot. W. Bielecki*

W kościele św. Maksymiliana Kolbego znajdującym się na odległym o 5 km od centrum Grudziądza osiedlu Strzemięcín wysłuchałem koncertu w ramach „VII Festiwalu Muzyki Organowej i Kameralnej”. Solistów było dwoje: Anna Sikorzak-Olek, harfistka oraz Daniel Strządała, organista. Koncert był ułożony tak, że artyści zagrali na przemian po pięć utworów. Rozpoczął i zakończył organista, absolwent, a obecnie asystent w Katedrze Organów

i Muzyki Kościelnej Akademii Muzycznej w Katowicach. Zagrał *Preludium* Ditricha Buxtehudego, *Allegretto* Alexandra Guilmanta i na koniec hymniczny utwór Sigfrieda Karg-Elerta. Najciekawsze były jednak jego improwizacje na temat pieśni maryjnych, jedna, wspianała w stylu barokowym, a druga w stylu symfonicznym. Ta ostatnia, której tematem była pieśń „Po górach dolinach”, była niezwykle udana i po prostu śliczna. Daniel Strządała grał na 15-głosowych organach Seiferta (czyli mniejszych niż sztumskie), sprowadzonych do Grudziądza z Niemiec w 2008 roku. To dość cichy instrument jak na dużą bryłę kościoła, w której akustyka jest nienajlepsza ze względu na duży pogłos. Podobnie jest w sztumskim kościele św. Andrzeja Boboli.

Harfistka, Anna Sikorzak-Olek jest pedagogiem w Akademii Muzycznej w Gdańsku. Uczy także na harfie w szkołach muzycznych w Poznaniu i Warszawie. W jej wykonaniu usłyszeliśmy: *Fantazję c-moll* Louisa Spohra, *Passacaglię* J. F. Haendla, *Fandango* M.P. Davlimare’a, charakterystyczny utwór *U źródła w lesie* M. Tourniera oraz *Mazurka* Feliksa Nowowiejskiego. Ten ostatni utwór spodobał mi się szczególnie. Byłem zaskoczony, że ten znany mi kompozytor napisał tak efektowny utwór na harfę. Nuty tego dzieła zostały odkryte przez harfistę w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu i są jej zdaniem „perłą” wśród utworów skomponowanych na harfę przez polskich kompozytorów.

Koncert był udany, dopisała publiczność, gorzej było z pogodą, bo akurat burza z piorunami przechodząca nad Grudziądzem zagłuszała dźwięk harfy tak, iż artystka zdecydowała się na powtórzenie jednego z utworów, kiedy grzmoty umilkły. Trochę dziwna była przyjęta konwencja koncertu, w której artyści nie zagrali żadnego utworu razem. Podobno tak samo jest na koncertach w Kamieniu Pomorskim, a chodzi o to, że kiedy występują dwa instrumenty, to koncert jest bardziej urozmaicony i ciekawszy dla słuchaczy.

Występy solistów zapowiadała dr hab. Hanna Dys, dyrektor grudziądzkiego festiwalu i organistka, uczennica profesora Romana Peruckiego z Akademii Muzycznej w Gdańsku, obecnie tam pracująca. Dodam, że oprócz bardzo rzeczowych zapowiedzi, każdy ze słuchaczy miał na ławce wydrukowany na kolorowym papierze program koncertu z biografią występujących muzyków oraz ze spisem wykonywanych przez nich utworów.

## CHOPIN NA WAKACJACH W STAŻKACH

sobota, 19 sierpnia 2023 r.

Tego jeszcze na Ziemi Sztumskiej nie było. Przed pałacem w położonej na uboczu małej wsi Stażki w gminie Mikołajki Pomorskie odbył się koncert fortepianowy w ramach festiwalu *Chopin en vacances (Chopin na wakacjach)*. Pomysłodawcą festiwalu jest Michał Korsak z małżonką Beatą z dworu Wyręby koło Rypina, niedaleko chopinowskiej Szafarni. Inspiracją dla nich były wakacje młodego Chopina spędzane na Ziemi Dobrzyńskiej, gdzie gościł i koncertował we dworach i pałacach miejscowej szlachty i arystokracji, np. w 1826 r. w Szafarni, Obrowie, a w 1827 r. Kikole, Turznie, Kozłowie. Poza tym, jak opowiadał Michał Korsak prowadząc koncert: *Parę lat temu wpadliśmy na pomysł, żeby jeździć z fortepianem po wsiach, albowiem kontakt z muzyką pianistyczną jest trudny, bo: trzeba mieć*



*Koncert chopinowski przed pałacem w Stążkach, fot. W. Bielecki*

*czas, trzeba pojechać, trzeba zapłacić za bilet, trzeba się ubrać. To są czasami tak duże uwarunkowania, że ludzie po prostu nie jadą na koncert. Nie jadą nawet do pobliskiej Szafarni. Więc postanowiliśmy, że pojedziemy do nich, postawimy im fortepian w miejscu gdzie przyjdą, no chociażby z nudów. Ten pomysł chwycił. Na koncerty przychodziło nawet po czterysta osób. Okazało się, że muzyka Chopina jednoczy nas, że lubimy jej słuchać, że jest to coś niesamowitego, co czasami nas wzrusza, więc warto takie rzeczy robić.*

W tym roku festiwal odbył się po raz siódmy. Zgodnie z jego formułą do udziału w imprezie zaproszeni zostali są młodzi, wybitnie uzdolnieni pianiści, by zagrać recitale – jak to jest podane w książce programowej – w miejscach dawnych dworów szlacheckich zapisanych w zbiorowej pamięci Polaków jako ośrodki polskiej kultury i ciągłości narodowej tradycji. W obecnej edycji festiwalu zaplanowano 21 recitali, najczęściej w mało znanych miejscowościach, np. Parskach nad Nerem za Ziemi Łęczyckiej, Bugaju w Wielkopolsce, Komierowie na Pomorzu, Susku Starym na Mazowszu, Nawrze na Ziemi Chełmińskiej, Skomorochach Dużych na Zamojszczyźnie. Do koncertowania w czasie wakacji zaproszono ponad czterdziestu wykonawców. Na ogół są to pianiści młodzi i mało znani, a wśród tych bardziej rozpoznawalnych znalazłem niewielu: Krzysztofa i Andrzeja Wiercińskich, Piotra Pawlaka i Aleksandrę Świąt.

Do koncertu w Stążkach został zaproszona Kamila Wawrzyńczyk oraz Jan Jakub Zieliński, oboje urodzeni w 2001 r. Kamila jest obecnie studentką III roku studiów licencjackich w Akademii Muzycznej w Katowicach w klasie prof. Wojciecha Światały, znanego pianisty i jurora Konkursów Chopinowskich. Przed pałacem w Stążkach wykonała tylko utwory

Chopina: cztery *Mazurki z op. 33*, *Etiudę e-moll op. 25 nr 2*, *Nokturna fis-moll*, *Poloneza cis-moll*, *Barkarolę Fis-dur* i na zakończenie *Scherzo cis-moll*. Jej prezentacja miniatur Chopina była niezła, chociaż brakowało mi widocznego żaru, wykonawczej pasji.

Jan Jakub Zieliński kontynuuje studia w Akademii Muzycznej w Bydgoszczy pod kierunkiem prof. Katarzyny Popowej-Zydroń, przewodniczącej jury w Konkursach Chopinowskich. Poprzednio studiował u prof. Janusza Olejniczaka na Uniwersytecie Muzycznym Fryderyka Chopina w Warszawie, a jeszcze wcześniej w kilku szkołach we Francji. Widocznie to sprawiło, że do utworów Chopina dołączył dzieło francuskiego kompozytora Césara Francka. Z miniatur Chopina usłyszeliśmy: *Nokturna Des-dur*, *Etiudy: E-dur (zwaną „Żal”) i Ges-dur (na czarnych klawiszach)*, trzy późne *Mazurki: a-moll, B-dur i g-moll* oraz *Balladę F-dur*. Swój występ pianista zakończył *Preludium, choralem i fugą* Césara Francka. Przed wykonaniem młody muzyk próbował objaśnić publiczności uroki i zawłości tego dzieła. Zaczął od zagrania krótkiego temat chorału i komentował: – *Ten chorał pojawia się trzy razy, a to jest jakby dialog między melodią ziemską a melodią niebiańską, po prostu to są anioły, które przychodzą i które łączy Wszechświat... Może Państwo zrozumieją to wszystko, jak to zagram* – mówił pianista do rozbawionej tymi słowami publiczności.

Moim zdaniem, znacznie lepiej wypadło wykonanie tego pięknego utworu na fortepianie, niż próba opowiedzenia o nim. Artysta grał, podobnie jak utwory Chopina, z dużą dojrzałością, dbałością o frazę i dynamikę. Szkoda tylko, że tak długi utwór, trwający z omówieniem ponad 23 minuty, wstawiono na koniec recitalu. Cały zaś koncert trwał dwie godziny z kwadransem bez przerwy, przypominam – w plenerze przed pałacem i słonecznej spiekocie. Mimo to publiczność licząca około 150 melomanów obdarzyła wykonawców gromkimi brawami, a organizatorzy wiązkami kwiatów.

Koncert przed pałacem w Stążkach okazał się udanym przedsięwzięciem. Zorganizowała go Gmina Mikołajki Pomorskie, a jak się dowiedziałem w kuluarach, jego *spiritus movens* był Krystian Zdziennicki, sztumski historyk i działacz. Czy dojdzie do powtórki koncertu za rok, jak to sugerował Michał Korsak? Oby!

Hanna Walentynowicz-Tkaczyk



## SZTUKA JEST POTRZEBĄ DUSZY

Sztuka nie jest dla mnie „wypełniaczem” wolnego czasu. Jest potrzebą duszy i chęcią podzielenia się z innymi radością płynącą z piękna otaczającego świata. Przygodę ze sztuką zaczęłam na kilka lat przed emeryturą, kiedy jeszcze nauczałam matematyki w szkole średniej.

Zaczęłam od tkactwa artystycznego. Jego arkaną poznawałam pod okiem znakomitego artysty tkacza – Henryka Sokalskiego, który prowadził i nadal prowadzi pracownię na Przymorzu. Już pierwsza moja tkanina zdobyła wyróżnienie na ogólnopolskim konkursie tkackim w Częstochowie.

Wykonałam projekty i zrealizowałam 32 tkaniny, które do dziś zdobią domy w Polsce, Kanadzie, USA, Anglii, Szwecji, Niemczech i Grecji.

Kiedy mój kręgosłup powiedział „stop”, zajęłam się malarstwem.

Maluję różnymi technikami – olejem, akrylem, temperą, pastelami. Jednak moją ulubioną techniką jest impresyjna i ulotna akwarela. Swoją malarską drogę zaczęłam właśnie od niej.

Akwarela jest najtrudniejszą techniką malarską, która odznacza się między innymi tym, że trzeba mieć opanowany warsztat. W akwreli nie można popełnić błędu – nie da się go zetrzeć ani zamalować. Jedynie drobne uchybienia można bardzo ostrożnie zmyć. Jeśli nie ma wyjścia, można włączyć temperę, ale to już nie będzie „czysta” akwarela. Najlepiej wygląda malowana techniką *alla prima*.

Trzeba jak w szachach planować pięć ruchów wcześniej, aby wydobyć z niej nie tylko wszystkie jej możliwości, ale jeszcze coś więcej... Tak właśnie malował mój mistrz Zbigniew Szczepanek – jeden z najlepszych polskich akwarelistów. Kiedy przedstawiłam mu swoje prace – wynik paroletniej pracy samouka, powiedział krótko: „pani Hanno, ja już niczego panią nie nauczę”. Mimo tak wielkiego uznania, które w tym momencie obezwładniło mnie do tego stopnia, że nie mogłam utrzymać w dłoni pędzla, skończyłam kurs „technika akwareli” prowadzony przez Zbigniewa Szczepanka i otrzymałam upragniony certyfikat.

Od lat jestem członkiem Stowarzyszenia Nadbałtyckich Plastyków im. Mariana Mokwy w Gdańsku. Moje osiągnięcia artystyczne w zakresie malarstwa:

- udział w 10 wystawach zbiorowych i 5 wystaw indywidualnych,
- III nagroda w Przeglądzie Twórczości SNP 2001,
- II nagroda w konkursie „Światło i cień” 2002,
- I nagroda w konkursie „Gdańsk nasze miasto” 2003.

Twierdzę, że malarskich tematów jest tyle, ile kropli w morzu. Wybieram z nich i przetwarzam na obrazy wszystko, co najbardziej kocham – morze, lasy, drzewa, architekturę

(szczególnie gdańską), kwitnące łąki, owocowe sady, konie jak z bajki, kwiaty jak ze snu, wiejskie chaty pokryte strzechą, które już niemal zupełnie znikają z polskiego pejzażu.

Inspiracją są obszerne zbiory wykonanych przeze mnie fotografii, ale też własna wyobraźnia. Te drugie lubię najbardziej. Nawet jeśli maluję na podstawie zdjęć, wyobraźnia sama mi się „włącza” i efekt końcowy najczęściej jest daleki od zdjęć.

Z zasady nie znoszę robienia replik swoich obrazów, bo w nich nie czuję tego ładunku emocjonalnego, jaki jest obecny przy malowaniu oryginału.

Pragnę, by w aktualnym, pełnym zagrożeń świecie, moje obrazy miały w sobie kojącą łagodność, aby była w nich też nostalgia pobudzająca wyobraźnię i oczarowanie.



Paulina Hoppe-Gołębowska



## O PRZEKLEŃSTWACH I NIE TYLKO...

*Podoba mi się*, pomyślałam czytając pierwszą część eseju Andrzeja C. Leszczyńskiego pt. *Przekleństwa*<sup>1</sup>. Przekleństwa nie są mi obce. Siarczyste nierzadko przynosi ulgę umęczonym rodzicielskim nerwom.

Muszę przyznać, że czasem ze swoim ostrym językiem miałam kłopot i dylemat. Dylemat natury moralnej, bo nam dziewczynkom wpaja się, że wulgaryzmy to fe, że przeklinać nie przystoi. Mamy być grzeczne i wysławiać się ładnie, elokwentnie. No i proszę, moje wątpliwości rozwiął pan Andrzej, pisząc dwa zdania:

*„Przekleństwo jest sposobem na wyrażenie bólu, cierpienia lub bezsilności”.*

*„Wulgaryzm to słowo pololite, używane powszechnie i beznamyennie, zamiast przecinka.”*

Czytając je pierwszy raz moje szare komórki poruszyły się niespokojnie, a po kilku kolejnych razach z mojego serca spadł kamień tak wielki, że cały blok zadrzał w fundamentach. Nie od dziś wiadomo, że bycie rodzicem to wyzwanie, które sprawia, że dorosły człowiek balansuje to na skraju załamania nerwowego, to na skraju szaleńczej miłości, której obiektem jest potomek. Pośrodku tego wiru króluje bezradność, która jest częstym towarzyszem każdego rodzica. Pojawia się wraz z pierwszym przekroczeniem przez potomka progu szkoły i regularnie wraca wraz z jakże niepożądanymi zachowaniami czy słowami, które serwuje nam latorośl. W takim wypadku przekleństwo ma dwie funkcje, nad którymi nikt się nie zastanawia. Pierwsza z nich i w moim odczuciu najważniejsza, to wentyl. Prawdziwy wentyl, który ratuje zdrowie psychiczne osoby zmęczonej rodzicielstwem. Gdyby wpajane mi od dziecka posłuszeństwo przyniosło pożądane efekty, zamiast soczystego *urwał Mac* z moich ust padałoby spokojne:

*Oddal się chłopcze, acz nie rączę za się. Bacz, iż moje zszargane nerwy są na wyczerpaniu.*

Gdzie tu wentyl? Przecież w tym zdaniu nie ma nawet miejsca na wykrzyknik, a każdy *Mac* dla czystej zasady i podkreślania dramaturgii musi kończyć się wykrzyknikiem. No i zwróćcie uwagę, że przytoczone przeze mnie zdanie jest nie tylko pozbawione wykrzyknika, ale brak w nim bomby emocjonalnej, o której pisze Pan Andrzej. A przecież to emocje czynią nas, ludzi, autentycznymi w naszych poczynaniach. Świadczą o zaangażowaniu w sprawę, a ciężko być rodzicem bez zaangażowania w rodzicielstwo. Siłą rzeczy angażujemy się, już choćby przez fakt wydania potomka na świat. Z doświadczeń koleżanek wiem także, że już wtedy towarzyszą co odważniejszej niewieście przekleństwa przynoszące ulgę wśród porodowych bólów. Sama, będąc po dwóch cesarkach, pamiętam pierwsze chwile wstawania z łóżka, którym towarzyszyło wyszeptane pod nosem *„o ja cię ...dołę”*. Na tyle

<sup>1</sup> „Prowincja” nr 2/52

dyskretnie, na ile możliwe to było w sali czteroosobowej, gdzie szczęśliwe mamy karmiły swoje kilkugodzinne maleństwa. Najważniejsze chwile w życiu, chwile pełne emocji, okraszane równie emocjonalnymi przekleństwami. Można śmiało stwierdzić, że to bezpardonowy wstęp do roli rodzica, a z każdym dniem jest tylko lepiej. Pierwsza kupa, pierwsza źle założona pieluszka... pierwsza kupa przy rozszerzaniu diety... pierwsza wyprawa do żłobka, pierwsze lekcje w szkole. Pierwsze nieporozumienia.. i te kolejne. Solidne *urwał* jest jak tytanowa tarcza pozwalająca zachować zdrowie psychiczne. I ta wypowiedziana w myśli, i ta wypowiedziana na głos.

W 2009 roku psycholog Richard Stephens z Keele University przeprowadził badanie, w którym prosił uczestników o włożenie ręki do lodowatej wody. Część uczestników miało pozwolenie na przeklinanie i to właśnie oni wytrzymywali aż 40 sekund dłużej odmrażając sobie dłoni niż ci, którzy musieli siedzieć cicho. Choć jednoznacznie nie potwierdzono tej teorii, to część ludzi świata naukowego uważa, że jeśli w reakcji na ból przeklinamy, uruchamiamy ciało migdałowe, które do krwi wysyła adrenalinę, dzięki której czasowo zmniejsza się odczuwanie bólu. Naukowcy badają tu ból fizyczny, ale ból emocjonalny to również ból. Uważam, że nawet gorszy niż ten fizyczny. Nie ma co ukrywać, dzieci są mistrzami emocjonalnych tortur, a żaden jeszcze naukowiec nie wymyślił takiego znieczulenia, by podobnych boleści uniknąć. Naturalnie więc z pomocą przychodzą przekleństwa, bez których, w moim skromnym mniemaniu, nie da się być rodzicem. Mało tego, uważam, że rodzic, który nie przyznaje się do przeklinania, choćby w myśli, zwyczajnie kłamie. Nie da się być rodzicem i nie używać starodawnych zaklęć pospolitego ludu. Mówimy tu o minimum osiemnastu latach próby przetrwania w dobrym zdrowiu psychicznym, a nie kilkuminutowym trzymaniu dłoni w lodowatej wodzie!

Wybrzmienie przekleństw to także ostateczne ostrzeżenie dla potomka, że lód rodzicielskiej cierpliwości, po którym stąpa, zaczyna trzeszczeć, a jego załamanie nie przyniesie nic dobrego. Naginanie i testowanie granic to życiowa rola każdego dziecka, które brawurowo poczyna sobie w tym temacie. Natomiast cierpliwość rodzica jest jak papier toaletowy: zawsze kończy się w niedogodnym momencie, natomiast konsekwencje takiej sytuacji, oględnie pisząc, są smrodliwe. I przeważnie to najstarszy w stadzie musi się nawdychać, zanim wszystko uprzątnie.

Dlatego też śmiem twierdzić, że przekleństwa stanowią nieodłączną część rodzicielstwa. Są ostatnią deską ratunku dla zdrowia psychicznego i wyraźnym znakiem dla dziecka, że krok dalej oznacza skok w przepaść. Podkreślają autentyczność i zaangażowanie osobnika dorosłego w stadzie w wychowanie, a także niejako sygnalizują dojrzałość i otarcie się o wychowawczą bezradność. Niosą ogromny ładunek emocjonalny, który, jeśli nie zostanie odwentylowany, odłoży się w organizmie i przypomni o sobie w fizycznych schorzeniach.

Żeby było jasne: nie oczekuję, że teraz dorośli ciągnący ze sobą pociechy przez miasto będą rzucali na lewo i prawo *podwórkową łaciną*, a społeczeństwo będzie biło brawo i cieszyło się, bo rodzic dba o swoje zdrowie i jest w tym autentyczny. Tradycyjnie staram się odczarować rodzicielstwo z szat świętości i stać w opozycji do powtarzanych od pokoleń sformułowań typu: *nie przeklinaj przy dziecku!* Bo w sumie dlaczego nie? Prędzej czy później dziecko i tak się zetknie z niecenzuralnym słownictwem i z dwojgą złego wole, by moją rolą było wytłumaczenie tych słów, niż kolegi z podwórka. Poza tym uważam, że słowa

mają taką moc i takie znaczenie, jakie im nadamy. Tu posłużę się kolejnym cytatem, który pokochałam od pierwszej chwili, gdy szukałam źródeł do uzasadnienia swoich racji:

*„Przekleństwa są obraźliwe, ponieważ ludzie są gotowi, by się obrazić.”*

Tak uprosił sprawę autor i ekspert od języka angielskiego Philip Goodin. Oznacza to tyle, że język jest żywy, a znaczenie słowom nadaje człowiek. Wiadomym jest, że jeśli zaczniemy przeklinać – obrażając drugiego człowieka, świadczy to o nas. Tu zawsze liczy się intencja, a granica staje się cienka. Jednak złamanie zasad językowych i używanie słów społecznie nieakceptowalnych, gdy mamy do czynienia z buntowniczym potomkiem, ma aspekt terapeutyczny i żaden rodzic nie powinien mieć z tego powodu wyrzutów sumienia.

Zastanawiając się, jak zgrabnie zakończyć ten esej, wracam pamięcią do dnia, gdy Szymek miał może cztery lata. Był to fajny czas, kiedy wszystko wydawało się prostsze, a dziecię (z dzisiejszej perspektywy) było jakieś łatwiejsze w obsłudze. Właśnie jednego takiego poranka, przy niedzielnym śniadaniu, Arek postanowił sprawdzić, jak niecenzuralny język wpływa na wychowanie dziecka.

– Szymon.... – zagaduje ojciec – czy ty znasz jakieś brzydkie słowa ?

– Yhym... - odpowiada beztróska

– A jakie? – draży Arek

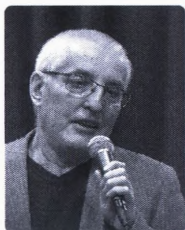
– \*ulwaaaa – zaczyna spokojnie Szym, po czym wymienia jeszcze kilka, swoim dziecięcym głosem, jakby alfabet recytował. Stoimy razem, zdumieni beztróską, z jaką padają przekleństwa. Słowa to słowa, w głowie dzieciaczka nic szczególnego. Otrząsam się z wrażeń i pozornie spokojnym głosem mówię:

– Ale wiesz, że takich słów nie wolno używać? – upewniam się, czy jestem kryta i czy własna matka nie urwie mi głowy. Szymek mnie uspokaja, jednak z lekkim lękiem jadę do rodziców. Bo jaką mam gwarancję, że się nie wymysknie młodemu?

Na szczęście głowy do dnia dzisiejszego nie straciłam, choć doszłam do momentu, gdzie poważna rozmowa z babcią moich dzieci miała miejsce. Żałuję, że wtedy nie mogłam przytoczyć słów Pana Andrzeja, który tak poruszył moje matczyne serce i przywrócił wiarę, że droga, jaką obieram będąc rodzicem jest zwyczajnie ludzka. Na koniec przytoczę słowa znajomego lekarza, który niestety nie mógł mnie poratować soczyście zabawną historią z porodówki, udowadniająca, że przekleństwa towarzyszą nam od pierwszych chwil rodzicielstwa, jednak mimo wszystko dyplomatycznie potwierdził teorię o wentylowaniu.

*Porodówka to dopiero początek rodzicielstwa. Potem napięcie wzrasta.*

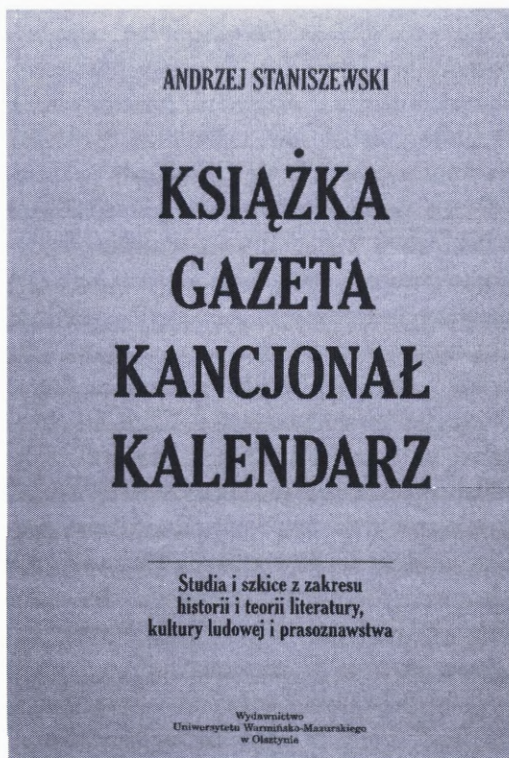
Janusz Ryszkowski



## ŚWIAT PRZEGLĄDA SIĘ W GAZETACH

*Andrzej Staniszewski, Książka-gazeta-kancjonał-kalendarz. Studia i szkice z zakresu historii i teorii literatury, kultury ludowej i prasoznawstwa, Wydawnictwo Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Olsztyn 2023.*

Na początku lat 70. ubiegłego wieku zespół redakcyjny „Słowa na Warmii i Mazurach”, olsztyńskiego dodatku do ogólnopolskiego dziennika „Słowo Powszechne”, zainicjował wśród czytelników kwerendę archiwalnych numerów „Gazety Olsztyńskiej”, która ukazywała się w latach 1986–1939. Z terenu Powiśla posiadane egzemplarze zgłosili wówczas Filomena Bartnicka (Mikołajki Pomorskie), Helena Tomaszewska, kierowniczka Muzeum Powiśla w Sztumie i Alfons Lemański, kierownik Muzeum Zamkowego w Kwidzynie. Tylko w sztumskim muzeum znajdowało się 185 egzemplarzy „Gazety Olsztyńskiej” i około 40 dodatków do niej z lat 1922–1939. Zostały one w większości zebrane podczas społecznej akcji poszukiwania artefaktów na wystawę etnograficzną poświęconą przeszłości Ziemi Sztumskiej. Dało to początek izbie regionalnej, otwartej w 1968 w salach sztumskiego zamku, a cztery lata później już placówce muzealnej. Poszukiwanie egzemplarzy „GO” nie zakończyło się w zasadzie do dziś, badacze jej dziejów mają do dyspozycji mocno niekompletne roczniki.



Fakt, że jeszcze prawie 20 lat po drugiej wojnie światowej udało się znaleźć niemało egzemplarzy, świadczy o tym, że spory ich strumień docierał na Powiśle, do tych miejscowości powiatu sztumskiego, gdzie były znaczne skupiska polskie. Nie jest też specjalnie dziwne, że w wyniku wspomnianej zbiórki do sztumskiego muzeum trafiły egzemplarze z lat 1922–1939, a nie z okresu wcześniejszego. Wiąże się to w głównej mierze z tym, że po przegranych przez

stronę polską plebiscytach na Powiślu, Warmii i Mazurach (11 lipca 1920) powstaje w Olsztynie jeszcze pod koniec tego samego roku organizacja, która ma zapewnić obronę interesów mniejszości polskiej. To Związek Polaków w Prusach Wschodnich, a „Gazeta Olsztyńska” staje się jego organem prasowym, o czym wprost informowała w podwiniętą tytułową. Warto też pamiętać, że większość członków założycieli Związku Polaków w Prusach Wschodnich związana była ściśle z Powiślem. To zatem naturalne, że egzemplarze trafiała tam, gdzie Związek Polaków miał swoich członków. A okolice Sztumu wyróżniały się jako bardzo aktywne jego zaplecze. Powołano oddział Ziemi Malborskiej z siedzibą w Sztumie, którego sekretarzem został Kazimierz Jaroszyk, działacz narodowy, wcześniej redaktor „Mazura” wydawanego w Szczytnie. Nie pełnił jednak tej funkcji (zastąpił go Franciszek Barcz, pochodzący z Warmii), natomiast w styczniu 1921 roku objął funkcję redaktora naczelnego „Gazety Olsztyńskiej” i wydawanej do tej pory w Kwidzynie „Gazety Polskiej dla powiatów nadwiślańskich”. Umowę o pracę podpisał nie z wydawcą rodziną Pieniężnych, ale ze Związkiem Polaków w Prusach Wschodnich.

„Gazeta Olsztyńska”, jako organ Związku Polaków (i przezeń dofinansowywana) musiała siłą rzeczy realizować jego program. Jaroszyk, kierujący pismem w latach 1921–1928, nadał „Olsztyńskiej” swoje indywidualne piętno i był to - zdaniem badaczy - czas najlepiej redagowanej gazety w całej jej historii. Nie zawsze Jaroszyk zgadzał się na drukowanie u siebie materiałów prasowych przygotowywanych w centrali Związku dla polskich gazet wydawanych w Niemczech. Zarzucał im, że nie uwzględniają specyfiki Warmii i Powiśla i mogą być niezrozumiałe dla czytelnika „GO”. Tę zdaje się

bezkompromisowość w decydowaniu o gazecie przypłacił potem utratą stanowiska. Znajome?

Ten dość dygresyjny wstęp niech posłuży do prezentacji okazałego tomu (ponad 800 stron) studiów i szkiców profesora Andrzeja Staniszewskiego, publikowanych w wielu czasopismach naukowych latach 1977–1997. Książka ukazała się w 75 rocznicę urodzin badacza związanego nieprzerwanie z Wyższą Szkołą Pedagogiczną i następnie Uniwersytetem Warmińsko-Mazurskim w Olsztynie. Skupię się na dominującym w publikacji dorobku prasoznawczym.

Staniszewski, choć pracę doktorską poświęcił romantycznemu poematowi dygresyjnemu, a jego przewodem habilitacyjnym przeprowadzonym na Uniwersytecie Wrocławskim była „Tradycja czarnońska na Mazurach”, to jednocześnie tkwił mocno w tematyce prasowej. Po studiach (polonistyka na UMK) pracę naukowo-dydaktyczną w olsztyńskiej WSP łączył przez wiele lat z uprawianiem dziennikarstwa w popularnym kolorowym tygodniku „Panorama Północy”. W drugiej połowie lat 80. wydał monografię o młodym reportażu „Życie w parterze”. Na styku badań prasoznawczych i regionalnych była też książka „Rok pruski: życie codzienne wsi polskiej na przełomie XIX i XX wieku w świetle korespondencji prasowych” (1995). To właśnie Staniszewski był inicjatorem powstania na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim studiów dziennikarskich (2002). Po trzech utworzono Instytut Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej, którym profesor kierował do emerytury. Zainteresowanie tym kierunkiem było ogromne. W 2005 r. na studiach licencjackich było łącznie prawie 370 studentów.

Tom zawiera m.in. dwa obszernie szkice poświęcone problematyce mniejszości narodowych prezentowanych w „Gazecie Olsztyńskiej” (1886–1939). W konkluzji autor stwierdza, że była „stałym elementem programu walki o język ojczysty, polską kulturę i historię. Konfrontacja uprawnień i dorobku z innymi mniejszościami narodowymi w Niemczech i poza ich granicami pozwalała na rzeczywistą ocenę własnego dorobku w tych dziedzinach. Im gorszy był bilans tych porównań dla strony polskiej, tym oczywistsze stawało się przekonanie o potrzebie dorównania innym narodom i mniejszościom narodowym”. Z uwagi na tematykę „Prowincji” chciałbym tylko zwrócić uwagę na apel do młodych Polek, który ukazał się w „GO” 1923 roku. Podpisał go „Powiślanin”, był to Franciszek Barcz, wówczas kierownik Polsko-Katolickiego Towarzystwa Szkolnego. Agitował on za werbowaniem członków do towarzystw polskich, propagowaniem polskiego śpiewu, gier towarzyskich. „Pieśni polskich mamy pod dostatkiem, aby móc wszędzie i zawsze kiedy tylko chęć do śpiewania przyjdzie, się nimi posłużyć, wypowiedzieć w nich swoje uczucia. Otóż, Polki śpiewajcie. Usłyszycie to wasz towarzysz, wasza towarzyszka i pociągniona czarem pieśni zacznie też śpiewać. (...) Co się dotyczy gier towarzyskich, to powinniśmy zaprowadzić w miejsce gier niemieckich nasze gry polskie. Tym Polkom, które już mają swoich wielbicieli radzę, by zachęcały ich do klubów sportowych polskich. Jak to

pięknie widzieć *swojego chłopca* jak walczy przy bramce”.

Staniszewski skrupulatnie przedstawił tematykę Mickiewiczowską oraz mazurską na łamach „Gazety Grudziądzkiej” (1897–1914). Z kolei Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu poświęcił dwa szkice – o obrazie Niemiec i Niemców w jego korespondencjach prasowych i odbiciu w prasie twórczości o tematyce litewskiej. Bardzo interesujące jest opracowanie dotyczące obecności Wojciecha Kętrzyńskiego na łamach prasy pomorskiej i wielkopolskiej w latach 1864–1873. Zaledwie pięć lat po opuszczeniu pruskiego więzienia, gdzie odbywał karę za udział w powstaniu styczniowym, „Gazeta Toruńska” określiła go już jako „historyka, który stanowi chlubę naszej prowincji pruskiej”. Niebawem kariera, zważywszy, że po zakończeniu wyroku dokończył jeszcze przerwane studia. Kolejne tematy to obraz Polski i Polaków oraz Litwy i Litwinów w prasie mazurskiej, Śląsk i Ślązacy w prasie zaboru pruskiego. Staniszewski sięga także do gazet bardziej współczesnych, analizując problematykę wileńską na łamach „Słowa na Warmii i Mazurach” (1952–1982).

Obecnie, dzięki digitalizacji zasobów prasowych, w bibliotekach cyfrowych mamy dawne gazety niemal pod ręką. Wiele osób korzysta z tej możliwości, niekoniecznie nawet w celach naukowych czy popularyzatorskich (regionalistów), ale też dla czystej radości z lektury. Po szkice prasoznawcze Andrzeja Staniszewskiego mogą sięgnąć i jedni, i drudzy. Nawet powinni.

# Noty o autorach

**Sujata Bhatt** – ur. w Ahmedabad w Indiach. Dorastała w USA, ukończyła Uniwersytet Iowa. Pisze w języku angielskim, mieszka w Niemczech. Opublikowała dziewięć tomów wierszy. Wielokrotnie nagradzana, m.in. jest laureatką Commonwealth Poetry Prize oraz Cholmondeley Award. W 2014 została pierwszą laureatką meksykańskiej nagrody Premio Internacional de Poesía Nuevo Siglo de Oro 1914–2014. Odbyła rezydencje artystyczne w wielu instytucjach, m.in. Poetry Archive w Londynie, Heinrich Böll Cottage na wyspie Achill oraz Bauhaus Foundation w Dessau. Tłumaczona na ponad 20 języków. Jednym z ważnych obszarów tematycznych poezji Sujaty Bhatt jest komunikacja i język jako świadectwo naszej obecności. W 50. numerze Prowincji ukazał się wiersz zatytułowany *Język* w przekładzie Krzysztofa D. Szatravskiego.

**Wacław Bielecki** – od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. Odznaczony Krzyżem Wolności i Solidarności. Dyrektor Poradni Wychowawczo-Zawodowej oraz szkół medycznych w Sztumie. Meloman, autor książki *Zapiski melomana z prowincji*.

**Krzysztof Czyżewski** – eseista i animator działań międzykulturowych; twórca Fundacji „Pogranicze” i Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów” w Sejnach; redaktor naczelny pisma „Krasnogruda” i szef Wydawnictwa Pogranicze, w którym redaguje m.in. serie „Meridian” oraz „Sąsiedzi”. Autor książek *Ścieżka pogranicza* (2001), *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* (2008), *Małe centrum świata* (2017). Wykładowca m.in. Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Wileńskiego, New School University (Nowy Jork), Transregional Center for Democratic Studies (Kraków), Boston University. Laureat Medalu św. Jerzego, nagród A. Gieysztorą i J. Giedroycia, nagrody Forum Ekonomicznego w Krynicy „Nowa Kultura Nowej Europy”. Laureat nagrody NEPTUNA, przyznawaną przez miasto Gdańsk.

**Katarzyna Gentkowska-Kubus** – ur. w Golubiu-Dobrzyniu. Absolwentka polonistyki i historii na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Nauczyciel pasjonat. Współorganizatorka Ogólnouczelnianych Konkursów Recytatorskich na UMK. Swoje zainteresowania badawcze koncentruje wokół XIX-wiecznej literatury i obyczajowości. Obecnie studiuje filologię angielską w Akademii Ateneum w Gdańsku.

**Adam Gwara** – ur. w 1955 roku w Białymstoku. Jest absolwentem Szkoły Filmowej w Łodzi. Obecnie mieszka w Izabelinie pod Warszawą. Pisze wiersze i limeryki. Wydał drukiem książeczkę dla dzieci *Bum cyk cyk!*, zbiór limeryków *Idiota z Gotham*, oraz dwie książki poetyckie – *Insomnie* i *Kręgi na wodzie*.

**Paulina Hoppe-Gołębiewska** – ur. w 1986 roku w Malborku, mieszkanka Sztumu od 2007 roku. Związana z fundacją Damy Radę, asystentka do spraw marketingu w Malborskiej firmie So Chic. W 2013 roku założyła blog pod nazwą Radość i Partyzantka. W 2021 przemianowała go na paulapisze.pl, gdzie w dalszym ciągu z dystansem pisze o codziennych sprawach.

**Andrzej Kasperk** – ur. 1958, absolwent polonistyki na Uniwersytecie Gdańskim (seminarium prof. Marii Janion), pisarz, badacz literatury, działacz opozycji demokratycznej (jeden z założycieli Niezależnego Zrzeszenia Studentów), doktor nauk humanistycznych; od 1985 zajmuje się pracą nauczycielską (Liceum Ogólnokształcące w Nowym Dworze Gdańskim). Nominowany do Finału Nagrody Literackiej Gdynia 2011 za książkę *Back in the DDR i inne opowiadania* (2010). Autor

tomu esejów *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło wschodnie* (2013) oraz tomu opowiadań *Koronczarka* (2013). W 2018 wydał *Mój płaski kraj Żuławy*. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). Żuławiak od urodzenia.

**Radosław Kubus** – ur. 1991 r. w Nowym Dworze Gdańskim. Absolwent historii i archeologii na Uniwersytecie Gdańskim. Specjalista ds. historii regionalnej w Bibliotece Elbląskiej, doktorant w Instytucie Historii UG. Swoje zainteresowania badawcze koncentruje wokół historii medycyny w epoce nowożytnej oraz dziejów prasy w I poł. XIX wieku.

**Andrzej C. Leszczyński** – urodził się w Chodzieży. Eseista, wykładowca akademicki, okazjonalnie nauczyciel licealny. Studiował pedagogikę i filozofię. Autor czterech książek i ponad 200 rozpraw i szkiców z zakresu filozofii człowieka, etyki, antropologii teatru. Promotor ponad stu prac magisterskich i licencjackich. Prowadził teatralne warsztaty komunikacji i ekspresji w kraju i za granicą.

**Andrzej Lubiński** – ur. 1952 r. w Gniewie. Absolwent historii w UMK w Toruniu. Prezes Towarzystwa Miłośników Sztumu. Publikacje w „Komunikatach Warmińsko-Mazurskich”, „Studiach Elbląskich”, „Roczniku Elbląskim”, „Prowincji”, „Z dziejów Sztumu i okolic”. Autor książki *W ich snach powracała Polska*. Mieszka w Sztumie.

**Alicja Łukawska** – ur. w 1959 r., absolwentka filologii polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy, później pracownik naukowy tejże uczelni, dziennikarka prasy lokalnej i krajowej, autorka książki *Duchy Kresów Wschodnich* wydanej w 2018 roku w wyd. von Borowiecky, współautorka książki *Córka organisty. Wspomnienia mieszkanki Pomorza*.

**Michał Majewski** – ur. w 1954 r. w Łęborku. Studiował na Wydziale Mechanicznym Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni. Jako mechanik pracował około 10 lat na statkach Polskich Linii Oceanicznych. Rzeźbi w drewnie, robi artystyczną stolarkę, renowację starych mebli i ich repliki. Debiutował prozą *Jadzia* (2015). W 2019 wydał zbiór opowiadań *Zanckula*, a w 2021 *Najdłuższy rejs i inne opowiadania*. Mieszka w Starogardzie Gdańskim.

**dr Janusz Mosakowski** – ur. 1972 w Grudziądzu. Literaturoznawca, adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej na Uniwersytecie Gdańskim, kierownik pracowni badawczej „Literackie Trójmiasto”, autor monografii *Dzieje Gdańska w niemieckiej powieści historycznej XIX wieku*, licencjonowany przewodnik trójmiejski, stały współpracownik „30 Dni”, tłumacz z języka niemieckiego.

**Piotr Napiwodzki** – ur. w 1972 w Jeleniej Górze, teolog, filozof, tłumacz, były dominikanin. W 2005 obronił doktorat na Uniwersytecie we Fryburgu Szwajcarskim. W latach 2006–2010 rektor Kolegium Filozoficzno-Teologicznego Dominikanów w Krakowie. *Ostatnio* w Bibliotece Prowincji wydał *Małe obrazki, proste scenki. Powiślańskim szlakiem Wilhelma z Modeny i losy całkiem współczesnych osadników* (2020). Od 2010 mieszka w Koślinie koło Sztumu.

**Grażyna Nawrońska** – ukończyła archeologię na UAM w Poznaniu oraz dwuletnie Studium Podyplomowe Ochrony Zabytków na Uniwersytecie Warszawskim, a stopień doktora uzyskała na Uniwersytecie we Wrocławiu. Pracowała w Muzeum Archeologicznym w Gdańsku, Pracowniach Konserwacji Zabytków Oddziały w Zamościu i Gdańsku oraz w Muzeum Archeologiczno-Historycznym w Elblągu. Od 1980 roku związana z Elblągiem. Wspólnie z mężem Tadeuszem rozpoczęła prace archeologiczno-architektoniczne na Starym Mieście, a po jego śmierci kierowała i prowadziła dalsze badania. Jest autorką kilkadziesiątu publikacji naukowych w kraju i zagranicą, uczestniczką licznych konferencji, organizatorką wystaw i redaktorką książek, a także popularyzatorką przeszłości Elbląga. Działa w Polskim Towarzystwie Historycznym, Stowarzyszeniu Naukowym Archeologów Polskich i Stowarzyszeniu Miłośników Truso.

**Wiesław Olszewski** – ur. w 1957 r. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Przewodnik po Muzeum Stutthof oraz Muzeum Zamkowym w Malborku.

**Piotr Opacian** – podróżnik, kajakarz i fotograf przyrody, zainteresowany głównie Ameryką Południową, gdzie zorganizował już wiele wypraw. Za samotne przepłynięcie kajakiem Rio Madidi, znajdującej się w Amazonii Boliwijskiej, otrzymał statuetkę Kolosa 2005 i nagrodę dziennikarzy. Podróżował również do Afryki, na Syberię, Spitsbergen. Instruktor kajakarstwa i członek Rady Kososów w kategorii Wyczyn Roku. Mieszka w Kwidzynie.

**Janusz Ryszkowski** – ur. w 1955 r. w Opaleniu. Ostatnio opublikował tomik wierszy *Stacja przedostatnia* (2014), *Morawscy – pięć pokoleń i pół*. Patchwork historyczno-literacki z Powiśla i Kociewia (2014), redaktor książki Józefa Borzyszkowskiego i Marka Stażewskiego *Dzieje Sztumu 1806–1945* (2014).

**Ryszard Rząd** – ur. w 1958 r., historyk, absolwent KUL. Pracownik Muzeum Zamkowego w Malborku. Autor szeregu publikacji poświęconych dziejom odbudowy zamku w Malborku na przełomie XIX i XX wieku.

**Leszek Sarnowski** – ur. w 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii Uniwersytetu Gdańskiego. Współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, „Radiem Gdańsk”, „Radiem Plus”, „TVP Olsztyn”, „TVP Gdańsk”. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989–1993. Pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Autor książki *Sztumska droga do wolności* (2017) oraz *Ocalona pamięć. Żydzi na ziemi sztumskiej* (2018).

**Mariusz Stawarski** – ur. w 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku. Od 1990 r. pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 r. zajmuje się malarstwem liryczno-groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach. Mieszka w Malborku.

**Marek Suchar** – z wykształcenia psycholog oraz absolwent studiów z zakresu judaistyki i archeologii biblijnej, nauczyciel akademicki na sopockim Wydziale Uniwersytetu SWPS w Sopocie. Autor czterech książek i licznych artykułów poświęconych historii i teraźniejszości Jerozolimy. Ostatnio ukazała się drukiem jego powieść *Kwadrat jerozolimski*.

**Krzysztof D. Szatravski** – ur. 1. 09. 1961 r. w Kętrzynie, poeta, prozaik, eseista, tłumacz. Od stycznia 2014 r. prezes Olsztyńskiego Oddziału SPP. Opublikował 9 książek poetyckich, m.in. *Poniżej snu* (1989, wyd. rosyjskie 2020), *Tak cicho śpiewa północ* (1997), *Pieśni miłości i rozstania* (1999), *Wiek nowy* (2014, wyd. rosyjskie 2022), *Czas płonących ogrodów* (2017), *Wszędzie* (2021), powieść *Requiem dla Bohatera* i tom opowiadań *Odjazd*, liczne prace naukowe z dziedziny historii i teorii kultury. Przekładany m.in. na angielski, bengalski, białoruski, chiński, francuski, hinduski, kazachski, litewski, niemiecki, rosyjski, rumuński, włoski i ukraiński. Profesor UWM w Olsztynie. Autor tekstów piosenek. Ma w dorobku sześć tomów przekładów w tym dwujęzyczne wydania poezji Arno Holza *Phantasmus* (2013), *Neun Liebesgedichte* (2017).

**Agnieszka Świercz-Karaś** – absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego. Od początku kariery zawodowej związana z samorządem i lokalnymi mediami. Wieloletnia redaktor naczelna „Nowin Gniewskich”, współpracowała m.in. z TVP i Wydawnictwem Pomorskim. Obecnie zatrudniona w Starostwie Powiatowym w Sztumie i zaangażowana w tworzenie nowego wydawnictwa „Dzień Dobry Powiat Sztumski”.

**Łukasz Walendziak** – ur. w 1983 roku w Gdańsku. Pisze o sobie: „W 2015 roku stałem na skraju przepaści. Limit głupot, błędów i porażek już wyczerpałem. Za mną były spalone mosty a dookoła zgłiszcza. W akcie desperacji zdecydowałem się na ucieczkę przed samym sobą. Bilet w jedną stronę do Nepalu. Z perspektywy dnia dzisiejszego, śmiało mogę jednak stwierdzić, że cały ten trud nie poszedł na marne. Były to korepetycje w zakresie odpowiedzialności, samodzielności, radości życia czy poczucia własnej wartości”.

**Hanna Walentynowicz-Tkaczyk** – ur. w 1939 r. w Warszawie. Od 1945 roku do chwili obecnej mieszka w Gdańsku. Trzy lata studiowała na wydziale BL Politechniki Gdańskiej. Jest absolwentką matematyki Uniwersytetu Gdańskiego. Przez 30 lat do emerytury pracowała jako nauczyciel matematyki szkoły średniej w Gdańsku-Oliwie. W okresie studiów była spadochroniarką w Aeroklubie Gdańskim. Pasjonatka sztuki. Uprawiała tkactwo artystyczne. Obecnie zajmuje się malarstwem. Jest członkiem Stowarzyszenia Plastyków im. Mariana Mokwy w Gdańsku. Trzykrotnie zdobyła najwyższe nagrody prezydenta miasta Gdańska biorąc udział w corocznych przeglądach twórczości członków Stowarzyszenia. Miała 5 wystaw indywidualnych. Jest również autorką prac literackich. Publikuje w dwumiesięczniku gdańskim „30 dni”.

**Radosław Wiśniewski** – ur. 1974 r. Absolwent psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mieszka w Kielczowie, pracuje we Wrocławiu., związany z Brzegiem. Pisze wiersze, publicystykę, prozę, krytykę. Autor między innymi: *Inne Bluesy* (2015), *Psalm dla Św. Sabiny* (2016), *Dziennik Zenona Kałuży* (2017). Współzałożyciel Stowarzyszenia Żywych Poetów w Brzegu, redaktor naczelny ex-kwartalnika „Red”, współpracownik „Odry”, „Studium”, „Undergruntu”.

**Andrzej Zubkowicz** – urodził się w 1959 roku w Olsztynie, mieszka w Węgorzewie. Ukończył fizykę na Uniwersytecie Gdańskim. Jego utwory ukazywały się na łamach „Gazety Olsztyńskiej”, „VariArt”, „Prowincji”, „Tygla”. Wydał tomiki poetyckie *Guziki zgubione w rozmowie* (2008) i *W uchu pamięci* (2019). Za ten ostatni otrzymał Wawrzyn 2019 Literacką Nagrodę Czytelników Warmii i Mazur. W 2022 r. wiersz *Lubił czytać* został wydany w trójjęzycznej wersji serii Trilinguis. Na jesieni ukaze się trzeci zbiór wierszy *Tu nie ma nic pewnego*. Piosenka z jego tekstem „Pięknym wciąż jest świat” znajduje się w repertuarze zespołu Czerwony Tulipan.





**PRACE PLASTYCZNE HANNY  
WALENTYNOWICZ-TKACZYK**



